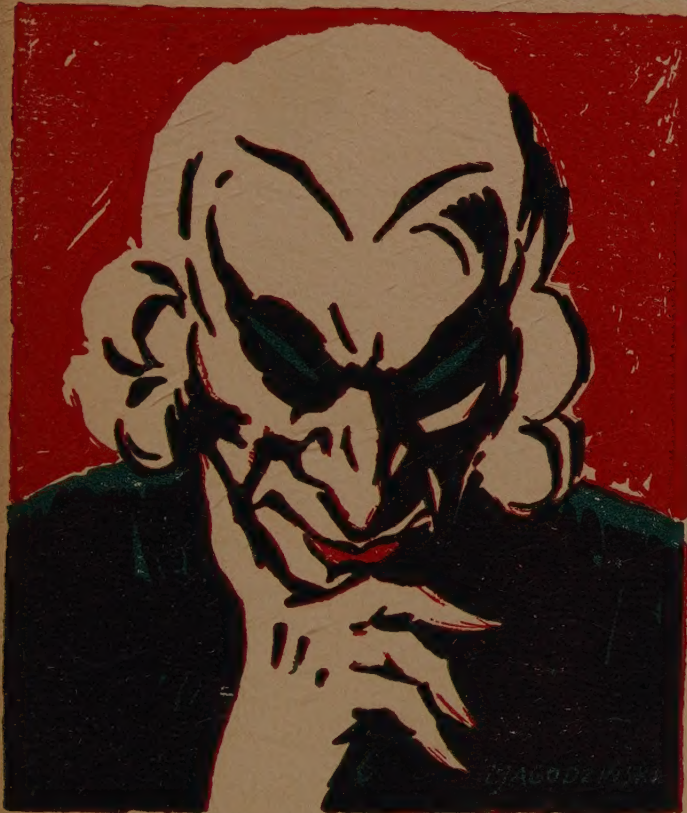


J•I•KRASZEWSKI



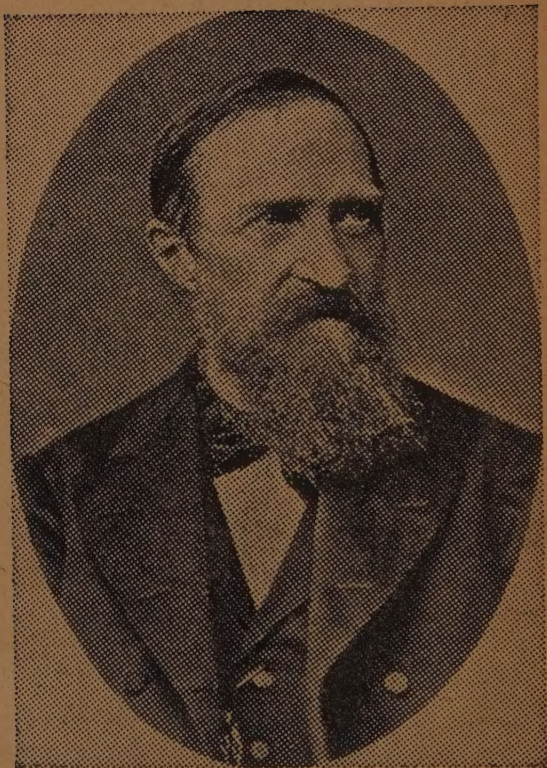
DJABEK

WYDAWNICTWO M•ARCTA w WARSZAWIE

IBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

D J A B E Ł

ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. um. 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE Tom LXXV

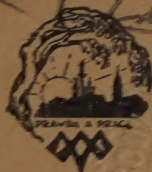
J. I. KRASZEWSKI

D J A B E Ł

CZASY STANISŁAWA AUGUSTA

CZĘŚĆ I

Prof. Stanisław Jędrzejewski
Opisał



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

ODBITO NA PAPIERZE KRAJOWYM Z FABRYKI PAPIERU I TEKSTUR „PILICA”

I.

Było to jakoś w marcu 1787 roku, w porze ze wszystkich u nas najmniej stałej, o czem zdawna świadczy przysłowie (widać klimat się nie zmienił). Wyrywały się czasem dzionki z jasnym słońcem i cieplejszym powietrzem, to znowu jak zadał wiatr z północy lub wschodu, napędzał śnieżnicy ogromnej, mrozu i pluty naprzemiany, tak że pies na dwór nosa-by nie wytknął.

Wszyscy panowie szlachta gospodarze, siedzący po otkanych dobrze i zamczystych dworkach swoich, z kalendarzami na stołach, a okularami na nosie, unosili się nad szczególniejszą trafnością, z jaką prognostyki na ten raz zmiany aury przepowiadały. Wyglądano wiosny, jak to się jej co roku wygląda, choćby kto był najstarszy, i sześćdziesiąt ich widział, z niecierpliwością, z upragnieniem, czasem aż do rozpaczyny dochodząc, gdy po dniu jasnym i zwiastującym trawkę zieloną chwycił znowu przymrozek i sypnął śnieg naprzekór.

Czuje bo człowiek, że policzone dni jego, że tych wiosennych cudów niewiele mu oglądać: w dzieciństwie nie dozwala niemi się nacieszyć szal latek nieopatrznych, w młodości zasłania oczy krew gorąca, a na starość nic już nie bawi, dla niej zima rok cały. Tylko w pośrodku życia jest jedna chwila tęsknoty, chwilka niedługa, w której się człowiek czepia do ziemi; ukocha ją i uczuje goręcej, jakby przed rozstaniem.

W tym roku jakoś, im gorętsze były życzenia wiosny, tem leniwiej dla nich zdawała się przychodzić; zanosło się było zawczasu na ciepło, stopniały grudniowe śniegi, myślano już z pługami i radłami wychodzić w pole, aż znowu uderzyły mrozy, zaszumiały zawieje, i zima jak w grudniu.

Tymczasem, pomimo nieprzyjaznej aury i groźących roztopów wiosennych, król jegomość, Stanisław August, na nic nie zważając, posuwał się ku Kaniowu; a na całej drodze, którą miał przebywać, czyniono wielkie na przyjęcie jego przygotowania. Nietylko miasta, miasteczka, gródki, ale wioski i dworki, ba, austerje po gościńcach oczyszczały się, stroiły i gotowały solennie witać monarchę.

Kraj, przez który miał przejeżdżać, cały był w wielkim ruchu, niepokoju, zamieszaniu; do zakątków nawet odleglejszych doleciały wieści i zwykły tryb życia zmąciły. Grody budowały łuki triumfalne, złociły klucze, a co było uczonych lub uchodzących w swej prowincji za literatów, kuło wiersze łacińskie lub polskie, kleciło mowy, piłowało dystychy, rysowało cyfry, wieńce, palmy i emblematy. Ciołka Poniatowskich obracano na wszystkie strony, czyniąc go to wołem ofiarnym starożytnych, to symbolicznym siły wyrazem. A że król jegomość sam, nie bez pewnego prawa, za uczonego uchodził i znał się na tych rzeczach niepospolicie, wiersze i oracje nie mało kosztowały potu i mokołu — a co w nich zasiano nadziei!! Piękne panie, począwszy od wojewodzin do prostych, ale ładnych szlachcianek, sposobiły się też, zbrojne we wszystkie swe wdzięki, wystąpić na przyjęcie koronowanego, który, że na piękności znał się także i umiał ją cenić, powszechna chodziła fama.

Panowie szlachta moderowali stare swe rzędy i wysadzane kulbaki, których Karol Gustaw nie pozabierał na pamiątkę do Szwecji, i co od wiedeńskiej świały nie widziały wyprawy, tylko przez okna lamusu, lub masztarni; ujeżdżali koniki, kręcili wąsy i zmaiwiali się, gdzie króla jegomości spotykać wypadało.

Nie było pokoju nikomu, nawet kahałom żydowskim, nie pozwalającym się ubiec; bo rabini także smażyli głowy nad mowami, szpikowanemi starym testamentem, a jeden z nich nawet wypalił rezolutnie orację po łacinie, co ksiądz Naruszewicz niemało podziwiał.

Jednych ciekawość, drugich próżność, innych nadzieja tajemna wiodła naprzeciw pańskiej kolasy; wywiadywano się pilnie o kierunek drogi, o stanowiska, noclegi, odpoczynki, przeprzegi, na wyścigi dobijając o cześć przyjmowania króla, choćby tylko przez ćwierć godziny, bodaj w karczmie traktowej.

Była to chwila szalu nie do opisania, a tysiące scen drobnych czyniły ją naprzemian śmieszną, rozrzewniającą, poważną. Jedni wynosili naprzeciw monarchy dzieci przebierane wytwornie, wyprowadzali chóry dziewic strojnych, stawiano ołtarze, wznoszono piramidy i świątynie, palono ognie ofiarne, odegrywano dramaty, deklamowano panegiryki, a co było nieraz lataniny, krzątania i kłopotu, nim się udało na swoim postawić — na wołowejby skórze tego nie spisać.

A wieleż to śniadań gorących w oczekiwaniu próżnem zamarzło, wiele to wykwinionych wieczerz zjedli słudzy — zawodów tu, jak wszędzie, nie brakło. Pora była marcowa, drogi niepewne, błota i grudy naprzemiany, król często chybiał, przyrzekłszy, i do rozpaczy doprowadzał gorejące serca poddanych.

Biada temu, kogo losy niosły w drogę królewskim gościńcem — nie znalazł nigdzie austerji wolnej na trakcie, nie mógł się rozminąć ze szlachtą, licznemi krążącą pocztami, z pułkami magnatów butnemi jak Tatarzy, z ciurami, wozami i landarami, zalegającemi drogę całą.

W Głuszy, wiosce wołyńskiej, należącej podówczas do podczaszyny Ordyńskiej, z domu księżniczki W..., która znajdowała się właśnie na drodze jego królewskiej mości, czyniono już przygotowania od miesiąca na odwiedziny królewskie; miała bowiem podczaszyna pewną obietnicę i słuszne powody spodziewania się, że król jej dotrzyma.

Głusza, ogromna osada, o której geograficznem położeniu zamilczeć nam wypadnie, była jedną z przepysznych włości bogatego kraju naszego, co to im nie brak nic od Boga; ludzie sobie winni sami, jeśli im tam niedobrze. Klucz, którego stanowiła główne fundum, składał się z kilku wielkich wsi i przysiołków, liczących do tysiąca domów; jedną stroną przypierał do odwiecznych puszczy i lasów, drugą do najżyźniejszych pól w świecie. Środkiem płynęła rzeka spławna, użyźniająca nieprzekoszone łąki, obracająca niezliczone młyny i jakby umyślnie podsuwająca się pod sam ogród pałacowy dla dodania mu różności, świeżości i wdzięku. Samo fundum, stara niegdyś siedziba książąt W..., których ostatnią dziedziczką była podczaszyna, odznaczało się położeniem, jak wszystkie odwieczne grodziska na tej ziemi.

W wiekach, kiedy więcej było pustych obszarów niż ludzi, umiano dobrze wybierać posady zamczysk i dworców, stawiano je zawsze u szumiącej wody, na wesołych wzgórzach, wpośród cienistych drzew, pilnując, żeby i oko z wałów miało się sobie gdzie porozkoszować, pobujać, a nieprzyjaciela zdaleka dopatrzyć. Ale teraz ani śladu już nie pozostało starego gródka w Głuszy, który się niegdyś bronił Tatarom, a w ostatnich wojnach kozackich został zburzony; na jego miejscu zbudowano pałacyk w początku drewniany, później murowany gmach, który się otoczył za Augusta II ogrodem we włoskim smaku, a dziś przerabiał na dzikie promenady. Jedyńm śladem starożytnego grodziska były zielone wały, poprzerabiane na tarasy ogrodowe i fosy, na których stawiono zgrabne mostki w stylu *rustyk* zwanym. Obok starych lipowych szpalerów, altan i strzyżonych w kształcie piramid wazonów i kolumn, świerków i grabów puszczały się swobodniej pozasadzane drzewa, bieleły altany w sposobie świątyń i chińskich domków, groty muszlami i kamykami misternie sadzone, pustelnicze chatki i niby wiejskie chałupki. Sam pałac ze wspiniałym frontem, świeżo przerobionym wedle planu

budowniczych królewskich Merliniego i Fontany, wspaniale zdobiły dwa rzędy kolumn od dziedzińca i ogrodu; od wjazdu przedłużały go dwie oficyny o piętrach, a podwórzec kwadratowy z fontanną, która nie zawsze biła, zamykały żelazne sztachety i brama, ustrojona w trofea militarne. Słowem, była to wcale pańska rezydencja, którejby się najwykwintniejszy z magnatów nie powstydził, a w urzędzeniu jej znać było smak wielki i najczulszą staranność. W tej chwili wyglądało to wszystko, dzięki spodziewanym odwiedzinom królewskim, jeszcze świetniej, piękniej i ozdobniej. W pałacu, oficynach, na przyległym folwarku, w stajniach, wszędzie zakręt i ruch był ogromny; ludzie latali jak oparzeni, rżały poubierane w aksamitne chomąta i farbowane pióra konie, otrzepywano powozy, nakładano kulbaki, zwoływano się zdaleka, kłął niejeden, bili nawet niecierpliwi, i w powszechnym zamęcie widać tylko było, że się wszyscy ogromnie śpieszyli.

Na progu pałacowym stali kupkami pacholki, liberja, dworzanie, pokojowcy, popychając się, spędzając, wbiegając i wybiegając z pokoiów; groźny głos marszałka wąsatego dawał się słyszeć czasami, to znów ginał w głębinach antykamery. Wewnątrz niewiele było ładu i niemniej niecierpliwości. W wielkiej sali niebiesko-marmoryzowanej, zaokrąglonej od ganku ogrodowego, między której kolumnami ukazywały się malowane zręcznie w niszach bożynie, bogowie greccy i tancerki herkulańskie, szum dawał się słyszeć pomieszanych głosów niewieścich i męskich. Sala ta, najwspanialsza w pałacu, ubrana była z wcale nie wiejską wykwintnością; rzekłbyś, że ją całą w pace z Paryża sprowadzono, tak od stropu do posadzki lśniła się najmodniejszym przepychem.

Salon ten nie miał w sobie nic polskiego, nic, coby przypomnieć mogło kraj, na którego stał ziemi. Z końca w koniec zaludniała go myśl pod obcą urodzona strefą, sprzęty zagraniczną wyrobione modą i ręką, tkaniny nie naszych warsztatów, obrazy nie naszego

życia. Było to w swoim rodzaju doskonale piękne, ale całkowicie zimne, jak wszystko co modne tylko i nowe, z czym się człowiek nie poślubił godzinami wspomnień i cierpienia. Bogate draperje z białego i niebieskiego atlasu, ze złotą i białą frendzlą, zwieszały się we wdzięcznych fałdach ponad okna i wokoło trojga drzwi, wiodących do przedsienia i bocznych pokoiów. Z dwóch stron dwie kanapy, także ozdobione bronzami, stały w stylu greckim oparte na chimerach i podobne fotele, obite niebieskimi gobelinami, czekały tylko gości, mających zasiąść dokoła. Przed trojgiem drzwi szklanych, wychodzących na ogród, stały na półkolumnach białych sześć pięknych posągów marmurowych, wybornie naśladowujących starożytne. Były one dłota Le Brun'a i wystawiały Apollina Belwederskiego, Antinousa, Herkulesa, Venus Medycejską, Florę i Bachantkę. Na konsolach między oknami widać było, prócz tego, przepyszny zbiór waz etruskich. Kilka żółkłych popiersi wybornego starożytnego dłota, parę drobnych bronzów z wykopalisk Pompei i nowsze statuetki w smaku wieku. Posadzka była z kunsztownie wysadzanego drzewa, na sposób dawnych mozaik, z niepospolitym wykonana smakiem; w pośroku jej kwadratową wielką taflę zajmowała kopja obrazu starożytnego, zwanego Weselem aldobrandyńskim.

Spojrzenie na tę jedną salę dawało się już domyślać mieszkańców tego domu, tęskniących pod chmurą niebem północy za cieplejszą ukochaną Italją, za gwarną Francją, za wszystkim, co nie nasze.

Nim poznamy bliżej nieco i pałac i jego właścicieli, spójrzmy na grupę, która niespokojnie zwija się w pośrodku wielkiej niebieskiej sali. Głównie w niej stanowisko zajmuje kobieta lat średnich, niebardzo już młoda, lecz jeszcze świeża i ładna, której widocznie chodzi o to, by się jak najpiękniejszą, jak najmłodszą pokazać jeszcze. Strój jej wedle najświeższego kroju z Paryża podobno kurjerem sprowadzony od sławnej Henrjety, wyfilozofowany był, ażeby od-

młodzić, i poczęści celu swego dopinał. Cała prawie była w bieli, złoto tylko gdzie niegdzie połyskiwało na tem tle śnieżnem i dodawało mu powagi. Była to wyniosłej postawy i poważnego oblicza kobieta, z oczyma niebieskimi, z brwią i włosiem ciemnym, z koralowemi usty, których różowość z puszki wyczerpniętą być musiała, a tak biała, tak świeżuchna i rumiana, że niejednen niedowiarek i te kolory uznałby za pożyczane. Na czole jej świecił diadem przepyszny, niby gałąź polnej konwalji, której kwiaty z pereł i diamencików, a liście były ze szmaragdów... gdzie niegdzie na listku czepiała się brylantowa rosy kropelka. Na szyję spływał sznur pereł, spięty ogromnemi brylantami, a drugi podobny, spleciony tylko inaczej, utrzymywał suknię w stanie, opasywał piękne ręce. Cała suknia, zaszyta w złote, drobnuchne gwiazdeczki, migotała, ale na nieszczęście, barwą swoją nazbyt widocznemi czyniła kształty, którym lata nadały nieco za wyraziste obrysy. Łatwo w niej było poznać panią domu po głosie, postawie i rozkazach, które wydawała. Obok niej stał młodziuchny mężczyzna, rzadkiej piękności i słodczy wyrazu w twarzy, którą jeszcze nawet puszek młodzieńczy nie okrył. Dość słusznego wzrostu, ale gibki i cieniuchny, rysy miał doskonale, niemal niewieście piękne, oczy czarne, ogniste, osobliwszą na wiek pałające energją, usta trochę ściśnione, ale drobno wycięte, czoło wyniosłe i nos prosty z rozdętymi nozdrzami. Była to wprawdzie piękność raczej kobieca niż męska, ale i wiek tak młody, że zmęźnieć nie dał mu czasu. Ubranie wszakże młodzieńca starsze było od niego i niczem się nie różniło od wykwintnego stroju panów owej epoki. Miał na sobie frak z fioletowego weneckiego aksamitu, haftowany perełkami, z guzami perłowej macicy i brylantów, podobnąż resztę ubrania, kamizelkę z białego atlasu ze srebrem, białe pończochy i z bogatemi sprzączkami trzewiki. Z rękawów fraka, z pod kamizelki płynęły prześlicznych koronek zwoje, wśród których wielka tylko na piersi ciemniała kamea. Pu-

Spostrzegłszy Karwickiego, kobieta chciała się cofnąć żywo, ale poznawszy rychło, wróciła śpiesznie i, syknąwszy zcicha, śmiało się do niego zbliżyła.

Twarzy kobiety, osłoniętej od stóp do głów płachtą ciemną, nie można było rozeznaczyć, ale pod tą osłoną, niedbale zarzuconą, czuć się dawała zręczna, gibka postać, a głos srebrny, młody zadźwięczał:

— Obożny!

— Dosia! — odezwał się Karwicki.

— A któżby był, jeśli nie ja? — odparła żywo przybywająca. — Gdyby nie poczciwy stary Żegota, nie ważyłabym się z jednego podwórza zamkowego na drugie sama po nocy, bo i na królewskim zamku bezpieczeństwa niema... ale Żegota mnie wziął w opiekę a królowna.

— Z czemże przychodzisz od królownej? — zapytał, zbliżając się, Karwicki.

— Z czem ja przychodzę — odparła z odcieniem szyderstwa kobieta, — zapytaj raczej poco? bo od nas niema co przynieść, chyba łzy. Królowna niespokojna, biedaczka, nie wspomnieliście królowi o niej?

— Nie było przystępu do niego! — odparł smutnie Karwicki.

Kobieta rozpaczliwie się poruszyła.

— A! mój Boże! mój Boże! — poczęła narzekać — król o niej zapomniał, a u nas na wszystkim zbywa, panie obożny. Na wieczerzę trzeba było wyprosić u kupców bez pieniędzy, bo zapłacić niema czem. Królownaby ochotnie ostatek sreber zastawiła, ale tu na nas tyle oczów patrzy, dla czci królewskiego domu nie godzi się, więc woli głodem przymrzeć. Nikt nad nami litości nie ma. Co zawiniła ta biedna królowna nasza, iż jej król bratem, ojcem i opiekunem, jak powinien, być nie chce, że się nieprzyjacielem stał.

— Cierpliwości! czekajcież! — zawołał Karwicki; — ani dziś, ani jutro król nie wyjedzie. Nim to nastąpi, klnę się najuroczyściej, my go skłonimy do widzenia się i przejednania z królowną.

— I do opatrzenia jej potrzeb — dodała żywo ko-

Rozmowa piorunująca toczyła się po francusku w kółku wybranych.

— Prawdziwie to trzeba oszaleć, — cieniuchnym, ale wyuczońno-spieszczonym głosikiem wołała żywo podчасzyna — tysiące jeszcze rzeczy zostało się na sam ostatek! a godzina blisko. A! mój Labe, gdyby, broń Boże, chybić co miało, jabym umarła, jabym zemdląła ze wstydu! Wystawcie sobie, że o nasz honor chodzi; przyjmujemy króla! potrzeba przekonać najjaśniejszego pana, że i w naszym kraju może się znajdować dom na zagranicznej całkiem, na wykwintnej stopie. Labe Poinso! kochany Labe! zlituj się nade mną! uspokój mnie, drzę cała — dodała mdlejące coraz bardziej spojrzenie rzucając na fertycznego Francuzika, który się wciąż uśmiechał dla uspokojenia podчасzyny.

— Niech wasza ekscelencja (tak zawsze tytułował Poinso panią podчасzynę), niech wasza ekscelencja zupełnie być raczy spokojną — wszystko gotowe, lub gotowości bliskie i wszystko udać się musi!

— Monsieur Robert! — zawołała podчасzyna — zmiłuj się, pilnuj, żeby światła były wszędzie pozapalane, żeby służba wdziała rękawiczki w porę, pamiętaj też o pokojach królewskich... W gabinecie światła powinny być przyćmione — zawiesiliście mój portret tam, gdzie kazałam?

— Alfierze, — odezwała się do syna — posyłaj po karety, nie będę czekać na te panie, które się ubierają bez końca, niech mnie doganiają pod austerją — boję się, truchleję, ginę, żebyśmy się nie opóźnili! Czy są ludzie z wachlami rozstawieni od gościńca w alei do dworu? Niech zapalą ognie co prędzej! na Boga! gotowi mi iluminację przez głupią oszczędność popłatać.

Tymczasem zmierzchało, zmierzchało powoli, pani podчасzyna coraz się bardziej niecierpliwiła, aż wreszcie zatoczyły się powozy, zajechała służba konna, janczary, kozaki, pacholeta postrojone i podчасzyna, zaklinając znów labusia, by wszystkiego pilno-

wał, by o wszystkim pamiętał, ruszyła ku pojazdowi, który na nią i na syna jej czekał; kobiety rzuciły na nią lekką jak piórko szubę, białą atlasową z łabędziego puchu, na Alfiera przepyszne futro sobolowe z pon-sowym wierzchem, widocznie z pradziadowskiego przyakomodowane, i syn z matką wyszli na ganek.

Tu widok był prześliczny.

Długa aleja lipowa, ręką zimy jakby naumyślnie przystrojona w białe szrony, cała świeciła dwoma rzędami pochodni, przez spędzone umyślnie trzymanyh gromady; wśród tych migocących światel, gdzie niegdzie na podwyższeniu, płonęły beczki smolne, całe okryte gałęzmi sośniny i jodeł w kształcie piramid posplatanemi. Pałac i oficyny rześisto gorzały lampami po gzymsach, u kolumn drzwi i okien rozwieszonemi. Ta czarodziejska iluminacja jakby blaskiem dnia zachodzącego, lub łuną pożaru oświećlała dziedziniec, zajęty w tej chwili dworem pani podczaszyny. Stało w nim kilka karet paradnych, zaprzężonych białemi, tarantowanemi i dzikiej maści cugami. Obok nich, we wschodnich niemal strojach, dworskie janczary, kozactwo, barwa, pacholeta, na dzielnych koniach czekali na panią. Pani ledwie rzuciła okiem na otaczające ją sługi i szepnęła do syna, wsiadając do karety:

— Mój Boże, jak to wszystko dziko wygląda! jak to jeszcze polskie! u nas prawdziwie nic zrobić nie można, jesteśmy niewolnikami przesądów nawet w ubraniu! Siadaj, Alfierze, a nie zapomnij komplementu sobie przygotować, którymbyś powitał króla naszego, gdy mu cię zaprezentuję.

— A! nie pożegnałem się z babunią! — szepnął cicho młodzieniec.

— Ale siadajże! — kwaśno odpowiedziała matka — nie odjeżdżasz przecie do Ameryki; zbyt jesteś jeszcze dzieckiem na twój wiek, wierzaj mi.

— Ruszać! — zawołał grzmiącym głosem pan Puchała — i powozy poczęły się powoli posuwać z przed ganku w oświeconą aleję.

Labuś, który był przyprowadził podczaszynę do karety, natychmiast się cofnął i wbiegł szybko do pałacu, służba poszła za nim, i wkrótce podwórzec był niemal pustý, a lampy same sobie paliły się powolnie, bo nikt się ich blaskom nie przypatrywał.

II.

Za kolumną w głębi stał, przyglądając się zdaleka odjazdowi podczaszyny, stary niegdyś marszałek dworu, Sieniński, gładził wąsa, zażywał tabaki, pogłądał, mruczał i ruszał ramionami, jak to zwykle starzy, aż nareszcie odezwał się nieco głośniejsze:

— No! kiedym ja niepotrzebny, a te frygi mają tu królować, to czegoż sobie będę darmo głowę łamał, żeby im pieczone i gotowane podstawiać; niechajże sobie rady dają, a ja wolę do mojej starej jejmości!

To rzekłszy i poprawiwszy pasa na dosyć zaokrąglonym żołądku, krokiem poważnym zmierzył ku oficynie. Minął drzwi jedne i drugie, otworzył furteczkę, i w rogu oficyny najdalszym wszedł na ciemne wschodki, z drzwi już na ogród, nie na podwórzec otwartych, wiodące ku górze. Wschody te stały ciemne, ale światła z dziedzińca, przez okna wpadające na korytarz, dostatecznie do pokierowania się, błyskiem odbitym je rozwidniały. Tu cicho było, samotnie, ani śladu ruchu i gwaru, który w reszcie zabudowań pałacowych panował.

Zcicha otworzył drzwi pan Sieniński, wsunął się boczkiem do pierwszego pokoiku, dobrze ogrzanego, ale dość ubogiego w sprzęt i ozdobę.

Był to przedpokój z kominkiem, na którym paliło się ognia trochę — w nim stół dębowy, zydeł, stołków para, trochę garnuszków i imbryczków, szafka w ścianie i skromne łóżeczko. Przed kominem na stołku siedziało dziewczę z kądzielą i widać, że drzemało, bo bardzo żywo jęło się do wrzeciona, zobaczywszy wchodzącego.

— A jejmość co robi? — spytał pocichu i ostrożnie Sieniński.

— A cóż? modli się — odpowiedziała dziewczynka.

Wtem ze drzwi przymkniętych, wiodących do dalszych pokojów, dał się słyszeć głos cichy i łagodny:

— A kto tam?

— To ja, jaśnie wielmożna pani, — odparł stary głośniej — to ja, Sieniński; ale może przeszkadzam?

— Chodźże waszeć, chodź! — odezwano się znowu z głębi.

Obciągnąwszy kontusza i poprawisz pasa, potarłszy czupryny, Sieniński przybliżył się na palcach, powolnie drzwi uchylił i wsunął się z niskim ukłonem do drugiego pokoiku.

Ten drugi niewiele był ozdobniejszy od pierwszego; widać, że w przerabianiu pałacu zapomniano o tym kątku. Było to jeszcze przeszłowieczne jakby mieszkanie, okna z szybkami niewielkimi, obicia wypłowiałe na ścianach, lamperje lakierowane na biało — sprzęt także nie był wytworny, snąć go tu zniesiono po reformie umeblowania, bo krzesła, kanapka, stoliki miały postać zużytych starych sług przeszłego pokolenia.

Na ścianach ciemnych kilka obrazów przedstawiały postacie i sceny pobożne, a wśród nich portret pięknego mężczyzny z podgoloną głową, w rysiej kierei i zbroi, szczególnie odbijał wyrazem oblicza męskim a łagodnym. Tuż zawieszona była Najświętsza Panna Częstochowska, a przy niej gromnica, lampa i wianki, dalej święty Michał archanioł, obraz staroniemieckiej szkoły, w ramach ołtarzykowych, i święty Józef z lilją w ręku, i święty Franciszek i Antoni Padewski. Cała niemal litanja wisiała na ścianach w różnych formatach i kształtach, ale nie było między temi wizerunkami brzydkich bazgranin nieumiejętnej ręki; wszystkie niemal albo kopjami były z włoskich mistrzów, lub staremi naiwnymi utworami niemieckiej szkoły XV i XVI wieku.

Jeden też to przepych był w tym pokoiku, zresztą

nadzwyczaj skromnym i ubogim. Na krześle, ostawiona poduszkami, siedziała u stołu zgrzybiała staruszka w białym czepcu, przewiązanym żółtą, w szafranie ufarbowaną chusteczką, w białym szlafroku, z różańcem w ręku i wielką księgą pobożną na kolanach.

Twarz jej, zwrócona ku drzwiom, wzbudzała na pierwszy rzut oka jakieś uszanowanie i niemal czcią przejmowała, tak na niej widocznie wypiętnowały się lata świętobliwie spędzonego żywota. Błada, pomarańczowa, zwiędła, a jednak zachowująca jeszcze ślady piękności w kształtnym, kościstym nosie, drobnych ustach i oprawie oczów, pełna była wyrazu łagodności, rezygnacji, dobroci anielskiej.

— A co, Sienińsiu, waść taki do mnie! ha! nie zapomniałeś o starej. Oj, pochlebca z ciebie, pochlebca, dworak! Czy to niema już tam co robić, żeś się do mnie przywłókł? Dwór się tam, słyszę, do góry nogami przewraca! Żeby go jeszcze, uchowaj Boże, temi iluminacjami nie podpalili!

— Jużciż, taki pałacu-by spalić nie powinni,—trochę obojętnie rzekł Sieniński — alem ja ich porzucił, niech sobie sami dają rady kochane Francuzy. Jw. podczaszyna kazała mi się nie pokazywać i z kąta tylko pilnować porządku, poszedłem też precz... Dziś tu u nas wszystko do kuchcika francuskie, niema co nam robić.

— Czy już podczaszyna pojechała? — spytała staruszka.

— Już, tylko co się to potoczyło; cała aleja w ogniu, ludzi kilkuset z wachlami, dwór pojechał za panią; reszta pań jeszcze niegotowa... Ale jw. pani ani chce spojrzeć, a to dalibóg śliczny widok, choć ślicznie i kosztuje.

— Daj mi tam waszeć święty pokój z temi wido-kami, moje oczy dosyć ich już widziały na świecie, wkrótce da miłosierny Bóg jaśniejszą nad te wszystkie światłości oglądać. Co mi tam, mój Sienińsiu, wasze fajerwerki i iluminacje, głupstwo to, kochanku. A mój-że Michaś pojechał? — zapytała troskliwie.

— Jw. podczaszyc siadł z panią.

— Ażeby mi go tylko gdzie nie zaziębiła, fertycząc się tam, bo to takie nieuważne i matka i on, a cóż na siebie wziął, nie widziałeś tam waszeć?

— Sobolową szubę karmazynową, jw. pani, nie zmarznie w niej, boć i karetą pojechali.

— Oj, nie uwierzysz bo, mój Sieniński, jakie to delikatne, tak mi go nieboraka po babsku wychowali, niech im to Bóg nie pamięta!

Oboje westchnęli.

— Szaławiała chłopczysko, głowa mu się pali, nawet dziś do mnie na minutę nie przybiegł, — dodała staruszka, patrząc w ziemię — dobrze mu za to uszy natrę, boć należało, należało...

— Już co temu, to jak Boga kocham, — gorąco przerwał stary — nie winien on, jw. pani, nie winien. Jw. podczaszyna nie puściła go ani na minutę od siebie. Sądny dzień w pałacu. No! jest bo co robić! Zaczęło się króla imci przyjmować, niechajże skosztują *rarity*.

Staruszka ruszyła ramionami.

— Co mi to za król! Co mi to za król! — szepnęła jakby sama do siebie — oj, mnie, mości Sieniński, co jeszcze pamiętam, jak przez sen, prawdziwego króla Jana III, już to na tego Niemczyka i patrzeć się nie chce. I tamciż byli Niemcy, co po Janie panowali; także to byli jakieś przybłędy, co po koronę za jałmużną do nas przyszli i spasali się na naszym chlebie, Bóg wie za co, ale i ten, choć to niby swój, pozał się Boże! Dawnoż to ekonomowało na Litwie??

Sieniński, choć bardzo z natury cierpliwy i chętnie milczący, zdawał się nieco jednak zgorszony tem wystąpieniem staruszki, ale zamilkł.

— Już to, nie śmiejąc kontrować, — odezwał się, namyśliwszy — jaki on tam jest, to jest, a takiż to koronowana głowa i pomazaniec Pański.

— Al temu się nie przeczy, — przerwała jejność — korony mu z głowy nie zdejmuję, niech go Bóg błogo-

sławi, ale to nie Sobieski, mosanie, oj, nie Jan III, mo-
spaneńku!

— Wiadomo, jw. pani, wiadomo!!

Wśród tej rozmowy pan Sieniński, usłyszawszy
skrzypienie pierwszych drzwi, jakby przeczuciem, nie-
spokojnie się obejrzał.

— Oho! — rzekł — to już ktoś pewnie przyszedł
po moją duszę!

Wtem głowa dziewczynki ukazała się w przed-
pokoju.

— No, a co tam? — spytała staruszka.

— Marszałka proszą.

— A co? nie mówiłem, dobrej nocy życzę jw. pani!
Do nóg upadam!

— Dobranoc ci, mój kochany, dobranoc, choć ty
podobno tej nocy niebardzo będziesz spał.

— Panie marszałku! — począł naglić głos z przed-
pokoju. — Labe prosi... Labe... bardzo pilno...

— Ależ idę, idę! — wysuwając się, z westchnie-
niem rzekł stary. — Labe siud, Labe tud, a niema je-
mu końca! Nie mogliby się obejść i kwadransa beze
mnie. Już tam jakaś bieda z tą frygą mnie czeka! Skar-
ranie Boże! Skaranie Boże!

— Prędzej, panie marszałku! — zawołał, nadbie-
gając, ktoś drugi — Labe się niecierpliwi!!

— A nie może poczekać? Jużciż konno ze wscho-
dów nie zjadę, żeby do niego pośpieszyć, ani karku
sobie dla niego nie nadkręcę?

III.

Gdy tak w pałacu reszta przygotowań na przyjęcie
królewskie się dopełnia, z pośpiechem, który najczę-
ściej opóźnia wszystko zamiast ułatwić cokolwiek,
gdy Labe Poinsoł głowę traci wśród polskich sług,
z którymi tylko na migi rozmówić się może, powozy
podczaszyny suną się aleją lipową ku oświeconej na-
przeciw pałacu, na wielkim gościńcu stojącej austerji,

widocznie na dzień uroczysty wyświeżonej. Gmach ten, który zwykle stał dosyć odrapaną pustką i frontem tylko nieco okazańszym miał obowiązek zamykać długą ulicę, teraz odnowiony, wymalowany, wyluminowany zajmowały tłumy szlachty sąsiedniej, oczekującej na najjaśniejszego pana, kilku orderowych na których czele wojewoda, gromady wiosek z chorągwiami, chlebem i solą, Żydzi z miasteczka bliskiego kahalem całym z rabinem, baldachimem, półmiskiem, pokrytym ponsowym adamaszkiem, na którym tort z cyfrą S. A. R. pysznie się bielił, i mnóstwo ciekawych różnego stanu ludzi. Już od południa niemal wszyscy wpogotowiu stoją, głodni, zziębli a niespokojni wysyłają na zwiady, czy kogo nie widać od strony Warszawy, a nie widać nikogo.

Ale zyskali na tem, że się tak przyjazd opóźnił, bo ten różnobarwny tłum nigdy się lepiej wydawać nie mógł, jak teraz przy pochodniach nocnych. Panowie szlachta w najbogatszych swych strojach, konno, na dzielnych turczynach, żrebcach własnego stada, na kulbakach pozłocistych i rzędach wysadzanych, w konuszach i żupanach z lamy i wschodnich materyj, u boku szable kameryzowane, na głowach kołpaki sobole, pióra czaple, kity strusie, spinki połyskujące. Niektórzy kobiercami perskiemi pokrywali dzianety, popupinali na głowach końskich czuby ze staroświecka i pęki piór nawet przy ogonach końskich posadzali; drudzy pofarbowali starą modą grzywy i ogony białym rumakom na ponsowo. Za panami, których kupka lśni się od złota i drogich kamieni, świeci się barwy najświeższemi niemniej wspaniała ciżba pacholców w strojach z węgierska, z kozacka, z janczarska i od fantazji; a wszyscy szumnie i bogato za katy.

Tuż i karetą pana wojewody i jego hajducy a służba; opodal szare i bure stanęły w odświeżonych świtach gromady wiosek milczące i zamyślane; znowu w innej stronie ścisnęli się Żydzi w atlasowych i alepinowych żupanach, lisich szubach i sobolich czapkach, nie śmiejąc ich na głowę włożyć wobec karety pana wojewo-

dy, choć była próżną. Nadjeżdżające karety i dwór podczaszyny przerwały jednostajność oczekiwania; rozstała się szlachta, wojewoda, który się grzał w izbie u komina, głowę przez okno wysadził, jakaś otucha wstąpiła w serca wszystkich.

— No, — rzekł ktoś — kiedy pani podczaszyna przybyła, to nie bez racji, już i najjaśniejszy musi być niedaleko.

Ależ bo zimno było czekać doprawdy, a mróz pod wieczór trochę sobie zanadto pozwalał, jak na mróz marcowy.

— Cóż tam słyhać, panie cześniku? — odezwała się, ostrożnie taflę u karety podnosząc, podczaszyna do najbliższej stojącego na koniu, wąsatego i rumianego pana Styrpejki.

— Jw. pani, wiatер po uszach dżga, więcej nic.

— A król jegomość?

— Król daleko, jw. pani, Bóg wysoko! a mróz szeroko i głęboko.

— Cześnik zawsze żartuje.

— Zwłaszcza kiedy zimno, — odparł raźnie Styrpejko — bo czemużby się człowiek rozgrzewał, jeśli nie dobrą myślą? — I cześnik pokręcił ogromnego, obmarzłego wąsa.

— Ale bez żartu, cześniku, n. pan miał być u nas w Głuszy na godzinę czwartą! Czy, uchowaj Boże, w drodze nie trafiło się jakie nieszczęście? — spytała cieniuchnym głosem podczaszyna, przymrużając oczki.

— Najjaśniejszego pana poddani wszędzie widać tak miłują, jak my, i niełatwo mu się wyrwać. Bogiem a prawdą, zmówiłem już trzy Zdrowaś na tę intencję, żeby nas przybycie najjaśniejszego koronata spuściło z tej niewygodnej warty na mrozie, ale coś nie skutkują!

— Gdzież pan wojewoda?

— Dobrze sobie poradził, — rzekł cześnik — grzeje się u komina w izbie karczemnej, czekając języka.

Możeby i jw. pani nie zawadziło wejść i trochę się rozgrzać.

Ledwie to wyrzekł, gdy siwy, wysokiej i pięknej postawy mężczyzna w wielkiej delji niedźwiedziej wysunawszy się z austerji, przybliżył się do powozu. Był to pan wojewoda, ale nie z owych to wojewodów, których pradziadami byli cnych owych rycerzy dwunastu, tak dzielnie narysowanych w kronice Miechowity i Bielskiego; tamtych potomkowie spoczywali gdzieś pod marmurowemi trumien wiekami, po fundowanych przez się klasztorach i opactwach. Ten nowego autoramentu wojewoda, z nazwiska nie krajowiec, z miny nie wojak, wypudrowany i wystrojony po wersalsku, choć poddeptany a udający młodzika, pachnący, grzeczniuchny, delikatny, nie wiem coby był począł, gdyby mu doprawdy przyszło ze szlachtą swoją ciągnąć na wojnę przeciw poganinowi.

Już zdaleka uśmiechał on się do podczaszyny, jako stały wielbiciel jej wdzięków, i zaraz rozpoczął francuską z nią rozmowę przez wpół otwarte okno karety.

Cześnik Styrpejko wąsa kręcił w prawo i lewo, przysłuchując się tej paplaninie, której niewiele rozumiał, a tem więcej nie lubił.

— Mosanie Jędrzeju, — rzekł wreszcie zniecierpliwiony zcicha do sąsiada o strzemień, który, zawinięty w wilczurę, zębami kłapał, coraz to wypuszczając nogi ze strzemion i w futrze je podjawszy, zagrzewając — niema co robić, uczmy się taki po francusku!

— Co waś pleciesz, mości cześniku! Wmości bo zawsze żarty się trzymają!!

— Ba! To nie żart! Ze wszystkiego widać, że taki na przyszłym sejmie wypadnie uchwała, aby wszystka szlachta inaczej jak po francusku mówić się nie poważyła. I jest racja!

— Czy waś w nogi nie marzniesz? — zapytał pan Jędrzej.

— Alboż co? Ja nie.

— Jakimże sposobem ja, choć buty mam wypor-

kami podszyte, kostnieję po kolana! — zapytał szlachcic.

— Wszystkiemu temu winno, że waść po francusku nie umiesz, — odpowiedział cześnik serjo — gdybyś *parle franse* umiał, poszedłbyś z wojewodą, podczaszyną i tą laleczką podczaszycem grzać się w austerji przy kominie.

Kareta podczaszyny już była podjechała pod wrota austerji i pani wysiąść miała na zaproszenie wojewody, gdy gościńcem dał się słyszeć tętent konia puszczanego cwałem. Oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę, a głos jakiś zawołał:

— Król jedzie! Król jedzie!

Nie jechał jednak nikt, jeno posłaniec, kozak wojewodziński, który, dopadłszy do karety pańskiej, zakrzyknął:

— Król już o ćwierć mili.

Rozruch się stał wielki. Szlachta poczęła się szykować i naradzać głośno, reszta zgromadzonych przybliżać ku karczmie, wojewoda wskoczył do swojej karety, a podczaszyna postanowiła pozostać przy austerji, oczekując zbliżenia najjaśniejszego pana.

— Panowie bracia! — przez okno powozu, wychylając upudrowaną głowę, zawołał złą dosyć polszczyzną wojewoda — jedziemy wszyscy na spotkanie.

— Jedziemy! Jedziemy! *viritim* — odpowiedziano gęsto, i tęgim, wyciągnionym klusem, cześnik na przedzie na bułanku, popędzili wszyscy w ścieśnionej kolumnie, nie zważając na noc i grudę; przed nimi kilku kozaków z kagańcami bliższym przyświecali, dalsi omackiem i sprytem koni bili się za pierwszymi jak mogli. W drodze już napotkano pułkownika Słomińskiego, który wszędzie króla poprzedzał i konie dla niego zagotowywał. Spytano go, jak daleko jeszcze król? Nie dosłyszano odpowiedzi, i konni z kareta wojewody posunęli się dalej.

Tymczasem cisza znowu dokoła, chłopci tylko spoglądali to na cugi swej pani, to na Żydów, z których się potrosze śmiali, nie wyjmując nawet rabina, a Izra-

elici, stchórzywszy kompletnie, z baldachimem i tor-tem, zdawali się mieć ochotę ukryć się w krzaki. Na gościńcu wdali migwały blaski kozacych kagańców, a że droga szła ciągle pod wysoką dosyć górę, światła zdawały się unosić w powietrze, a jadąca za nimi szlachta, jak orszak duchów w obłokach, migiała. Ciemna noc otaczała wszystko, szparki, ostry wiatr zadymał ze wschodu, oczy podczaszyny, nieruchomie wlepione w stronę, z której się przybycia króla spodziewały, machinalnie poglądały gdzieś wdał, myśl była gdzie indziej, w czarnej czy jasnej, ale żywo pamiętnej przeszłości.

Nie postrzegła się, jak sześć karet nowych w tej chwili zatrzymało się przy jej powozie przed austerją; były to panie z sąsiedztwa, już oddawna zgromadzone i ubierające się w pałacu, które po długiej toalecie dopiero w ostatniej chwili nadjechały, razem z podczaszyną króla powitać. Szczebiotanie tych po większej części młodych i świeżych kobiet, które się nagle ukazały dokoła z okien karecianych, przerwało dumanie podczaszyny.

— A król? a król? — ozwały się zewsząd przybyłe — *Madame! Comtesse! et le Roi?*

Te uparte dopytywania o króla z ust świeżutkich przykro zabrzmiały w uszach gospodyni, zdawało jej się, że wszystkie te twarzyczki wcześniej uzbroiły się w słodziuchne słowa i uśmiechy, aby jej wydrzeć spojrzenie króla, aby go od niej odciągnąć.

— *Que sais-je?* — odpowiedziała niedbale, chowając się w głąb powozu swego.

I smutek osiadł na jej skroni, spuściła głowę.

— O jak one wszystkie brzydko, bezwstydnie zalotne, — zawołała w duszy — dlatego, że to król, każdaby rada go sobie pociągnąć. Myślą tylko, jakby go usidlić, jakby kupić sobie tytuł kochanki, a kto wie, jakie tytuły mężom! O to szkaradne! szkaradne, *cela soulève le coeur*.

Właśnie w chwili tego cnotliwego oburzenia światła na dalekiej górze poruszać się zaczęły, nowy okrzyk

wiatr przyniósł i pod czaszyna przejęta mimowolnie wykrzyknęła:

— A! król jedzie! król jedzie!

Co się tam działo w karetach, opisywać nie będziemy, ale to pewna, że wszystkie panie jęły stroje poprawiać i oczyma brakujących na nieszczęście szukać zwierciadeł, młodsze drżały, starsze były zadumane, poważne matrony wzdychały.

Gromady wiejskie ustawiły się zaraz pod przewodnictwem sołtysów z obu stron wjazdu do alei, wiodącej ku domowi, naprzód wystąpili starzy poważni gospodarze z chlebami, żydowski kahał zawsze z baldachimem, korzystając z zajęcia tego stanowiska przez wieśniaków, wysunął się przed nich, z wyraźnym zamiarem wzięcia kroku przed kmieciami.

Jakoż na ten raz nie omyliły się wykrzyki, i najjaśniejszy pan w istocie zbliżył się, jadąc w karecie z księdzem biskupem Smoleńskim.

IV.

Poprzedzali go w mniejszym powozie generał Komarzewski z adjutantem j. kr. mości, panem Arnoldem Byszewskim, owym to sławnym handlarzem koni, co się potrafił dobić z małego sługi największych łask i zaszczytów; potem jechał książę Józef karetą króla, dalej podkomorzy Brański z drugim adjutantem i długi szereg powozów — dwór, przybocznych, kancelarję, garderobę i sługi w sobie mieszczących. Orszakowi towarzyszyła szlachta konno, oddział wojewodzińskiej dworskiej milicji, kilku wyższych urzędników ziemskich i liczne poczty panów, którzy od województwa do województwa króla przeprowadzali i otaczali.

Stanisław August, przywykły już do podobnych po drodze swej atencji, bo go te spotykały kilka razy codzień, zobaczywszy światła, iluminację, karety pań i stojącą na drodze całą linję wystrojonych kobiet, rozkazał zatrzymać się powozom. A choć mu się nie-

bardzo wysiadać chciało, pełen zawsze galanterji dla płci pięknej, wysiadł z ks. biskupem Smoleńskim na przeciw podczaszyny i, uprzedzając kilku słowy francuskimi, nadzwyczaj uprzejmie ją pozdrowił.

Na twarzy podczaszyny znać było wielkie wzruszenie, podobne do silnego i prawdziwego uczucia — niespokojnie zwróciła oczy na króla wśród komplementu francuskiego, którym go także witała, i drżącą ręką wskazała na syna, przyklękającego do ucałowania podanej łaskawie ręki królewskiej.

— Najjaśniejszy panie, — odezwała się — jest to potomek rodziny, która zawsze służyła wiernie tronowi w. kr. mości, pragnący także krew swą przelać, by dowieść, że się od niej nie odrodził.

— Dzięki Bogu — z uśmiechem odparł Stanisław August, przypatrując się z zajęciem pięknemu młodzieńcowi, który cały zarumieniony z ziemi powstawał — nie żyjemy w czasach, w którychby ofiary krwawe były potrzebne. Syn pani niech mi tylko, obyczajem przodków, da serce swe, a innej ofiary, da Bóg, nie będę wymagał od niego.

— To serce miałeś już i masz, najjaśniejszy panie! bo wszystkie twych poddanych do ciebie należą! — rzeško i przytomnie odezwał się Alfier.

Król łagodnie się na to oświadczenie uśmiechnął, poglądając na matkę i syna, a że wypadało mu widać powiedzieć jeszcze jeden komplement, dodał zcicha:

— Mój Boże! któżby to powiedział, że takiego już pani masz syna! zaledwie zdaje się jej bratem.

Żywszy rumieniec oblał lice podczaszyny, ale wtem wojewoda, który marzył we fraczku materjalnym, przypomniał, że i najjaśniejszemu panu chłodno być mogło.

— Racz wasza królewska mość przyjąć ubogą gościnę w domu, który cały ci jest oddanym — odezwała się podczaszyna.

— Wdzięczen jestem mojej drodze, że mnie tu przywiodła! — grzecznie rzekł Stanisław August. — Kochana podczaszyno, prowadźże mnie i nie ziębnij.

Król tych słów domawiał, gdy z baldachimem i rabinem siwym na czele przysunęli się Żydzi, niosąc tort i domagając się przystępu.

Biskup Naruszewicz chciał ich zbyć żarciem, ale to nie tak łatwo z Żydami, którzy, nie chcąc zrozumieć, udają, że nie rozumieją; rabin miał pretensję do retoryki i wielkim rozpoczął głosem:

— Najjaśniejszy panie!

— Kochany rabbi, — rzekł biskup — żadna mowa przyjemniejszą być nie może jego królewskiej mości, panu naszemu najmiłościvszemu, nad ciepłą izbę...

Rabbi, nie dosłyszawszy, przyjął to za komplement, uklonił się tylko, zastąpił drogę i rozpoczął powtórnie:

— Najjaśniejszy panie! Jako powiedziano jest w Piśmie świętem i prorokach...

— Powiedziano, powiedziano — przerwał biskup donośnie — nie będziesz nudził pana twego — dajcie tort i pozwólcie się pożegnać.

Rabbi jeszcze nie zrozumiał i rozpoczął po raz trzeci:

— Tyś jest ten, w którego oczy wlepił naród izraelski.

— Najjaśniejszy panie, to nie żarty, uciekajmy, bo nas oczyma zjedzą, — zawołał biskup — panie rabinie, dalszy ciąg odkładamy do przyszłej, da Bóg, wizyty królewskiej, a tymczasem sesję solwujemy.

Król wsiadł był już do karety, a Żydzi, chcąc czemkolwiek powetować stratę mowy, którą rabinowi w sposób tak gwałtowny ucięto, zakrzyknęli głosem ogromnym:

„Wiwa! najjaśniejszego pana naszego, Stanisława Augusta!“

Intencja była najlepsza, choć improwizacja niedosyć poprawnie się udała.

Widząc, że już król rusza ku pałacowi, pośpieszyli i włościanie do karety z chlebem i solą, od których, że się mowy nie obawiano, przyjął najjaśniejszy pan ofia-

rowaną bułkę, w skromny obwiniętą ręcznik, podziękował, — i cały szereg powozów na dany znak dźwignął się oświeconą przepysznie aleją ku pałacowi, który gorzał wdali, brylantowemi obsypany światłami.

V.

Komuż nie są znane rysy twarzy Stanisława Augusta? Pendzel Bacciarellego, Lampiego, Le Brun'ów i tylu innych malarzy owego czasu odwzorowywał je niemal co kilka miesięcy, tak że od młodych rysów 1764 do znużonej i smutnej twarzy 1798 wszystkie przemiany tego oblicza zostały na płótnie, na papierze, w marmurze, a u wielu jeszcze żywych w wiernej dotychczas pamięci. W kraju i zagranicą niemal co roku nowe się ukazywały portrety królewskie, aż do tego pośmiertnego już sztychu, w którym król, opromieniony spokojem, jakiego w życiu nie doznawał, zdaje się na ziemię z politowaniem poglądać. Dwa zwłaszcza z tych mnogich wizerunków odznaczają się fantazją obmyślenia i wyrazem twarzy, stanowiąc jakby dwie epoki w życiu jego, choć krótki czas je od siebie przedziela. Na jednym Stanisław, siedzący nad stołem, w rękę trzyma klepsydrę, jakby jej pytał, czy mu jeszcze wiele pozostało godzin szczęśliwych; twarz zamyśloną iskierka nadziei opromienia, a godło dodane świadczy, że miał otuchę w przyszłości. *Lucebit lumen de Coelo!* Na drugim prawie tak samo siedzący król, ale z klepsydry ostatki godzin, zakreślonych losem, wyciekły; zdala widać niebo zachmurzone i przez obłoki wyciskający się blady jakiś, wymodlony promyk mającego już zagasnąć słońca. Twarz Poniatowskiego pełna smutku, zamyślenia, prawie męstwa, wydobytego boleścią; a na karcie przed nim tajemnicze leżą słowa *quaesivit coelo lucem*.

To oblicze było właśnie twarzą, z jaką król jechał teraz w swą podróż. Nie był to młody ów, wesół, swobodny, zalotny, o miłostkach, o sztuce i poezji marzą-

cy tylko pan eks-stolnik, którego niegdy posłowie przybywający zastali z pendzlem w ręku malującego swą liberję koronacyjną; nie był to ów wielbiciel licznych piękności, co dwór jego otaczały, nie amator-artysta, nie literat-poeta, ale dojrzały mężczyzna, na którego licu wypiętnowała się tęsknota zmarnowanego i zakłóconego życia. Znać w nim było człowieka, co musiał walczyć, nie będąc do walki stworzony, — cierpieć, nie umiając znosić boleści, — milczeć, gdy usta pragnęły się szczerze otworzyć; człowieka, który nie wierzył w żadną przyszłość i żył dodniową egzystencją, z bojaźnią przewidując, rychło li na piąty akt dramatu, którego był bohaterem, czarna zapadnie zasłona. Mało kto dziś pojmuje, dlaczego król naówczas otaczał się w poufalszem swoim pożyciu ludźmi niewielkiej wartości moralnej, dowcipnisiemi, śmiałymi pochlebcami, co doń językiem tylko, a nie sercem, mówili, ale to łatwo tłumaczyć się daje tą potrzebą posłusznej zachceniu wrzawy, szumu i śmiechu, która na zawołanie powstawała i cichła. Widywano go często u łoża w tajemnej komnacie na kolanach we łzach, ze złożonemi rękoma; on prosił wówczas Boga o wiarę, o trochę życia, o odrobinę jakiejkolwiek nadziei, której sam w sobie wyrobić nie mógł; — on modlił się o iskierkę, by nią podsycić resztę martwych dni bez barwy i wdzięku. Lepsza była rozpacz od takiej odrętwiałości, ale i na nią zdobyć się nie mógł. Przed ludźmi, jakby wstydząc się tych ran duszy, król bywał wesół i dowcipny, ale na zimno, z musu, nic go prawdziwie wzruszyć, nic rozdrażnić i pogniewać nie mogło.

Pomimo starannie skrywanego stanu umysłu i serca, na twarzy jego czytać było łatwo, że go już nic nie obchodziło. Usta, mówiły, uśmiechały się formami uczucia, ale wiało z nich pustką; oczy patrzyły szklanym wzrokiem; na czole wzniosłem wisiała nieruchoma chmura jesienna, z której nawet burzy nie można się było spodziewać, niosąca tylko mgły i ciemności. To też wzrok podczaszyni, która od lat dwunastu, od pobytu swego w Warszawie, nie widziała króla, nie

znalazł w Poniatowskim ideału, który w jej sercu pozostał.

— Mój Boże! — mówiła do siebie, wracając—jakże się odmienił, jak wiele musiał przecierpieć! Oczy jego mówić już zapomniały, usta nie umieją się uśmiechać. Naco się rodzić świeżym, wesołym, pięknym, kiedy tak rychło gasną świeżość, wesele i wdzięki.

Ale dajmy dumać podczaszynie, a spojrzjmy na resztę królewskiego dworu.

Ksiązę Józef, synowiec królewski, był naówczas jeszcze dwudziestoczeroletnim młodzieńcem, w którego pięknych, pełnych życia rysach rozlewała się energiczna dusza. Stracił on później nieco tej potęgi młodzieńczej, gnuśnie czas jakiś niewieściejąc, dopóki znów nieszczęśliwe wypadki, powołujące do czynu, nie dały mu oreża w dłoń, nie wlały ognia w duszę. W tej chwili był to młody, w całym znaczeniu wyrazu młody książę — życie mu się śmiało, wabiły kobiety, szumiała wkoło hulanka, tyle miał przed sobą nadziei, tyle nieszczęść do spróbowania i przebycia. Wszystkie panie, których był ulubieńcem, unosiły się nad jego pięknoscią, zupełnie w smaku wieku; a kiedy z Potocką tańczył, tłumy się zbiegały patrzeć i poklaskiwać idealnie nadobnej parze. Mamy jego portrety z tamtych czasów przez John'a i Pichler'a: twarz na nich ładna, więcej niż piękna, sympatyczna, miła i pełna wyrazu słodczy.

Z dworzan otaczających, o których kilka słów tylko powiemy, na pierwszym planie, nieodstępny króla towarzysz i niewyczerpany pochlebca, stał ksiądz biskup Naruszewicz, eks-jezuita, eks-nauczyciel w Wilnie i Warszawie, eks-proboszcz niemenczyński — z lirą zawsze strojną do ody na cześć najjaśniejszego, z usty gotowemi do dowcipnego żarciku, historjograf pańskiej podróży, pocieszyciel w chwilach tęsknoty, prałat zresztą niepospolitych darów umysłu i serca, trochę idący za wiekiem, w którym żył, rad natrząsający się ze swojej i mniszej sukni, nie unikający tłustego dwuznacznika w rozmowie,

ani hulackiego towarzystwa, i częściej podobno mający do czynienia z Horacjuszem, niż z brewjarzem, z Tacytem, niż z ewangelją.

Postać jenerała Komarzewskiego, człowieka nieznanego pochodzenia i początków, niczem się, krom wielkiej rezolucyjności, śmiałości i dobrego tonu, nie odznaczała. Zimna krew człowieka, co bywał nieraz na wozie i pod wozem (a raczej na stole i pod stołem po niejednej hulance), wielkie panowanie nad sobą, pewien rodzaj cynizmu dobrego towarzystwa, który był cechą czasową owej tężyzny stanisławowskiej, nadawały mu właściwą fizjognomję, po której łatwo poznać było ulubieńca.

Arnold Byszewski, niegdyś, jak plotkarze mówili pocichu, pokojowiec u pana Cywińskiego, ognistszy był, żywszy, swobodniejszy, bo mu na głowie nie ciążyła polityka. Miara jego charakteru mogła być owa awantura po pojedynku Branickiego z Casanovą, która swego czasu tyle wrzawy narobiła w Warszawie, gdy Byszewski, mścić się chcąc na winnym, o mało wszystkich nie pokaleczył w Warszawie znajdujących się Włochów.

Podkomorzy Brański, wychowaniec wieku, najwierniejszy obyczajów jego reprezentant, rozpasany hulaka, karciarz i niepohamowany rozpustnik, przy wdzięcznej bardzo powierzchowności, zgniły był wewnątrz i zepsuty do niewypowiedzenia: jedno jeszcze uczucie honoru tlało na tych ruinach cnót wszystkich, wszystkich narodowych przymiotów, spalonych na ofiarę ciała i sprawom jego. Młody, a już całkowicie zużyty w namiętnej grze, której szalu nigdy powściągnąć nie umiał, szukał jeszcze jakiegoś gorączkowego zajęcia; trafiło mu się nieraz do szeląga i do ostatniego zgrać pierścionka, postawić na kartę powóz, którym przyjechał, konie, ludzi i wyjść z szulerskiej jaskini gołemu, jak święty turecki.

Nie będziemy się zresztą rozciągać nad obrazem królewskiego dworu, który dość był liczny i pozornie świetny. Nie było widać ani jednej twarzy, coby po-

wagą, wielkością, heroizmem jaśniała na wyżynie czasów i okoliczności. Król musiał się otaczać pochlebcami, bo w niczyje rady nie wierzył, a ludzi łatwych do codziennego potrzebował życia, jak do strawności po obiedzie śliwki, które mu regularnie przynoszono. Cisnęli się i zagraniczni awanturnicy i domorośli adulatorowie, nie myślący wcale, jak się ta hulanka skończyć może, gdy kapeli struny się porwą i ręce zmarzwieją. — Aby dzień do wieczora! to było hasłem wszystkich, co króla otaczali, a byle kto co zarwał jakkolwiek, pochwycił i cieszył się zdobyczą. Poza dworem króla byli wszyscy ludzie z wiarą, z myślą, uczuciem głębokiem, z nadzieją niepokonaną i zapałem nieostudzonym, a jedna twarz taka warzyła i mroziła swoim ukazaniem się najweselszą biesiadę „pieczeńiarzy“. To nazwanie już naówczas poczynano być stosowane do wszystkich poufałych adherentów królewskich, chociaż później dopiero głośnie się stało, gdy przeciwnicy ich przybrali na sejmie imię „patrjotów“. Nie można też było w istocie dobrać lepszego nazwiska dla ówczesnego królewskiego dworu.

Były tam umysły bogato obdarzone, ludzie z wielkim dowcipem, z nauką, poeci, artyści, ale całej tej ciżbie brakło tego, co i naukę, i talent, i dowcip, i poezję uszlachetnia, podnosi, uzacnia — brakło charakteru i powagi.

Dowcip popłacał nad wszystko, to też wyrazem całej owej literatury najenergiczniejszym dziś zostały satyra, paszkwil i epigramat.

Jeśli na chwilę zmuszono ich brać co na serjo, łącniej się pogniwiali, niż oburzyli, zniecierpliwili raczej, niż zaboileli. Wśród takiej atmosfery miłem być mogło życie dla tych, co nigdy nie spojrzeli wyżej nad siebie i głębiej w serce swoje; miło być mogło spędzić z nimi wieczór, bo towarzystwo to odznaczało się najwykwintniejszym tonem i polem europejskim aż do przesady wytwornym, — ale nazajutrz, po pijanych uściskach, wyśmianoby tego, coby się dopomniął o dowody zaprzysiężonej wczoraj przy kieliszku przyjaźni.

Zdrady miłosne, plotki złośliwie ubrane, wyśmiewania zaoczne nie liczyły się tu nawet, tak były pospolitą strawą; śmiano się z nich, bawiono niemi chwilę i zapomniano dla nowych. Część niewieścia dworu nie była lepszą, niestety! Kto wie, czy gorszą nie była? Nigdy może rozwolnienie obyczajów, a raczej zupełna obojętność na wszelkie *decorum*, na obowiązek i cnotę nie doszły do tak wysokiego stopnia.

Dla nikogo to nawet nie było tajemnicą, bo całe miasto mówiło nazajutrz o każdym triumfie i upadku. Rzadko nawet to wywołało pojedynek, a ten raczej się odbył za aktorkę lub nieznaną jaką dziewczynę, niżeli za żonę. Rozwody wreszcie nie zwracały oczów ani uwagi niczyjej, bo w owym czasie biorąca rozwód kobieta, uważała się jeszcze za skrupulatkę, gdy i bez niego mogła żyć sobie, z kim chciała. Zły przykład z góry te obyczaje krzewił i rozpowszechniał; od króla poszło zgorszenie do panów, od panów przeszło do zamożniejszej szlachty, do mieszczan wielkich miast, obiecując, jak wszelka zgnilizna, rozszerzać się coraz dalej a dalej.

VI.

W ganku pałacowym spotkała najjaśniejszego pana gospodyni na czele wszystkich dam, części szlachty, która pośpieszyła uprzedzić powozy, urzędników i dostojniejszych sąsiadów. Pałac oblany był blaskami iluminacji, od przedsienia począwszy, zdobiły go i wonia wiosenną napełniały kwiaty, wśród których mitologiczne posągi, prześliczne w białych, kształtnych unosiły się grupach. Z jednej strony Amor i Psyche, z drugiej Jupiter z Ganimesem wychylały się z zieleni.

Król zatrzymał się w progu niebieskiej sali, i czy to, że go w istocie piękność jej uderzyła, czy że znów poczuł się obowiązany do komplementu, rzekł z uśmiechem pełnym przymilenia:

— Ale zaprawdę, pani tu mieszkasz po królewsku, ten salon nie oszpeciłby stolicy stolic, Paryża!

Podczaszyna uśmiechnęła się zarumieniona, a dworzanie króla, echem przesady, poczęli na wyprzodki wtórować jego pochwałom.

Cały ten orszak, złożony z kobiet, po większej części pięknych, z mężczyzn młodych lub młodość udających, rozlał się teraz po gmachu, nowe mu dając życie. Tylko szlachta kontuszkowa, nie wiedzieć dlaczego, przez jakieś uczucie odosobnienia, zbiła się w kupkę i odstrychnęła machinalnie od dworu i francuskiego towarzystwa, trzymając na ustroniu, poglądając tchórzliwie, prawie smutno.

Król jegomość, podziwiając piękności salonu, zapragnął obejść pałacowe apartamenty, domyślając się w nich zapewne więcej jeszcze cudów i wdzięków.

Za wielką salą weszli naprzód do mniejszego pokoju, który cały od góry do dołu zawieszony był obrazami najprzedniejszemi włoskiej i flamandzkiej szkoły. Był to niewielki gabinet, bo z dwóchset płócien małych rozmiarów składający się, ale i po nocy poznać było można, że się nic nie wcisnęło dla zapchania próżnego miejsca. Prawdziwy znawca ze czcią dla sztuki dobierał każdy obraz i z wyboru ich prześliczną, ciekawą utworzył całość.

Stanisław August, wielki miłośnik i znawca malarstwa, sam artysta (w chwilach nudy i znużenia), z wielkiem zajęciem rzucił okiem po ścianach, i znowu wykrzyknik obił się o uszy uszczęśliwionej gospodyni.

— A to cuda prawdziwe! Pani tu masz arcydzieła! Albo się mylę, lub to prawdziwy i przepysznie dochowany Correggio — Correggio, jakiego nie mam ani ja, ani nikt w Polsce!...

— Ten szczęśliwy Correggio czekał tu tylko, ażebyś go, najjaśniejszy panie, godnym swej królewskiej galerji osądził! — szybko odpowiedziała podczaszyna.

— Będzie to dwojako perła mojego zbioru:— rzekł król, schylając głowę — jako arcydzieło mistrza i jako

z rąk twych, pani, pamiątka. A Bacciarelli! co też powie Bacciarelli, żem w drodze dostał Correggia.

— To trzebaby widzieć po dniu, — odezwał się, zwracając — zbyt wiele ginie piękności, choćby przy takim oświeceniu, jakim są piękne twoje oczy, kochana podczaszyno — dodał cichutko z uśmiechem, galanterji pełnym.

Pokój następujący był rodzajem gabinetu różnych osobliwości, któremi się naówczas chętnie panowie i panie zabawiały, bo modą było udawać uczoność i badać naturę, zastępującą nieobecnego, na nieszczęście, światu temu Boga. Był to rodzaj nabożeństwa, modnego w XVIII wieku. Gabinet pani podczaszyny odznaczał się nietylko istotnem bogactwem osobliwości natury i dobozem machin, ale nader wykwintnem ich urządzeniem.

Szafy, stoły marmurowe, mahoniowe półki były misternie w piękną ustrojone całość. Kamienie szlifowane świeciły z za szklanych pudeł, w których systematycznie ułożone były! Piękny dobór muszli, kolekcja motylów, wypchane ptaki i zwierzęta, najświeższego wynalazku maszyny fizyczne do różnych doświadczeń zalegały każdy kątek, tak ich tu było pełno.

— A tu znów co innego! z cudów w cuda nas pani prowadzisz! a czegoż tu niema! — rzekł n. pan.

— To drobnostka, n. panie! — odpowiedziała, dumniejąc jednak pochwałami, podczaszyno — nie byłabym śmiała pokazywać tego gabinetu naukowego mego syna, gdyby przezeń dalej nie prowadziła droga. Na wsi wychowując dziecię, obejść się bez tego nie było można.

— Ależ i pół tuzina nauczycieli musiałaś pani razem z temi osobliwościami sprowadzić, dla ich eksplikacji — dodał Stanisław August.

— Szczęściem — odpowiedziała szybko, szukając kogoś oczyma pani domu — trafił mi się nieoceniony człowiek, co stu innych zastąpić potrafi, jedyny w swoim rodzaju, bo powiedzieć mogę, umiejący doskonale

wszystko... chodząca biblioteka, do tego człowiek najlepszego tonu i Francuz — skarb, istny skarb!

Biskup drobincezkę usta przygryzł nieznacznie.

— Chciałam, by miał właśnie tu szczęście być przedstawionym waszej królewskiej mości — gdzież jest Labe Poinso?

— Radbym mu podziękować za staranie, z jakim mnie i krajowi pożytecznego wykształcił obywatela — dodał dosyć zimno król, który poczynął się już nudzić i ukradkiem spoglądał na Naruszewicza, jakby wzywając ratunku z toni. Biskup zdawał się odpowiadać oczyma i gestem królowi.

— *Nulla redemptio*, n. panie! kielich wypić do dna, nic nie pomoże.

Zjawił się w porę Labe Poinso, i cały zgięty, wyłamany, pokorny jak liść jesienny, upadły na ziemię, ucałował białą rękę królewską. Król znalazł w magazynie podróżnym jakąś grzecznośkę dla niego, i ruszył dalej, spodziewając się już rychłego końca oględzin, ale się mylił, niestety.

Po gabinecie historii naturalnej i fizyki nastąpiła przepyszna daktyljoteka i gazophyllacium, a że Stanisław i starożytne kamee i numizmaty lubił i zbierał, musiał się tu dłużej zatrzymać.

— No, — rzekł król, odchodząc — teraz musimy się od tego oderwać, ale jutro rano daktyljotekę z księdzem biskupem przewartujemy.

Naruszewicz z pokorą się uklonił, i niespokojnie spojrzął na drzwi oświeconej sali, której głąb tajemniczy przerażał go widocznie. Król pośpieszył dalej, widząc, że przegląd daleko poprowadzić może.

Następowała biblioteka i zbrojownia razem.

Zbiór ten ksiąg mógł liczyć przeszło dziesięć tysięcy woluminów, po większej części francuskich, włoskich, a w bardzo małej liczbie polskich.

Nowe tedy wykrzykniki króla i biskupa nad pięknym ksiąg doborem i smakownem ich urządzeniem, nad wspaniałemi zbrojami i starożytnemi pamiątkami, co ściany i górne szaf gzymsy ozdabiały.

Właśnie się i król jmość skręcał już, chcąc wychodzić, gdy niespodzianie ukryte drzwi, stanowiące całą ściankę biblioteki, jakby niewidzialną poruszone siłą, rozwarły się, wielki blask z nich uderzył, król się zatrzymał i ujrzał przed sobą długą ulicę zieloną, oświetloną lampami alabastrowemi, zwieszonemi od umajonego stropu, a w końcu jej, daleko, — coś tajemniczo połyskującego...

Podczaszyna uśmiechnęła się wdzięcznie, skłoniła się, wskazała drogę i zaprosiła króla dalej.

— Idźmy więc na te Elizejskie pola, wśród których duchy jakieś błakające się spostrzegam — rzekł Stanisław, podając uprzejmie rękę gospodyni.

— Jakkolwiek piękne i miłe mogą być duchy, — odezwał się ksiądz biskup do generała Komarzewskiego pocichu — wolałbym jakie pieczone mięso zobaczyć.

Cały orszak, towarzyszący królowi, postępował za nim i podczaszyną, ulicą z drzew cytrynowych, pomarańczowych, laurów i granatów ustawioną przez bardzo długą oranżerję. Zamykająca ją ściana ubrana była w kształcie zielonej altany, pod tą stał z darni ołtarz, a na nim paliła się ofiara, przed jaśniejącą z lamp różnobarwnych cyfrą j. k. mości i koroną z napisem medalu koronacyjnego:

„Hanc jussit fortuna mereri“.

Sześć panien cudnej urody, w białych, pół przezroczystych sukniach, ubranych w girlandy kwiecia, wiły wieńce i rzucały je pod stopy królowi. Nareszcie, na doskonale urządzonym obłoku, spuścił się genjusz w postaci maleńkiej dziewczeczki nad głowę królewską i złożył na niej lekko wieniec bluszczu, lauru, dębu i nieśmiertelniczek razem splecionych, który Stanisław, trwożny o fryzurę, wziął w rękę zaraz, całując zań białe paluszki gospodyni.

Genjuszowi udało się bez szwanku podnieść nazad z obłokiem.

— To Olimp, — rzekł król — a nie Elizu pola, bo i bóstwa widzę...

Wtem poczęła się na cześć króla ułożona przez Labé Poinsoł, który i wiersze, i muzykę utworzył, kanta-ta francuska, odśpiewana przez owe dziewice, przy akompanjamencie ukrytego za drzewami klawicymbału. Wkońcu wszyscy z oranżerji przeszli koleją, znów przez bibliotekę, daktyljotekę, gabinet fizyczny, galerję i niejeden serdecznie się uradował, widząc drzwi przeciwne otwarte, a stół ogromny wspaniale już zastawiony do kolacji. Właśnie się do stołu tego udać miano, gdy Stanisław August, uproszony przez gospodynię, aby wieczerzy nie jedząc, chciał wcześniej spocząć, pożegnawszy gości, przez wybranych poprzedzony tylko, zniknął.

Dwór tem swobodniej posunął się ku sali jadalnej, gdy ksiązę Józef, stryja zastępujący, podał rękę pod-czaszynie.

VII.

Zebrani goście z sąsiedztwa, wraz z przybyłemi z królem osobami, posiliwszy się niezmiernie wystawnym bankietem, prawdziwie jakby dla monarchy przygotowanym, na którym nie brakło nic, co tylko podniebieniu, językowi i oczom przyjemność uczynić mogło (bo pomimo pory roku, najpiękniejsze owoce, najrzadsze przysmaki, późne i wczesne, na półmiskach wkoło, wśród rozkoszujących się łakotnisiów obiegały), wstali od stołu, dzieląc się na grona wedle wieku i ochoty. Jedni poszli za generałem Komarzewskim do bocznej sali, gdzie kosze starego węgryna do pijatyki zapraszały, popisywać się tęgością głów i objętością żołądków; drudzy, za księciem Józefem, przy odzywającej się wybornej kapeli, ruszyli do tańca.

Ksiądz biskup Naruszewicz, nie chcąc należeć wyraźnie do czcicieli bachusowych, po kilku kielichach i kilku conceptach, cofnął się cicho do przeznaczanego mu apartamentu, by spisać wypadki dnia tego

w powierzonym mu dzienniku, który z gorliwością i powagą historjografa utrzymywał.

Tymczasem pijatyka, dosyć hałaśliwa i coraz ferworu nabierająca *crescens eundo*, gdyż po edukacji Sasów głowy ogromnie wiele znosić mogły i niełatwo kto spoić się dawał — ciągnęła się nieprzerwanie pod przewodnictwem kilku szlachty pokrewnych domu, doskonale umiejących wymyślać zdrowia, mnożyć toasty, wznosić wiwaty i pod najdziwniejszymi pretekstami wznosić do góry kielichy, których nie godziło się odstawić nie wychyliwszy.

W sali balowej z równą gorliwością powtarzano tańce, jak tam wiwaty i toasty. Szarzało już, gdy z ostatnim polskim tańcem puszczone się po wszystkich pokojach pałacowych, aż do oranżerji. Młody Alfier doskonale chwilami dotrzymywał generałowi Komarzewskiemu do kielichów, to znów księciu Józefowi do tańca. Rzeźwy, przytomny, grzeczny, uprzejmy, ochoczy i nad wiek umiejący gospodarować już w domu, co zapewne we krwi wziął po dziadach, niegdyś sławnych w swem województwie z domów zawsze otwartych dla braci szlachty i równie otwartego dla niej serca.

Już ustawali znużeni tancerze, już cichła wrzawa balowa nadedniem, gdy Labe Poinsoł, który nieznacznie, ale zręcznie dyrygował wszystkiem, z twarzą ożywioną, uszczęśliwioną, jasną przybliżył się ostrożnie do pani podczaszyny.

— Spodziewam się, — rzekł pocichu, z pewną dumą — że wasza ekscelencja nie masz mi nic do wyrzucenia.

— A! wszystko było prześlicznie! Udało się wybornie, jestem panu bardzo a bardzo wdzięczna, — z przymusem niejakim odezwała się gospodyni — dokazałeś pan cudu.

— Król, zdaje mi się, był kontent, a nawet zdziwiony trochę.

Gospodyni uśmiechnęła się zimno.

— Król? tak! tak! Ale uważałeś pan, jak prędko nam zniknął?

— Wszakże w. ekscelencja samiście go o to prosili?

— Nie sądziłam, aby mnie tak łatwo wysłuchał!

— Interesa stanu, a przytem potrzeba spoczynku! W całej podróży mowami, oracjami, deklamacjami nie dają mu pokoju! Spodziewam się jednak,—dodał Francuz z uśmiechem wyższości — że n. pan potrafił odróżnić moją kantatę od tych pospolitych paplanin.

Pochlebiam sobie, że taki człowiek, jak ja, — mówił dalej Francuz — w kraju takim jak Polska... przydaćby się mógł n. panu.

— O tym interesie, wierzaj mi Labe, nie zapomnę, jutro jeszcze król ma oglądać zbiory nasze, wcisnę mu słówko.

Labe skłonił się nisko i poszedł nadskakiwać dworakom, których wcześniej względy chciał sobie pozyskać, zamierzwszy dostać się z pomocą podczaszyny do kancelarji króla, z tytułem sekretarza. Nie on tam jeden zaprawdę latał tego wieczora w słodkich nadziejach i marzeniach; nie było prawie nikogo w liczbie gości płci obojej, coby sobie z tego zbliżenia do króla i faworytów jego nie usnuł jakich na przyszłość korzyści.

Podczaszyna nadedniem już, w zmiętej swej sukni w złote gwiazdki, zrzuciwszy z ramion mglistą zasłonę, padła znużona w krzesło i odprawiała otaczające ją kobiety.

Czoło jej schyliło się w dłonie, wyraz głębokiego smutku je zasępił, łzy niewstrzymywane spadły na białe jej ręce. Szczęściem nie było nikogo, coby o przyczynę tych łez zapytał, komuby się z nich wytłumaczyć było potrzeba.

— Tak, tak, — mówiła do siebie w duchu — na próżno marzyłam chwilę, przeszłości powrócić nie można, ani zwiędłego serca ożywić! Ale za cóż moje cierpi jeszcze tak żywo, za co dziecinnie wzięto igraszkę za prawdę? Chwilowy kaprys za niepokonaną namiętność? Wszystko znikło jak sen, właśnie wten-

czas, gdy żywszą karmiłam nadzieję, że wszystko powrócić może... Ach! głupi kto wierzy ich sercu...

Oni go nie mają! Oni go nie mają!

I z oburzeniem, prawie gniewnem podniosła oczy zapłakane; wtem drzwi się otworzyły, zadrżała i lekko krzyknęła podczaszyna. Alfier pokazał się w progu, jakby wywołane żywe przypomnienie obowiązków, nowej życia epoki i nowych jej nadziei...

— A! to ty! — zawołała podczaszyna, kładąc rękę na czole — ja tak jestem zmęczona, czego chcesz, Alfierze?

— Nic, nic! Tylkom chciał zobaczyć, czy mama śpi? Co to jest? łyzy?

— Ale nie! śni ci się chyba! łyzy wdzięczności i ukontentowania może po dniu tak dla nas pamiętnym.

Alfier stanął osłupiały: słowom nie mogąc wierzyć, przyczyny prawdziwej nie umiając się domyśleć.

— Idź spać, — wstając powoli z krzesła i wyciągając ku niemu rękę, zawołała po chwili matka — ja także spocząć potrzebuję... Bardzoś ty się zmordował?

— Ja? nic a nic. Jedna noc! Alboż tak ochoczo ją spędziwszy, wśród wesela i śmiechu, zmęczyć się można?

Gorzko jakoś, ale nieznacznie uśmiechnęła się matka.

— Idź spać, — powtórzyła pocichu — w twoim wieku nic jeszcze nie męczy, ale na przyszłość sił ci potrzeba...

Alfier, nie mogąc zrozumieć smutku matki i jej skwapliwego pozbywania się siebie, odszedł powoli zamyślony.

W sieni spotkał się ze starym Sienińskim.

— A, pan jeszcze na nogach! — krzyknął stary — niechże ja, jak sobie chce, ale podczaszycowi czasby położyć się i wywczasować choć trochę.

— Dość, że wszyscy się uwzięli zapędzać mnie do łóżka, — śmiejąc się, rzekł młody chłopak — a ja

na złość wam wszystkim ani myślę się kłaść, dość na to będzie jeszcze później czasu.

— Ale cóż jwpan myślisz robić, cały pałac chrapie...

— A! dobrze, żeś mi poddał, co mam z sobą począć, — odezwał się, bijąc po czole, Alfier — muszę pójść do babuni! Ona już pewnie wstała, napiję się u niej kawy. I tak wczoraj z wieczora być u niej nie miałem czasu, a pewnie biedaczka ciekawa i niespokojna.

Cisza znowu panowała w podwórzu, gdzie niegdzie dogorywały śwędlawie lampy, kopciły dopalające się światła, spali wszyscy, co noc spędzili na hulance, kręcili się tylko ciężko i niechętnie ci, co, nie dzieląc zabawy, przysposabiać ją musieli dla drugich.

W oficynie u starej pani (tak ją zwano powszechnie) cicho też było, ale przez żaluzje i firanki już światło błyskało. Alfier, rzuciwszy okiem na górę, poleciał wschodami.

VIII.

W przedpokoju toż samo dziewczę, któreśmy tu widzieli z wieczora, klęcząc u kominka i przygotowując ranną kawę, drzemało znowu trochę — błądy płomyczek ogniska oświecał tylko silniej wydatniejsze sprzęty.

Alfier drzwi otworzył pocichuteńku, na palcach wsunął się do przedpokoju, przybliżył się do Agatki i, korzystając z jej ospałości, serdecznie ją naprzód wyściskał.

Dziewczyna nie krzyknęła nawet, może się domyśliwszy rannego gościa, ale pomimo cichego skradania się podczaszyca, z drugiego pokoju natychmiast głos się dał słyszeć.

— A kto tam?

— Wstała babunia? — spytał przybyły.

— A toż panicz wie, — odpowiedziała Agatka, poprawiając włosy — że o czwartej pani już nie śpi.

Alfier poskoczył do drzwi i z uśmiechem do nich zapukał: — Babunia nie śpi?

— A to ty, moje kochane dziecko! chodźno, chodź, ale czemu to ty nie śpisz, czyżbyś tak rano już wstał?

Zrzuciwszy ciężką lisiurę, w balowym swym stroju, z wesołą twarzą, podskakując wpadł młody chłopiec do pokoju babki. Staruszka siedziała już w krzesle z koronką i księgą, a gruba świeca żółta z zieloną umbrellką paliła się przy niej.

— Jak się masz, Michasiu, — zawołała wyciągając ręce ku niemu — jakże się masz, dziecko moje? A! Chryste Panie! cóżeś tak wystrojony, — krzyknęła — czy to dopiero z festynu? Czyście tam do białego dnia szaleli?

— A cóż babunia myśli? — spytał, całując jej ręce, Michał Alfier — późno bardzo rozeszliśmy się, nie warto już kłaść się w łóżko, pomyślałem sobie, i ot przybiegłem do babuni na kawę.

— Agatko! Agatko! — odezwała się, krzając, staruszka, szukając kluczy i sparta o stolik podnosząc się już z krzesła — chodźno tu, śpiochu! Patrzajno, żeby mi tam kawa nie zbiegła, żebyś mi jej wodą nie dolewała, dostań dobrej śmietanki — słyszysz? A odsuń pudełeczko, co tam stoi w kątku i podajno mi je, niech dobędę sucharków.

Spojrzała w oczy wnukowi z uśmiechem macierzyńskim, rozkoszując się widocznie w pięknej, ożywionej jego twarzyczce.

— Chce babunia, — zaczął swawolnik — żebym jej opowiedział od A do Z całe przyjęcie, przybycie i zabawy królewskie i nasze?

— A daj ty mi święty pokój! — ruszając ramionami, odezwała się starościna — gadaj mi lepiej o sobie... coś ty robił? czyś tańczył? czyś się nie zaziębił na tym wietrze? czyś nie chory?

— A gdzie tam, ja zdrów jak ryba i wesół jak ptaszek.

— Bo wam młodym aby pohulać. — O mój Boże!

jakie to jeszcze dziecinne! No! no! ale to wiek po temu. Mówże? bawiłeś ty się dobrze?

— Przedziwnie, babunieczku, i piłem ogromnie, jak gąbka...

— Jakto, ty piłeś?

— Starego węgrzyna łokciowemi kielichami.

— Głowa cię nie boli?

— Nic a nic! jak po wodzie! Tańcowałem też do upadłego, śmiałem się do rozpuku i roztrzpotałem się tak...

— Widzę, widzę, roztrzpotałeś się tak, że podobno i wieczorny i ranny pacierz poszły z wiatrem.

Na wspomnienie o pacierzu uśmiech lekki, trochę szyderski, przeleciał po usteczkach wychowańca Labe Poinot.

— E! moja babciu, — rzekł Michał — jak się postarzeję, to się będę modlił. Poinot powiada, że wszystko może być modlitwą, zacząwszy od...

— Jużciż nie od butelki i tańca — surowo prze-rwała starościna — twój ten Poinot sensu nie ma za trzy grosze, że ci takimi andronami głowę nabija. Chce z ciebie zrobić Francuza, niech mu Bóg nie pamięta. Francuz wiercipięta, sam nie wie co plecie, a tobie, widzę, świta w głowie, ot, pij kawę, póki gorąca.

Agatka wniosła w tej chwili na tacy imbryczki i, ukradkiem zasłaniając się fartuszkim, uśmiechnęła się do figlarza, który jej na migi posłał całusa.

Babunia nalewała tymczasem, z troskliwością dobierając kożuszki i gromadę sucharków; podczaszyc, nucąc coś, okręcał się po pokoju i oko jego padło na wspomniany już obraz staro-niemieckiej szkoły, wystawujący archaniola Michała. Zatrzymał się przy nim chwilę i odwrócił z jakimś uczuciem wstrętu, dziwnem w młodym filozofie.

Malowanie to, na które właśnie padał blask świecy, oprawne w staroświeckie, wytwornie wyrobione ramy, godne było zastanowienia i rozbioru znawcy. Wiek osiemnasty jeszcze się był nie rozpatrzył i nie rozmiłował jak nasz w dziełach pierwotnych kato-

lickich szkół malarstwa, bo, wedle ducha swego, wyłącznie kochał się w mitologji i manierowanych kompozycjach artystów swoich, lub tem, co w wiekach poprzedzających najbliższem ich było. Obraz ten wszakże i w XVIII wieku zwracał oko każdego, tak silnie na nim wyraził mistrz pobożny zwycięstwo dobrego ducha nad szatanem. Promienisty w złotej zbroi archanioł, z rozwiniętymi płomiennymi skrzydłami, z pełną zapału twarzą, której pokoju niebieskiego bóg nie potrafił zamącić, stał, jedną nogą deptając głowę ducha ciemności — w rękach miał kopję ze sztandarem, na którym powiewało imię Jezus i *Quis ut Deus?* (*Mich-a-el*). Pobożny malarz nie wahał się tu położyć imienia Jezusowego, które zwyciężało przed wieki i wszelką tchnęło siłą. W górze nad archaniołem lśniło się niebo pogodne, jasne, lazurowe, poniżej kłębamami zwijały się chmury i czarne, nieprzejrzane, ciemnymi kręgi otaczały głowę szatana.

Prześliczne siłą, wyrazem potęgi anielskiej i spokojem zwycięstwa było lice Michała arcy-wojownika, ale szczęśliwy malarz jeszcze, zdaje się, dobitniej, wyraziściej, mocniej wycisnął na twarzy djabelskiej wszelką złość, wezbranie bezsilnego gniewu, szyderstwo męczarni towarzyszące, mękę upokorzenia, zajądlność upadku i dumę niepokonaną. Ta czarna djabelska fizjognomja, wykończona i wystudjowana jak obraz cały, była w swoim rodzaju arcydziełem, zwracała nawet zanadto może oczy patrzącego i psuła trochę efekt ogólny — gdyż jakkolwiek zwycięsko wyszedł artysta z trudnego zadania oblicza archanioła, zdawało się, że trafem jakimś, czy usposobieniem szczególnem, jeszcze lepiej udało mu się odwzorować ideał złego i szkarady.

Podczaszyc, z dzieciństwa przywykły spoglądać na patrona swojego i babki, zawsze się przerażał tym okropnym djabeł, który czasem takie na nim czynił wrażenie, że się po nocach zrywał przełękły zjawieniem szatana, a babka niekiedy zasłaniać musiała dół obrazu, aby się tak dziecko nie obawiało.

I teraz, mimowolnie spotkawszy wejrzenie szatana, podczaszyc wzdrygnął się, odwrócił i rzekł do babki:

— Moja babciu, czemu też babunia tego obrazu szkaradnego wyrzucić gdzie na strych nie każe... Malowanie nieosobliwsze, a djabeł tak szkaradny, że aż strach....

— Wiesz, kochańciu, że to pamiątka po dziadzie i pradziadzie moim, a przedstawia mojego i twego patrona, bo nie wiem na co przechrzcili cię dla głupiej jakiejś mody na pogańskiego jakiegoś Alfiera, którego nie znałeś na chrzcie świętym... dla mnie ty zawsze będziesz Michałem.

— Ale, moja babciu, co się tyczy świętego Alfiera, proszę także mu nie ujmować, bo niezawodna rzecz, że opat Alfier żył pod Neapolem w którymś klasztorze cystersów w XI wieku i jest kanonizowany.

— Nie sprzeczam się, moje dziecko, ale ja wolę znajomego mi lepiej świętego Michała. Otóż i obraz ten, który go reprezentuje, jest mi bardzo drogi.

— Ale ten djabeł, ten szkaradny djabeł, babuniu.

— Straszny, to prawda, moje dziecko, ale dobrze się go nauczyć bać, żeby w jego szpony nie popaść.

Alfier rozśmiał się.

— Czyż godzi się w naszym wieku — rzekł z triumfem tęgiego ducha (*esprit fort*) — wierzyć w te stare banialuki... Któż wierzy dziś w djabłów i piekło?

— Cóż bo ty dziś pleciesz! co pleciesz! kiwając głową, z oburzeniem przerwała staruszka. — Dalipan, ten głupi Poincot zupełnie cię obalamucił! Filozofujesz! bredzisz, ale słuchaj starej swej babki, nie brykaj rozumem, bo czem kto wojuje, od tego ginie. Nasi dziadowie wierzyli poczcwie i bali się Pana Boga, a nie mędrkowali po francusku i po niemiecku, bo to nie polska rzecz, i było im z tem dobrze. Ten wasz wiek, co go to nazywacie filozoficznym, do niczego poczcwego nie prowadzi, pamiętaj waść!! Pij kawę i gadaj o czem innem.

— Mama prezentowała mnie królowi jmci z pięknym bardzo komplementem, na co najj. pan odpowie-

dział z niewymowną łaskawością, a ja też wtrąciłem moje trzy grosze... zdaje mi się, że moja przytomność podobała się królowi; mama mówi, że życzy sobie, abym po powrocie jego z Kaniowa jechał do Warszawy i prezentował się na dworze.

— Zdaje mi się, nie ujmując matce twojej, — rzekła stara poważnie — że wszystko to jakoś robicie za wcześnie. Jeszczebym ja ciebie w to wielkie miasto, o którym mówią, że to teraz Sodom i Gomora, nie puściła tak rychło, mógłbyś gdzie indziej pouczać się trochę, a z biedy choć podróżować, albo wojskowego skosztować życia.

— Mnie się, babunieczku, już co innego marzy — śpiesznie przerwał młody chłopiec. — Cuda prawią o tej Warszawie, zowią ją małym Paryżem; tak się tam bawią wesoło, ochoczo, tyle ślicznych dam, tyle otwartych domów; dlaczegóżbym nie miał, jak inni, wejść na dwór królewski i służyć królowi i krajowi, młodych moich lat użyć?

— Michasiu! ej, Michasiu, — smutnie a poważnie odezwała się staruszka, już wcale nieżartobliwym tonem — martwi mnie doprawdy to, co mówisz, widzę, że nie myślisz tylko o zabawie, a świat i życie, serce moje, nie zabawka to wcale, to poważne, to święte dzieło, do którego ze skrucłą w sercu przystępować potrzeba jak do ołtarza ofiary... wszak i ono ofiarą być powinno.

— Kochana babunieczko, — całując ją w rękę i przymilając się, przerwał Michał — teraz się to inaczej widzą te rzeczy, czasy się odmieniły! może to kiedyś tak bywało, ale dziś! dziś! piękniebym się wyrwał, żebym chciał wskrzeszać dawne, wyśmiane obyczaje.

Starościnie pobożna łza zakreśliła się w oku.

— Róbcie sobie, co chcecie, — rzekła zcicha — ja do waszych rad nie należę, a wy mnie starej nie posłuchacie... na co wam darmo mówić! Tak, masz rację... inne to, inne czasy, wyście teraz w przekonaniu waszem rozumniejsi bez wąsów, niż my pod siwizną; kierujcie się jak was rozum wasz uczy, ale daj Boże,

by to na dobre wyszło! Nie wątpisz, Michasiu, że cię kocham, bobyś srogo przed Panem Bogiem zgrzeszył...

— A babuniu! — przerwał młody chłopiec.

— Żal mi ciebie, żal szczerze, bo cię może w najlepszych intencjach do zguby prowadzą. Twój Poinsoť, jakiś szoľdra, co się na nasze nieszczęście tu przybła-kał, zaszczepił w tobie tę niewiarę i głupią jakąś filozofję, która ich tam wszystkich obalamuciła... Daj Boże, by ci serca nie popsuł, a głowy na wieki nie obła-kał!!... Zrobicie sobie, co się wam podoba... jedną tylko rzecz musisz mi przyrzec...

— Wszystko, co babunia każe...

— Małą rzecz, a i to nie dla mnie, — dodała staruszka — kochany mój Michale. Pamiętasz, jakieś małym dziecięciem ze złożonemi rękami modlił się z rana i wieczorem u kolan moich z Anusią... Ile razy zapomniałeś pacierza (Anusia go nigdy nie opuściła), a za-snąłeś bez niego, to cię w nocy zawsze przykre sny dręczyły... Nie zapomnijże i w życiu nigdy, nie zapomnij, na prośbę moją, choć krótkiego pacierza; on od ciebie szatana, który tym światem zawładnął dziś, wi-dzę, odpędzi...

Na ustach Michała przelotny, niedostrzeżony uka-zał się uśmieszek, ale szczęściem staruszka go nie do-strzegła, a posłuszny wnuk przyrzekł jej, że się modlić będzie.

IX.

Nazajutrz część gości z królem przybyłych, wyprze-dzając najjaśniejszego, dość rano pośpieszyła przodem, torując mu drogę, przygotowując nowe festyny, szlach-ta tylko z sąsiedztwa asystowała przy śniadaniu i po-żegnaniu.

Z królem pozostali książę Józef, generał Komarzew-ski, biskup Naruszewicz i Ryx, co nigdy na krok nie odstępował Poniatowskiego. Był to przecie jedyny czło-wiek, na którego król czasem do złości się niecierpli-

wił i może dlatego stał mu się tak nieodbycie potrzebny. A że te gniewy suto się zawsze opłacały, starosta piaseczyński niekiedy je nawet, jak mówiono, wywoływał.

Wspaniałe śniadanie przygotowane zostało w sali dla gości, król go jednak nie tknął, bo już był po zwykłej filiżance mocnego buljonu — wstał przez ten czas przeglądać galerję, zbiory numizmatów i bibliotekę, w czem mu sama gospodyni przewodniczyła. Odprawiono pana Poinot pod jakimś pozorem, i Stanisław August pozostał na chwilę sam na sam ze smutną i zamysłoną podczaszyną, z czego niebardzo się rad zdawał, okazując nawet trochę niepokoju. Oboje zresztą byli pomieszani, zafrasowani, trwożni, on że się wspomnień i wymówek lękał, ona że się może ostatniej obawiała stracić nadziei.

— Najjaśniejszy panie, — odezwała się, dobrawszy chwilę — pozwolisz, bym pod jego ojcowską opiekę syna mojego przysłała. Sierota to i ostatni dobrego rodu potomek, godziłoby się, żebyś wasza król. mość podał mu rękę...

— Chwała Bogu, — rzekł w duszy król — pozostała jej tylko ambicja, i pośpieszył, chwytając drżącą rączkę białą podczaszyny, z usilnem naleganiem.

— Proszę mi go przysłać! pokieruję nim, popchnę, uczynię dla niego, co tylko pani rozkażesz! Kawaler tak pięknie wychowany nie może nie zrobić sobie świetnego losu na dworze moim, a gdyby i dalej na świat wyrzecz zapragnął, chętnie mu dam listy polecające do dworów. Słowem, zajmę się nim gorliwie...

Podczaszyna niskim, ceremonjalnym bardzo ukłonem podziękowała królowi, choć ledwie nie gniew czuła w rozdartem sercu, tak ją chłód ten króla, niegdyś kochanka, zabijał, tak ją ta zimna, urzędowa grzeczność bolała.

Ks. biskup Naruszewicz, który, kto wie, może się domyślał przykrego położenia króla jmci, pośpiesznie połknawszy, co sądził potrzebnem, by w drodze nie osłabnąć z głodu, przybiegł w pomoc panu z uśmiech-

niętą twarzą — spojrzał na rozmawiających, a usiłując wyręczyć Poniatowskiego, rozpoczął od pochwał gospodyni i jej rezydencji.

— Zaprawdę — rzekł, nieznacznie dając znak królowi — w całej naszej peregrynacji nigdzie nic podobnego widzieć się nam nie trafiło. Na wsi, pośród naszej ubogiej Polski, tyle nagromadzić skarbów, tak urządzić życie, to rzecz niepojęta, to zasługa nawet, a przykład dla drugich wielkiej wagi.

— A co najdziwniejsza — dodał król, siłąc się na najwyszukańszy komplement, — że ja tu nigdzie śladu barbarzyństwa naszego, naszych obyczajów, naszych nałogów i przesądów nie widzę! Marzę, że jestem we Francji, wśród Paryża, a nic mnie nie przebudza.

— Maleńki Wersal! — rzekł biskup.

Podczaszyna słuchała pochwał, ale widać było, że te ją nie poruszały wcale, w innym razie byłaby je przyjęła jak najmielszą woń dla siebie, ale teraz...

— W moim smutnym wdowim stanie — odparła pocichu, z wyrazem głębokiego rozżalenia — szukać musiałam jakiejś pociechy, otaczając się tem, co mnie przynajmniej odurzyć i rozerwać mogło; wiele też uczyniło się dla syna, którego zawczasu chciałam oswoić ze światem, w jakim go widzieć pragnę. Wiele mi w tem dopomógł Labe Poinso.

Powoli do pokoju, w którym podczaszyna, król i biskup prowadzili rozmowę, zaczęli się wciskać i inni biesiadnicy. Komarzewski jedną ręką dopijając kielicha za drzwiami, drugą dobywał zegarka, jakby chciał przypomnieć zbliżoną godzinę wyjazdu... bo powozy już oczekiwały. Przemówiono coś jeszcze, ten i ów skorzystał z ostatniej chwili, by grubo osolony łaciną, a zdawna wysmażony wypalić królowi komplement; nareszcie poczęto się ruszać, a Stanisław August zbliżył się do gospodyni, by ją pożegnać. Jakim tam ona wzrokiem rzuciła na odjeżdżającego, który unikał jej wejrzenia, ostatnią z sobą unosząc nadzieję, tego opisać niepodobna.

Wtem król skinął, i rozkazał sobie podać pudełko, które starosta piaseczyński przyniósł z drugiego pokoju na srebrnej tacy.

— Pozwól pani, — rzekł z uśmiechem do podczaszyny — bym zawdzięczając jej i dar tego arcydzieła Correggia, i jej nedorównaną gościnność, postarał się pozostać czemkolwiek w tem miejscu, bodaj maleńką i nic nieznaczącą pamiątką. Wstyd mi za mój dar tak ubogi i wcale nie królewski, ale serce, co go ofiaruje, wylane dla ich domu, może mu cokolwiek przydać ceny.

To mówiąc, z otwartego pudełka Stanisław dobył przepyszne kolje z kameów starożytnych i z pełnym galanterji ukłonem podał je pani podczaszynie.

Ona słuchała słów jego ze spuszczonemi oczyma, z których dobrze, że łza nie wytrysła; zniżyła się, przyjmując pamiątkę i dowód łaski j. kr. mości, ale na podziękowanie zaledwie słów kilka znalazła. Król rzucił okiem, szukając widocznie Alfiera i rozkazał mu się przybliżyć.

— Kawalerze, — odezwał się, biorąc z rąk biskupa przygotowany już order św. Stanisława i wkładając go na młodego chłopca, zarumienionego z radości, jak dojrzała wiśnia — daję ci jako pamiątkę i zachętę dla służenia tronowi i ojczyźnie.

— Nie zasłużyłem jeszcze, naj. panie, — klękając i całując rękę królewską, przebąknął Alfier.

— Ale nie wątpię, że zasłużysz, krew pocziwa nie kłamie, będziesz godnym W.... i Ordyńskich, co daj Boże!

— Amen! — dołożył biskup.

— A teraz, mości panowie, — zawołał Poniatowski, podany biorąc kapelusik — komu w drogę, temu czas; choć niemilo to zaczarowane opuścić ustronie, przecież potrzeba, żelazna woła konieczność.

— Bo inaczej na nocleg w K..... nie staniemy, — dodał Komarzewski — gdyż już dochodzi jedenasta...

Wszyscy ruszyli się przeprowadzić króla, a szlachta z cześnikiem Styrpejko rzuciła się do koni, chcąc

mu towarzyszyć do granic powiatu lub dalej nawet, konwojując powozy. Ktoś tam jeszcze miał w zanadrzu przygotowaną mowę pożegnalną. W ganku powtórzyły się podziękowania, komplementy, kielichy, wivaty, okrzyki, ukłony i z hałasem wielkim ruszyła w ostatku królewska karoca lipową aleją, szeregiem zgromadzonego znów ludu.

Podczaszyna znikła natychmiast z ganku i pobiegła do swego pokoju, gdzie na nią smutek i boleść czekały, Alfier odprowadzał króla ze szlachtą.

X.

Powiedzmy teraz słów kilka o rodzinie Ordyńskich i osobach ją składających, któreśmy tylko zdaleka dotąd widzieli.

Rodzina ta należała do szczupłej liczby bojarsko-szlacheckich, prawie książęcych familij na Rusi, które tu już panowanie polskie zastało w znaczeniu i powadze. Ordyńscy zdawien dawna mieli ogromne posiadłości nad Styrem i Horyniem; ich stolicą, przed stu laty już wyszłą z imienia, był gródek Ordyń, czyli Ordynia, malowniczo na brzegu Horynia sterczący. Głuche podanie, fałszywe ale stare, wiodło ich od znacznego jakiegoś, nawróconego wodza Ordy tatarskiej, lecz tego się wypierali Ordyńscy, utrzymując, że byli rodzimymi wołyńskimi ziemianami. Ród to był, jak pisze Paprocki i Okolski, zawsze wielkiego animuszu ludzi, ale mężowie często zbyt nią mieli skłonność do Wenery i Bachusa. Wiodło się im jakkolwiek, gdyż przez kilka wieków dziedzicznie prawie brali krzesła w swoim województwie i wielkie w niem pozyskali znaczenie. Zamiast jednak przyrobienia majątności, pomimo dosyć bogatych połączeń i wniesionych im przez kilka dziedziczek imion, podupadać zaczęli na fortunie. Ojciec zwłaszcza pana podczaszego, a dziad Michała-Alfiera, człowiek niewielkich zdolności, a nazbyt miękkiego serca, ostatecznie się był za-

szargał. Całe swe życie siedział on na wsi, i żył nazbyt hojnie, szafując swem mieniem.

Hrehory, tak mu było imię (choć miał drugie imię Michał), z kielichem w rękę, nie ruszając się z krzesła, gdyż tak był otyły, że prawie chodzić nie mógł, a dwóch hajduków w razie potrzeby z miejsca na miejsce go przenosili, słuchając teorbanisty swego Daniłka, trawił dnie całe; a jeśli zmęczony śpiewak ucichł, występował nadworny jego trefniś, niejaki pan Jakób Mława, który powiastkami i facecyjkami miał obowiązek go zabawiać. Cały też Boży dzień śmiał się tylko pan Hrehory, aż mu się brzuch i troisty trząśł podbródek, a to mu wszelki ruch zastępowało, bo innego użyć nie mógł. Ożeniony przez przyjaciół z ubogą ale znacznego rodu księżniczką S..., mało z nią żył, bo po trzech latach rozpoczął już ów tryb życia, o którym mówiliśmy, a pani z synkiem, którego Bóg dał, całkiem inny musiała na ustroniu prowadzić. Pobożna to była, pracowita, cicha i zacna niewiasta, ale najlepsze jej chęci i usiłowania na niewiele się przydały; nie prawie mężowi, prócz pięknej koligacji i piękniejszych jeszcze cnót swych, nie wniósłszy, nie miała też prawa rozrządzać jego mieniem, i musiała płacząc patrzeć jak mizernie niszczało.

Po śmierci Hrehorego wdowa z małym jeszcze synkiem, który miał naówczas ledwie rok trzynasty, nie byłaby sobie pewnie dała rady, gdyby Pan Bóg, co czasem opiekuje się wybraną jaką rodziną, nie dając jej upadać, nie wziął ich pod skrzydło swoje. Już, już wierzyciele rozchwytać mieli majątki, dotąd w rękę Ordynskich zostające, gdy niespodzianie odebrała pani Hrehorowa wezwanie, aby przybyła do mężowskiego brata.

Miał bowiem pan Hrehory rodzonego, o którym jeszcześmy nie wspomnieli, żyjącego w stanie duchowym. Stosunki rodzinne wyniosły go rychło na dość znaczne stanowisko, został naprzód kanonikiem łuckim, potem prałatem, trzymał dwa bogate probostwa,

a następnie dano mu infułację ółycką. Ksiądz Adam szczęściem był tak oszczędnym, jak Hrehory nieopatrz-
nym, i całe życie swoje zbierał tylko grosz do grosza. Nieraz też się już u niego chciał być pożywić brat, ale infułat, który nie miał zwyczaju puszczać z rąk pie-
niędzy, nie życzył sobie też podsycać hulanek, na które zżymał się i bolał. Był to człowiek milczący, dosyć pobożny, charakteru bojaźliwego i nadzwyczaj dla siebie i dla drugih skąpy. Dziwy prawiono o jego oszczędności, dworze, stole i życia sposobie.

Ciężkim być dla niego musiał widok marnotraw-
stwa pana Hrehorego, którego że do opamiętania przy-
wieść nie mógł, potem już i nie próbował nawracać;
wzdychał tylko przed bratową, przewidując, że w rę-
ku poczciwego ale nieopatrzniego Ordyńskiego ostatek
rodzinnego mienia stopnieje.

Gdy mu znać dano o smutnym upadku fortuny
Hrehorego, nie dał się z Ołyki wyciągnąć, ani go chciał
poratować; zjechał dopiero na pogrzeb z duchowień-
stwem. Starał się nieco wdowę pocieszyć, dodać jej
męstwa i otuchy, ale nie rozwiązawszy worka, trzecie-
go dnia po egzekwjach solennych do domu powrócił.

Znając jego skąpstwo, nie mogła się domyśleć bra-
towa, czego ją teraz do Ołyki wzywano, ale natych-
miast z synkiem, od którego była nieodstępna, pośpie-
szyła do infułata.

Zastała go już na śmiertelnem łożu i po ostatniem
pomazaniu, ale jeszcze przytomnego zupełnie. Przyjął
ją z uśmiechem.

— Chwała Bogu, zem się asińdzki doczekał, —
rzekł pokaszlując — a dobrze, żeś się pośpieszyła, bo
dalej, dalej, mogliby mnie powołać tam!! — wskazał
w górę.

— Dusza już się ledwie w mizernem ciele kołacze,
nie traćmyż czasu, a mówmy, o czem potrzeba.

Podniósł się na łokciu i nieco ku starościnie, stę-
kając, przybliżył.

— Bliska chwila, w której Bóg liłościwy z grze-

chów mnie moich sądzić będzie, a grzechy moje wielkie, bom się, biorąc suknię duchowną, świeckich sentymentów i kłopotów pozbyć nie umiał. Dałem światu zgorszenie, zbierając chciwie grosz, a odrywając od gęby drugim i sobie. Bóg widzi, żem przecie nie ze wszystkim może miał myśl grzeszną, choć i *nepotyzmus* nie cnota w księdzu. Smutno mi było patrzeć na upadek mojego rodu, przez nieboszczyka pana Hrehorego dokonany, zawczasu postanowiłem sobie ciuć i sknerzyć, by was kiedyś podratować. Mniejsza o to, że mnie ludzie za to oplwali, ale nie wiem, jaki u Pana Boga znajdę rachunek.

Zebrało się tam grosza dosyć, moja jejmościuniu, daj Boże, by mi go przebaczone tam w górze; zabierzcie go, a użyjcie na dobre uczynki. Weźmij asińdźka te klucze od alkierzyka, tam wszystek mój grosz w złocie znajdziesz. Odesłać go zaraz do domu, długi popłacać, majątności nasze wykupić, a nie szafować nim, i chłopca uczyć zawczasu oszczędności, żeby mu co ojcowskiego w żyłach nie zostało. Zaraz mi to asińdźka każ zabierać, pókim ja jeszcze żyw, żeby potem kwestji nie zrobiono, albo nie uchwycono czego. A proszę się śpieszyć, bo ostatek życia Panu Bogu należy i wiem, że go już niewiele zostało. Syna mi tu przyprowadzić, żebym też go choć grzesznemi rękami pobłogosławił.

W ten sposób, niespodzianie jakoś, Ordyńscy znowu na nogi stanęli, a zarząd wdowy nietylko znacznie podniósł ich fortunę, ale ją jeszcze rozrobić potrafił. Zawsze u nas kobiety rządniejsze były od mężczyzn i wiele majątności im winny byt swój lub podźwignienie; nieraz widywano je zaprowadzające rząd w najzagmatwańszych interesach, dające sobie radę z procesami, gospodarstwem, wychowaniem dzieci, oszczędzające bez skąpstwa, a tam, gdzie ledwie wprzód na liche życie starczyło, tworzące zamożność i zbiory. W ogólności, w czasach dawniejszych, więcej zmuszeni żyć publicznem życiem, mężczyźni tracili raczej, niż zbierali, kobiety rządziły, gospodarowały i utrzymywały porządek. Pani Ordyńska, przy pomocy fortuny mę-

zowskiego brata i lepszych nieco czasów, wkrótce do dawnej świetności przyprowadziła fortunę; opłacała wierzycieli, ustanowiła porządek i miała grosza pod dostatkiem na wszystko. Wychowanie syna tymczasem szło sobie bez wykwintu, bez wielkich przyborów, po staropolsku, z oglądaniem się na to, do czego było powinno przygotowywać młodego człowieka. Ordyński poprostu z pod feruły dyrektorskiej poszedł do szkół, i skończył nauki, nie objawiając nadzwyczajnych talentów, ale też nigdzie nie będąc ostatnim. Przytem, jak to dawniej bywało, rósł z niego człowiek praktyczny. Matka, kochając go, nie oszczędzała, hartowała ciało razem i duszę. Przybywając na ferje do domu, musiał jej w pocie czoła gospodarzyć, rachować, jeździć, pilnować robotnika nieraz, i uczyć się jak grosz poczwie zapracowany przychodzi mozolnie. A choć w przyszłości bogatym być miał, matka go wcale nie przyzwyczajała do wygod zawczasu.

Gdy wyszedł ze szkół, nie dano mu próżnować, a że jedynaka nie chciało się matce na azardy wojenne wystawiać, pod pozorem, że pomocy jego potrzebuje, zatrzymała go w domu, używając do interesów i gospodarstwa. Jeździł po trybunałach, atentując sprawom, a resztę czasu spędzał na oglądaniu pilnem mądrości. Tymczasem, jak skoro lat doszedł, szlachta, pamiętająca o Ordyńskich, zaraz mu pokoju nie dając, wybrała go posłem na sejm. Matka niebardzo była temu rada, bojąc się miasta dla syna, ale musiała pozwolić, zwłaszcza, gdy do niej przyjechali sejmikowicze, usilnie jej przedstawując, że się ta posługa od młodego i możnego obywatela krajowi należy.

Dopiero się naówczas Ordyński młody przekonał, że wcale ubogim nie był, bo matka nie chciała, by się w stolicy nieprzyzwoicie i nieodpowiednio stanowi swemu pokazał. Jednego ranka zawołała go do siebie i zamknawszy pokoi, zbliżyć się kazała do swojego krzesła.

— Słuchaj-no, mój drogi, — odezwała się — dorosłeś dzięki Bogu, masz rozum, czas ci go użyć same-

mu, nie będę ci taić dłużej, że dzięki Opatrzności, spadkowi po stryju, mojej też pracy i oszczędności, majątek będziesz miał znaczny, choć ci go ojciec nie zostawił. Łatwiej go stracić, niż nabyć, gdyby nie stryj, gdyby nie moje harowanie, wycierałbyś może cudze kąty, choć z senatorskiego rodu pochodzisz po mieczu i kądzieli. Bogactwo rzecz krucha, kto w niem na nędzę nie pamięta, nie czas się jej obawiać, gdy już przyszła. Oto masz rachunki z mojej opieki i stan twojego majątku, oddaję ci go, ale pamiętaj, żebyś marnie nie puścił krwawego potu mojego.

Za radą pani matki przysposobiwszy się, Ordyński pojechał na sejm przystojnie, a choć nie błyszczał nad innych, znać jednak było po nim, że miał się za co postawić w potrzebie. Imię znane pociągnęło go do dworu, zrobiło mu stosunki w lepszych ówczesnych towarzystwach, wiadano o podźwignionej fortunie, o znaczeniu familji między szlachtą, i dwór a stronnictwo dworu pomyślało, by go sobie zjednać. Młody przytem, przystojny, majątny, dobrą był zewszeczmiar partją, których tyle prawie na sejm przyjeżdżało, co posłów.

Właśnie, podczas gdy młody Ordyński posłował, przybyła do Warszawy księżna W.... z córką. Mąż jej jeden z najwyższych urzędów piastował w Rzeczypospolitej, i poczęści z powodu intryg, w które się dał wprowadzić żonie, poczęści dla wielkich wydatków, na jakie go jej przepych narażał, znacznie nadszczerbił majątku; starostwa go tylko trzymały przy splendorze, do którego był przywykł. Księżę Jan był człowiekiem dość pospolitym, niewielkiej głowy, ale mocnego przekonania o ważności swej, nie śniło mu się, żeby nim żona kierowała i był najpewniejszym zawsze, że idzie własną drogą i wolą, a nie czynił tylko co ona mu zręcznie natchnęła. Wszyscy o tem doskonale wiedzieli, prócz niego.

Księżna pochodziła z rodziny saskiej, bardzo podobno znakomitej i herbownej, ale zubożałej, ożeniono go z nią w Dreźnie, bo żaden Niemiec tej gołej fanaberji nie chciał. Nowa Polka z początku wzbraniała się je-

chać do kraju, który sobie barbarzyńskim wyobraziła, namawiała męża, żeby się wyprzedał i osiadł w Saksonji, ale to jedno jej się nie powiodło, ksiązę stanowczo odpowiedział, że z tego nic nie będzie. Pojechali tedy do Polski za dworem, a tu rozpatrzywszy się jejmość i widząc, że łatwiej jej będzie o wielkie znaczenie, niż w domu, zgodziła się żyć w przybranym kraju, choć ojczyznę mężowską wyśmiewała bez litości. Nielepiej też traktowała i swoją własną, będąc całą duszą Francuzką; taką ją uczyniło ówczesne wychowanie. Niebardzo piękna, wcale niemłoda, ale wielkiego tonu i straszliwej przebiegłości, księżna uroiła sobie, że powinna trząść Polską, do której przybyć raczyła i odrazu rzuciła się w intrygi polityczne.

A że dawała świetne bale, że szafowała łaską królewską i ministra, że zręcznie wyśmiewała Polaków, co u nich zawsze uchodziło za najlepszy ton i dowód jakiejś wyższości, wkrótce i dom się jej nappełnił i dwór ją otoczył powolny, nadskakujący, spełniający jej skinięcia, tak że pochłubić się mogła, iż dopięła w zupełności życzeń swoich celu. Ksiązę w pokoju ducha zawsze był siebie najpewniejszy, że on żoną kieruje, że ona mu tylko pomaga, i w miarę jak jej znaczenie rośło, on sobie wzrost ten przypisywał. Był to najszcześliwszy z ludzi, choć najdoskonalej przydeptany pantoflem. Małżeństwu temu dał Pan Bóg jedną tylko córkę, dziewczkę nadrujnowanego mienia, imienia i w części charakteru matki, z maleńkimi odmianami. Panienkę, naturalnie wychowaną na cale cudzoziemski sposób, wykołysano francuszczyzną i dobrym tonem europejskim, a że Bóg dał jej piękność, marzono dla niej wielkie losy, niemniej jak Radziwiłła lub Potockiego. W czasie owego sejmu księżna, ostatkami goniąc, dawała świetne bale, choć panienka ledwie była wyszła z dzieciństwa, ale że jej pilno w świat było, ani ojciec, ani matka pieszczonej jedynaczce sprzeciwiać się nie śmieli.

Ksiązę spraszał licznych gości na swoje wieczory, a że jego projekta polityczne potrzebowały wsparcia od

posłów, w liczbie innych bywali i oni. Że zaś dobra książęce leżały na Wołyniu, a pan Ordyński był nawet, dalekim wprawdzie, koligatem W..., naturalnie wciągnięty został do domu dygnitarza.

Nie wiem jak się to stało, ale któż podobne wypadki wytłumaczyć potrafi? Ordyński, zaledwie ujrawszy księżniczkę, szalenie się w niej rozkochał, a że naówczas między nim a nią na oko wielki był przedział, bo księstwo oboje daleko wyżej myślami i nadzieją strzelali, nie pokazał się więc wcale ze swoim afektem. Młoda księżniczka, nie wiem nawet, czy w tłumie otaczającym wyróżniła naówczas Ordyńskiego, który i nieśmiały był, i niewytresowany do wielkiego świata.

Skończył się sejm niedoszły, powrócił pan poseł do domu, do płóciennego kitla, do czarnych butów, skromnego życia i gospodarstwa, trzeba było książęcych wieczorów zapomnieć, a pamięć tak je uparcie nasuwała na oczy! Postrzegło rychło oko matki, że młokos przywiózł z sobą jakiś niepotrzebny smutek, i domyśliła się, że to musiało być coś serdecznego, ale syn się do niczego nie przyznał, a ci, co go otaczali, o niczem też nie wiedzieli.

Minał rok jakiś, aż tu zmarło się księciu staremu nagle, prawie w podróży, z nim upadło wiele marzeń i nadziei; księżna poznała dopiero, że ten powolny i dobroduszny mąż wielce jej przecie był potrzebny. Chciała zrazu znowu odjeżdżać do Niemiec, ale tam chleba nie było, tu się jeszcze trzymały starostwa, musiała dla nich pozostać. Dom wszakże, tak świetny niedawno, opustoszał, a że familja księcia, gdy go nie stało, straciła ochotę z Niemką się bratać, i inni też od niej odstąpili; córkę dorosłą gwałtem potrzeba było wydać za mąż, a tu się nikt a nikt nie trafiał. Nadszedł sejm drugi, i ten zastał jeszcze księżnę w Warszawie; pan Ordyński znowu posłował, ale teraz zmieniły się wielce okoliczności, i gdy młody człowiek przyszedł z atencją do księżnej wdowy, choć się jej nie podobał, że był czysty polonus, z rodzaju tych, którymi ona się najbardziej brzydziła, bo nawet po francusku nie mówił, prze-

cież dowiedziawszy się o majątku, o koligacji, imieniu, znaczeniu, bardzo go zaraz łaskawie przyjąto.

O Radziwiłłach i Potockich ani już pomyśleć było można — zwrócono się więc do Ordyńskiego, którego posiadłości i senatorską prozapję ktoś księżnej pani wyliczył. Piękna księżniczka z uśmiechem przyjmowała pana posła, a Niemka, choć usta gryzła i zmuszona mówić z nim po polsku, szwargotała jak na mękach, przecież wysilała się na uprzejmą rozmowę, by mu wielki swój rozum, choć w niezgrabnej szacie ukazać. Nie potrzebujemy mówić, jakiej to oliwy dołało do ognia, którym stale tłało pocziwe serce starościca; jednakże ledwie niewyraźnie naglony i naprowadzony, by się stanowczo z intencją swoją objawił, bez matki posunąć się nie śmiał tak daleko. Wiedziała księżna o powodach milczenia, a gdy poseł, wzdychając, do domu ruszył, bijąc żelazo póki gorące, pojechała za nim do dóbr swoich wołyńskich niedaleko Ordyńca i dzisiejszej siedziby ich położonych, choć dotąd nigdy w nich nie bywała.

W kilka tygodni potem poszóstne paradne jej cugi wiozły ją z wizytą do naszej starościny, o której ani wątpiła, że ją potrafi blaskiem swym zaćmić i do czego zapragnie nakłonić. Ale starościna niełatwą była do ujęcia czczem słowem i pozorami jakimiś, umysł to był wyższy, instynkt szczęśliwy i niechybny w poznawaniu ludzi; przyjęła księżnę poważnie, godnie, grzecznie, ale nie dała się olśnić ani niemiecko-francuskimi tonami, ani wyblakłą wielkością; matka zresztą i córka zarówno się nie podobały jej. A już jej byli dworscy coś szepnęli, że syn w Warszawie do księżnej ucześnieć, co nie w smak poszło staruszce.

— Będę się modlić, żeby to Pan Bóg od naszego domu odwrócić raczył — powiedziała sobie w duchu — a na co nam te szwabskie gołe splendory i zamorskie koligacje! Wolałabym prostą szlachciankę, coby mi pocziwie kądziel przędła, a uczyniła go szczęśliwym i spokojnym, niżeli te niemieckie czupiradła, którym

wieś nie smakuje i nasz obyczaj śmierdzi, a pieniądze tylko polskie pachną.

Wytrzymawszy dopóki tylko mógł w milczeniu, starościc oświadczył na koniec matce niepokonaną swą miłość ku księżniczce. Słuchała go pocziwa wdowa, wzdychając, a nareszcie gdy się jej do nóg rzucił, odpowiedziała, podnosząc go:

— Wiesz, kochanie moje, że mi to oddawna nie tajno! Umyślniem milczała i mówić o tem nie chciałam. Jesteś młody, trudno z sercem twojem mówić rozumnie, a zważ tylko, do czego to prowadzi. Nie nasze to, choć nazwisko nosi polskie, wychowane nie dla nas, gardzące nami, zepsute dworszczyzną. Matka, Boże odpuść, za życia księcia nieboszczyka w jego butach chadzała, zechce się jej i waścine włożyć, córka zwyczajnie jak córka, niedaleko padnie jabłko od jabłoni. Majątku pasz, a fonfrów coniemiarą, splendorów się chce, a pracy nie lubi. Kochaneczku, to nie dla nas ta pupka norymberska!

Starościc różnie koło matki chodził, aż przecie tyle wytuptał, że już nie pochwalając, przynajmniej się nie sprzeciwiała. Pojechał więc z oświadczeniem, które chciwie przyjęto; sam pan wojewoda był swatem.

Księżna jejmość jednak, ogłędna matka, zaraz szepnęła o donacjach, zapisach, o prawie, ofiarując ze swojej strony bardzo liberalnie całe dobra dziedziczne, byleby z nich sumą jaką ją kontentowano.

Na oko były to wielkie rzeczy, klucz bowiem głuśki stanowił rozległą majątność, ale na tem tyle było sum, legatów, długów, zastawów, procesów i różnych ciężarów, że obrachowawszy je, zostawało ledwie z czego trzecią część zapewnionego sobie przez księżnę dochodu opłacić. Starościna twardo stanęła w interesie; posłano z obu stron prawników dla umowy o intercyzę, pilnowała się matka, żeby nic nadto, co bezpiecznie postąpić mogła, nie puścić z rąk; księżna ze swej strony żądała koniecznie rezygnacji dożywocia i zakwitowania z deportatów, ale pani Ordyńska, przy swoim stanawszy, odmówiła tego otwarcie.

— Chętniebym się zgodziła — odpowiedziała swemu prawnikowi — pozostać na łasce syna, bo serce jego wiadome i bardzom go pewna, ale kiedy się idzie pod panowanie tych Sasów, którzy go niechybnie osiodłają, powiem waści szczerze, że z rąk im patrzeć nie będę; muszę pilnować, żeby się co zostało na złą godzinę, bo oni to z wiatrem puszcza.

Księżna, sądząc, że fochami wdowę przekona, próbowała zerwać traktacje; starościc aż struchlał, ścisnął matkę za kolana, padał jej do nóg, nic nie pomogło.

— Dla twojego szczęścia z chęcią-bym moje dała,— rzekła z powagą stanowczo — ale dla ich chciwości i fantazji nie uczynię nic. Bądź zresztą spokojny, strachy na Lachy, zobaczysz jak się prędko udobruchają.

Jak przepowiedziała, tak się stało. Księżna, widząc, że pani Ordyńskiej nie zje w kaszy, dała się ulagodzić, zezwoliła na taką intercyzę, jakiej żądano, niby dla szczęścia dzieci robiąc ofiarę, i poczęła tylko naglić o przyspieszenie wesela.

Odbył się ślub wystawnie bardzo, a że małżonek ani tytułu, ani znaczenia nie miał w stolicy, poleciała zaraz księżna do Warszawy wyrabiać mu wakujące podczaszostwo, które z przed nosa zasłużeńszemu chwyciła, nie wiem co tam za nie obiecawszy.

Zatem poszło, że pan podczaszy nowy musiał jechać do Warszawy, a za staraniem matki żony, która tysiące wynajdowała powodów, by mu nie dać na wieś powrócić, zamieszkał powoli w stolicy. Nieznacznie otwarto dom świetny, na wielką stopę, zawładano zakonchany i tak go dobrze spędano jak nieboszczyka księcia; z tą tylko różnicą, że w sprawach publicznych wpływ kobiecy nigdy go nie mógł z prawej drogi sprowadzić.

XI.

Matka tymczasem gospodarowała na wsi, sama jedna siedząc, gdyż synowi rzadko do niej dojechać pozwolono, wzdychała nad nieszczęściem, które zgóry przewidywała, twarzą wesołą napozór kryjąc głęboki smutek.

Umarł wreszcie August III, a z nim stosunki księżnej i ostatek jej znaczenia i wpływów; młody król nowy wystąpił w całym blasku; a jedną z najgorliwiej poklaskujących przy jego koronacji i usiłujących zwrócić na siebie oko najjaśniejszego była pani podczaszyna. Jej piękność, młodość, cudzoziemskie wykwintne wychowanie, dowcip świetny, nad wszystko wdzięk, którym obdarzoną była, a który niejedną już równie gwałtowną jak podczaszego wzbudził namietność, wkrótce u nóg pięknej pani ugięły królewskie czoło, tak chętnie schylające się na skinienie kobiece.

Zimne dotąd i nietknięte serce pięknej pani naszej, które z uczucia żarty sobie stroiło, pierwszy raz wzruszyło się prawdziwie. Począwszy od prostej, obrachowanej zalotności, skończyła na przywiązaniu namietnem.

Ona wkrótce już nie widziała w nim monarchy, ale kochanka. Poniatowski, co dopiero pod koniec życia potrafił się stale przywizać do marmurowych wdzięków ostatniej ulubienicy, przeląkł się tej miłości, gdy o niej wątpić nie mógł. Lubił on kobiety, ale kochać nie umiał; Sybaryta przeszedł zrywając kwiaty po drodze życia i rzucając je zwiędłe pod nogi. Podczaszyna stała się wkrótce pośmiewiskiem swych rywalek, które, nie pojmując, jak kochać można było tak zapamiętałe i biorąc szczerą miłość za niezręczną komedję, naśmiewały się z biednej obłąkanej.

Działo się to wszystko tak, że podczaszyna, przywykły do form zalotności powszedniej, będącej w obyczajach, nie dopatrywał się niczego, nie umiając przypuścić nawet, by mu kto skarb jego chciał wydrzeć. Usłudźni dopiero przyjaciele otworzyli mu oczy, wskazali postępowanie żony i naprowadzili na przekonanie, że serce jej nie należało do męża.

Biedny podczaszyna zrazu, uderzony tem odkryciem jak piorunem, osłupiał, chciał szukać zemsty, a widząc ją niepodobną, zadrżał nad ogromem swego nieszczęścia. Przypomniały mu się za późno prorocze słowa matki!

Wyszpiewowawszy raz posłańca królewskiego i przejąwszy przez sługi bilecik, wpadł do żony zjadły, wściekły boleścią i rozpaczą tak, że przestraszona uciec od niego musiała, sądząc, że ją zabije.

A że się wówczas nic nie utaiło w Warszawie, bo chciwie skandalów szukano dla zabawki próżniaczej, tegoż wieczora wiedziała stolica o tragicznej scenie. Podczaszy, nie ochłoniawszy jeszcze, poleciał do zamku, wyprosił sobie sekretne posłuchanie u króla, a tam jak się znalazł, nikt nie wiedział. Widziano go tylko, że wyszedł poruszony bardzo, a król długo zdawał się zamysłony i zafrasowany.

Tegoż wieczora choroba rzuciła nim o łóżko. Na pierwszą wieść o niej przybiegła matka w rozpacz, zwołano doktorów, ale pomimo największych starań, w dziesięć dni podczaszy krótkie swe życie zakończył, zostawując syna w kolebce i młodziuchną wdowę. Grób ten powinien był rozdzielić na wieki podczaszynę z Poniatowskim, ale miłość tej kobiety nie patrzyła granic, nie pojmowała przeszkód, nie ważyła przyzwoitości. W żałobie jeszcze, rada swobodzie, w więzach swych utrzymać starała się Poniatowskiego i może gorącością uczucia, może samem zgorszeniem drażniącym już dość zmartwiałego króla, na czas jakiś przyciągnęła go ku sobie.

Myśleli wówczas niektórzy, że się król przywiąże, że ta miłość nareszcie, po tylu a tylu kaprysach, przejdzie jeśli nie w namiętność, to przynajmniej w nałóg. Inaczej się stało. Poniatowski kochać nie umiał sercem, nęciło go tyle różnobarwnych oczu i tyle coraz odmiennych piękności, że się im oprzeć nie umiał. Gwałtowne sceny, na które narażała go zazdrość podczaszyny, coraz bardziej zaczęły zrażać od niej, każąc się obawiać niewoli; usuwał się, oddalał nieznacznie, szukał powodów opuszczenia, nareszcie całkiem ją porzucił.

Co się tam naówczas działo z kobietą, która przegrała wielką stawkę swego życia, wypowiedzieć trudno; kilka tygodni mówiono po całym mieście o jej rozpa-

czy, znajdując ją nienaturalną, potem znikła nagle ze świata ówczesnego i mówić o niej przestali — bo co z oczów, to z myśli. Dokąd się wówczas udała, nie wiadano nawet, błdziła w początku po kraju, jeżdząc napozór bez celu, byle w miejscu nie siedzieć, potem z synem wyjechała zagranicę i tam zamieszkała lat kilka.

Majątkiem tymczasem rządziła ciągle starościna Ordynska, nie tylko swoim, ale i podczaszyni, bo na nim już znaczne miała sumy spłacane wierzycielom.

Dopominała się ona wnuka, a że syn dosyć obojętnej matce niewielką był pociechą, odesłała go podczaszyna z Włoch do babki, wzamian otrzymawszy potrzebną jej na dalsze podróże sumę. Kilka tak lat Michał pod okiem staruszki wychowywał się w Głuszy, dopóki znów podczaszyna, znudzona wszystkiem: Paryżem, Rzymem, Neapolem, Florencją, nie zleciała jednego poranku, jak z obłoku do starego, cichego domostwa.

Paliły ją jakieś fantazje, któremi się durzyła, nie mogąc zaspokoić, z kolei stawiała się artystką, literatką, ogrodniczką, filozofką, i odrzucała co chwyciła, zaledwie skosztowawszy. Przybywszy do Głuszy, poczęła przebudowywać wszystko, przedstawiać cały pałac ojcowski, zakładać ogrody, sprowadzać Francuzów, Włochów, Niemców, kupować książki, posągi, medale, osobliwości pod pozorem wychowywania syna, w istocie szukając lekarstwa w swym smutku.

Michał teraz począł się wychowywać częścią przy babce, częścią u matki, która postanowiła, naprzekór staruszce, wykształcić go na wzór cudzoziemski. Powierzyła więc dziecie trochę podrosłe niejakiemu Labe Poinsoł, który z Francji podobno uciekać musiał z powodu ciężących na nim podejrzeń o popełnienie niewyjaśnionej jakiejś zbrodni. Tak mówili nieprzyjaciele jego, on zaś wspomniał tylko o prześladowaniach politycznych!

Poinsoł był wcale niepospolitym człowiekiem, choć może serce i charakter nie odpowiadały umysłowym

jego zdolnościom. Obdarzony żywym i łatwym pojęciem, pamięcią zadziwiającą i darem chwytania a obracania na swą korzyść wszystkiego, co go w jakikolwiek sposób dotknęło, wykształcony był naukowo na wiek swój niepospolicie, i gdyby nie duch czasu, co w nim grał najgłośniej, byłby zdolny pokierować wychowaniem młodego człowieka. Ale zwykle tego rodzaju ludzie nie mają swojego zdania, a przesadzają opinie wieku, którego są wyrazem najpospolitszym — tak było i z nim, nikt może dobitniej, silniej i z większą egzageracją nie przedstawiał XVIII wieku.

Poinsot stał się zapalonym zwolennikiem encyklopedystów, a choć nosił dla jakiejś przyzwoitości i ceremonji suknię duchowną, dawno już nie miał wiary, i szczególnym był materialistą. Dla formy tylko mówił czasem o istności Najwyższej, ale nigdy nie wspomniał Boga, z obrzędów wiary wyśmiewał się dowcipnie, czerpiąc krytykę i koncepta w dykejonarzu Voltair'a, który był dlań skarbnicą nieprzebraną. Można sobie wyobrazić, jak taki człowiek, wychowując dziecię, wpłynąć na nie musiał, zwłaszcza, że szął prozelityzmu ożywiał go do tego stopnia, iż żadnej nie minął zręczności nawet z obcymi, żeby im swych zasad nie próbował zaszcześcić.

Michaś wprost od religijnej, pobożnej i duchem chrześcijańskim przejętej babki dostał się w jego ręce. Poinsot w początku nie mógł sobie z nim dać rady, tak go znajdował źle i po barbarzyńsku prowadzonym, tyle w nim spotykał przesądów i zakrzewionych wyobrażeń fałszywych. Chłopiec, między nim a babką, w początku nie wiedział, co począć, w co wierzyć, kogo słuchać; trwało to czas jakiś, nareszcie pod czaszyna, będąc przekonaną o niezmiernej wyższości Labe Poinsot, odebrała go gwałtem od starościny i oddała całkowicie w ręce Francuza.

Staruszka płakała rzewnie, ale się temu oprzeć nie mogła, a Michasiowi, któremu z Neapolu matka przywiozła imię Alfiera, zakazano nawet chodzić do babki do oficyn, czego zresztą niebardzo słuchał.

Francuz dołożył starań około wychowania swego, a przyznać potrzeba, że mu z nim nie szło trudno, bo uczeń był ciekawy, pojętny, umysłu żywego i do nauki ochoczy. Bóg go szczerze obdarzył w talenta i wrodzony ten spryt, który często bywa udziałem mierności, niekiedy zwiastunem niepospolitych darów. Tu chodziło tylko o uczynienie z niego dobrze wychowanego pánica; uczono więc wiele, ale bardzo powierzchownie, więcej dla świata, niż dla niego.

Jeżeli kiedy surowsza myśl pracy, obowiązków, poświęcenia doleciała uszu jego z ust starej, pocziwej babki, dawał jej przelecieć jak naprzykrzonemu komarowi, licząc ją do tych starych przesądów, które encyklopedyści powalili na ziemię. Najpierwszym obowiązkiem zdawało mu się być szczęśliwym, największą pracą trochę się przez grzeczność ponudzić, o poświęceniach zaś myślał, że je przyjmować należy, ale ofiarować się z nimi nie uczuwał potrzeby.

Życie, życie — jak wieniec z róż, lilij i wonnego kwiecia, wydawało mu się zdala czarowną wiązką; niecierpliwie ręce wyciągał ku niemu, rwał się, by zbliżyć doń i począć nareszcie używać. Co tam zawczasu marzeń, co dramatycznych scen przeleciało, gorejąc jak bengalskie ognie przez tę młodą główkę; ile uśmiechających się twarzy przemknęło w tych snach wieszczych, ile rączek białych objęło szyję jego drżącą, ile ust koralowych z usty spragnionemi się spoiło!!

Niecierpliwa żądza poczęcia nareszcie tego życia, które sobie wyobrażał tak pełnem wrażeń i rozkoszy, zachmurzała czoło młodego chłopca, zżymającego się na to wiejskie więzienie, w którem go dotąd trzymano. Biedny, nie pojmował jeszcze, że najśłodszemi chwilami są właśnie te, w których się wszystkiego spodziewamy, nic jeszcze nie otrzymawszy.

Zbliżała się nakoniec godzina upragnionej emancypacji, a choć mu zapowiedziano, że w pierwszym roku pobytu jego w Warszawie Labe Poinsoł pozostanie przy nim dla towarzystwa, niewiele się o to troszczył pan

Michał, pewien będąc, że powolny nauczyciel w niczem sprzeciwiać mu się nie zechce.

Dwa powody skłoniły podczaszynę do skorzystania z przyjazdu królewskiego i zaproszenia n. pana do domu swego: chciała ona raz jeszcze widzieć tego, którego ukochała silniej i stalej, niż w owym wieku było zwyczajem, chciała spróbować, czy to uczucie, które zgasiły lata, nie wstanie z martwych choć na krótką chwilę; czuła się jeszcze piękną, ale na brzegu tej przepaści, która starością się zowie, ostatkiem wdzięku pragnęła błysnąć raz jeszcze. Jako matka także myślała o synu, i przejeżdżającemu monarsze przedstawiając i polecając Michała, nie wątpiła, że mu tem przyszłość utoruje.

W Warszawie jeszcze odebrał król list pani podczaszyny, a pamiętny dawnych stosunków, przez wdzięczność, przez litość, przez grzeczność wreszcie, a trochę może przez ciekawość, zgodził się na usilne prośby dawnej kochanki. Głusza też niewiele była mu z drogi, milę czy półtorej tylko zboczyć do niej trzeba było, jadąc do Wiśniowca. Tym sposobem podczaszyna miała zaszczyt przyjmować u siebie ukoronowanego gościa, ale gorzkimi opłakała go łzami, nie otrzymawszy nawet jednego wejrzenia, coby dawne przypomniało uczucie.

XII.

Po wyjeździe króla, po rozsypaniu się gości, śpiących każdy w inną stronę z opowiadaniem odmiennem, pałac w Głuszy długi czas smutną się pustką wydawał. Spoczywali wszyscy, marząc, wzdychając lub ze smutków przedąc nowe nadzieje. Podczaszyna płakała. Ona w życiu całym nie kochała nikogo prócz niego; dziwną anomalją w wieku zepsucia i płochości była stałą i wierną, na chwilę nie zajął ją kto inny — a co łez wylała nad listami, donoszącemi jej o każdej nowej Poniatowskiego intrydze, to tylko jedno jej serce policzyć mogło.

Była jeszcze piękną, niosła mu wspomnienie lat szczęśliwych, myślała, że go poruszy, że oczaruje, pociągnie choćby tylko na krótką godzinę; — on zbył ją słodką, powszednią grzecznością, podarkiem, pochlebstwem, a ile razy oko jej spotkało się z królewskim wejrzeniem, wyczytała w niem tylko przestrah jakiś i lodowate zdrętwienie wyczerpanego człowieka, który sercem zamarł na wieki. Gorzkie też były łyzy podczaszyny, bo z niemi spływała ostatnia życia nadzieja, a poczyniała się bezcelna, nudna starość. Kochała syna, ale sercu jej, rozdrażnionemu ustawicznem pragnieniem, miłość ta pocziwa wystarczyć nie mogła; cieszyła się nim, nie umiejąc samem zaspokoić macierzyństwem.

Już jasno marcowe słońeczko świeciło w pustych salach pałacu, gdy z pokoju swego wyszła powolnym krokiem podczaszyna błada, bezmyślna, zrozpaczona prawie, szukając w ruchu roztargnienia. Wszystko jeszcze po trudach tygodniowych przygotowań we śnie odpoczywało, fizjognomja tylko pokoiów i rozrzucenie mebli świadczyły o gwarze, jaki tu niedawno panował.

Podczaszyna z niemniejszym uczuciem spojrzała na ten teatr ostatniego dramatu swego życia, jak niegdyś na pompejańskie wykopalisko.

— Co począć z sobą? — zawołała w duchu — gdzie się podziać, czem wyschłą próżnię serca zappełnić?

I jak w pustym gmachu, na wołanie rozpaczliwe, echo tylko, przedrzeźniając, odpowiada, tak w pustce jej serca rozległo się stokroć pytanie bez odpowiedzi.

Wtem drzwi się otworzyły, Bóg zsyłał jej znowu żywe rozwiązanie zadania: wszedł syn uśmiechniony, rozmarzony, szczęśliwy, śledząc na licu matki smutku, którego wprzód był nie pojął, nie rozumiał teraz.

Podczaszyna podniosła głowę, usiłując go zwieść udaną wesołością, którą odpowiedziała na powitanie syna, ale źle grała komedję.

— Widzisz, kochana mamó, — rzekł Alfier — że wszystko się nam najśliczniej udało; powitanie, kan-

tata, przyjęcie, król był wesół i zostawił nam dotykalne dowody swojego ukontentowania, mogę się więc spodziewać jak najpomyślniejszych w Warszawie sukcesów!

— Prawda, kochany Alfierze, wszystko poszło jak najlepiej, — zimno odparła podчасzyna — to też widzisz, żem już spokojna.

— Ale czegoż jeszcze smutna?

— Moje dziecię, wszak rozstać się będziemy musieli?

— Rozstać? Prawda, kochana mamó, ale nie na długo, i niedaleko będziemy od siebie.

— Niedaleko?? Nie wiem, — szepnęła matka, której myśl jakaś szukania spokoju pod obcem niebem snuła się po udręczonem sercu, — ja podobno do Włoch pojedę, ty do Warszawy, i Bóg wie, kiedy się zobaczymy.

— Do Włoch? To zapewne na kilka miesięcy?

— Na kilka tygodni, na miesięcy kilka, na rok, na dłużej, któż to wie, wyjeżdżając?

I znowu smutnie spuściła głowę, milcząca; Alfier tymczasem, którego po młodemu paliła potrzeba wypowiedzenia, co mu na sercu ciążyło, chodził i mówił żywo:

— Król! król niezrównanej dobroci człowiek, nieprawda, mamó? Co to za przyjemność? Jaka słodycz? Uśmiech jaki? Ile powagi! Ile nauki! Jaka spokojność na tem jasnem czole?

Matka spojrzała na syna z politowaniem prawie.

— Dziecko! — odpowiedziała cicho — jakże ty jeszcze mało znasz ludzi! Jak ciebie oszukać łatwo! Nie, widziałeś tylko to, co było na wierzchu. On spokojny! On wesół!

— Tak go to zajmowało wszystko; obrazy, książki, zbiory; przypatrywał się, unosił!

— Proste to roztargnienie, które mu na chwilę dozwala o ciężkich boleściach zapomnieć.

— Miałżeby być nieszczęśliwy?

— Ma nieprzyjaciół, a najstraszliwszego w samym sobie, życie mu tak zbrzydło, nie ma serca.

I wolnym krokiem, rzucając trochę zdumionego syna, odeszła do swego pokoju.

— Co to za nieszczęście postarzyć choć trochę, — zawołał do siebie Alfier, kręcąc się i nucąc piosnkę, stanąwszy przed wielkiem zwierciadłem — wszystko się zaraz widzi jakoś fałszywo, smutnie! Ta biedna mama, coby się miała cieszyć, tak teraz znużona, tak przybita, poprostu się musiała okrutnie zmęczyć! Miałożby to być i ze mną później?? A! nie! nie! Nie rozumiem nawet, jak można dobrowolnie stawać na takim punkcie, żeby się nam świat z czarnej tylko strony pokazywał. Życie to tak słodka rzecz, niech żyje życie!!

Właśnie na ten z głębi serca rzucony wykrzyknik boczne drzwiczki uchyliły się pocichu i wyskakujący kawaler św. Stanisława ujrzał poza sobą ładną panienkę, która się z niego śmiała serdecznie.

— A, panna Anna już wstała! — zawołał, nagle ją spostrzegłszy i niski oddając jej ukłon.

— A pan podczaszyc, widzę, w przewybornym humorze!

Ale opiszmy choć króciuchno to śliczne zjawisko, któreśmy panną Anną nazwali. Była to szesnastoletnia ledwie córka jedynaczka marszałka dworu podcaszyny, Sienińskiego, staruszka, któregośmy niedawno poznali. Nie powiem, żeby to był cud piękności, ale świeższej i ożywieńszej twarzyczki, w którejby oczy i usta dobitniej mówiły, co się w sercu działo, trudno sobie wyobrazić. Ciemnych włosów i oczu, niewielkiego wzrostu, zręczna, silna, z barwą zdrowia na twarzy, z czarnem, śmiałem i pełnem energii wejrzeniem, Anusia miała rysy, fizjognomji pięknej Polki-szlachcianki, córki żołnierza, przyszłej matki pokoleń rycerskich, dla której życie niestraszne, bo krzyż w myśli i na piersi, wiara w sercu, męstwo w łonie — zbroją na wszystkie przygody.

Panna Anna, wzięta na wychowanie naprzód przez panią starościnę, która ją pokochała prawie narówni

z Michałem, zostawała przy niej od dzieciństwa; od roku zaś jakiś kaprys podczaszyny przyłączył ją do jej dworu i panien respektowych. Jedynaczka była u starego Sienińskiego, a ten skrzętnie zbierał grosiwo i wieści chodziły na dworze, że tam go nie ma być musiało, bo stary bardzo skąpił, kapitałiki oddawał na procenta, i lada dzień mógł dobyć wioskę z kieszeni. Anusia była wielką ulubienicą starościny, która obejść się bez niej dnia jednego nie mogła; a przyczyniało jej łaski i to, że dwór podczaszyny sfrancuziały wcale jej nie smakował, maniere jego przyjąć nie chciała i żartowała sobie z cudzoziemców, którzy go składali, a najwięcej z Labe Poinso. Gdy inne już szczebiotały po francusku, lub udawały, że choć trochę liznęły tego języka, Anusia szczerze sobie z niego się prześmiewała i zaklinała, że go się uczyć nie myśli, a choć ojciec byłby jej chętnie nowomodną sprawił sukienkę i na puder pozwolił, chodziła w staroświeckich jubkach i włosach, jakie jej Bóg dał.

Anusia wychowała się prawie razem z podczaszycem, który niewiele od niej był starszy; — dawniej przed jednym obrazem mawiali pacierze, na jednym elementarzu czytać się uczyli, razem katechizm powtarzali, podpowiadając sobie wzajemnie; dziecinne ich serca pierwsze się spotkały na świecie, młodość zastała ich już na przeciw siebie, tęsknota tych lat oboje razem powitała, — jakże się pokochać nie mieli?

W początku było to przywiązanie dziecięce, potem miłość, która o sobie nie wiedziała, nareszcie przyszło to zjednoczenie serc czujących, że bez siebie żyć nie mogą, że są spojone na zawsze ręką Bożą.

Podczaszyc myślał tak z początku, gdy się poczuł zakochanym, a potem? otwierający mu się świat zatarł trochę miłość ku Anusi; poczynął się śmiać ze swych uczuć dziecinnych, a niekiedy dumiał tylko jak z nich skorzystać i piękne dziewczę przycisnąć do serca, a jutro — porzucić. Inaczej kochała Anusia, która odrazu widziała przestrzeń dzielącą ją od podczaszycy; nie obiecując sobie nic, nie rachując na nie-

go, bo widziała jak szaleć poczynął; — jednakże przywiązała się do niego pocichu, namiętnie, tak że w duszy powtarzała:

— Ja nigdy zamaż nie pójdę — on musi kiedyś, kiedyś choć na starość do mnie powrócić, gdy się przekona, że na świecie przywiązańszego nie znajdzie serca. Będę zdaleka poglądać na niego, czekać i modlić się.

Lecz ile razy pan Michał, który znał dobrze, co się tam w sercu jej działo, chciał w imię praw dawnych i poufałości dziecinnej, choćby pocałunek wyprosić, Anusia stawiała mu się tak hardo, tak poważnie i dumnie, że się obawiał do niej przystąpić. Musiał się nauczyć ją szanować, ale szacunek ostudzał w nim namiętność i codzień bardziej oddalał go od niej. Nie rozumiał on ani charakteru Anusi, ani jej przywiązania. Od niejakiego czasu nawet byli całkiem na zimno, a Alfier, z którego strony była wina, udawał sam zagniewanego, puszył się dumnie, niby mówić do niej nie chciał, a wściekał się w głębi, że Anusia, z tego się śmiejąc, na nic nie uważała.

XIII.

— A! panna Anna już wstała?

— Podczaszyc, jak widzę, w przedziwnym dzisiaj humorze.

— Jakżebym nie miał być wesół i szczęśliwy? Król mi dał św. Stanisława, jadę do Warszawy i nareszcie pokosztuję życia!!

Dziewczę rozśmiało się serdecznie.

— Boję się, żebyś pan z tem życiem tam nie spotkał się tak jak ten oficer kozacki, co to przeszłego roku był w Głuszy, ze szparagami — nie wiedząc, od którego końca miał je poczynąć.

— Panna Anna ma mnie, widzę, za takiego młokosa i...

— A uchowaj Boże! któż mówi młokosa? — prze-

rwiała Anusia — ja j. w. podczaszyca mam tylko za dwudziestoletniego (lub coś podobnego) kawalera, co marzy o Warszawie, jakgdyby tam byli inni ludzie i inne jakieś życie, nie to, co u nas. Naturalnie, z takim sentymentem tam jadąc, to się przy rogatkach głowę straci.

— O! o! proszę bardzo nie lękać się o nią!

— Prawdziwie — poważniej trochę poczęła Anusia, spoglądając ukradkiem na niego — teraz już do pana ani przystąpić, ani pożartować, taki się z podczaszyca zrobił wielki statysta! a tak jeszcze niedawno kradliśmy razem kożuszki z kominka u starościny.

— Pięknie niedawno, — odparł Michał — już ja tego i nie pamiętam!

— Wszak ci to, kto chce, i wczorajszego dnia bardzo łatwo zapomni — z urazą odpowiedziała Anusia, usuwając się nieco.

— Panna Anna gniewa się na mnie? — zapytał, podchodząc, młody człowiek.

— Dajże mi pan pokój! jakgdyby córka starego Sienińskiego mogła i śmiała gniewać się na syna pani podczaszyny — ruszyła ramionami, ale łza kręciła się w jej oczku.

— Gniewają się na siebie tylko równi, a słudzy, jak ja, wdychają i płaczą.

Była przy drzwiach, za których klamkę już brała, gdy Alfier, przykro uczuwszy cierpienie Anusi, posunął się ku niej żywo, poruszony ostatniemi słowy, zapomniawszy powagi, którą chciał przybrać przed chwilą.

— Anusiu! Anuleczku! — zawołał dawnem imieniem i głosem pocziwie drżącym, chwytając jej różową ale małą rączkę — poczekajże... co ci to, ty bo się gniewasz na mnie, ja cię muszę przeprosić.

— Mówiłam panu, że choćbym chciała, gniewać się nie mogę.

— No, dość tych żartów, dziecko! pogódźmy się po staremu, chcesz? przyznam się, żem ja winien, od-

pokutuję jak każesz, ale bądźmy z sobą znów jak za dobrych naszych czasów.

— Dobrę czasy już minęły! — westchnęła Anusia.

— Tem bardziej, — rzekł, uśmiechając się — kiedy, jak mówisz, czasy te wrócić nie mogą, czemuż ich choć dniem jakim nie przedłużyć — nie gniewaj się na mnie, a mówmy z sobą, jak dawniej.

— Musiałabym zacząć od połajania — szepnęła Anusia.

— No, to zacznij sobie i łaj, jeśli ci to potrzebne na co, ale potem winę mi darujesz.

— Z warunkiem, że się nie powtórzy.

— Nigdy!

— Pewnie?

— Jak babunię kocham, to stara przysięga.

— Teraz ona może także spłowiła dla pana.

— O! nie! nigdy! — z jakimś wzruszeniem serdecznem odpowiedział podczaszy, spoglądając w oczy Anusi, która się zdawała go badać — nie myśl, żebym już był tak złym i płochym; nie przestanę kochać, do kogom się przywiązał w dzieciństwie.

— I bądź pan pewien, — cichym głosem odezwała się Anusia — że nie znajdziesz na szerokim świecie przywiązanych serc do siebie nad te, co ci twą pierwszą młodość przypomną. Ja wiem, — do dała ze łzą w oku — że przepaść nas rozdziela, wiem, że i tych kilka słów powiedziećbym nie powinna, ale... a! myśl pan sobie, jak chcesz.

Nie dokończyła, zarumieniła się, poczęła uciekać ku drzwiom znowu. Michał poskoczył za nią, pochwycił i zbliżył usta do rozognionej smutkiem jej twarzy.

— Znowu! — zawołała surowo, odwracając się, Anna do odskakującego podczaszyca. — O! pan mnie nigdy nie zrozumiesz!

W oczach jej gniew pałał dumny.

— Przepraszam! przepraszam na klęczkach; do prawdy nie wiem, jak się to stało, ale nie mogłem się wstrzymać — chciałem znów dobre nasze czasy przypomnieć.

— Nie, te nigdy nie wróca! — smutno powtórzyła Anusia — jak ta wiosna, co minęła, nie przyjdzie już więcej.

— Ale się zaczyna druga?

— Ta się panu rozwinie w Warszawie — odpowiedziało dziewczę, chwyciło za drzwi i znikło.

Michał pozostał chwilę jak przykuty do miejsca, ruszył tylko ramionami...

— Dziwne stworzenie, — rzekł w duchu — takie to zapalczywe a dumne! Co ona myśli? już ciż nie roi, żebym się z nią miał żenić!

— A! a! toby było zabawnie! biedna Anusia!

Przeszedł się kilka razy zamyślony po pokoju.

— A jednak — rzekł znowu — smutno mi, bardzo smutno bez niej będzie, czuję, że zapomnieć ją trudno, ale to dzieciństwo, potęsknię, powzdycham i jakoś to minie. — Począł myśleć o czem innem, ale głos Anusi tętnił mu w uszach, wzrok Anusi patrzył nań ze wszystkich obrazów, ciągle ją i ją tylko widział przed sobą.

— Znajdziemy się przecie w życiu! — rzekł, pocieszając się po chwili, i wyszedł rozmarzony. Nie wiedział jak zgadł trafnie, rzucając na wiatr te słowa.

XIV.

Wkrótce zaczęto robić przygotowania do wyjazdu podczaszyca, a matka jego równocześnie wybierała się także do Włoch, odprowadzając syna do Warszawy. Pałac w Głuszy po kilku dniach świetnych, które go uczyniły historycznym i na zawsze pamiętnym w dziejach okolicy, opustoszeć miał znowu na długo i pozostać zamieszkanym tylko przez starość, która, modląc się i dumając, czekała nieprzybywającej śmierci. Dla niej to oddalenie się wnuka, ostatniego węzła, co ją z życiem łączył, było jakby pierwszym dotknięciem; wiedziała, że o niej zapomnieć musi wychowaniec; w zgiełku, do którego pędził z ta-

kiem upragnieniem, czuła, że nikt się już nie odezwie do niej, że w grobowej ciszy przyjdzie jej liczyć długie dni jednostajne, dzielące jeszcze od wiekuistego spoczynku.

Starościna, która dotąd, z praw swych nie ustąpiwszy, rządziła majątkami Ordyńskich i dochody z nich pobierała, acz niemi hojnie bardzo szafowała dla wnuka i synowej, miała jednak zapas zawsze, i to może dawało jej pewną konsyderację u ludzi, a trochę poszanowania u podczaszyny.

Nigdy, pomimo usilnych żądań i nalegań, nie chciała się zrzec praw do mężowskich dóbr i sum zahipotekowanych na nich, nie żeby chciwą być miała, ale że w tem upatrywała środek odroczenia przynajmniej ruiny majątku, którym szastano nad miarę, mając go za coś niewyczerpanego.

Wszystkie teraz projekta podróży, wymagające znacznej gotowizny, wyekwipowanie Alfiera, urządzenie jego dworu oparły się o staruszkę. Alfier wysłany został w poselstwie do babki, a ledwie wszedł na próg, starościna, oczekująca ambasadora, wiedziała już, o co chodzi... spojrzała mu w oczy, gdy ją w rękę całował, i pokręciła głową.

— Coś mi wasze bardzo pokorny, — odezwiała się — założmy się, Michasiu, że cię wysłano w poselstwie do mojego kantorka? A cóż, nie zgadłam? — dodała, widząc zdumienie i pomieszanie na jego twarzy.

— Otóż jeszcze waści powiem, — ciągnęła dalej — co ci podczaszyna dysponowała, gdyś tu szedł: widzisz, nie przez Ducha Świętego o tem wiem, ale czytam w twarzy twojej, jak z drukowanego. No, no, mów już, co ci kazano, bez żadnych przygotowań, prosto z mostu — ileż tobie i twojej matce potrzeba?

— Babuniu kochana, jeśli już o tem mowa, naturalnie, że — co łaska jej.

— Aha! ale przecież! Tysiąc dukatów dla waści, a tysiąc dla podczaszyny? zdaje mi się, że powinny by wystarczyć, przytem co możecie mieć ze swego? No, jakże?

— Kochana babuniu, mama jedzie do Włoch, to drogi kraj, a ja muszę się sztyftować do stolicy.

— To znaczy, że potrzebujecie więcej, no, powiedzże mi, z czym ciebie przysłano? tylko szczerze, Michasiu, jak mnie kochasz, szczerze.

— Mama prosi tylko o pożyczanie.

Staruszka ruszyła ramionami.

— Dwóch tysięcy dukatów, a ja...

— No? a ty?

— Ja, co łaska!

— A waszeć mnie już nudzisz z tą łaską! wiesz, że łaska na pstrym jeździ koniku! No! nie frasuj mi się! dam i matce i waści, panie Michale, wolę już to, niż żebyście mieli po tych festynach, co wszystek grosz wyciągnęły z domu, u Żydów pożyczać lub wiośki zastawiać. Zamknijże waść drzwi i podaj mi rękę.

To mówiąc, staruszka podniosła się z ciężkością, wzięła kluczyk, który jej nigdy nie odstępował, bo we dnie wisiał u pasa, a w nocy leżał pod poduszką, i zbliżyła się, opierając na Michale, do starego gdańskiego biurka.

— Gdyby tak na mnie, — mówiła, idąc — jabym waści nie wyprawiała bardzo szumnie, ale po staropolsku, z trochę grosza tylko, żebyś się waść zaraz przyuczył oszczędności. Pamiętać powinienes, Michasiu, że dziad twój nieboszczyk, niech mu tam Bóg przebaczy, całkiem był fortunę Ordyńskich prześwistał, a gdyby nie poczciwy ksiądz Adam infułat i nie moja praca, nie mielibyście chleba kawałka. Grosz, moje kochanie, przychodzi bardzo ciężko, ludzie na niego w pocie czoła pracują i żebyś o tem pamiętał, moje serce, to ci też inaczej nie dam, aż mi musisz te dwa tysiące dukatów, co je dla siebie bierzesz, po jednym przeliczyć. Rąk sobie nie powalasz, bo to złoto czyste, a jak się znudzisz, to zato kiedyś sobie przypomnisz, co to kosztować musiało pracy zebrać ten tysiąc i drugi po jednym obrączkowym.

Michaś trochę się skrzywił, ale z babunią, gdy co powiedziała, nie było sposobu.

— Wszakże to pewnie liczone! — rzekł pocichu, próbując się trochę wykręcać.

— I liczone, i pieczętowane, — odpowiedziała starościna — a dlatego, kochanie, po jednym musisz mi je wszystkie na stole przerachować.

Jakkolwiek pilno było Alfierowi do matki, która niecierpliwie wyglądać musiała jego powrotu, wszakże, zadość babce czyniąc, kilka godzin z tem złotem się parał, póki go w porządne kupki nie ułożył.

— Od matki waszeć — dodała staruszka wkońcu — weźmiesz dla mnie skrypcik, niech to sobie leży, a swego mi grosza szanuj i nie puszczaj z wiatrem, bo do dziurawej kieszeni djabeł dziurą włazi.

Alfier na wspomnienie djabła drgnął mimowolnie, spojrzął na obraz św. Michała, z którego właśnie, ostatnim blaskiem dnia uchodzącego obłany, zdawał się nań wytrzeszczać oczy ów szatan, co go i we snach ścigał. Dziwnem jakimś przywidzeniem zapewne, zdało się Michałowi jakby mina djabła wcale była inna niż dni powszednich — wyraźnie się jakoś uśmiechał do niego wykrzywionemi usty, z piekielną radością.

— Co za śmieszność — rzekł sam do siebie, wychodząc — zawsze mi się jakieś głupstwo przywidzi, przyśni! Napróżno mi Labe Poinset dowiódł argumentalnie, że djabeł jest szczątkiem politeizmu, manicheizmu, utworem wieków ciemnoty i przesądów — zawsze po dziecinnemu dreszcze po mnie przechodzą, gdy na ten obraz spojrzę. Ależ bo malarz ohydnie go wystawił! Głupi malarz! fe! fe! nie myślmy o tem.

— Cóżes to się tak zamyślił? — zapytała wymykającego się babka, która na twarzy opanowanie jakieś spostrzegła.

— El to ten djabeł, — rzekł, śmiejąc się, Michał — ile razy na niego spojrzę, choć przypadkiem, nie wiedzieć co się ze mną dzieje. Dzieciństwo. Ktoby w djabła dziś wierzył, a ja czegoś go nie lubię jednak!

— Kochanie moje, — pogoniła babka słowem za

uciekającym — nic to nie szkodzi, że się jeszcze djabła boisz, bylebyś o Panu Bogu pamiętał!

— Nie tak straszny djabeł jak go malują — mruknął Alfier, drzwi zamykając i wymknął się, śpiesząc do oczekującej matki.

XV.

W kilka tygodni potem wiosna już była zielona, wonna, rozwita, a dziedziniec pałacowy w Głuszy zajmowały karety wypakowane, bryki, wozy, ludzie i konie. Podczaszyna wraz z synem opuszczała Głuszę, — ona smutna i obojętna, szukając tylko roztargnienia, on wesół, szczęśliwy i pełen nadziei.

Oddawna nie wychodząca ze swego mieszkania w oficynie, starościna dnia tego kazała się sprowadzić ze wschodów, i z pomocą Anusi przywlekła się do niebieskiej sali, pożegnać tych, co ją tak w osamotnieniu na dni ostatek rzucali. Siedziała biedna w krześle, milcząca, zamyślona, niekiedy okiem modlitwy pełnem spoglądając na zwijającego się podczaszyca. Obok niej nieodstępna Anna, z minką, w której trochę dumy niedobrze pokrywało smutek, patrzyła także na młodego chłopaka, już daleko od nich sercem wylatującego.

W pałacu ruch był jak na wyjeździe, wszystkie wspaniałe sprzęty pochowano i poprzykrywano, paki i paczki zalegały sięń i pokoje, gmach już zawczasu czuć było pustką — kładł po mieszkańcach żalobę. Zewsząd słyhać tylko było przelatujące rozkazy, niecierpliwienia się podczaszyny, urywane śmiechy jej syna i łoskot biegających żywo ludzi. Labe Poinsoz z miną pełną przybranej powagi, jak przystało na przyszłego sekretarza królewskiego, kierować jeszcze raczył wyborem, niewiele się odzywając i zdając dumać o nowem przeznaczeniu.

W bocznym gabinecie przebiegający podczaszy

spotkał się z posłaną po coś Anusią i mimowolnie oboje się zatrzymali.

— Panną Anna mnie nawet nie żegna? — spytał trochę smutnie Michał — nie będę miał na drogę ani krzyżyka, ani pamiątki?

— Do czego to panu ode mnie, — odpowiedziało dziewczę cichym głosem — pamięta się i bez pamiątki, często i z nią zapomina, a pożegnać czyż mi wolno?

— Anusiu, Anusiu, ty sobie ze mnie żartujesz, — z nagłym uczuciem biorąc jej drżącą rękę, rzekł podczaszyc i ciszej dodał — ty o mnie zapomnisz?

— Ja? nie! — odpowiedziała, podnosząc oczy — pewno nie, ale pan?

— O! i ja! nie myśl, żem tak płochy, jakim ci się może wydaje.

— Na nieszczęście!

— Anusiu, daj mi choć ten srebrny pierścioneczek, powieszę go na piersi razem z krzyżykiem babki — przypomni mi młodsze lata!

Zawahała się trochę dziewczyna, lży już mając w oczach, ale jakby jej myśl jakaś przyszła, nagle żywo ściągnęła z palca żadaną obrączkę i podała ją podczaszycowi, nie śmiejąc go o nic prosić nawzajem. On zsunął turkusowego węża z ręki, włożył go na palec Anusi, pocałował różowe paluszki — i zniknął.

— Wszystko gotowe! gotowe! — rozległy się wołania po sali pałacowej.

— Gdzie pan podczaszyc? — spytała matka, wstając z krzesła i zbliżając się ku starościnie dla ceremonialnego pożegnania.

Kilka sług rozesłano szukać pana podczaszyca i znaleźli tylko płaczącą w kątku Anusię, która im na zapytanie wskazała bibliotekę.

We drzwiach ukazał się nareszcie Michał z różową jakąś książeczką pod pachą, trochę zmieszany, z czołem powleczoneм zadumą. Podczaszyna wskazała mu niecierpliwym ruchem babkę, a sama, przystąpiwszy do niej zaraz, udała, że ustami dotyka zmarzniętej jej dłoni, gdy staruszka z uczuciem przyci-

skała ją do piersi. Kolej przyszła na wnuka — tu łyzy, już dłużej utrzymać się nie mogąc, potoczyły z powiek nabrzękłych — rozplakała się starościna, tuląc głowę klęczącego przed nią i równie rozplakanego Michala.

— Michasiu mój kochany! Michasiu, — odezwała się cicho — my się pewnie żegnamy z sobą na zawsze, pamiętaj, pamiętaj nauki moje, nie zapominaj o Bogu, a Bóg cię nie opuści. — Nie opuszczaj modlitwy, a pomódl się też za duszę tej, która cię równo z życiem kochała. — Nie splam imienia Ordyńskich, a niech cię Bóg, Matka Jego Najświętsza i wszyscy Święci Pańscy wiodą i błogosławią, niech cię Anioł Stróż „w drogę pokoju i szczęśliwości prowadzi“ *). Dziecko moje... nie zapominaj tam o starej babce... bądź zdrów, bądź szczęśliwy... w imię Pańskie błogosławie!

Podczaszynę już niecierpliwiło to długie i łkaniem przerywane pożegnanie i błogosławieństwo, a więcej jeszcze łyzy syna, których zdawała się zazdrościć — trąciła go, tupiąc nóżką i szepcząc.

— Alfierze, skończte to, jedziemy.

Alfier powstał, raz jeszcze całując rękę babki, która poczęła zaraz odmawiać modlitwę na jego intencję, a nie chcąc sama pozostać w pustce, kazała się wyprowadzić w ganek za wychodzącymi. Długi szereg powozów i bryk z wesoło prychającymi końmi stał już przed gankiem, podczaszyna, ani spojrzawszy na zgromadzonych dworaków, co ją pożegnać przyszli, rzuciła się co najprędzej w karetę i rozkazała ruszyć natychmiast.

Podczaszyc pobiegł do zasmuconych i serdecznym uściskiem lub kilku słowy każdego z nich pozdrowił. Ledwie mu dał dokończyć Labe Poinso, zżymający się równo z podczaszyną na te czułości, których nie pojmował. Przeżywszy tu lat kilka jak ptak na gałęzi, zimno i obojętnie odlatywał, nie zostawując po sobie, tylko odrazę i nieprzyjaciół.

*) Słowa modlitwy za podróżnych.

Powóz czekał na nich, Francuz się niecierpliwił, a Alfier biegł jeszcze od jednego do drugiego, spoglądając po twarzach, a trochę i po oknach. Nareszcie, obok starościny, żegnającej go poświęconym krzyżkiem, zjawiła się Anusia, spotkały raz jeszcze wejścia, powtórzyło pocichu słowo pożegnania, a Poin-sot skoczył, nie czekając, do karety.

Podczaszyc poklął raz jeszcze przed babką, pocałował ją w dłoń, nie miał już siły odwrócić się do Anusi i wskoczył także do powozu, który szparko ruszył z miejsca.

Za nim długim sznurem pociągnęły się dwór, kuchnie i cała czereda nienawistnych Francuzów, których pan Sieniński ścigał dość obojętnem okiem, pokręcając wasa. W długiej alei lipowej, zielonej teraz i cienistej, potoczył się tuman kurzawy, pociągnął za odjeżdżającymi i zakrył ich oczom patrzących.

Sieniński z córką, wzięwszy pod ręce staruszkę, poszli z nią powoli do jej mieszkania, nie śmiejąc słowem się odezwać, tak pojmowali potrzebę milczenia opuszczonej starościny.

Wchodzili na górę, starościna nic jeszcze nie mówiła, w ostatku odwróciła się do Sienińskiego z wesołą dosyć twarzą.

— Mój kochany, poślijno mi wasze po księdza kanonika.

Stary aż się cofnął.

— A on tu naco? — zapytał.

— Zachciałeś, chcę się z nim rozmówić, staremu nie zaszkodzi z Bogiem się pojednać, bo niewiadomo kto z brzegu. — Wymówiła to jakoś słabszym i drżącym głosem, oparła się silniej na rękę wiodących i kazała wprost nie na krzesło się prowadzić, ale do łóżka.

Nie potrzeba mówić, jak się Sieniński przestraszył i drapnął zaraz, żeby co najprędzej po kanonika posłać. Anusia została przy starościnie cała we łzach i strachu niewymownym. Chora jednak powoli trochę sił, a nawet wesołości swej zdawała się odzyskiwać i poczęła od wyburczenia Anusi.

— E, wstydziłabyś się asanna, — rzekła — nie wiedzieć czego smutku mi dodawać, ja tego, wiesz, nie lubię. Choć się czuję źle, to mi koło mnie powinno być wesoło, a co to pomoże? Podaj mi książkę, mów litanję o szczęśliwą śmierć, a nie szlochaj, bo to się na nic nie zdało, mnie tylko rozkwasza.

Na podłożonych poduszkach usiadła starościna, podniosła w rękę krzyżyk, przed którym się była modlić przywykła, ustawiła dokoła swoje obrazki poświęcane, złożyła dłonie i poczęły się modlitwy.

Nad wieczorem dopiero, przerażony wieścią o słabości starościny, zjawił się ksiądz kanonik, dawny przyjaciel domu Ordyńskich, zgrzybiały, pochylony wiekiem i o kiju ledwie suwający się staruszek.

Starościna odwróciła się ku niemu z uśmiechem, którym go chciała odrazu rozchmurzyć, bo nie lubiła przy sobie smutnych twarzy.

— A co, kanoniku? — odezwała się, uśmiechając — nie mówiłam ci, że mnie chować będziesz? Ot, coś się na to zbiera, że zakład wygram, a pamiętasz, miałeś sto pacierzy zmówić za duszę moją.

— Niechże Bóg uchowa! — drżącym głosem odpowiedział starowina, przybliżając się do łóżka — czyż jw. pani starościna chora? Toby naprzód posłać po fizyka.

— O! racja fizyka! — wesoło odpowiedziała starościna — co tam fizyk pomoże na starość! Żart nabok, jegomość dobrodziej wypowiadasz mnie naprzód.

W godzinę potem, cała w bieli, jaśniejąca spokojem lat święcie przeżytych, pani Ordyńska, klęcząc, bo chciała, mimo osłabienia, koniecznie w tej postawie pokornej powitać Pana nad pany, który przychodził do niej, przyjmowała Sakramenta wobec całego dworu, strwożonego i rozplakanego. Nic jednak w niej nie przepowiadało rychłego zgonu, do którego się tak śpiesznie przygotować pragnęła.

Wieczorem piła kawę swoją z księdzem kanonikiem razem i rozmawiała z nim wesoło, prosząc, ażeby do jutra nie odjeżdżał.

Z przestrachem wszyscy zbliżającą się noc ujrzeni, ale na śnie upłynęła spokojnym; starościna wstała, zdawała się rzeźwiejszą, cała jednak zaprzątńiona zawsze myślą rozporządzeń pogrzebowych; podobowano pudła i skrzyneczki, w których były: bielizna, ubranie, świece i inne potrzeby na ów wielki dzień przygotowane. Z wielką przytomnością gospodarowała staruszka; podyktowała testament kanonikowi, kilka listów napisała własną ręką i znów napiwszy się kawy, rozpoczęła modlitwy z Anusią.

Słońce już zachodziło i słowik znowu poczynął śpiewać zawzięcie, gdy staruszcze zachciało się kazać otworzyć okno od ogrodu; przystawiono jej krzesło, usiadła na niem, wychyliła się, żeby wciągnąć wiosennego powietrza, spojrzała po zielonych drzewach, łąza cicha stoczyła się po twarzy bladej — i była ostatnią.

Po chwilce zamknęła oczy, usta jeszcze jakiś czas poruszały się modlitwą, rozpogodziła czoło, błogi uśmiech zakwitł na licu zgrzybiałem, pochyliła głowę na piersi, z rąk wypadł różaniec — starościna Bogu ducha oddała!

Nawpół drogi do Warszawy umyślny dogonił podczasynę i Michała z wieścią o śmierci babki. Michał chciał powrócić nazad i sam do grobu martwe odprowadzić zwłoki, ale surowe skinienie matki, która ruszyła ramionami na to, suchem okiem przyjąwszy obojętną wiadomość — wstrzymało syna.

Powozy pociągnęły dalej ku stolicy, a w Głuszy Sieniński tylko i Anna z kanonikiem poszli za trumną staruszki.

XVI.

Był to wieczór zimowy; stolica z przymrozkiem, który ulice jej osuszył, nowego nabrała życia. Warszawa w epoce, o której tu mowa, nie była ani tak czystem, ani tak uporządkowanem, jak dzisiaj, miastem. Odznaczała się ona wszakże zawsze pewnym

sobie właściwym wdziękiem i tą ruchawością, która ją i teraz jeszcze ożywia. Fizjognomji jej nie brakło charakteru wybitnego i strony malowniczej.

Była to jeszcze mieszanina starych gmachów i nowych pałaców, kamienic z XV wieku, wysokich a wąskich i domków świeżo jak z pudełka wyjętych, brudnych, zażydzonych kątów i wspaniałych budowli i ogrodów; śmiecia i okazałość dziwnie się tu z sobą łączyły, mieszały, stanowiąc najoryginalniejszą sprzeczność.

Rzadkie pasy światła od latarni, które słabo gdzieś niedaleko rozjaśniały ulice i blaski mdławie rzucały na piętrzące się gmachy, powiększały urok tej fantastycznej panoramy. Kiedy niekiedy przesuwały się wśród cieni owe karety wąskie w dole, rozszerzone u góry, zaprężone tarantami, poprzedzane laufkami lub hajdukami, które widzimy jeszcze na obrazach Canaletto; pudło ich, zawieszone na długich drągach, trzęsło się, dygocząc po nierównym bruku, to znów przelecieli jeźdźcy zbrojni, czereda jakiego pana, orszak piosł, połyskujący bronią, przesunął się z pochodniami poprzedzającemi go paź królewski lub szambelan z biletem czy poselstwem tajemnem; przewlókł żebrak szepczący modlitwę pocichu, lub zahuczała kupka szlachty, wychodząca z Pod złotego grona, z Pod murzyna, z Pod kogutka. W oknach większych gmachów, niedobrze osłoniętych firankami, szeregi światła oznajmywały huczne zabawy — buchała z nich muzyka, okrzyki, śmiechy i wrzawa. W głębi ozwał się gdzieś daleko powolny dzwonek klasztoru, zwołujący na pacierze i zdający żałośliwie jakieś jęczeć nad grobem: *memento!*

Niektóre sklepy jaśniały jeszcze lampami, rachując na wieczorne potrzeby kupujących — garkuchnie zapraszały do siebie, winiarnie mrugały na przechodzących, a chłopczyki z latarniami latali, poglądając, skądby też kogo odprowadzić można i groszyk jaki utargować. We mroku i ciemie przemykały się bokami ulic jakieś postacie zakryte, osłonięte, tajemnicze, po któ-

rych niepewnym chodzie poznać było można, że się lękały światła i oka.

We dnie, człek się wstydzi wielu rzeczy, które po nocy zrobić gotów, by je nazajutrz opłakiwał.

Nie bez przyczyny też życie gorączkowe obrało sobie noc, jako stosowne pole występu — dzień nadto jasno mu świeci, a niema w nim tych gwałtownych sprzeczności blasku i cieni, których na tło obrazów jego potrzeba.

Oto właśnie wśród takiej fantastycznej nocy, na zakręcie z Senatorskiej ulicy na Miodową, ukazuje się coś dziwnego, w szarym pomroku nocy, okrytej płaszczem chmur ciemnych.

Dziesięciu pacholców z pochodniami przodkują jak przed pogrzebem; dokoła nich uwija się z nawpół otwartych bram wywabiona dziatwa uliczna, nie mogąca pojąć, coby ten widok znaczył, i tem goręcej ciekawa.

Za szeregiem świateł, po śniegu zaledwie przymarzłym i nie strzymującym jeszcze głębokiem błocie brnie kilkudziesięciu panów pieszo, w ponarzucanych na ramionach szubach i różnego rodzaju futerkach. Są tu i polskie stroje na spasyłach jakichś postaciach, ale daleko więcej francuskich, wytwornych fraków, pończoszek i trzewiczków, peruk upudrowanych, cienkich szpadek i stosowanych kapelusików.

Starzy i młodzi wykrzykują głośno, śpiewają, wszyscy się zdając w bardzo wesołym humorze. Ale każdy śpiewa co innego, innym tonem i miarą, i najdziwniejszy chaos klei się z tych wrzasków pomieszanych z muzyką. Złapano widać gdzieś w szynku przypóźnionego cymbalistę i bębenek, i dawszy w kark, kazano iść przodem przed panami. Żydek pokorny, czapkę wzięwszy pod pachę, zawinawszy sino podszyte poły długiego żupana, rznie na cymbałach polskiego, którego jednak ani słyhać. Niekiedy tylko zahuczy bębenek bachura, który Żydowi towarzyszy, zadzwonią dzwoneczki, i znów zagłuszy je hałas pijanej czeredy.

Orszak to zaprawdę ciekawy, wesołych ludzi, którym dobrze dziać się musi na świecie, że tak sobie swobodnie hulają. Co za twarze rozjaśnione, jakie miny butne, oczy iskrzące, a usta rumiane! Malownicza to scena, na tle nocy ten długi szereg wystrojonych panów, brnący samym środkiem ulicy, mimo brylantowych spinek u trzewików i białych jedwabnych pończoch na nogach. Czasami podrzuci ktoś weselszy czapkę do góry, wołając:

— Wiwat księżę podskarbi.

I za nim wrzeszczą wszyscy: wiwat! wiwat! Kilkunastu, już ledwie trzymających się na nogach, ujęli się pod ręce i *junctis viribus*, ławą, jak to mawiali starzy, prą się naprzód.

W pośrodku niesiony na rękach jakiś wybladły, wypłowiwały, fałszywego wejrzenia i szatańskiego uśmiechu człowieczek, w górę podniesiony, nieco sztydersko spoglądając, panuje otaczającym. Jego rysów, z których krew uciekła, szła nawet i chłód zarumienić nie mogły — uderzają trupią białością i szkaradnym wyrazem wyniszczenia, w pośród rumianych głów reszty towarzystwa odróżniającym tę maskę, z paradnego ubrania, koronek, wstąg i gwiazd wystającą.

Koło niego, choć wśród ulicy, słychać szcęk butelek i kieliszków, a niekiedy rozbijanie ich o ziemię.

— Do pałacu księcia podskarbiego! — odzywają się na przodzie wiodący.

I wszyscy toczą się dalej po śniegu i błocie. Rozpustną piosenkę zanucił ktoś z idących w pośrodku, chórem odpowiadają mu wszyscy, a radośne hu ha! rozlega się wśród ulic aż po przysionkach kościołów, które mijają, nie schyliwszy głowy!

Z karety, która tuż nadbiegła, wysunęła się w tej chwili prześlicznie upudrowana i wyfryzowana, wdzięczna główka młodzieńca, który ze zdziwieniem i przestachem poglądał, nie mogąc pojąć, co się stało i dlaczego wstrzymywano go wśród ulicy.

— Nabok z kareta! — wołali pijani. — Ale ulica była tak ciasna, z obu jej stron leżały jeszcze stosy

drzewa i kupy nagromadzonego śmiecia, że rozminąć się było niepodobna.

— Co to jest? — zapytał głos z karety.

— Wiwat księżę podskarbi! Krzycz w. pan wiwat! lub wywlecemy cię z karety i zmusim pić na klęczkach zdrowie księcia podskarbiego.

— Podskarbiego, — odezwał się ktoś, przystępując do powozu z nalanym i do pół wylanym kielichem.

Młody człowiek, siedzący w karecie, nie wiedział, co począć z sobą, ale nie było sposobu, bo go już zastąpiono dokoła od drzwiczek i okien. Wtem jakiś otyły, z gęstą miną jegomość w mundurze, na którego jednym ramieniu suta szlifa jeneralska się kołysała, wpatrzywszy się w obłązonego, zawołał:

— A! *ma foil* to pan podczaszyc Ordyński. O! z nami! z nami, nic nie pomożesz! Do księcia podskarbiego na wieczerzę, młody paniczku, ani się nam wykręcisz! to darmo! Wiem, bo byłem w Głuszy z królem jegomością, żeś tęgi do hulanki, stworzony do naszego towarzystwa, więc nie puścim cię na sucho! Musisz iść z nami, ale, jak my, *piechotare debes!* Odprawiamy, jak widzisz, pobożną pielgrzymkę do pałacu księcia podskarbiego, na którąśmy sobie uczynili *votum u synowca jego*.

— Ale, panie jenerale, ja nie mam honoru znać księcia.

— To najmniejsza rzecz, wyłażno jegomość, ja cię tu zaprezentuję, ale z kielichem w rękę, inaczej nie.

Tak niespodzianie wcale podczaszyc, powracający z wieczora u starościny małogolskiej, gdzie z rozkazu matki dłużej od niej zabawił, znalazł się w całkiem nowem dla siebie towarzystwie, wpłątany w rozpasaną hulankę, niespokojny, na czem się skończy, ale w głębi rad może ujrzeć jeden z tych sławnych balików, o których słyszał i marzył z ciekawością i strachem.

Hurmem wtłoczył się tłum cały do wielkiej sali rześisto wyiskrzzonej, zwłaszcza dla oczów już do ciem-

ności ulicznej przywykłych. Na górnym jej balkoniku huczna kapela zagrała w tej chwili poloneza, który po cymbałach anielską się też wydał muzyką.

Sala ta, dosyć wspaniała, obszerna, w chwili zabryzgana została błotem, którego dość z sobą przynieśli biesiadnicy. Niektórzy z nich zaraz obalili się na kanapach i krzesłach, inni poczęli tańcować, a tuż i lokaje w paradnej liberji z herbami Śreniawą i Łodzią weszli z koszami wina i tacami pełnymi kielichów i puharów. Wielkie drzwi pan generał zamknął na klucz, rozbił szybę łokciem i klucz na ulicę wyrzucił.

— Mam tego za kpa, kto nam placu nie dotrzy-
ma! — zawołał.

To, co w początku dziwnem jakoś i przykrem, straszmem nawet pokazało się Alfierowi, teraz, powoli przekształcając się, wesołem i miłym poczynąło mu przedstawiać. Twarze, któremi był otoczony, przybierały wyraz szlachetniejszy, słowa dolatujące miały znaczenie przyzwoitsze, dostrzegał przez mgłę jakąś i dobrego tonu, i dowcipu, i filozoficznego pojęcia celu ziemskiej pielgrzymki!! niestety! widział tak wiele, że nawet to, czego tam było najmniej, dopatrzył. Pan generał, który się przyprzągł do podczaszyca, nie odstępował go, pilnując z troskliwością nauczyciela, ujął go pod rękę i gdy drzwi otworzono, poprowadził z sobą do wieczerzy. Zdziwił się wielce Ordyński, wchodząc z innymi po kolana prawie zabłocony do jadalnej sali, wśród której ogromny stół był zastawiony, ujrzawszy w niej kilka strojnych kobiet, oczekujących na towarzystwo. Ale żywy rumieniec pokrył mu twarz, gdy uspokajając go, generał szepnął do ucha:

— To są Włoszki z baletu, aktorki i inne *ejusdem farinae* panienki bez ceremonji, które księżę dla ożywienia towarzystwa zaprosił.

I popchnięto go, jako mniej znajomego, naprzód, a miejsce mu dając, generał posadził go przy uśmiechniętej dziwnie smutnawo laleczce, której sukni dotknięcie jakby ukropem oblało podczaszyca.

Nie śmiał na nią spojrzeć Michał, spuścił oczy, ale zawstydzwszy się swego wstydu po chwilce i bojąc, by się z niego nie śmiano, podniósł wzrok, udając nagle bardzo wielkiego śmiałka.

Właśnie w tej chwili panienka chciała także rozpatrzeć się w swoich sąsiadach i oczy jej, jasno-niebieskie, zielonawe oczy padły na Ordyńskiego; uśmiech odkrył białe jej ząbki, a lekki wykrzyk dał się słyszeć z ust Włoszki.

— A! — zawołała, poczynając się śmiać — cóż to za nieznany śliczny *cavaliere*? Skądżeście go wzięli, panie jenerale?

— Zdobyliśmy go, biorąc szturmem butelek, pociskami karetę jego, — odpowiedział stary, mrugając oczyma i ustami — jest to, jak w. panna widzisz, niewinny baraneczek, prosto ze wsi, którego wychowanie dziś dopiero rozpoczynamy. Oddaję go w ręce twoje, piękna Frascatello! — dodał z uśmiechem — choć nie taję, że wolałbym kogo innego, nie ciebie, coś cnotliwa do śmieszności i sztylecik nosisz za pasem.

Ordyński cały się zapłonął, przeklinając i jenerała, co go demaskował przed temi paniami, i rumieniec niepotrzebny, który zdradzał jego nieoswojenie z podobnemi scenami. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, a sam książę podskarbi wziął go za cel grzecznych przekasów.

Wieczera rozpoczęła się od kieliszków, a składała po większej części z zimnych potraw, z pasztetów i najwykwintniejszych łakoci, których znużone podniebienie starych smakoszków potrzebuje. Podczaszyca paliło i upajało, co wziął w usta; zmieszany tem, popijał, coraz bardziej tracąc przytomność. Wprawdzie miał on młodą i dobrą głowę, ale niełatwo dając się upoić do ostatka, czuł się przecie w tym stanie podniecenia, szału, w którym już człowiek za swe uczynki odpowiadać nie może. Wino czyniło go coraz śmielszym, uśmiech stawał się weselszy i głośniejszy, dowcip rozpowiadał się z pieluch, usta rozwiązywały, a nau-

ki Labe Poinsoł o użytkowaniu z życia przychodziły na pamięć w samą porę.

Obejrzał się nawet parę razy na Frascatellę, obok siebie siedzącą, która nieustannie w niego wzrok wlepiony miała, i zaczynał coraz uważniej jej się przypatrywać.

Śliczne to było dziewczę, ale jej piękność więcej uderzała oryginalnością swoją, niż prawdziwie idealnym typem. Przy kruczej czarności włosów, których niezmierne sploty okrywały głowę, podpięte po włosku wielkimi złocistymi szpilkami, miała twarzyczkę białą, matowej bladości, przezroczystość i delikatność cery nadzwyczajną, maleńki kształtny nosek, usta bardzo drobne i pełne wyrazu, a oczy niebiesko-zielone, koloru morza.

Strój jej nie był bogaty, ale tak smakownie i umiejętnie ułożony, że wdzięk jej jeszcze podnosił. Miała suknię koloru purpurowego z białymi koronkami, wielką różę we włosach, w rękę prześliczny wachlarzyk ze słoniowej kości i minjatur, cały strojny w strusie pióra; tym wachlarzykiem wywijała jak bronią. U pasa, na łańcuszku zatknięty był mały sztylecik w brązowej oprawie, który jej nigdy nie opuszczał.

Alfier wpatrywał się i wydziwić jej nie mógł, ale i ona jemu. Pierwszy to raz może zbliżyła się do niej istota tak młoda, świeża, piękna, z niestartym jeszcze żadnymi zbyt rumieńcem, z naiwnym prawie uśmiechem, z tem drzeniem w głosie i niewinnością patrzącą z oczów, która jest najczarowniejszym z talizmanów.

Tymczasem panowie pili, wykrzykiwali, a towarzystwo tych dam istotnie bardzo się ich zdawało ożywiać, chociaż mając je i żartując z niemi, niewiele z tych istot dobyli dowcipu; śmiały się piękne usta, ale z nich nic widać nie było, prócz prześlicznych ząbków.

Wkrótce zdjęto nakrycia, powynoszono oczyszczone półmiski, zostawując tylko butelki i kielichy; odezwano się o kości i karty. Niektórzy powstawali, inni zsunęli się w kupki przy dwóch założonych bankach, które czarodziejsko błysnęły natychmiast w dwóch końcach długiego stołu.

Jeden z nich założył suchy, wysokiego wzrostu, żółtej cery, czarnego oka i cudzoziemskiej fizjognomji mężczyzna, z którego stroju, pełnego brylantów, błyskotek, łańcuszków, kamei i pierścieni, poznać było można gracza z profesji, usiłującego dać wielkie wyobrażenie o swem bogactwie i wspaniałości. Rzucił on okiem, zawczasu zwyciężkiem, po zgromadzeniu, mruwnął do kogoś w ciżbie, i przyniesiono mu kutą szkatułkę, z której na początek wysypało się okrągło pięć tysięcy czerwonych złotych. Włoch ze zręcznością kuglarza zgarnął to złoto, pobrzękując niem i układając je, żeby się pięknie błyszczało, strzepnął kartami i zawołał:

— *La banque est ouverte! Le jeu est fait!*

I znowu powiódł okiem, licząc zawczasu swe ofiary, które z pokorą przeznaczonych na rzeź bydła tłumem się cisnęły pod nóż, wytrząsając kieszenie i sakiewki. Ksiązę podskarbi pierwszy dał przykład, stawiając sto czerwonych złotych (kredą) na kartę zakrytą — inni pośpieszyli za nim.

Na drugim końcu czupurna jakaś figurka, tłusciuchna, krągła, uśmiechająca się, miła aż do nudności, strojna także ale skromniej i z pretensją do wielkiego smaku, rzucała już kości na stół, zakładając grę także. Był to jakiś Niemiec, znany ze swej zręczności w grze tego rodzaju, który wszystkich ogrywał, ale słynął z tego, że z nim można było zrobić kto co chciał, tak niesłychanie akomodujący się był i grzeczny. Trafiało mu się znosić najprzykrzejsze grubiaństwa bez wzdrygnięcia, zarumienienia, cienia niecierpliwości, i jeszcze na nie odpowiadać ukłonem.

Tu także niemało się biesiadników skupiło, a brzęk złota, stukot kostek w kubku, strzepywanie kartami mieszały się z brzękiem nieustającym kieliszków i wrzawą pijaną. Jeden tylko Alfier jak przykuty do krzesła, siedział obok Frascatelli, która nie wstawiała, rozparła się tylko, zarzuciła główkę na wysoką poręcz i dumając wahała wachlarzem, machinalnie się nim bawiąc.

Położenie Ordyńskiego było nadzwyczaj przykre — nie miał najmniejszej znajomości gry i świata, wśród którego wpadł tak dziwnym przypadkiem; obawiał pokazać się nowicjuszem, lękał znów zbyt puścić cugli, a wino grające w nim popędzało ku wszystkiemu, od czego jeszcze młodzieńczy jakiś wstyd bezsilnie wstrzymywał.

Goście przytomni, stare wygi, poczęli potrosze śmiać się z zakłopotanego młodzika, czytając na twarzy, co się z nim działo.

— Będzie z waścią, panie podczaszycu, dużo do roboty, — zawołał znów jenerał — jeszcze, jak uważam, gotówes się turbować, żeś na noc pacierza nie zmówił.

Śmiechy słyszeć się dały, krew do głowy uderzyła Ordyńskiemu.

— Panie jenerale, — zawołał zdecydowany pokazać się daleko gorszym, niż był w istocie — proszę sobie nie wystawiać mnie tak młodym i tak niewinnym. Miałem przecie honor być uczniem Labego Poinot, do którego Voltaire pisywał listy, który kilka artykułów przysłał do sławnej encyklopedji i w najlepszych stosunkach zostaje z Diderot'em i d'Alembertem.

— A! kiedy tak, winszuję i przepraszam! Jesteś więc, jak uważam, bez przesądów, witamy w tobie jedną z podpór przyszłości Polski! witamy — i zdrowie podczaszycu Ordyńskiego, który nie mówi pacierza!

— Wiwat podczaszyc, który nie mówi pacierza!!! — odezwało się kilka głosów.

Frascatella z politowaniem jakimś spojrzała na niego ukradkiem.

— Wiwał podczaszyc! — dodał generał — który nie wierzy zapewne, jak ksiądz Bohomolec, ani w czarownice, ani w upiory, ani w zamówienia, ani w post, ani w włosiennice.

— W nic, czego rozumem nie pojmuję! — triumfująco dorzucił podczaszyc.

— Nu, a w Pana Boga? — zapytał Niemiec z uśmiechem filuternym.

— To wielkie pytanie! — chytrze odparł Michał, duszkiem dla zagrzania się wychylając kieliszek.

— A to i w diabła wmość także nie wierzysz? — wyrwał się inny głos ztyłu.

— Za kogóż panowie mnie macie, żebym w diabła wierzył? — ze śmiechem rzekł Ordyński.

— A! i w diabła nie wierzy! — powtórzył ktoś znowu.

— Naturalnie, że nie wierzę! — krzyknął Ordyński; odwrócił się, spojrzał, dreszcz go przebiegł po całym ciele, kieliszek niedopity z rąk mu wyleciał; pobladł i krzyknął.

Ażebyśmy sobie wytłumaczyli, co go tak niespodzianie przeraziło, przypomnieć sobie musimy wrażenie, jakie obraz św. Michała i przy nim odmalowany szatan czynił zawsze na podczaszycu; twarz ta wyrazistemi rysy wypiętnowała się była w pamięci jego, a ilekroć mu nawet przez myśl przeszła, jakiś strach go ogarniał; dreszcz przejmował, najeżały się włosy.

W chwili, gdy po raz drugi wiary w diabła się zapierał, odwracając się poza siebie, dla wyszukania, kto by go tak uporczywie pytał, ujrzał w zwierciadle odbite, strasznym wykrzywione śmiechem oblicze szatana, zupełnie podobne do pokonanego na obrazie przez archanioła ducha ciemności. Była to też sama twarz ohydna, z uśmiechem szyderstwa, pragnieniem zemsty i niewyciężoną dumą na czole, ale żywa, poruszająca się i osadzona na plecach istoty, która się w sali znajdować musiała.

W pierwszej chwili nie będąc panem przestachu, który go ogarnął, podczaszyc krzyknął, wstyd mu jednak było dziecinnej swej bojaźni i wytłumaczył się z tego nagłym bólem w nodze, którą, jak mówił, zwichnąć musiał, idąc po nocy, lub wysiadając z karety. Odwrócił się wszakże zaraz, szukając dokoła postaci, co tak niemiłe a silne uczyniła na nim wrażenie; ale napróżno przebiegł oczyma wszystkich zgromadzonych, zapuszczał wzrok w kupki najdalsze, nikogo podobnego znaleźć nie mógł. Upokorzony wreszcie, zniechęcony, usiadł w krześle obok Frascatelli, która z uśmiechem dwuznacznym poczęła się wypytywać o jego skaleczoną nogę.

— Nic to, — odpowiedział obojętnie, ale posepnie — przejdzie ten ból, nie warto nań uważać, wstyd mi tylko mego krzyku.

— Zapić tę sprawę! — poddał pan jenerał, przykładem wskazując, jak się duszkiem spełnia kielich.

— Zapijmy — weselej odpowiedział Michał.

— Zdrowie pięknej, choć okrutnej Frascatelli!

Ordyński podniósł kielich w górę, uklonił się tancerce z uśmiechem i, patrząc w jej oczy, wychylił duszkiem ogromną szklanicę.

— A teraz, nie chciałbyś spróbować szczęścia, — szepnął, podchodząc, stary urwis — mówią, że ono zawsze nowicjuszom służy; zagraj! ja z tobą do spółki, chcesz?

— Nie mam prawie grosza przy sobie, — odpowiedział Michał pocichu — kilkanaście dukatów ledwie, wstyd mi to postawić, i grać doprawdy nie umiem.

— Wszystko to nie przeszkody, — odpowiedział nowy przyjaciel — wiele chcesz pieniędzy?

Michał zmieszał się, przywykł był grosz szanować; przychodziły mu na myśl nauki babki, ale próżność wołała, żeby się nie dać zaćmić i nie pokazywać bojaźliwym młokosem.

— Paręset dukatów — rzekł odniechcienia.

— Na, masz, — wsuwając mu zręcznie w rękę pa-

rę ruloników, odpowiedział pan jenerał — a te drugie dwa to moja spółka, graj a graj śmiało. Frascatella przy tobie, musisz wygrać.

Drżącą trochę ręką, ale z pańską miną, podczaszyc podsunął odrazu cały rulon na kartę, nie patrząc którą, a gdy bankier ciągnąć począł, on się odwrócił instynktownie ku pięknej Włoszce, żeby nie dać poznać, że go wygrana obchodzi. Ruch to był wybornie pomysłany, ale trochę zdradzał zbytnią pamięć na siebie, bo w tak młodym człowieku nie był naturalnym.

Pociągniono go za rękaw.

— Wygrałeś pan, — rzekł żółty bankier — co dalej? trzyma pan dalej?

— Trzymam dalej! — obojętnie rzucił słowo Ordyński, niedobrze nawet rozumiejąc, co znaczyło.

Frascatella z wyraźną litością i niepokojem spoglądała to na karty, to na niego, a uśmiech ust jej nie opuszczał, ale nie był to uśmiech wesela, była to powłoka smutku, tęsknoty, politowania.

— Pan wygrywa? czy idzie dalej? — ocucił go znów głos bankiera.

— I owszem, idzie dalej!

Jenerał z kieliszkiem w rękę, z krwią najzimniejszą napozór, pilnie przypatrywał się grze, ale gdy szósty raz wygrał podczaszyc, zmieniawszy dwa razy kartę, szepnął mu, odciągając go:

— Dosyć tego, postawisz pan znowu później mniejszą sumę, teraz się obrachuj.

W istocie czas było się obrachować, gdyż banku nie stawało, a szczęśliwy gracz ujrzał przed sobą niespodzianie kupę złota, z którą nie wiedział, co robić.

Ogromne brawo! ze wszystkich kątów sali zagrzmiało rozgłosnie, sam książę podskarbi zawołał o wino i przyszedł z uśmiechem wypić znowu zdrowie triumfującego podczaszyca. Bankier tymczasem dobywał ze szkatułki podanej pieniądze i bez najmniejszego wzruszenia zaczynał robić karty na nowo.

— Spisałeś mi się pan gracko! — obrachowując i ściągając swoje, odezwał się stary wyga — ja ba-

stuję i dalej nie myślę gonić za fortuną, żeby się do nas nie obróciła smutną twarzą; tych dwóch tysięcy kilkuset dusiów na ten raz będzie mi dosyć. Wmość, tak *gloriose* począwszy, możesz sobie, jeśli chcesz, kontynuować. Jedną tylko przyjm radę,—dodał na ucho—gdy zaczniesz przegrywać, co wkońcu nastąpić musi, nie zapalaj się i usuń od gry zawczasu.

Podczaszyc po świeżem zwycięstwie, ufny w swoje szczęście, z uśmiechem posunął dwa rulony, a sam odwrócił się znów do Frascatelli. Ale rulony potoczyły się do dawnego właściciela, za nimi poszły dwa inne i trzy jeszcze...

— Dość tego będzie, — ciągnąc go zlekka za połę, odezwał się pierwszy nauczyciel — świtać poczyną, dzień się robi, jedźmy do domu, wyprowadzę cię z sobą tylnymi schodami.

XVIII.

Po nocnych wypadkach, doznanych wrażeniach i całej tej hucznej biesiadzie, która mu się teraz dziwnym snem przy dniu jasnym wydawała, Michał czuł się czegoś niespokojny i zawstydzony. Blask dzienny rozpędzał resztę szału, wytrzeźwiał go i upokarzał. Przypomniawszy sobie teraz, gdy wino cokolwiek przesunęło, owe widzenie w zwierciadle w chwili zaparcia się djabła i poczynął śmiać z niego w duchu, przypisując je rozognionej węgrzynem wyobraźni.

— Już ciż o tem przynajmniej — rzekł w duchu — wątpić nie mogę, że djabła na świecie niema. Ależ to ładny szatanek ta Frascatella, tylko poco sztylecik u boku nosi?

Potrzeba było odwiedzić generała, który mieszkał tuż przy zamku, i powóz potoczył się na Krakowskie Przedmieście, ku bramie krakowskiej, w pośród licznej już na ulicach ludności, gwarnie dzień pracy, dzień Boży rozpoczynającej. Zewsząd słyhać było dzwony, weselej jakoś, niż w wieczór wzywające na

nabożeństwo do otwartych kościołów, skrzypiały wozy na targ ciągnące, przekupki rozstawiały stołki i otwierały stragany, odryglowano sklepy, zamiatano z przed kamienic szczątki wczorajszego życia, co się już śmieciem stały; kilku poważnych starców na laskach opartych, z książeczkami pod pachą, z różańcem w ręku, dążyło ku Bernardynom, przekupnie poczynali wywoływać świeży swój towar — wszędzie wesoło jakoś i raźnie dzień się otwierał, któremu też przy lekkim przymrozku piękne, zimowe, blade świeciło słońeczko.

Jenerał, który snąć dobrze pojmował, co się w młodzieńczej duszy dziać musiało, dawszy trochę podumać towarzyszowi swemu, przerwał wkrótce, klepiąc go po ramieniu z uśmiechem:

— A co, niezła, panie, Warszawka? — rzekł, śmiejąc się i pomrugując do niego — spodziewam się, że ci, panie podczaszycu, nie żal wsi, gdzie ludzie prędziuteńko mchem porastają i starzeją po dwudziestu pięciu leciech, tu dopiero życie! przyznam się asińdziejowi, że ja nie pojmuję, jak to gdzie indziej, nie w mieście mieszkać można. Ot, patrz waść, wołałbym już los Orlandiniego, niż najbogatszego szlachcica na wsi — dodał, wskazując pod krakowską bramą, przez którą właśnie przejeżdżali, dziwnego człowieka, ustawującego sobie wygodne krzesło na słomiance dla ochrony nóg podrzuconej u samych prawie wrót od strony zamku. Orlandini ów, acz nieznacząca figura i dziś zapomniana, gdyby jej rylec dowcipny Norblina nie unieśmiertelnił, był przecie charakterystycznym typem epoki, wśród której w Warszawie się zjawił. Rodzice jego, jak próbuje nazwisko, z Włoch pochodzić musieli, on sam urodził się w Polsce ze wszystkimi wadami wieku i narodu, do którego należał. Ojciec jego trzymał garkuchnię, 'syn' także spróbował być naprzód tego rzemiosła, pomagając sobie pochlebstwy i wszelkiego rodzaju posługami, jakie tylko przyjaciół możliwych jednać mogą. Godziwe i niegodziwe w słowniku jego nie miało miejsca, a to, co inni tak zowią, on zwał tylko taniem lub drogiem. Z garkuchni przeniósł się

do winiarni, ale i tu podupadać zaczął; bo jak w pierwszej sam jadł najwięcej, tak w drugiej spijał co najlepszego. Najał potem dom zajezdny, utrzymywał jeszcze konie i karety, ale wszystko się jakoś nie szczęściło, gdyż, pomimo zarobków, Orlandini żył, nie żałując sobie, szafując dla siebie i przez to nie tylko nie zbierał, ale coraz to kapitałiku nadkasywał.

Wkrótce nadeszła podagra i odjęła mu pobrząkle nogi, tak że się z trudnością z miejsca na miejsce mógł przenosić. Nie było już co począć z sobą, potrzeba było żebrać, pod pozorem uzbierania nowego kapitałiku na garkuchnię czy winiarnię.

Orlandini wszakże nie puścił się na pospolitego odartego żebraka, wyciągał rękę i kapelusz jak prawdziwy włoski lazzarone, z pewną godnością i dumą, niekiedy częstując tabaką, a zawsze jakim wesołym żarcikiem tych, co go częstowali pieniędzmi.

Zasiadał zwykle od strony zamku pod krakowską bramą, latem i zimą, w godzinach zwłaszcza, gdy jechali lub wracali z zamku znajomi jego, ale na wygodnem wybitem krześle i poduszkach skórzanych. Ujrawszy zdala karete, powstawał bardzo zręcznie na dwóch kulach, bez których się podnieść nie mógł, zdejmował trójgraniasty kapelusz ze starej poźółkłej peruki i z uśmiechem dobrej znajomości witał przybywających. Rzadki był dzień, żeby jednego lub więcej dukatów nawet nie złapał; król regularnie, ile razy jechał do miasta, kazał mu koniuszemu rzucać pół talarza, ale to było niechybne jak pensja. Inni panowie hojniejsi niekiedy aż do kilku dukatów pod dobry humor i za dobry koncept się posuwali.

Właśnie był sobie wystawił krzesło na grubej słomiance, obwinał nogi i posławszy po zwykłą porcję kawy do bliskiego kafenhauzu, zajadał ją ze świeżą bułeczką. Jadł i popijał tak żarłocznie, chciwie, z takim zwierzęcem łakomstwem, jakgdyby z wieczora opuścił kolację, chociaż obiady i wieczerze najregularniej i to w dobrej garkuchni miał zamówione, nie oglą-

dając się na to, choćby go talar i więcej kosztować miały.

Zresztą na inne życia potrzeby niewiele tracił, stancyjkę miał w tyle kamienicy pod krakowską bramą, mizerną i małą, ale w niej tylko nocował; ubrania nie kupił, bez obuwia z łaski podagry się obchodził, nogi mając tylko grubą flanelą poobwiązywane, a jedne trzewiki na cały rok starczyły.

Na widok karety, w której postrzegł generała, Orlandini schwycił się na kule, stawiając niedopitą kawę na słomiance i z wielką zręcznością, z uprzejmą a wesołą twarzą przybliżył się do powozu, wolno go mijającego.

— Stój, — zawołał pan generał — wygraliśmy dzisiaj, należy się staremu niedołędze jałmużna. Jak się masz, Orlandini?

— Do nóg upadam pana generała — głosem dosyć schrypłym, ale intonację miłą przybrać usiłującym, rzekł, podsuwając się pod same drzwiczki żebrak — a skądże to tak późno, czy tak rano? Jak tam szczęścieczko posłużyło?

Mrugnął okiem zapuchłym i zaspanym, a dopatrzwszy się kogoś drugiego w karecie, z ciekawością usiłował przyjrzeć się nowej, nieznałomej jeszcze twarzy podczaszycą.

— Kto to taki? — spytał pocichu, nie mogąc ciekawości pohamować — kto to, proszę pana generała?

— Podczaszyc Ordyński!

— Mam honor prezentować się jw. podczaszycowi, — głośno z ukłonem rzekł wesołym tonem Orlandini — jestem Mikołaj Orlandini, znany całej Warszawie i samemu najjaśniejszemu i najlaskawszemu panu naszemu. Miałem szczęście znać i nieraz przyjmować w domu moim jaśnie wielmożnego podczaszego, godnego ojca pańskiego, gdy jeszcze starał się o piękną księżniczkę W....., miło mi submitować się dziś przeznaczemu jego potomkowi!!

Podczaszyc z bardzo grzecznym ukłonem zaczerpnął w leżącej na kolanach chustce ze złotem i rzucił,

nie licząc, sztuk kilka Orlandiniemu; jenerał wsunął mu także dukata. Włoch nakrył głowę, dziękując z wielką godnością, jakby za wypłatę zaległej należności.

— Dziękuję! ślicznie dziękuję! i życzę jw. panom wszelkiego szczęścia! a podczaszycowi polecam się i submituję! nieraz pewnie przyjdzie mu przejeżdżać do zamku, niech nie raczy Orlandiniego, sługi swego, zapominać.

To mówiąc, trykorn już nałożywszy, pośpieszył skacząc na kulach do zostawionej kawy, którą uboższy od niego pies, wywróciwszy kubek, wypijał, bułką zajadając. Śmiali się przechodzący i kramarze, a Orlandini za uciekłym już psem wywijał groźnie kulami, klnąc na czem świat stał.

U wrót domu jenerała pożegnał go podczaszyc, śpiesząc do siebie, pewien, że matka czeka nań niespokojna, zwłaszcza, że w tym dniu właśnie, wczoraj zamek i znajomych pożegnawszy, wybierała się opuścić Warszawę, a Michał miał ją odprowadzać do Łowicza.

Nie mylił się, gdyż cała służba podczaszyny zgubionego jej syna jak szpilki po Warszawie szukała, a że nikomu na myśl nie przyszło zajrzeć na dziedziniec domu Potkańskich, gdzie stała karetka pana Michała, wszyscy powracali bez wieści, a matka domyślała się już daleko szaleńszego wybryku, niżeli był w istocie.

XIX.

Wszystko jednak dobrze rozważywszy, pani podczaszyna, nie doczekawszy syna, położyła się spać, przykazawszy tylko ludziom, aby go pilno szukali. Michał zastał ją spoczywającą, wszystkich sług na nogach i dom cały w trwodze. Znużony, rzucił się co najprędzej w łóżko, sen mu jednak powiek nie kleił, a najosobliwsza mozaika myśli i obrazów wirem pędziła z piersi do głowy, z głowy do piersi.

Spokojna Głusza, pacierz u kolan babki, czarne oczy Anusi, jej uśmiech niewinny, wykrzywiona twarz djabelska, pociągający melancholją wzrok Frascatelli, szatańskie żarty i śmiechy biesiadników, scena nocna na ulicy, namiętne pierwszy raz skosztowane gry uczucie, jakaś tęsknota nieopisana, niepokój i zgryzota mężczyły naprzemiany Michała, który przypominał sobie dane babce słowa, że się codziennie choć krótko modlić będzie.

Niestety! od wyjazdu z Głuszy ani pomyślał o pacierzu, a teraz, tłumacząc się sam przed sobą, szydził z uczynionej staruszce obietnicy. Jednakże na dnie serca wpojona zamłodu odzywała się pobożność, tęskniła do niej dusza, i szatan ów z obrazu przychodził na myśl mimowolnie, a dreszcz przelatywał po skórze.

— To było czyste tylko przywidzenie, — rzekł wreszcie do siebie Michał — gra jakaś wzburzonej winem imaginacji, halucynacja, jak mówi Poinot, nic więcej, wszakże nie jestem dzieckiem, bym w głupstwa takie miał wierzyć.

Ale naprzekór rozumowaniu, przed oczyma pod czaszyca wciąż się związał z uśmiechem swoim szatańskim ten potwór, którego z głowy, z oczu, z pamięci pozbyć się nie mógł.

W takich męczących marzeniach, dusząc się i nie spokojnie drżąc, usnął w ostatku Michał gorączkowym snem znużenia.

Zbudził się na skrzypienie drzwi i ujrzał przed sobą matkę, w stroju podróznym, jakby była na wsiedaniu.

— Co to jest? czy już tak późno? — zawołał, schwytyjąc się — wszakżem się ledwie trochę zdrzemnął.

Podczaszyzna pódniósła do góry swój zegareczek, wskazujący pierwszą z południa, i spokojnie usiadła przy nim w krześle.

— Trochę się była zaturbowała o ciebie, — odezwiała się po chwili — ale chwała Bogu nic ci się przecie nie stało.

— Nic, tak! nic a nic, kochana mamó, — przeciera-
jąc oczy, odpowiedział podczaszyc — ale proszę mnie
posłuchać, jakim niespodzianie tę noc spędził na hu-
lance.

I z żywością młodzieńczą począł jej opowiadać swo-
je spotkanie uliczne, zaprosiny gwałtowne do pod-
skarbiego, całonocną u niego biesiadę, opuszczając jed-
nak wiele, bo ani o djabie, ani o Frascatelli nie wspo-
mniał. Podczaszyna słuchała go dosyć obojętnie, ale
z uwagą, zdawała się jednak zgadywać zgóry, co jej
powie i gdy dokończył, podniosła na niego oczy,
w których było widać łez ślady.

— Chciałam, — odezwała się — żebyś mnie odpro-
wadził, ale to już niepodobna, bylibyśmy sam na sam
pomówili z sobą. Zdaje mi się obowiązkiem moim dać
ci niektóre przestrogi, chociaż zostawując cię pod opie-
ką króla i Labe Poinso, odjeżdżam zupełnie o ciebie
spokojna. Wchodzisz w świat, Alfierze, i widzę, że ku
niemu masz dosyć skłonności, radabym, żebyś na nim
jak przystoi synowi memu drogę sobie utorował.

Dzisiejszy przypadek niech ci będzie przestroga
i nauką, jak się masz znajdować na świecie. Pochwa-
lam bardzo, żeś się od kompanji nie odstrychnął, ale
nie radzę też z lada kim się bratać. Nie wymagam od
ciebie zbytnej surowości obyczajów, która w tym wie-
ku byłaby niewłaściwą, ale cię proszę, żebyś swe pasje
hamował i zawsze w nich zachował choć powierzchow-
ne *decorum*. Świat sądzi surowo nie z czynności i my-
śli, ale z pozoru, o pozór też chodzi najwięcej.

Bóg wiele przebacza, ludzie nigdy.

— Kochana mamó, — odparł, całując ją w rękę,
podczaszyc — proszę być o mnie spokojną, nic nie
uczynię, coby poniżyć mnie mogło.

— Ani się też o to lękam, ale cię proszę nade-
wszystko w obiorze przyjaciół i partji być ostrożnym.
Miejsce twoje naturalnie na zamku, w gronie tych, co
otaczają najj. pana; chociaż, może się bardzo mylę,
zdaje mi się, że wkrótce przeciwne stronnictwo w kra-
ju weźmie górę. Nie staw się więc tak przeciwko nie-

mu, żebyś z niem zupełnie i stanowczo zrywał, zapatruj się na ludzi, co umieją sercem sprzyjać jednej stronie, ze wszystkimi być dobrze, lub przynajmniej nieźle.

Nic cię nie zmusza raz wraz popisywać się z sentymentami swemi, strzeż się zbyt je głośno objawiać. Żyjąc na dworze, z konieczności trzeba być ostrożnym i dwuznacznym, dla wszystkich grzecznym, bo nikt nie wie jutra i tych, co jutro panami być mogą. Zapatruj się tylko uważnie na najj. pana, on ci najlepiej wskaże, z której strony wiatr powieje. O jego łasce dla ciebie nie wątpię.

— Będę posłusznym, kochana mamó, — rzekł Michał — ale czyś mnie raczyła polecić opiece króla jnci?

— Wczoraj jeszcze przypomniałam mu ciebie, — odpowiedziała podczaszyna — ale słuchaj mnie i nie przerywaj, proszę. Z familją bądź jak najserdeczniej, a nadewszystko z zamkiem, nie zaniedbuj wszakże i przeciwnych, bywaj wszędzie, tylko się nie mieszaj do klubistów, z którymi o ile możności zdaleka i ostrożnie. U Lucchesinich i u posła trzeba się pokazywać zarówno, dobrze miarkując jak rzeczy stoją, nie obrażając nikogo. Jeśliby, uchowaj Boże, nadeszły jakie niespodziane wypadki, pamiętaj, proszę, że na chwilę może jakiekolwiek przeważać stronnictwo, ale prędzej, później silniejsi, liczniejsi wezmą górę. Nie narażaj się i trzymaj na stronie. Służby wojskowej nie życzę dla ciebie, boś słabego zdrowia; jeśliby zaś jaki wakans się trafił przy osobie króla jnci, i owszem...

O ożenieniu, proszę, nie myśl za wcześnie, bobym na nie nie zezwoliła, sama ci chcę wybrać i wyswatać żonę. Zresztą z kobietami bądź ostrożnym. A teraz, kochany Alfierze, żegnam cię sercem matki, bądź zdrów!!

To mówiąc, powstała równie zimno, obojętna, jakgdyby rozpoczynała rozmowę, śnać myśl jej i serce były gdzie indziej. Westchnęła zlekka i całując w czoło Alfiera, pożegnała go francuskim dowidzenia.

Niktby przy tem rozstaniu matki i syna w nich nie poznał, tak oboje rozchodzili się jakoś bez uczucia, bez

łez, bez żalu za sobą. Alfier wyskoczył się ubierać, chcąc koniecznie choć za miasto przeprowadzić pod czaszynę, ale nim na siebie suknię narzucił, nim się ogarnął, powozy jej już z dziedzińca ruszyły, a że się czuł zmęczony niezmiernie nocnem czuwaniem i pie szczoszek potrzebował jeszcze wypoczynku, ażeby świeżym pójść na wieczór do zamku, usiadł, ziewając, w krzesło, posławszy po czekoladę, zostawując przeprowadzenie matki Labe Poinso.

Służący, który śniadanie przyniósł, oddał mu razem listę osób i kilka biletów rzuconych w bramie, świadczące, że wielka część wczoraj z nim pozna jomionych już mu ranną grzeczną wizytę oddała, lub przynajmniej zapisała się u szwajcara. Nawet ksią że podskarbi i syn jego przysłali karty swoje; Alfier więc nieuchronnie przed wieczorem w zamku powinien był tych panów wzajemnie objechać.

Przerzucając odniechcenia spis tych imion w czę ści mu całkiem nieznanym, znalazł podczaszyc jed no, które go mocno zastanowiło. Był to złocistemi gło skami wycisk na pomarańczowej karteczce w nastę pujących wyrazach:

Cavaliere Fotofero.

Nie wiedzieć dlaczego, Michał powiedział sobie od razu, że ta karteczka i nazwisko musiały mieć związek z wczorajszem jego widzeniem. Długo przewracał ją, odczytywał, marszczył brwi, sam siebie zbijał i wy śmiewał — nareszcie postanowił zapytać jenerała o tego kawalera Fotofero, rzucając bilet zniecierpli wiony.

Właśnie w tej chwili, jakby umyślnie, przybył i pan jenerał sam, niespokojny widać o Michała, któ rego wziął pod opiekę swoją i jak wychowańca uważał.

Słówek o panu jenerale... (przypuśćmy, że się na zywał Baucher). Widzieliśmy go już u księcia pod skarbiego, słyszeliśmy popisującego się z rozmaitemi zdaniem, lecz nie zawadzi poznać się z nim bliżej.

Jak Orlandini był typem żebraka stołecznego sta-

niślawowskich czasów, tak generał Baucher próbka wielce charakterystyczną dworaka w mundur ubranego.

Jemu podobnych miał ów dwór dosyć i najchętniej się niemi posługiwał; skądby pochodził i jakiego był rodu pan generał, nikt dokładnie wiedzieć nie mógł, nazwisko nosił niemieckie, a mienił się szlachcicem z Inflant czy z Kurlandji, skąd do stolicy niejedno podejrzanę przypłynęło szlachectwo. Za Augusta III jeszcze przybył on do Warszawy, wysługiwał się naprzód w regimencie Potockich, potem doszedł stopniami do pułkownikostwa i jeneralsstwa, zawsze więcej wisząc przy dworze i zbijając bruki, niżeli wachając prochu i włócząc się za regimentem. Mundur dla niego był tylko pozorem, tytułem, środkiem do życia w ostatku, ale za główne zajęcie nie uważał broni i wojennego rzemiosła. Potoccy używali go do swoich spraw sejmikowych i trybunalskich, wiedli do poselstw, na deputację i dysponowali nim jak chcieli. Jenerał nie przypatrywał się temu zbliska, co robił, nie rozbierał czy było sprawiedliwe, czy nie, jakie za sobą wiodło następstwa, a posłuszny klient domu, przysięgły przyjaciel jego, czynił ślepo, co kazano. Nie miał on nadzwyczajnej odwagi, ale że naczelnicy partyj rzadko własnego łba nadstawili, najczęściej się zastawiając plecami podwładnych, jenerał zaś intrygować i hałasować wybornie umiał — powodziło mu się niezgorzej.

Tak jakoś szło panu jenerałowi, że z promocji w promocję dostał kaduka, którego sprzedał, sołtystwo jakieś także prędko przefrymarczone na gotowy grosz, na ostatku stopień jeneralski, pensję, a co najlepiej, że zaraz w początku panowania Stanisława Augusta potrafił stać się potrzebnym królowi, później zaskarbić sobie u niego zasługi, nareszcie w codziennem jego życiu być już niezbędnym i niepozbytym sprzętem.

Celem jego życia było samo życie; nie życie, byle się wlokło, ale co się zowie wygodne, rozkoszne, zbyt-

kowe, błyskotliwe i hulackie. Temubym był poświęcił więcej, niż się godziło. Gorliwy w spełnianiu rozkazów, nigdy przecie nie posuwał poświęcenia do głodu, pragnienia i anachoretyzmu, chociażby krótkiego; a gdy mu wypadło wybierać między prywacją a nieposłuszeństwem, póty szukał środka, dopóki go wreszcie między niemi nie namacał i wykręcił się sianem.

W nauce życia, jak w reszcie wychowania, sam był swoim mistrzem; mówił kilkoma językami doskonale! Mieszał czasami trochę łaciny, którą z uczęszczania trybunałów wyniósł; po francusku paplał gładko, po niemiecku szwargotał *expedite*, po włosku wcale niezgorzej się wysławiał. Głębiej biorąc, żał było dobrego serca, które miał niewątpliwie, utopionego w takim braku charakteru. Ani wiary, ani wyższego pojęcia godności i obowiązków człowieka. nie można tam było szukać; brzuch panował całemu żywotowi, odrobinką rozkoszy byłby go zaprowadził do wrót samego piekła.

Król bardzo lubił jenerała Bauchera, choć może nie miał dla niego wysokiego szacunku; czasem pożartował z niego, na co ten zezwalał ochotnie, bo wiedział, że im żart był boleśniejszy, tem się później sowiciej wypłacał; i jak Ryx nadstawiał się na łajanie, lub, wedle famy pospolitej, szturchanie nawet, tak Baucher wywoływał niekiedy królewskie przycinki. Król używał go też często do sekretnych poleceń, wysyłał w różnych poselstwach, a zato ratował w potrzebie. Ze wszystkimi usiłując być jak najlepiej, jenerał bywał wszędzie, nie zważając i nie przypatrując się bardzo, jak go przyjmują. Jednakże księżę podskarbi, pan hetman Branicki, pan kasztelan..... i kilku ludzi tego rodzaju co lubili żyć, a niezbyt surowej trzymali się moralności, składali najmilsze jego towarzystwo. Sejmikowiczów obywateli, co to ostro byli zwykli stać przy swoim zdaniu, surowo się z życia swojego rachowali i do podobnej rachuby zwykli byli drugich pociągać, nienawidził i unikał. Wszelki zapał zwał on bzikiem, i dla niego dość było mieć

wiarę w przyszłość, lub nieprzeparte zasady postępowania, żeby o bzia być posądzonym.

Wszelki młody człowiek, przybywający do Warszawy, przechodzić musiał przez ręce jenerała i prędeż, później opłacić mu należny podatek pożyczką pieniężną. Stary frant trzymał się tu niechybnie jednej zawsze i szczęśliwie obranej drogi: naprzód stawał się użytecznym, nadskakującym, ułatwiał znajomości, wskazywał miejsca dogodne, osoby potrzebne, wprowadzał na dwór i do posłów, kupował karety i konie, forytował po mieście, prezentował, zalecał i obwoził — potem suto częstował przybyłego, poił, a jeśli się zgrać uczciwie nie udało, bez szachrajstwa ale po pijanemu, wprost przychodził o pożyczanie na dni kilka niemniej jak kilkaset dukatów.

Ze sposobu życia Bauchera widzimy już, że nie mógł się żenić, ożenienie nawet przeciwne było jego zasadom, bo wiodło za sobą obowiązki i pewien rodzaj pęt uczciwych, a on, spętany już swem położeniem, cenił tę resztkę swobody, jaką miał.

Miłość uważał jak obiad, doskonałą póki świeża i gorąca, niestrawną, gdy ostygła, codziennie też szukał sobie nowej jeśli nie miłości, to miłostek, dla siebie i dla drugich, bo i w tym względzie usłużnym był napodziw.

XX.

— Widzę, że trafiam na czekoladę, trochę to późno, — rzekł jenerał, siadając zasapany — ale jeśli dobra, prawdziwa włoska, możebym się jej i napił. Od niejakiego czasu naśladować począłem króla, *exemplum ab alto* i filiżanką buljonu posilam się z rana, ale że mi go Tremo i Szytz nie sporządzają, tylko Kopcidym z garkuchni Pod łososiem, coś mi to nie służy, nie posila.

Podczaszyc kazał podać czekoladę, a jenerał surowo zalecił, żeby mu do niej wody zimnej i biszkok-

tów podano, poczem podśpiewując, zasiadł wygodnie na kanapie.

— No, kawalerze, — rzekł — jakże się spało po wczorajszej eskapadzie? Domyślam się, że dobrze, bo długo.

— Aż nadto, — odparł podczaszyc — miałem matkę przeprowadzić do Łowicza, aż mi teraz wstyd, że beze mnie pojechać musiała.

— Pojechała! szkoda! Dokądże przecie?

— Do Włoch...

— Szkoda! wielka szkoda! że nas pani podczaszyc na opuściła (w duchu dodał: dobrze zrobiła, że sobie pojechała), była to jedna z ozdób Warszawy i dworu naszego, dziwnie zakonserwowana piękność!! Ale podczaszyc nam zostajesz na dłużej? Nieprawdaż?

— Tak jest, — rzekł Michał — pragnę się nieco przybliżyć do dworu i potrzebuję na przyszłość poformować stosunki w stolicy.

— Rzecz arcy-potrzebna! Nic nad stosunki w życiu, kawalerze! To daje konsyderację, powagę, a w złym razie, czego Boże uchowaj, nieraz poratuje. O stosunki proszę się nie troszczyć, porobimy je łatwo. Przypadłeś mi do serca, kochany podczaszycu, od czasu, jakem miał przyjemność widzieć cię gospodarującym w Głuszy; radbym ci być użytecznym, proszę mną dysponować.

Podczaszyc skłonił się w milczeniu, a jenerał poдал mu rękę do uścisku.

— Ale, proszę cię, panie jenerale — przerwał Alfier, przypominając sobie tajemniczą karteczkę Włocha, której na stole szukać począł — gdzieś mi się tu bilet pewien zawieruszył, że go znaleźć nie umiem, racz mi z łaski swej powiedzieć pan, co znasz wszystkich bywających u podskarbiego, kto to jest *cavalie-re Fotofero*?

— Cavaliere Fotofero? Fotofero! Czy się pan nie mylisz? Cóż to jest? O nikim podobnym nie słyszałem, chyba wczoraj przybył do Warszawy, pokaż mi pan jego kartę, to jakaś omyłka...

Podczaszyc przewrócił, co tylko było w pokoju, szukać kazał na ziemi, posłał po ludzi, żeby przetrzęśli i wynaleźli zgubioną kartkę, ale tak się gdzieś zawieruszyła, że odszukać jej nie było podobna. Jenerał tymczasem utrzymywał, że żadnego Fotofera nie było w Warszawie i być nie mogło, boby o nim wiedzieć musiał.

— Zresztą — dodał — spytam dziś księcia podskarbiego, lub lepiej często od niego znającego gości kapitana Kukumusa, powiedzą mi, co to za intruz, ale wątpię, żeby i mnie się kto tak przemknął niespostrzeżony.

— Uderzyło mnie dziwaczne nazwisko, — przerwał Michał, nie nalegając — chciałem wiedzieć, co to za figura.

— Dowiemy się o tem, ale cóż pan robisz dzisiaj? — zapytał mentor — potrzeba oddać wizyty, a wieczorem koniecznie być w zamku.

— Tak właśnie i ja sobie zamierzam.

— Gdzież obiad?

— Zapewne u siebie zjemy?

— A pfe! któż to widział, mamy kilka domów otwartych do wyboru i najlepsze towarzystwa, jeść samemu z sobą w kacie nie godzi się. Ja pana zabieram i nie ruszam się stąd, póki się nie ubierzesz, bez ceremonji odpocznę tu sobie trochę.

Kończył te słowa, gdy Labe Poinsoł, który, podczaszynie odprowadziwszy do rogatek tylko, powrócił, wsunął się do pokoju, odwiedzić swego wychowanka i rozpytać nieco o dalszych jego obrotach. Nie pilnował bardzo natrętnie podczaszycą, któremu zostawił aż do zbytku swobody, ale miał sobie za obowiązek raz w dzień przynajmniej się z nim zobaczyć. Resztę dnia Labe spędzał w towarzystwie swoich współziomków, u Piatolego, przez którego chciał się wkłęcić na jakąś posadę, na odwiedzinach i intrygach, wiodących do tego upragnionego celu dostania się na dwór królewski.

Jenerał i Labe spojrzeli na siebie zukosa i odrazu

się pojęli, tak że gdy ich zapoznawał sobie wzajemnie podczaszyc, z niewypowiedzianą uprzejmością przysiedli się do ożywionej rozmowy. Labe upatrywał już sobie nowego protektora w panu jenerale, a stary dworak, przeważając, że to mentor podczaszyca, coby mu mógł przeszkadzać, usiłował wkraść się w jego przyjaźń i zaufanie.

Scena była dosyć komiczna, gdy oba obsypywali się grzecznościami, które leciały gradem jak karnawałowe rzymskie cukierki; opamiętali się dopiero, gdy postrzegli, że wspólnie sobie potrzebni być mogą i pochowali do kieszeni komplementa, pomiarkowawszy, że niekoniecznie warto je było ekspensować.

Labe zasiadł, poufalej rozpytując podczaszyca.

Jenerał wgłębił się w kanapę, rozповідаjąc coś o swej u króla wziętości.

Oba się już doskonale na sobie poznali.

— Słyszałem — rzekł Poinset po chwili — o nocnej pańskiej hulance, kochany podczaszycu, ale ostrożnie z tem, panie Alfierze! ostrożnie, zaklinam cię. Twoja młodość wystawia cię na ustawne szwanki, dobrze jest jej używać, ale nie szafując...

— Bądź pan spokojny, — śmiejąc się, odpowiedział Alfier — będę jej używał oszczędnie, skąpo, z jutrem!

— A co panowie dziś myślą? — zapytał Poinset, łącząc ich obu nie bez intencji.

— Kilka niezbędnych wizyt oddamy zaraz, a wieczorem jesteśmy w zamku.

— Doskonale, — poklasnął nauczyciel — zamku nigdy opuszczać nie potrzeba, *voilà l'essentiel, le roi avant tout*.

— Będziemy pilnowali podczaszyca, żeby o tem nie zapominał — rzekł jenerał.

Po chwili przerywanej tak rozmowy, którą podczaszyc wiódł z drugiego pokoju, odpowiadając przy ubieraniu, wyszedł nareszcie wystrojony, wyświeżony i istotnie tak piękny, mimo dosyć śmiesznego stroju

owych czasów, że jenerał aż westchnął z zazdrości, spojrzawszy na niego.

— Ha! — rzekł — aż złość porywa, spojrzawszy na tę młodość, co to za skarb nieopłacony, cobym to ja dał, żeby mi się choć na roczek wróciła.

— Moje konie gotowe, siadajmy, jenerale, do zobaczenia, Labe.

— Polecam się jego pamięci! — grzecznie kłaniając się, rzekł Baucher.

— To do mnie właściwiej należy, — schylając się do pół, szybko przerwał Poinot — mam honor polecić się i pamięci protekcji waszej ekscelencji.

Kilka razy jeszcze posunęli nogami, skłonili głowy upudrowane, uśmiechnęli się wdzięcznie, i jenerał spuścił się po wschodach, rad, że nareszcie Francuza się pozbył.

XXI.

Wyjechali tedy rozrzucać bilety i zapisywać się u drzwi domów, które im odwiedzić wypadało. Jenerał towarzyszył chętnie, a podczaszyc, nienasycony jeszcze Warszawą, ciekawemi oczyma spoglądał na ożywiony obraz ulic, pełnych pospółstwa, wojska, panów, szlachty, żydostwa i największej ludu mieszaniny. Karetą ich mijała mnóstwo powozów, z których wyglądały pięknie strojne panie lub upudrowani kawalerowie z kapeluszeniami pod pachą; rzadki polonus ukazywał się z za szkieł, gdyż to, co karetami jeździło, już strój dawny porzuciło — *Regis ad exemplum*. Pieszo tylko bokami szły delje i kontusze, a ostatek demeszek stukał po bruku.

Przyznać potrzeba, że Warszawa przedstawiała się w tej chwili z fizjognomją wielce ożywioną i ruchawą; znać było w niej jakby przygotowanie się wewnętrzne do ważnego wypadku, do wielkiego dzieła. Napływ osób z prowincji był ogromny, główne domy magnatów nieustannym gościom stały otworem; roz-

prawiano głośno o zarządzeniu nieporządkowi domowemu i mówiono o ofiarach koniecznych, jakich byt przyszły wymagał.

Warszawa, jako serce kraju, biła w tej chwili naj-silniej wszystkimi myślami, żądzami i nadziejami ogółu; z tego ogniska rozchodziły się elektryczne prądy po całym kraju, rozgrzewając umysły, krzepiąc upadłych na duchu. Pragnienie reformy wszakże, jak wszystko, co silnie wzrasta, posuwało się w początku aż do przesady; chciano zburzyć co tylko było, z wielkiego żalu, że samo się obronić i ostać nie mogło; wyglądano wielkich rzeczy od filozoficznych pomysłów i przez przywiązanie do kraju zapominano o wszystkim, co jego odwieczną narodowość stanowiło. Jedni zwracali się z reformą do obyczajów, drudzy do sukni, inni do praw, wojskowości, duchowieństwa, do mieszczan i ludu.

Jenerał patrzył na to oczyma dworu, to jest bez wiary w środki, z obojętnością człowieka, który używa dni swoich ostatka; nie rachując nic na przyszłość, dowcipnie drwił sobie z tych usiłowań, a sam przyznawał się chętnie do nazwiska pieczeniara. Podczaszyca mało to wszystko obchodziło, gdyż nie miał jeszcze pojęcia ani stanu kraju, ani obowiązków swoich, ani gotującego się jutra; gniewało go tylko, co groziło zamieszaniami spokoju i przerwaniem pasma dni jasnych, które sobie obiecywał.

Jenerał, wyjechawszy na ulicę, zasępił się, spotkawszy kilka twarzy, które do stronnictwa Lucchesiniego należąc, zawsze na nim przykre czyniły wrażenie; minął Małachowskiego, Zamojskiego, Ignacego Potockiego, Kołłątaja i kilku innych, grzecznym pozdrawiając ukłonem, ale z widocznym niesmakiem.

— Poszaleli ci ludzie, — odezwał się — gryźć tak pocziwego króla! Jużci on lepiej wie, co dla kraju zbawienniejsze, ale szał ich opanował, zbrzydła im spokojność, nawarzą nam piwa! Książę podskarbi w biały dzień już się niemal na ulicę pokazać nie może, takie na niego *larum*.

Podczaszyc, potakując, ruszył tylko ramionami.

Poczęli przelatywać od domu do domu, krótkie oddając wizyty, nie potrzebując najczęściej wysiadać nawet, gdyż ich nie przyjmowano. Rad temu był podczaszyc, bo się lękał wydać z wrażeniem, którego doznał i pozbyć się nie mógł. Chociaż księcia podskarbiego także w domu nie było, jenerał wysiadł na chwilę do kapitana Kukumusa, dowiedzieć się, ktoby był ów cavaliere Fotofero, ale nic tam nie zyskał, gdyż o żadnym tego imienia gościu wczorajszym kapitan nie wiedział, a w tłumie ciężko też było każdego spa miętać, zwłaszcza, że na hulanki niespodzianie cisnęła się nieraz najrozmaitsza ludzi mieszanina i ścisłego w niej wyboru nie robiono.

Nadeszła pora obiadowa, a jenerał obiecał był swego protegowanego koniecznie gdzieś zawieźć, żeby sami nie jedli; zabrał go z sobą do księżnej wojewodzicowej mściśławskiej, matki Kazimierza Nestora, młodego jenerała artylerji, przed kilku laty z podróży do Włoch, Francji, Anglji i Niemiec przybyłego, — powszechnie naówczas zwanej imieniem uszczypliwem „matki ojczyzny“.

Księżna wojewodzicowa, która chwilowo teraz przebywała w Warszawie, bo zwyczajnie od czasu jak ją z łask królewskich wypchnęły okoliczności, mieszkała w Kodniu, miała przecie dom na stopie wcale pańskiej, chociaż w utrzymaniu jego przebijała się przymuszona oszczędność i przykre interesa.

Pani ta już niepierwszej młodości, wielce czynnego umysłu, władająca i gospodarująca sama w wielkich swych dobrach na Podlasiu i w Wielkiej-Polsce, prawująca się po wszystkich trybunałach, w długach po uszy, przyjeżdżała do Warszawy, ilekroć ją do tego własne lub protegowanych interesa zmuszały. Miała ona jeszcze wstęp do króla, który się jej nawet dosyć obawiał, bo mu nie dawała pokoju nieustannemi prośbami, a jeśli im zadość nie czynił, gromiła dawnego kochanka czasem nawet dość niegrzecznie. Wiodła procesa, pożyczala pieniądze, wydzierżawiała i zasta-

wiała dobra, forytowała posłów, trzęsła trybunałami, rządziła synem i artylerją, których oficerów nomino-
wała, wodziła za nos całą komisję wojskową, a poczę-
ści brata hetmana, trochę króla, a prócz tego bawiła się
w Kodniu wesoło, nie zapominała o sobie, i mówiono
(czego to ludzie nie powiedzą!), że strażnik koronny
w wielkich był u niej łaskach, w niemniejszych przy-
najmniej od jenerała Kurdwanowskiego. Księżna wo-
jewodzicowa, dobrze już podstarzała teraz i trądem
okryta, starała się jeszcze być piękną! i na twarzy jej
zostały ślady dawnego wdzięku, starannie pielęgnowa-
nego; nabrała była tuszy nieco, codzień przybywały jej
po jednemu daremnie wyciągane zmarszczki; troski,
praca, rodzaj życia, który wiodła, nauczyły ją też
wcześnie zasępiać czoło. Pomimo to wszystko, wieczor-
em przy świecach, jeszcze zdaleka wyglądała nie-
szpetnie, i choć syn podrósł, nie wyrzekła się uda-
wania młodości.

Niezmordowana nawet w zawodzie politycznym,
skoro do Warszawy przybywała, otwierała dom dla
dawnych znajomych, chciwie pragnąc i nowin, i udziału
w intrygach. Cisnęli się tam wszyscy, co jeszcze
lepsze czasy wojewodzicowej pamiętali, i sądzili, że
z dawnych łask coś przy niej zostać musiało, lub wie-
rzyli w partję hetmańską i jej przyszłość.

Jenerał z podczaszycem weszli do dość pięknie
umeblowanych pokojów pałacu sapieżyńskiego, w któ-
rych wszakże znać było, że w nim nie mieszkano cią-
gle. Meble bogate, ale stare i nieco spłowiałe, firanki
trochę zblakłe, brak zresztą tych drobnostek, które
kobietę otaczają, gdzie dłużej zamieszka, dawały czuć
opuszczenie gmachu, który z kolei to pożyczano krew-
nym, to wynajmowano obcym, albo na swój zatrzy-
mywano użytek, stale w nim nie przebywając. Woje-
wodzicowa przyjęła ich z grzecznym uśmiechem, po-
glądając ciekawemi oczyma na młodego chłopaka
i nadzwyczajnemi obsypując go komplementami.

Alfier począł od wymówek, że go jenerał wciągnął
na obiad nieprezentowanego, na swego towarzysza ca-

ła winę zrzucając, ale się mu nawet uniewinniać nie dano i księżna zrobiła mu miejsce obok siebie przy kanapie, udając, czy szczerze radując się z jego przybycia. Podczaszyc rzucił okiem ciekawem na księżną i pomimo, że strój jej w miarę innych dam był trochę zaniedbany, twarz zwiędła i znużona, postrzegł na niej ślady wielkiej piękności, po tonie widząc w niej kobietę prawdziwie wielkiego świata. Gospodyni z nieporównaną zręcznością naprowadziła natychmiast rozmowę, badając młodego człowieka, pochlebiając mu umiejętnie, nieznacznie i zabawiając go ploteczkami, a wśród tego dysponując coś sekretarzom wchodzącym co chwila, posyłając ludzi z biletami na wszystkie strony, odzywając się w materjach coraz nowych do jenerała. Za tym żywym, bystrym i przytomnym umysłem ledwo zdążyć było można, tak się przerzucał ła-two z jednego przedmiotu na drugi.

Towarzystwo księżnej składali dnia tego sami domowi. Jenerał Kurdwanowski, ostatni jej wielbiciel, wielki myśliwiec i koniarz; strażnik koronny Mierzejewski, trochę dawniejszy faworyt; pułkownik W... Niemiec, syna niegdyś towarzysz i nauczyciel, dwie panny rezydentki i coś nieznanomych figur. Księcia Nestora nie było u matki.

Dwaj panowie, strażnik i jenerał, zdawali się na stopie wielkiej poufałości w domu. Kurdwanowski zwłaszcza, słuszny, barczysty, piękny mężczyzna, ale milczący, ponury i zamyślony. Strażnik koronny, mniejszy od niego, starszy znacznie, trochę już otyły, ale jeszcze przystojny człowiek, szybko mówił, szeplenił, a grał lub grać sobie życzył rolę wielkiego pana! Ci dwaj panowie z jenerałem brygady wielkopolskiej L....m składali trzy ręce księżnej; Kurdwanowski był ręką kodeńską i domową, strażnik zajmował się ogółem spraw i interesów, jenerał brygady dobrami, sprawami i długami w Wielkiej-Polsce.

Oznajmiono do stołu, i wszyscy przeszli do sali jadalnej, w której zastawiony stół maleńkim się wydał. Nakryty był piękniemi i ciężkiemi srebrami z her-

bami Sapienhów, wspaniale przybrany, a liczba gości pomnożyła się kilku domownikami, którzy tu oczekiwali na księżnę wojewodzicową.

Już byli do pieczystego doszli, rozmawiając o królu, o dworze i o paniach warszawskich, na których, niezmiernie je chwalać, pocziwej nitki nie zostawiła wojewodzicowa, gdy hałas się zrobił w sieni, drzwi się otwały i bardzo przystojny młody mężczyzna, w wytwornym stroju francuskim, wbiegł, wiodąc za sobą drugiego, podobnie przystrojonego po wojskowemu młodego chłopaka oryginalnej fizjognomji.

— To ksiązę Kazimierz-Nestor, jenerał artylerji, — szepnął Baucher — kolega mój ze szlify, potrzeba się mu prezentować, co się zowie tęgi chłopiec...

Jakby nie zważając na całe towarzystwo matki, ksiązę przybiegł prosto do niej, wiodąc za sobą oficera.

— Złapałem tu niespodzianie mego kochanego znajomego z zagranicy, pana Zajączka, — rzekł zimno — i przyprowadzam waszej książęcej mości, matce dobrodziejce, bo się pragnął jej submitować i podziękować za szlifę; upewniłem go, że choć w obiad wpadniemy, za złe nam tego w. ks. mość dobrodziejka nie weźmiesz...

Księżna, nie wstając nawet, kiwnęła głową panu Zajączkowi.

— Jak się masz, kapitanie? — rzekła odniechcenia i szepnęła synowi coś o Ordyńskim, gdyż ksiązę podszedł ku niemu zaraz i, zaprezentowany przez matkę, uprzejmie z nim zrobił znajomość. To go jednak zmieszało trochę, pokwaśniał, spojrzawszy na Ordyńskiego: podano krzesła, rozmowa się na chwilę przerywała. Pan Zajączek w milczeniu swobodnie spoglądał na otaczających, usadowiwszy się za księciem na rogu prostego stołka, który mu lokaj podsunął.

— Pan podczaszyc będzie dziś zapewne w zamku? — spytał ksiązę jenerał obojętnie.

— Właśnie się tam wybieram.

— Będzie zebranie wielkie, król przyjmuje jakiegoś przejeżdżającego Anglika, sekretarza podobno ambasady w Petersburgu, i chce świetnie przed nim wystąpić; zaproszono wiele osób, ale się nie zabawim na tej paradzie.

— Już to pozwól powiedzieć, mój Kaziu, — przerwała księżna z minką pogardliwą prawie — że teraz wasz zamek ani w dnie galowe, ani dnia powszedniego niezabawny — wielka to różnica od lat trochę dawniejszych, kiedyś jeszcze w Warszawie mieszkała; wówczas to było całkiem co innego.

— A ja się na to nie godzę, — dodał książę jenerał — wszystko doskonale, gdyby jeszcze było lepsze trochę polowanie pod Warszawą, toby tylko i żyć, nieprawda, Kurdwanowski?

— Toż samo pisałeś mi, Kaziu, z Turynu, potem z Paryża, w ostatku ze Strassburga... — wrzuciła matka.

— A! Paryż, — rzekł książę, wzdychając — Paryż to raj ziemski, z tem się nic nie porównywa.

— Czemże będzie Warszawa, mości książę — spytał, szepleniąc pieszczotliwie, strażnik Mierzejewski.

— Jest to tylko sen o raj! — i książę westchnął znowu głęboko.

Wszyscy zatem przeszli do sali bawialnej, gdzie rozmawiając, cały stos listów przygotowanych podpisywała wojewodzicowa, a Kazimierz-Nestor zbliżył się tymczasem do podczaszyca, którego fizjognomja, pełna młodzieńczego wdzięku, pociągnęła go nareszcie ku sobie. Poczęli rozmowę o przedmiotach obojętnych — książę, jakby próbując nowopoznanego, z różnych go stron zaczepiał; uczeń Labe Poincot wszakże zdał ten rodzaj egzaminu naprędce, nie straciwszy śmiałości, w sposób wcale zadowolający. Na końcu spytał go jenerał, czy był zagranicą, a otrzymawszy odpowiedź, że się dopiero w podróż wybierać myśli, polecił mu Paryż, jako najdoskonalszą szkołę młodzieży. Westchnął jeszcze razy parę i odszedł do Kurdwanowskiego.

Księżna tymczasem, trzy naraz wiodąc rozmowy, podpisała instrukcję plenipotentowi, dwa inwentarze dzierżawcom, trzy listy do adwokatów, kilka instancjonalnych i wśród tego zajęcia nie spuściła z oka nikogo z towarzystwa.

— Bogdajby był król przy niej pozostał, — rzekł, wychodząc, jenerał do podczaszycy — to kobieta z głową! Tamta stęka tylko i wszystkiego się obawia.

— Zapominasz, panie jenerale, że w głowie, gdyby była najlepsza, kochać się trudno — śmiejąc się, odparł podczaszyc.

— Ba! i to racja! — mruknął stary — jenerałowa nie ma tęgiej głowy, to prawda, ale...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE Tom LXXVI

J. I. KRASZEWSKI

D J A B E Ł

CZASY STANISŁAWA AUGUSTA

C Z Ę Ś Ć II



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

ODBITO NA PAPIERZE KRAJOWYM Z FABRYKI PAPIERU I TEKUR „PILICA”

I.

Jenerał i pilnujący się go podczaszyc, któremu na rękę był mentor tak dogodny, udali się wieczorem do zamku, gdzie już zastali wielki natłok karet, wszędzie jakieś przygotowania nadzwyczajne, których wystawność uderzała tylko oczy przywykłe, a dla cudzoziemca ujść mogła za chleb powszedni. Król dnia tego przyjmował na wielkich pokojach, a świeżo za panowania jego przyozdobiony zamek i odnowiony jaśniał wielkim przepychem i wytwornym smakiem. Sale zawieszane były utworami pendzla malarzy dawnych, wybornemi kopjami uczniów Bacciarellego i kompozycjami tego artysty, który tak dobitnie dziełami swemi epokę stanisławowską przedstawić potrafił.

We wszystkim, co malował ulubieniec Poniatowskiego i nadworny królewski intendent wydziału sztuk pięknych, przegląda czas ów, jego charakter, a przez pojęcie piękna przebijają się wszystkie wieku pojęcia, cała niemal filozofja jego.

Jego obrazy mają ten urok, ten wdzięk przesadny i trochę manierowany, tę wytworność, tę harmonję bez śmiałości w kolorystyce i myśl sentymentalizmem osłaniającą lubieżność, która panowała w ówczesnem społeczeństwie i była jego cechą.

W wielkich salach zamku natłok był i ścisk pań, ale król jeszcze się nie ukazał. Mundury wojsk, stroje dawne polskie połyskiwały obok barw cudzoziemskich fraków, dekoracyj i peruczek. Fryzury

i francuskie mody przeważały nawet w tym tłumie różnobarwnym, pełnym szat migocących, jak gołębie szyje, papuzich, mienionych i mdłych, jak ludzie, co je na siebie wdziewali. Pierścienie, łańcuchy, sprzączki, brylanty błyskały na męskich ubraniach, jakby w kobiecym stroju, brakło tylko piór i gazy dla dopełnienia maskarady. Podczaszyc, który dopiero raz drugi czy trzeci był na królewskim dworze, a nigdy jeszcze tak świetnego przyjęcia nie był świadkiem, zdumiony i zmieszany trochę, nie wiedział, co począć z sobą, bał się posunąć naprzód, a nie znając tylko kilka osób i mało wiedząc obyczaju dworskiego, stał w miejscu jak wryty. Szczęściem troskliwy jenerał Baucher, który dnia tego nie był na służbie, nie spuszczał z oka swego pupila.

Czekając na najjaśniejszego, przytomni rozdzielili się na kilka grup i rozmawiali pocichu — główne grono otoczyło kołem wielkiego pośła, który, siedząc, przyjmował chcących mu się przedstawić i miał minę całkiem królewską.

Jenerałowie Komarzewski, Kicki, Garczyński byli już nieco znajomi podczaszycowi, równie jak ci, co w Głuszy z królem gościli, ale większa daleko liczba została mu obcą, tak z dworaków, jak z przybyłych do Warszawy senatorów i znakomitszej szlachty. Jenerał z wielką uprzejmością sam się tu ofiarował za tłumacza i przewodnika, wymieniając mu zkolei wielkie imiona i imiona sławne, i te, które podówczas wielkość sobie roiły, a dziś leżą w zapomnieniu. Najciekawszym może był poczet literatów królewskich, który się tu i owdzie mieszał z pospolitym tłumem, wyróżniając od niego głośniejszą wymową i budzącymi uśmiechy dowcipkami.

— To jegomość ksiądz biskup kujawski, — mówił pocichu, wskazując osoby, jenerał — widzisz go pan rozmawiającego w kątku z p. kasztelanem Ł... O kasztelanie wieleby mówić można, ma biedak nieprzyjaciół, duchowni go nie lubią, zagorzalcy nań pluja, ale to dobre człeczysko... Ten pan, co rozmawia wię-

cej oczami, niż usta z wojskowym, to pan szambelan Łojko, pierwszy u nas statysta, człek ogromnie uczony, który pewnie więcej umie i wie od wielu innych, co za sawantów tu uchodzą i do pióra się porywają, ale taki leń, że nigdy nic nie robi, choć się zawsze zbiera. Czasem słówko bąknie, porwą i użyją je drudzy... Czyta, myśli, notuje, gawędzi, a zresztą szambelanuje.

— Ale gdzież Węgierski? — spytał podczaszyc, który już zasłyszał o dowcipnym satyryku epigramatyście, tak ostro chłostającym współczesnych, że się go wszyscy jak ognia obawiali.

— Ten słuszny, ot tam stojący mężczyzna, pięknej pociągłej twarzy, bystrego oka, napozór tak poważny i serjo, to właśnie pan starościc korytnicki; niktby, patrząc na niego, nie powiedział, że to taka kuta sztuka... Mówiąc z nim, zdaje się choć do rany przyłóż, łagodny jak baranek, słodki i miłuchny, ale draśnąć go, lub popaść mu na język! Drżą przed nim wszyscy, bo nikogo nie poszanuje, ale *vir integerri-mus* — tylko to bieda, że sam też hulaka niepomiar-kowany i karciarz, jakich mało.

— Ten ponuro stojący zboku — dodał — to kasztelanic wiski, szambelan j. k. mości, głuchoniemy; król, co tak litościwe ma serce, opiekuje się tym biedakiem, jak swoim dzieckiem, inaczej nie wiem, co-by Wilczewski na świecie począł! Dalej ten słusznej postawy, wyprostowany, wysokiego czoła, dumnego spojrzenia, to poeta nasz, Trembecki; znać w nim zaraz dworaka, co miał zaszczyt bywać na pokojach Ludwika XV, harda dusza, serce ogniste, wymowa rzadka, kortezan, a fantastyk, co się z sobą nie godzi, lepszych od siebie ma za baj-bardzo.

Dalej już mówić nie mógł, choć miał kogo jeszcze wyliczać, gdyż król jegomość wszedł na pokoje, zrobił się zamęt i wszyscy razem poczęli się podsuwać ku niemu.

Stanisław August, chociaż przybrał postawę dni ja-snych i wdział na siebie świeży mundur kawalerji na-

rodowej, nie miał oblicza pogody, którego pożyczyć trudno; — uśmiechał się z jakimś przymusem, obłok zasuwiał mu oczy znużone, usta się zaciskały wśród słów rozpoczętych. Pomimo widocznego wszakże wewnętrznego cierpienia, postawę miał pełną godności, powagi, wspaniałości i dostojeństwa.

Powitał swych gości po królewsku, a dostrzegłszy z rezydentem angielskim panem Haynes i Lucchesinim, posłem pruskim, idącego ku sobie baroneta Anglika, który mu miał być przedstawionym, okiem uprzedził jego prezentację i przywitanie. Snać wielce mu o to chodziło, jak się okaże temu podróżnemu zdaleka, co zimne, badawcze oko nań rzuciwszy, miał z wrażeniem, jakie na nim uczyni, odjechać do ojczyzny, a może kiedyś spowiadać się z niego przed Europą.

Towarzystwo, po urzędowem przywitaniu, znów rozdzieliło się na grupy: niektórzy usiedli do kart z posłem, który ich zaraz zażądał, inni pousuwali się we wgłębienia okien, a król do przyległego gabinetu, rozmawiając, uprowadził baroneta i cały niemal wieczór z nim tylko spędził w towarzystwie kilku poufanych osób.

Jenerał tymczasem, korzystając z tego zaprzątnięcia pańskiego, które mu dawało więcej swobody, a na oku mając podczaszyca, robił mu nowe znajomości, zapoznawał go, prezentował, opiekował się nim gorliwie.

Robił wszakże wybór oględny w znajomościach, prowadząc go naprzód do potrzebnych lub miłych, a unikając literatów, o których zgóry podczaszycowi powiedział, że to są przyjaźnie dla kieszeni niebezpieczne, a czasami i dla spokoju niedobre.

Wreszcie odbywszy tę, jak ją w duchu zwał, pańszczyznę, którą z wprawą, bo dziesiąty może raz w życiu spełnił, opuścił na chwilę Michała, zostawując go samemu sobie.

Ale zaledwie się oddalił, Ordyński zmartwiał niemal, postrzegłszy w oknie stojącą tę samą tajemniczą postać, która go już dwa razy tak silnie swoją uderzy-

ła fizjognomją, przypominającą mu dziwnie szatana w obrazie św. Michała. Fotofero, przyparty do marmuru, zwrócony do podczaszycy, stał z uśmiechem na ustach, w strojnym bardzo ubiorze czarnym, szytym bogato złotem, peruczkę miał maleńką, rękę na szpadzcie, czarne pończochy i trzewiki z pięknymi klamrami, pod pachą stosowany kapelusik. Ledwie go ujrzawszy, cofnął się nieco podczaszyc, nie wiedząc, czy mu na poufały ukłon głowy ma odpowiedzieć lub uniknąć powitania, gdyż niewytłumaczony strach go ogarniał — tajemnicza ta figurka podbiegła ku niemu szybko i tuż się przy nim znalazła.

Zdawało się podczaszycowi z wielkiego strachu, że poczuł zapach siarki i gorące zbliżenie się płomienia; zbliiska był to czysty djabeł, tylko ubrany przyzwoicie i przystrojony, jak na królewskie pokoje.

Nim podczaszyc pośpieszył mu ukłon oddać, począł do niego po włosku.

Zmieszany Ordyński, który próżno usiłował opamiętać się i ze strachu otrząsnąć, zabełkotał coś po polsku, a nieznajomy dokończył komplementu po francusku.

— Przepraszam, — rzekł — że nie mówię po polsku, język to, — dodał z uśmiechem — który polewniejszych myśli teraźniejszego wieku wyrazić jeszcze nie jest w stanie; rozumiem go, ale używać nie lubię, czekając aż go ci panowie (wskazał literatów dworskich) ostatecznie wykształca: mówmy po francusku, podczaszycu. Pan, jak widzę, nie przypomina mnie sobie?

— Prawdziwie, — odparł zaambarasowany Ordyński — przepraszam bardzo, nie mogę.

— W istocie mógłbym się urazić, — rzekł z uśmiechem nieznajomy — zwłaszcza na wczorajsze tak głośne zaparcie się znajomości mojej, ale wolę tego nie brać na serjo. Możeż być, żebyś pan podczaszyc istotnie mnie nie pamiętał?

— Proszę mi darować, — zawołał Michał, trochę urażony i zniecierpliwiony — ale za kogo pan chcesz

uchodzić? Gdzieżeśmy się widzieli, kiedy? Wczoraj u księcia podskarbiego, dzisiaj na ulicy...

— Ale dawniej, daleko dawniej, — śmiejąc się, dodał tajemniczy cudzoziemiec — wszakże bywałem w Głuszy bardzo często, bardzo często... niepodobna, byś podczaszyc mnie tam nie widywał... przypominam nawet sobie, że w dzieciństwie czułeś pan jakiś wstręt do mnie... mówiąc, żeś podobny do jakiegoś djabła!

Podczaszycowi w głowie się mąciło.

— W Głuszy? — zapytał drżącym głosem, nie mogąc się pozbyć strachu i wstydząc się razem, a lekając, żeby go kto nie spostrzegł.

— Za młodych dni pańskich jam tam nieraz przebywał, mam szczęście dobrze jeszcze z Włoch być znajomym pani podczaszynie.

— Wolno mi spytać o nazwisko pańskie?

— Cavaliere Fotofero, do usług.

Nie wiedzieć co było począć z tą osobliwszym sposobem przyplątana znajomością; chwilami zdawało się podczaszycowi, że oszaleje, tak żywo ten człowiek przypominał obraz pamiętny w jego młodem życiu i tak dziwna była mowa jego.

— Chciałbym podczaszycowi być użytecznym, jeśli pozwolisz, — dodał Włoch — mam tu dość piękne stosunki w stolicy i wiele mogę, choć napozór nic nie znacze. Jeślibyś pan w jakimkolwiek razie, pozbywszy się śmiesznego wstrętu i obawy, które widzę w oczach jego, chciał się odezwać do mnie, zawsze mi miło będzie mu służyć. Nieprawdaż, — dodał wesoło — że dwór świetny, że Warszawa miłe miasteczko. Widziałeś pan wczoraj Frascattelę — ładne dziewczę, ale nie w moim smaku; a jak wesoło bawimy się u księcia podskarbiego! Są i inne domy, w których czasami bywam i gdzie niemniej ochoczo się bawimy. Zczasem pozwolisz mi, podczaszycu, porobić z sobą niektóre ciekawe i użyteczne znajomości. Potrzeba używać! życie uchodzi! szkoda je marnować bezczynnie!

Mówił to szybko, patrząc mu w oczy, bawiąc się

rękojeścią szpadki, to jedną, to drugą nogę wystawując naprzód, jakby sam przed sobą zgrabną chciał się pochwalić postacią.

Podczaszyc milczał zbladły.

— Nadewszystko, kochany podczaszycu, — dodał, podnosząc głowę z uśmiechem — trzeba się pozbyć przesądów, wiek po temu! Dobrze to, że pan nawet w diabła nie wierzysz, bardzom się uśmieł wczoraj z tego konceptu; ale pocóż się było z tem tak publicznie przechwalać? cha! cha! diabli mają uszy długie, zadać im nieegzystencję jest to całe piekło oburzyć na siebie... Djabel wreszcie, to wasze przysłowie, nie tak czarny, jak go malują...

To mówiąc, zakręcił się i zniknął w tłumie, prawie w chwili, gdy jenerał brał pod rękę podczaszycę, który stał jak zdrtwiałły z podziwu, trąc czoło, żeby się przekonać, że nie śpi.

— A! a! z kimżeście to tak żywo rozmawiali? — spytał Baucher.

— Jenerał więc nie znasz cavaliere Fotofero?

— Mówisz mi pan o nim od rana, ale gdzieżeś go złapał? w Warszawie o żadnym nie słyhać...

— Tylko co odszedł ode mnie!

— Był tu? ależeś pan nie z nim rozmawiał? — podchwycił jenerał — zdawało mi się, że ci coś śmiesznego prawił Turkuł... i Reverdil... Pokaże mi tego Fotofero, ja zaraz ci wyśledzę, kto to taki.

— Przyznam się, że bardzo byłbym rad temu, — odpowiedział podczaszyc — bo zdaje mi się, że sobie pozwala jakichś ze mnie żarcików.

Szukali go po salach oczyma, ale napróżno, przeszli za nim pokoje, wybiegli do przedsieni, rozpytywali się służby, nikt podobnej figury nie widział; co więcej, na liście zaproszonych tego wieczora żadnego Włocha krom znajomych nie było.

Podczaszyc zagryzł usta, zamyślił się, zasepił, a że wieczór zamkowy już się kończył, wyszedł podrażniony i niespokojny, chcąc do domu odjechać.

Jenerał napędził go w sieni, chwytając pod rękę.

— Widzę, żeś czegoś chmurny, podczaszycu kochany, to nie do twego wieku humor, nie puszczam cię, chodź, trzeba się rozmarszczyć; żebyś spać nie szedł stękając, pojedziesz ze mną do Frascatelli.

Nie można się było oprzeć naleganiom starego, który chwycił protegowanego pod rękę, wsadził go prawie gwałtem do karety i woźnicą pokierował jak chciał, nim się Ordyński opamiętał.

II.

W końcu Miodowej ulicy, w jednym z większych jej domostw, w kwadrat zabudowanych, na piętrze od dziedzińca było mieszkanie pięknej Włoszki, dość ładne i świeże, ale skromne zajmujące pokoiki.

We wszystkich oknach jej mieszkania widać było światła i podjechawszy pod ganeczek, karet kilka zastali w dziedzińcu. Na wschodach, wiodących na piętro, paliły się dwie chińskie latarnie. Podczaszyc szedł dość obojętny i milczący, jeszcze pod brzemieniem nie miłego zjawiska. Jenerał wciąż z niego sobie żartował, usiłując go i rozbudzić i zaciekawić.

W przedpokoju usłyszeli przybywający głośnie śmiechy i dźwięk klawicymbału, dowodzący, że pani była w domu i że się u niej wesoło zabawiano; służący w czarnej bardzo prostej liberji i zręczna subretka krzatali się tu około wieczery, którą podawać miano. Jenerał wszedł naprzód z tą pewnością chodu, właściwą dobrze obeznanym, którzy nie pytają o nic, wiedząc, że zawsze sobie radę dać potrafią.

W trzecim pokoju za małą salką, przy świetle kilku alabastrowych urn, w których gorzały pęki świec przytłumionem światłem, ujrzeli nareszcie gospodynię okoloną mężczyznami, z jedną tylko płci swej towarzyszką, podżyłą już śpiewaczką Banini, sławną więcej z otyłości niż z głosu.

Podczaszyc w gronie gości rozpoznał księcia podskarbiego, wyciągniętego na kanapie w rodzaju odu-

zenia poobiednego czy pobutelkowego, dalej księcia Kazimierza, szczebioczącego coś na ucho pięknej Włoszce, starego kasztelana Ł..., który młodego udawać lubił, podkomorzego brańskiego i kilka jeszcze osób całkiem mu nieznanych. U drzwi pierwszych poznała go zaraz gospodyni i pobiegła wesoło ku nowej swej zdobyczy, z wyrazem nietajonym zwycięstwa, w którym coś było i smutku. Zastanowił ją na wstępie podczaszyc pomieszaniam i niepokojem, który się w oczach jego malował.

— Witam miłych panów! — krzyknął generał — ha! otóż i my przybywamy! Jedziemy wprost z pańszczyzny zamkowej, gdzieśmy najjaśniejszemu do zmistyfikowania jakiegoś Anglika służyli... Na Boga! kto łaskaw panowie, oszczędźcie mi wstydu, pierwszy raz mi się trafia, że kogoś nie znam w Warszawie... Mości ksiązę podskarbi, kto jest cavaliere... jakże? Fotofero?

— Fotofero? Fotofero? — powtórzyli echem niektórzy — co u licha! chyba żartujesz? gdzieżeś go wykopał?

— Gdzie? niech poświadczy podczaszyc, że tego nazwiska figura była u podskarbiego i w zamku pod takim mu się nazwiskiem przedstawiał.

Podskarbi mruknął niechętnie, ruszając ramionami, że nikogo takiego nie zna.

— Ani ja! ani ja! — powtórzyli inni — to ktoś nowoprzybyły.

— Dajmy temu pokój, — przerwał podczaszyc zachmurzony, bojąc się, by go pytania nie naraziły na jaką śmieszność — może mi się wreszcie to dziwaczne nazwisko przysłyszało czy przywidziało.

— No! a cóż mówicie o baronecie Angliku? — ziewając, wrzucił ksiązę Kazimierz-Nestor — dla was to nowalja! Warto, bym za ucho pociągnął tych jeszcze, co nie kosztowali tej potrawy — jakże się wam zda John Bull? twardy? ha?

— To jest, jak potrawa wszelka, — odpowiedział generał — o której trudno sądzić z pierwszego kąska,

trzeba się w niej rozsmakować. Zgadzam się wreszcie na zdanie pana Bukatego, że Anglik w domu, dla tych, co go *intime* znają, ma być kąskiem smacznym i posilnym, a zagranicą jak ostryga rychło się psuje dumą i ubieganiem za oryginalnością... Trzeba go też jeść dobrze wygotowawszy, a nie surowo...

— Siadajcie panowie — przerwała gospodyni melodyjnym głosikiem, zbliżając się do podcieszycy i wskazując mu miejsce najbliższe siebie.

Pomimo świeżego przykrego wrażenia i niepokoju, którego jeszcze doznawał, Ordyński nie potrafił się oprzeć pokusie modrych oczu Frascatelli, wciąż starającej się jak wąż wejrzeniem tem gwałtem go pociągnąć ku sobie. Oczy te poruszały go do głębi, budziły w nim strach jakiś i niewysłowioną żądzę zbliżenia się do niej; nie była to miłość, ale jakieś uczucie dziwne, na które bojaźń, żądza, ciekawość i litość się składały.

— Pan podcieszyc, *le dernier venu*, najświeższy, najmłodszy, — rzekł książę Nestor — widzę, że nas prawem ostatniego odbije tu wszystkich.

To mówiąc, zasiadł szybko z drugiej strony tancerki.

— Ale ostrożnie, młody paniczku, — dodał ciszej — my tu już starzy, poopalaliśmy skrzydła nadaremnie; ledwie się doświadczeniem i fortelami ratujemy od jej szatańskich sideł, inaczej potracilibyśmy głowy.

— Mości książę, — zawołała Frascatella — zanaadto podobno mną straszycie, jest to także rodzaj pochlebstwa, a wiecie, że ja go pod żadną formą nie przyjmuję.

— Czemże ci kadzić, bóstwo nasze, kiedy tej po-spolitej woni nie lubisz?

— A gdyby prawdą?

— Prawda tak jak spalone pióro trzeźwi i rozbu-dza, ale nie pachnie, a tak o nią ciężko!!

— Mości książę, — żwawo odcięła się tancerka — na starość chciałabym zasłużyć na pochlebstwa i dla-tego teraz żądam prawdy.

— Nieźle! ślicznie! Ani naiwna Duthé lepiejby się nie odcięła, — zawołał książę, skłaniając głowę — ale cóż ci na to, odpowiedzieć? mogę przysiąc, że poczęstuję cię świeżą prawdą, ręcząc, żem piękniejszej, dowcipniejszej nad ciebie nawet w Paryżu nie widział.

— A w Warszawie, mości książę? — spytała sztydersko Włoszka.

Książę się zaturbował, zmieszał trochę.

— Ręczę, że wasza książęca mość dzisiejszego dnia przynajmniej pięciu pięknościom toż samo powiedzieć musiałeś!

Podczaszyc rozśmiał się, ale ustami tylko, z tego językowego szermierstwa, chmura jeszcze wisiała nad jego czołem, przed oczyma wciąż się djabeł uwijał.

— Widzę, żeś pan czy nudę, czy smutek, czy niepokój, czy gniew wyniósł z zamku — odwracając się do niego, spytała Frascatella.

— Nie wiem jakby się to stało, — odpowiedział podczaszyc — ale są czasem jakieś niezwycone natrętne myśli, które człowieka wszędzie napastują, ani się im opędzić.

— Trzeba się opędzać — rzekła Włoszka — i chcieć tylko a ustąpić muszą; my tu pana rozweselim koniecznie, ja nie lubię twarzy chmurnych, kiedy jeszcze smutek na tak młodem rozpościera się czoło, to jak czarna plama na białej sukni... jak robak na kwiatku.

— Jakżeś dziś poetyczna! — syknął książę, trochę zazdrosny o sąsiada.

— A to księcia dziwi?

— Dalipan nie wiem, — wmieszał się Baucher — znam tego trzpiota Frascattelę lat już dwa, jeśli się nie mylę, a do tej pory jej nie rozumiem. Robi, co tylko może, żeby ją miano za zgubioną, za przepadłą, za straconego aniołka, mówi, chodzi, lata, niesza się do towarzystw, których dotknięcie truje i gubi, a, jak salamandra, cała z płomienia wychodzi. i nikt w Warszawie pochwalić się nie może, żeby choć ust jej dotknął, tak jej sztylecik straszy.

Frascatella spojrzała w oczy jenerałowi i parsknęła zimnym śmiechem.

— O! wiem, — rzekła — że myślicie, żebym się dawno powinna dla przyjemności waszej zaprzedać i zgubić! Radzibyście temu byli, ale nie znacie jeszcze stworzenia tego, które zowiecie Frascatellą! Jest coś, co mnie w tem waszem błocie trzyma niezwalaną na dnie serca, do którego żaden z was się nie dostanie.

Wtem oko jej, w którym igrały zielone i złotawe blaski fali morskiej, padło na podczaszycę, zdając się mówić do niego:

— Ty jeden zajrzałbyś może w to serce... gdybyś chciał, gdybyś umiał!

Podczaszyc zmieszał się, a jenerał rozśmiał:

— Możesz ty tylko wielki filut — rzekł, grożąc — ale jeżeli z ciebie tak doskonała aktorka, tośmy ci wszyscy winni ogromne brawo! — I poklasnął w szerokie dłonie.

— Nie zasłużyłam na tę obelgę, — spuszcżając głowę, chmurno odpowiedziała Frascatella, bawiąc się swoim sztylecikiem — znacie moje życie całe. Komedją w niem jest tylko wesołość.

Frascatella wybiegła na chwilę, jenerał szepnął podczaszycowi.

— Chyba ty ją potrafisz zbałamucić. Szatan, nie dziewczyna. Podskarbi przed rokiem chciał ją poprostu kupić i dawał dobrą sumę, ale mu się w oczy rozśmiała, pytając go, na co mu się staremu zdać mogła? Książę Nestor także podobno tentował gorąco i nadarmo; innym pokazuje sztyleciki jak psy zębki białe, kiedy kto je napastuje, a nikt się nie pochwali, żeby był u niej w większych od drugich łaskach — przyjmuje u siebie, uśmiecha się, jeździ, kompromituje się po uszy, ale dalej — nic.

Podano wieszczkę, przy niej i przy kieliszkach, na których szcęk obudził się książę podskarbi znużony, posypały się gradem koncepta, piosenki, historyjki,

plotki, poczęto opowiadać kronikę tajemną dworu i Warszawy, liczyć zmiany kochanków wielkich pań, opowiadać awantury zaszłe w ciągu tygodnia, kłótnie małżeńskie, zgody dawnych kochanków i tysiączne podobne nowinki. Podczaszyc wciąż siedział chmurny i oczy nawet a usta pięknej Włoszki, wciąż ku niemu zwrócone, ożywić go nie mogły.

— Do licha — szepnął w duchu, przyglądając mu się, jenerał — czy niegoły on tylko! czy się gdzie dziś nie zgrał? ale to być nie może! Śliczniebym się wybrał, żeby on u mnie pieniędzy zażądał. Ale nie, to coś innego, niepodobna! wiem, że ma kredyt u Teppera i u Schultza na 10.000 dukatów, tegom pewny, jużciż go w dzień jeden nie pożarł! albo to coś żołądkowego, albo serdecznego!

I spytał wkońcu pocichu podczaszyc:

— Przyznaj bo mi się, do licha, co ci jest? jeśliś chory, niema się czem martwić, zawiozę się zaraz do Beklera, może to narazie ubije...

— Dziękuję ci, panie jenerale, — odparł podczaszyc — alem zupełnie zdrow, to są zwykłe moje humory, które mnie niekiedy napadają...

Frascatella daremnie sadyła się na dowcip, zaczęła, drażniła, słowa z niego dobyć nie mogąc. Narzeczcie Baucher, widząc, że na to nic poradzić nie umie i że go sobie samemu zostawić potrzeba, pożegnał gospodynię i że jedną jechali kareta, zabrał go z sobą do domu.

Przy rozstaniu Frascatella schwyciła go za rękę z wyrazem litości i serdecznego zajęcia.

— Niech też pan, gdy będzie weselszym, lub weselości zapotrzebuje, czy podziału smutku, nie zapomina o mnie. Rada zawsze będę widzieć go u siebie.

Ordyński spojrzał w piękne oczy, uśmiechem i skiniem głowy odpowiadając jej tylko.

III.

Ruszyli w ciemne ulice, oba zamyśleni i milczący — ale zaledwie ujechali kilka kroków od mieszkania Frascatelli, nagle karetą zupełnie się przechyliła i upadła na stronę jenerała, który przeraźliwie krzyknął, niezmiernie się bowiem obawiał kalectwa. Zaczęli wołać na furmana, a ten i tak już konie był jakoś powstrzymał, postrzegłszy, że się karetą przechyliła, koło spadło i złamana oś rznie po bruku.

Radzi nieradzi wydobyli się oba z powozu, jenerał klnąc Dangla, kareciarzy i starannie się opatrując, czy sobie czego nie stłukł, podczaszyc śmiejąc się trochę z Bauchera niecierpliwości i strachu. Dla jenerała piesza po nocy przechadzka, wyjąwszy chyba taki przypadek, jakim był zwycięski pochód księcia podskarbiego, niesłychaną wydawała się rzeczą, grożąc chorobą, katarem, kaszlem, a co gorzej dietą, tyzanną i siedzeniem w domu...

Wielce niespokojnie oglądał się Baucher, szukając oczyma powozu, fiakra, bodajby jakiegokolwiek wózka czy kar, coby go do domu odwiozły, ale w ulicy pusto było zupełnie i cisza dokoła. Księżyc świecił prześlicznie, jedną połowę kamienic pełnym oblewając blaskiem. Jasno było, mróz niewielki a śnieżek świeży iskrzył się jeszcze niedotknięty stopą; niebo całe zasiane było brylantowymi gwiazdami, a po niem przelatwały tylko białe lekkie obłoczki.

Podczaszycowi przechadzka ta nocna podobiała się bardzo, ale Baucher wciąż mruczał i przeklinał.

Wtem poza niemi zgraja ludzi wielka wysunęła się, przybliżając z krzykiem i wesołemi śmiechami, które jakąś zdawały się oznajmywać zabawę uliczną. Był to gmin różnobarwny z rzemieślników, czeladzi, sług i drobnego mieszczaństwa złożony, który zwabiało coś niezwyčajnego. W rozochoconym tym tłumie wiadać było raczej podnieconą ciekawość, niżeli inne jakie uczucie, któreby jenerała, miastu niedowierzającego, zaniepokoić mogło. Przodem szło dwóch okry-

tych płaszczami ludzi, dźwigających na drągach coś w rodzaju małej lektyki; poprzedzał ich trzeci niosący gwiazdę osadzoną na wysokim kiju, z jaką po kołędzie chodzą około świąt Bożego Narodzenia; za niemi wlokła się zwykła koza, dziad i baba i, jak się domyślać było można, jasełka. Ale to wszystko jeszcze nie usprawiedliwiało tłumu, bo ten się na to widowisko nigdy taką ciżbą nie zgromadzał. Jenerał obejrzał się, pomrukując.

— A to ciemiegi! próżniaki, furfanty, patrz tylko, podczaszycu, ile się ich to wlecze za lada jasełkami...

— Ba! ba! ale bo to nielada jasełka — odparł głos jakiś tuż za jenerałem.

— No! no! i cóż takiego osobliwego? — odwracając się, dumnie spytał Baucher.

— A dalipan ciekawości... którejby się i paniskom popatrzeć nie zawadziło! — rzekł idący chłopak.

— Co? król Herod, śmierć, baba i tym podobnie — dorzucił wzgardliwie jenerał.

— A może i coś więcej oprócz nich się znajdzie, i biskupów kilka par, i hetmanów kilku, i kasztelanów z pół tuzina, i książąt dobra garstka, kilku posłów i czego tam niema!!

— Podczaszycu, — szepnął Baucher, zatrzymując towarzysza — jak myślisz, trzebaby to może zobaczyć? to może być *anyuis sub herbis*, warto się przekonać, co oni mówić mogą o tych niezwykłych w jasełkach figurach? Może to znowu jakiś paszkwil zamaskowany nowego rodzaju! Chodźmyno, popatrzmy!

Podczaszyc obojętny ruszył ramionami i rzekł:

— A kiedy pan chcesz, służę mu, i owszem.

Zatrzymali się nieco w ulicy i tłum nadchodzący wkrótce ich oblał; wzięwszy się pod ręce, usiłując ciągle utrzymywać na przedzie, choć popychani, poszli z ciżbą i z nią razem dobili się do tego szyneczku, w który cała czereda z gwiazdą, z szopką, kozą, babą i dziadem wparła się z okrzykami, zajmując ławę najbliższą widowiska.

Szczeńciem izba szynkowa była obszerna i coraz

pomnażająca się publiczność miejsce w niej, choć niebardzo wygodne, znaleźć mogła. Rysia szuba jenerała, jego mundur choć starannie nią pokrywany, wytworny ubiór podczaszyca i fryzury obu trochę im wolniejszego placu zjednały; resztę zajęła młodzież, starzy, dzieciuki zpodobna spoglądający na intruzów, i nie bez szyderstw cichych pokazujący ich sobie palcami.

Była to scena malownicza, okryta zakopconem sklepieniem starego domostwa, oświeconem kilku cienkimi świeczkami, umieszczonemi w lichtarzu żelaznym, wieloramiennym, wiszącym od stropu i poprzybijanych do ścian świecznikach. Głęb zajmowały półki z butlami i wielki stół szynkowy, za którym królowała Magda, zwana oddawna nie wiem dlaczego Magdą Różaną, może od zaprawnej tym sposobem wódki, którą sprzedawała, może od różowych teraz aż do zbytku policzków. Była to sobie tłusta baba w czepku nabakier, dość niedbale odziana, której ani śmiałości, ani siły, ani donośnego głosu, potrzebnych do utrzymania porządku w szynku, nie brakowało.

Ledwie to wszystko wcisnęło się do izby, a już jej głos, tłumiący szmery i śmiechy, wyżej zabrzmiał nad wszystkie inne:

— A co to tu was tak nalazło? tyatr toście to sobie obrali cy co? — zawołała — naco mi te goście? Hola? idźcież mi, skądęście przyszli, a nie, to was naucę jak innych! tu nie hece — chces drugi piwa albo wódki, to se pij, ale kto niepotsebny, rusajcie se z Panem Bogiem, zebym was nie pocęstowała cem inem...

— Niechże pani pozwoli, — rzekł grzecznie, czapkę zdejmując, ten, co jasełka pokazywał — przecie i sami popatrzycie się i zabawicie, a nam jaki grosz dacie zarobić — bardzo was ślicznie prosim i ja i koledzy.

— No! no! — trochę udobruchana, nalewając już wódkę kilku, mruknęła ciszej Magda — tylko mi się zwijajcie, a żywo i prec, bo ja synk zamykam!

Ustawiono szopkę w pośrodku izby na przysuniętej od ściany ławce, o co znowu Magda się kłócić po-

częła; gwiazda jęła się kręcić, koza skakać, kortyna jasełek, sporządzonych wcale misternie, podniosła się do góry. W nich widać było narodzenie Pańskie w górze, z Dzieciąciem we żłobie, Marją, Józefem, wołkiem, osiołkiem, pasterzami.

Dołem był próżny jeszcze teatrzyk. Odśpiewano naprzód pobożną pieśń starą o Betlejem, z której jenerał i podczaszyc, pocichu, ostrożnie spojrzawszy na siebie, zaśmiali się, tuż i król Herod i trzej królowie i śmierć wystąpiła, potem Żydówka i djabeł... tęgi djabeł czarny; z rogami, na kozich nogach, z widłami, z pazurami i z czem pospolicie djabli chodzą.

Podczaszycowi tylko się nie podobał, gdyż znowu mu się zdało, że do jego obrazu był podobny; zaniepokoił się trochę, usta zacisnął, ale szatan rychło, pociągnawszy Żydówkę, zniknął, a tuż poczęły się ukazywać postacie jakieś niezwykle w jasełkach. Jenerał trącił w bok łokciem towarzysza, zwrócili uwagę całą na tę część przedstawienia.

I było na co: występowały bowiem figury całkiem nowe i przewybornie, kunsztowniej nad pospolite wystrugane, pomalowane, poubierane. A naprzód w duchownej sukni biskupiej ktoś twarzy chmurnej, zaspionej, poważnej, dumnej; po minie zręcznie skarykaturowanej poznać go było łatwo. Figurka ta zakręciła się, stanęła w pośrodku, a głos z za szopki szybko wydekłamował cztery wiersze w sposobie zagadki do niej zastosowane ¹⁾).

Twarz blada, strój czerwony,
Partyzant... dalekiej strony.
Bale daje, sam nie skacze,
Tylko na poddaszu płacze.

— Prymas! prymas! — cicho poczęli szeptać przytomni, a tu i Magda z ciekawością, zatknawszy butel, przechyliła się z za stołu ku szopce i przyglądać zaczęła.

¹⁾ Wszystkie te zagadki są historyczne, przypisują je Kajet. Węgierskiemu. Przyp. Aut.

Wtem figurka pierwsza, przesunawszy się przez teatr, znikła nagle.

Jenerał pobladł, zatrząsł się, ale milczał.

Po pierwszym znowu ktoś wysunął się w fiole-
tach powoli, pokręcił głową, skłonił, buziaka od ust po-
słał w stronę Magdy, i z za szopki tenże głos wywo-
łał równie szparko:

Nadto skąpy dla kraju, dla duszek wspaniały,
Na oko patryjota, sercem Prusak cały.
Ma niektóre przymioty, lecz te ćmi, niestety,
Niewdzięczność ku tej, co nań wdziała fiolety.

Śmiechy głośnie, brawo! brawo! ksiądz biskup ku-
jowski! poczęto wołać z różnych kątów. Jenerał z dru-
gimi nie mógł się wstrzymać od śmiechu, ale niepo-
kój go opanował. — Co te jasełka znaczyć miały. Kto
je tak dobrze urządził na pośmiewisko najwyższych
dygnitarzy, co dalej wyjść z nich mogło?

Wtem maleńka figureczka fertyczna wylazła
i skłoniła się dość niezgrabnie, wlokąc za sobą długo
rozpostartą chustkę do nosa, a głosik za nią wy-
dzwonił:

Więcej fałszu niż wzrostu,
Gada niby poprostu.
Patryjota czuły,
Dla wakującej infuły.

— Biskup płocki! biskup płocki! — zawołał sam
jenerał, chichocząc mimowolnie — ale to, mości pa-
nie, — szepnął na ucho podczaszycowi — to nie są
proste żarty tych ludzi, oni nie wiedzą, co im za pasz-
kwil podyktowano — to *materia status*, to zamach
ogromny! Dobrze się stało, żeśmy powóz obłamali,
muszę o tem donieść królowi, to nielada głowa two-
rzyła.

Raz jeszcze i drugi pokazali się duchowni, których
Baucher za ciżbą i hałasem a śmiechami rozpoznać nie
mógł, ledwie ich najrzawszy; wreszcie trzecie fiolety
wystąpiły poważnie, figura co się zowie wielkiego

świata, biskup w wytwornych błyszczących trzewi-
kach, pończochach, rękawiczkach i koronkach, głowa
upudrowana jakby z młyna, na palcach sygnetów peł-
no, z za jaselek deklamują:

Biskup przystojny, mowca zabawny,
Kursor wyborny, gracz w wista sławny,
Intrygant zręczny, podszyty cnotą,
Króla i wszystkich przeda za złoto.

— ...ski! ...ski! — huknął tłum jednym głosem.

— Niechże go kaci porwą, to soli! — ruszając ra-
mionami, wyburknął generał, po którym już ciarki
chodzić poczynąły, żeby gdzie w jakim kątku szopki
i siebie nie znalazł. Po duchownych nastąpili w isto-
cie świeccy senatorowie i dygnitarze, a między nimi
łatwo można było poznać świeżo widzianego u Fra-
scatelli kasztelana Ł...

Nie czekając epigramatu, którego treści łatwo się
było domyśleć, generał nosa spuścił i brwi namar-
szył. Wierszyk był taki:

Kiedy Wenus była w modzie,
Stawił jej domki przy wodzie.
Dziś, gdy ją odarł ze cnoty,
Nosi imię patryjoty.

Figura i okoliczność wzmiankowana zbyt były
znane, żeby się kto mógł na nich omylić, a generał tak
się rozsierdził, że go już tylko pobudzona ciekawość
trzymała w miejscu; gdyby mógł, byłby, dobywszy
szabli, ciął i jasełka, i deklamatora.

Za nim wystąpił książę Nestor w mundurze artyler-
ji, czupurno, galancko, ale czterech wierszy, które
mu wydeklamowano, hałas nie dał usłyszeć. Po nim
ukazała się popularniejsza postać hetmana polnego:
wyszła na scenę z maluteńką buławeczką, wiodąc pod
rękę dość wyczupurzoną panienkę.

— Dalibóg! — krzyknął generał — wykapany!
a! zgroza! nic już niema świętego!

Osoba wspaniała,
Acz buława mała,
Amant nieustanny,
A zawsze do panny.

Śmiech powstał w tłumie, który i Magda na wiarę innych podzielać zaczęła.

— Niechże go słota porwie, — zawołał szewc, biorąc się w boki — ależ konceptu nie kupował! a goli bez mydła.

— To też zacina miejscami! — dodał drugi.

Zanosilo się widocznie na jeneralny przegląd wszystkich ówczesnych znakomitości, bo dalej ukazało marszałka wielkiego koronnego, który, wyniosłą niosąc laskę, obszedł wkoło szopkę, kilka razy nią stuknął i stanął.

Laskę po izbie nosi,
Arbitrów na ustęp prosi.
Piersi do głosu ma słabe,
Wszyscy go mają za babę...

— To *crimen status!* to *materia status!* — przerywanym od gniewu głosem wołał jenerał oburzony, ledwie się mogąc umitygować — ale — cierpliwości, jutro na to poszukamy rady.

Nie brakło nikogo, wyszedł i kanclerz Sapieha.

Obojętny na los kraju,
Siedzi sobie w swym seraju.
Przystał sądzić mieszczanów,
Jak też osądzi panów? ?

Za nim kanclerz Chreptowicz, jeden może, któremu złośliwej nie przypięto łatki, wyszedł w szarym stroju, ręce w kieszeni, książka pod pachą, zamyślony, głowa nadół, oczy w ziemię:

Wiele czytał, dobrze myśli,
Chłopom swoim prawa kreśli.
Wiele umie, cicho gada,
Nie ma koni, choć ma stada.

Jenerał tylko głową pokiwał.

— Zdradza się autor, — rzekł — trzymamy go tedy, pochwała się nam zdemaskował! słuchajmy dalej! słuchajmy!

Wystąpił jeszcze i ksiądz biskup Krasicki, strojno, wytwornie, z książeczką ślicznie oprawną w rękę, w rokiecie, z bukietem u niej, a deklamator mu przy-
ciał:

Ten modny galant nigdy mszy nie miewa,
Tylko z damami *sursum corda* śpiewa.

— Nic nie poszanowano! nie! zgroza! — mruczał stary dworak, zgrzytając zębami, tak że aż na siebie oczy patrzących obracał — cierpliwości! cierpliwości do końca!

Ale widowisko się przedłużało, gdyż satyryczny poeta chciał widać wyczerpać wszystkie znakomitsze postacie swojego czasu i nikomu płazem nie puścił.

Podczaszyc uśmiechnął się na widok księżnej wojewodzicowej mściławskiej, której figurka dość dobrze ruchawą panią prezentowała.

Z za szopki dosłyszeli słowa:

Ojczyzny matka jedyna,
Kazia ma syna.
Króla zawsze łaje,
Gdy jej nic nie daje.

Nie zląkł się ten paszkwilista ani księcia Stanisława Poniatowskiego, ani księcia jenerała ziem podolskich, o którym tylko delikatnie powiedział:

Nie chce dać czuć swojej siły.

Zaraz za mężem wystąpiła żona, ale co jej wydek-
klamowano, pochwycić się nie dało przy szmerze; była i hetmanowa Ogińska, o której co śpiewano nie do-
słyszał jenerał z tejże samej przyczyny. Nie darowa-

no i Małachowskiemu kanclerzowi, ni innym dostojniejszym.

Jeszcze chwila, a już się scena skończyć miała, bo Magda niecierpliwiła się niepomалу, wołając co chwila na gwiaździarzy, by się uwijali a kończyli. Jenerał drżał z gniewu, gdy wtem — kubek w kubek ujrzał drugiego siebie, poznawszy się po brzuchu, po stroju, po minie; ścierpl, gdy nie poszanowawszy i jego, zaczęto szamerować. Tego już wytrzymać było trudno.

— Podczaszycu, — zawołał — pomagaj!

I skoczył do tego, co, poza szopką stojąc, deklamował, by go za kołnierz pochwycić, ale w tejże chwili tak go ścisnęli jakoś przytomni, że mimo szamotania ruszyć się nie mógł z miejsca i pozostał z wyciągniętą ręką, patrząc jak się owi pokazujący jasełka wynosili, uciekając na łeb, na szyję...

— Trzymaj kto pocziwy! trzymajcie tych trutniów, albo mi wszyscy jutro będziecie za nich odpowiadać przed sądem marszałkowskim! — Rwał się i wołał, ale nadaremnie; śmiejąc się, jasełkarze, potem widzowie i słuchacze, tłocząc, wypływali z szyneczku i rozpierzchali z ulicy, każdy w swoją stronę. Gdy jenerał uczuł się wolnym, już nie czas było gnać, a śmiesznem wołać o pomoc, którejby nikt dać nie myślał. Baucher więc obwinał się w futerko i równie chmurny, jak podczaszyc, pociągnął za nim, odgrażając na występnych.

— Jutra chybabym nie doczekał! Zdam królowi jmcu sprawę z tego, cośmy tu przypadkiem złapali, — mruczał gniewnie — dojdziemy tych, co pod bokiem n. pana, jego najpoufalszych, najulubieńszych śmieją podawać w pośmiewisko i ohydnie czernić! Ja sam, ja delatorem i instygatorem będę do przykładnego ukarania, bo to nie szewcy, nie mieszczenie w tem, nie prosta hałastra, ale znajoma partja, i nielada jaki partola składał te kolące wierszyki! Wszystko wyjść musi najaw, bodajbym głową nałożył, a swego nie daruję!!

Tak miotając się w gniewie bezsilnym, generał doszedł przecie do Krakowskiego Przedmieścia, gdzie fiakra znalazłszy, kazał się odwieźć do domu; a podczaszyc, pożegnawszy go znużony, pieszo, że wieczór był piękny, poszedł zamyślony ku swemu mieszkaniu.

IV.

Uczucia, które w tej chwili miotały młodym Ordyńskim, niełatwo wytłumaczyć się dają; sam on z nich nie umiał sobie zdać sprawy. Była to jakaś tęsknota niewysłowiona, coś jakby uczucie wielkiego zawodu i znużenia. Przypomnienia chwytaly go na swe skrzydła i przenosiły w dziecinne lata ku Głuszy, którą widział jak nigdy nie miał ujrzeć więcej, z siedzącą nad księgą i różańcem staruszką, modlącą się z błogim uśmiechem spokoju, z Anusią, czarnem okiem wyrzucającą mu jego płochość, z tysiącem tych drobnostek, które przychodzą na myśl często w chwili boleści, nie wiedzieć skąd i dlaczego. Jasno, wyraźnie przypominał sobie najmniejsze okoliczności swego dawnego życia na wsi, które mu z dzisiejszego stanowiska nie wiem czemu tak nęcącym się zdawało, odurzał się niemi, by zapomnieć o zjawisku, które go prześladowało, poza wspomnieniami podnosząc groźnie głowę i zaglądając mu w oczy.

Tak rozmyślając, zbliżył się podczaszyc do swojego mieszkania i wpadł na wschody, dowołując się uspioonej już służby.

Paki jakieś i wozy zastał w dziedzińcu, a w pokoju sypialnym, do którego wszedł, pierwszym przedmiotem uderzającym oczy był na kanapie stojący rozpakowany obraz św. Michała archanioła ze zwyciężonym szatanem.

Włosy znów najeżyły mu się na głowie.

— Co to jest? kto go tu przyniósł? — zapytał służącego.

— Poprzywożono niektóre rzeczy z Głuszy, — od-

powiedział rozespany lokaj — Labe Poinsoł był ciekawy obrazu i sam go dobył.

— Wynieś mi go stąd! — z gniewem prawie zawołał Michał, nie ośmieliwszy się nawet drugi raz rzuć okiem na malowidło, z którego czuł na siebie zwrócone szyderskie wejrzenie zwyciężonego ducha.— Gdzie jest Labe Poinsoł?

— Oto właśnie jestem! — odpowiedział z uśmiechem nadbiegający Francuz. — Przysłano tu z głuszy z rozkazu nieboszczki pani starościny i jej rozporządzenia niektóre graty, które, wedle jej testamentu mają do pana podczaszyca należeć i między innemi był ten obraz, do którego, jak widać, wielką przywiązywała cenę, — z uśmiechem i ruszeniem ramion dodał Labe — ale ja w nim, przyznam się, nic prócz ciekawej pracowitości malarza nie widzę. Jednak to stary zabytek, sądzę że z końca XV wieku pochodzić musi, świadczy o tem naiwność stylu. Starościna chciała, żebyś go pan miał ciągle przed oczyma, bo wyraźnie to umieściła w swoim testamencie, że ma wisieć w jego pokoju, jako pamiątka po niej... przysłano także trochę innych sprzętów, widać pocziwa staruszka chciała jak najdłużej pozostać w pamięci wnuka.

Podczaszyc westchnął, odwracając się i nie dając poznać po sobie, jak go silnie obeszło zjawienie się tego obrazu. Poinsoł wziął to za czułość.

— A ba! — rzekł w sposobie pociechy — umarłym wieczny odpoczynek, zawsze po nich płakać nie można — zmieńmy przedmiot — cóżeś pan porabiał?

Poczęści rad dystrakcji, wypowiadał się swemu dawnemu nauczycielowi podczaszyc, ale jednakże o djable i Frascatelli nie wspomniał; opisał tylko obiad u księżnej wojewodźkowej, wieczór w zamku i przypadkowe widowisko, na które trafili w szynkowni.

— To ma wielkie znaczenie polityczne, — rzekł, zamyślając się, Francuz. — Odwaga szczególna! pod boki króla! Jutro o tem przez jenerała zamek

i wszyscy wiedzieć będą; nierad jestem, żeś pan był tego świadkiem, bo go Baucher pociągnie do tej sprawy niepotrzebnie.

Po odejściu Poinso, który zaraz poziewać zaczął, ażeby miał powód podczaszyca pożegnać, Ordyński usiadł znużony przed stołem, na którym zastał pożegnanie babki i list matki. Z bijącym sercem wziął oba, a łza wytrysnęła mu z oka, czytając wyrazy, nakreślone ręką drżącą starościny. Duch zmarłej pobożny, rzewny a pełen rezygnacji i pokoju wiał z tego pisma, które już na łożu śmierci dyktowała. Czuł Ordyński, że rady jej były święte i wiedział, że nie pójdzie, nie potrafi iść za niemi, że dla niego już za późno. Babka przypominała mu Boga, ohowiazki, życie dziadów jego proste i wielkości pełne, święte ich obyczaje i panującego im ducha ofiary.

— Dziecię moje, — mówiła jeszcze z za grobu — niech ci nic nie zdaje się małym na świecie, nic próżnem. W każdym słówku jest nasienie przyszłości, w każdym serca uderzeniu nieprzeliczone następstwa. Módl się i oczyszczaj modlitwą, pilnuj, byś się nie skalał towarzystwem ludzi złych, a nawet próżnych, bo jeden krok często całe zwickła życie. Nie dopuszczaj nawet myśli do siebie, którejbyś głośno wyznać się wstydział. Żyć będziesz w tłumie zepsutych; wybrnij z niego jak wyszli młodzieńcy święci z rozpalonego ogniska — męczennikiem a niepokalanym.

Myśl swoją podnoś do Boga, wymódl u Niego opiekę i zwiąż się z Nim nieustannemi ku Niemu westchnieniami, a pamiętaj, że niema upadku, z którego by nie podniosła skrucha, żal, pokuta, łzy i modlitwa.

Snać staruszce żal było rozstać się ze swym wychowawcą, bo list był długi, czuły, troskliwy, macierzyński, a podczaszyca, czytając go, przeniósł się znowu w dziecinne swe lata, serce mu biło, pociemniało w oczach, rzucił pismo, nie dokończywszy go.

— A! po czasie — rzekł — te rady, te życzenia twoje! czemuż ani wierzyć nie mogę, ani się modlić, ani z żalem po wierze i modlitwie, jak inni, rozbratać?

Jestem jak ptak, któremu by obcięto skrzydła, szamoczący się próżno, by podlecieć, i upadający na ziemię.

Łza, długo zbierająca, stoczyła się na list babki.

Wtem oko podczaszyca spostrzegło nierozpieczętowany list matki, który z pożegnaniem także wysłała, widać z pierwszego w drodze noclegu. List ten całkiem był odmienny, znać było, że go pisała kobieta całkiem zaprzętniona sobą, świat widząca zimno, poziomo, po ludzku. Zalecała w nim ostrożność, dworszczyznę, pomiarkowanie, a nie cnotę, pozory, nie poczciwość szczerą; obawiała się rozrzutności syna i strat, na które był narażony, więcej niż skalania jego duszy, nieprzyzwoitości więcej jak występku. Każde jej słowo napiętnowane było rozważą doświadczenia, ale się nie podniosło do Boga i do nieba, zapominając o obojgu.

Zimno też przebiegł okiem to pożegnanie matki Ordyński, bo do serca jego przemówić nie mogło, odsunął je nawet z pewnym wstrętem, bo stokroć powtarzane rady te niecierpliwiły go tylko, nie trafiając do uczucia, nie mogąc przekonać umysłu... Wielkimi krokami począł, rozmyślając, chodzić po pokoju.

Stanąwszy u stolika, zobaczył na nim różaniec z opalów i granatów, które mu babka, ostatnią na nim mówiącą modlitwę, przysłała, przypomniał sobie polecane przez nią pacierze i już chciał do nich po staremu uklęknąć, gdy mu przeszkodził wchodzący sługa.

Pobożność jego nie była tak silną, by się nie obawiała śmieszności; ta mała napozór okoliczność przerwała dobrą intencję, nie ukląkł, rozebrał się i usnął miotany marzeniami, nieporządnie odtwarzającami gorączkowe dnia widzenia i myśli.

Frascatella na przedzie, wiodąc szereg mar dziwnych, skakała przed oczyma jego, wabiąc go przez tłumy ku sobie, jenerał go ciągnął, Fotofero mu się kłaniał, groziła matka, a babka płakała, — Poinset, stojąc naboku, ruszał ramionami...

Nazajutrz rano przebudził się podczaszyc znużony walką z widziadłami sennemi, ciężki i smutny. Ale biały dzień, jasno wpadający przez odsłonięte okna, orzeźwiał go nieco swym blaskiem; pierwsze jego wejście padło na pamiątki po świętej staruszce, które schwycił i pochował, jakby się i tych oznamionowanych pobożną myślą drobnostek wstydził przed ludźmi. Obraz tylko, na który spojrzeć nawet się teraz wahał, pozostał na wierzchu, bo go usuniono, ale nie wyniesiono. Ale od niego podczaszyc uciekł zaraz z mieszkania, a czując potrzebę ruchu i powietrza, do których przywykł na wsi, naprędce się ubrawszy do piechoty, incognito zszedł w ulicę.

Tłumy, bo to była niedziela, przepływały w różne strony, wesołe, wrzawliwe, zajęte; dzwony, głośno, wesoło kołysząc się, napełniały powietrze srebrzystym swym dźwiękiem, śpiewając o Bogu; wieśniacy z okolic zapełniali nowym żywiołem place targowe i ulice, gwar z sobą wiejski i swobodę wnosząc do miasta. Ordyński, sam o tem prawie nie wiedząc, skierował się ku Krakowskiemu Przedmieściu, zszedł na boczny chodnik zamyślony i zdziwił się, gdy go tłoczący się lud wniósł, nie opierającego się, obojętnego do Świętokrzyskiego kościoła. Ranna to była jeszcze godzina, w której mieszczanie członkowie bractwa odśpiewują godzinki. U bocznego ołtarza św. Karola ksiądz staruszek mszę odprawiał, podczaszyc oparł się o słup i chwilę pozostał nieruchomy. Naprzeciw niego, tyłem zwrócona ku niemu, klęczała jakaś kobieta, której tylko, mimo ciepłego ubrania, zręczną kibić widać było. Zdawała się gorąco zajęta modlitwą, a nabożeństwo jej, pełne ruchów, egzaltacji, westchnień, coś miało tak uderzającego, że nawet Ordyńskiego zwróciło oko.

— Szczęśliwa, — rzekł do siebie — modli się, wierzy, spodziewa! Ja idę przez świat omackiem!

Wtem, gdy się właśnie msza kończyła, powstała kobieta i z podziwieniem niezmiernem podczaszyc poznał

w nieznajomej — Frascatellę. Tancerka zaraz go też postrzegła, uśmiechnęła się jakoś smutnie, biorąc może jego przytomność w kościele za umyślną chęć spotkania, i wychodząc, podawszy mu na paluszkach święconą wodę, w kruchcie zaraz poczęła z nim rozmowę.

— Widzę, żeś pan pobożny, — odezwała się — nie uwierzysz jak mnie to cieszy i zadziwa razem, dziś tutaj wszyscy tak dziwnie obojętni, gorzej niż obojętni...

— Przyznam się pani, że i ja bardzom się zdziwił, zastawszy ją tutaj — przerwał Ordyński.

Tancerka uśmiechnęła się z wyrazem niedowierzania, którego jednak wypowiedzieć nie chciała. Jej się zdawało, że podczaszyc, przychodząc, dobrze wiedzieć musiał, że ją tam znajdzie.

— Ja — ja jestem *Italiana* — odpowiedziała mu wesoło, topiąc w nim oczy melancholiczne i zalotne — my w naszym pięknym kraju tak śliczne, przejrzyste mamy niebo, że przez nie Pana Boga widać...

— Dlaczegoż uciekacie z pod tego pięknego nieba?

— Jednych pędzi nędza, drugich ciekawość, dwie biedy, kochany panie, — naiwnie rzekła tancerka — innych młodość, trzecia bieda także, a niektórych przypadek.

— Któraż z tych bied was tu do nas szczęśliwie zagnała, piękna Frascatello?

— Mnie — odpowiedziała tancerka — pierwsza i najpospolitsza — ubóstwo, dla którego trzeba się było wygnać z miłego kątku swojego, by ze łzami w oku skakać i śmiać się, walać i błocić, i wziąć za to rzucony, jak małpeczce, grosik *Carital*!

Nie wiem, udane czy prawdziwe maleńkie łzy błysnęły w modrych jej oczach, gdy to mówiła; westchnęła ciężko, boleśnie.

— Wy nie macie pojęcia, co to życie nasze bez tego nieba, bez tego powietrza, do których jak do mleka matki dziecięce usta, przywykły oczy i piersi nasze.

— Powiększacie smutek swój tą rozmową, signora

Frascatello, — przerwał podczaszyc, wiodąc ją dalej ulicą — roztkliwiasz się i rozżalasz...

— Nic to! nic! pozwólcie mi z sobą być trochę szczerą i pożalić się przed wami; czuję, że musicie mieć dobre serce, tak mi przynajmniej mówią oczy wasze, a ja mam zwyczaj wybranym moim mówić, co myślę. Resztę dnia już nie wiem czy się szczerze do kogo odezwę, widzieliście mnie w gościnie i gości moich u mnie — taka to życia reszta — o! nie do zażdrości!

— Wśród tylu wielbicieli i hołdów?

— Żartujesz pan, — z urazą prawie zawołała Włoszka — co to za hołdy? Kilku starych rozpustników, pobrzękujących mi nad uszami głupiem, jak oni, złotem, kilku młodych, pobrzękujących tak samo odrobina pożyczanego dowcipu, kilku pobłyskujących pięknymi oczkami, przez które świeci pustka w ich sercu.

— A! jakżeś surowa!

— Nie, nie, tylko sprawiedliwa! Wolałabym ludzi szorstkich, dziwacznych a prawdziwych, to wszystko lalki ręką ludzką wystrugane, w które Bóg duszy nie tchnął, w których nic niema Bożego!

— Dziękuję ci, piękna Frascatello, że mnie przynajmniej nie mieszasz do nich — rzekł podczaszyc, zdziwiony całą tą mową.

— Bo sądzę, żeś pan od nich trochę lepszy, — rzekła tancerka — ale kto wie, co będzie jutro? schwycą cię, uniosą z sobą i życie wyssą jak upiory, będziesz im potem podobnym, uróżowanym i chodzącym trupem tylko.

Ordyński tyle życia i prawdy schwytał w tych kilku słowach, tak go one jakoś przeszły do głębi, że nie mógł się rozstać z piękną tancerką; a choć ta piesza z nią wśród białego dnia przechadzka trochę go kompromitowała, szedł dalej, niewiele myśląc, pochwycony jej wdziękiem, ciągniony wymowniejszymi jeszcze od ust oczyma. Ona zdawała się upajać własnymi wyrazami i egzaltować coraz bardziej.

— A! — dodała po chwili, śmiejąc się głośno, ale smutnie — chociaż pan jesteś *incognito*, a ja pieszo, nie może być, żeby kto rannej naszej przechadzki nie dostrzegł... całe miasto wieczorem będzie panu winszować.

— Chcesz pani, bym odszedł? — zapytał żywo podczaszyc.

— Nie, nie, wcale, alboż jednym więcej kochankiem zaszkodzić mi co może? codziennie mi kogoś dają! śmieję się — a wiedząc, że mi nie wierzą, bym została panią siebie, sprzedając skoki swoje, ani myślę o mojej biednej sławie... Chodźmy dalej, — dodała — będziesz pan u mnie na śniadaniu.

Niepodobna było odmówić, przeszli tak razem przez najludniejsze ulice, spotykając coraz kogoś ciekawie wychylającego się, by poznać damę, z którą szedł podczaszyc. Włoszka śmiała się szczerze.

— Ale panu — spytała go — nic-że to szkodzić nie będzie? nie masz pan tam już kogo, coby się z nim pokłócił za to, że cię widziano ze mną?

— Ja? nikogo! — z westchnieniem odpowiedział Ordyński.

— Widać, żeś pan chyba krótko w Warszawie?

— Od kilku miesięcy.

— A! i dotąd niezajęty! — roześmiała się Włoszka, łamiąc ręce — to prawdziwie osobliwszy wypadek.

W środku Miodowej ulicy idąc, tak powoli rozmawiając, zatrzymując się, ujrzeni karetę jenerała Bauchera, która stała przed szyneczkiem Różanej Magdy, widać już sprawę o jasełka wczorajsze rozpoczynano.

Sam jenerał z kilku osobami jeszcze rozprawiał żywo o wypadku, który go tak gniewał i oburzał, ale ujrawszy Frascattelę i podczaszyca, wyrzucił ostatek rozkazów naprędce i pośpieszył za nimi.

— Dzieńdobry wam! a! winszuję! Dalipan, nadspodziewanie, podczaszyc nie traci czasu, już nie wiem skąd z tą boginią powraca?

Tancerka odwróciła się ze śmiechem.

— Wiesz, panie jenerale, skąd? z kościoła!

— A! ba! starego wróbla chcecie wziąć na plewę! Ze świątyni raczej Cyprydy i Amora, którym palić musieliście ofiarę...

Podczaszyc ruszył ramionami.

— Panie jenerale, — rzekł — na honor, że tylko cośmy się spotkali, przypadkiem w kościele.

— Mów sobie zdrów, co chcesz, ale filut z waści! — zawołał Baucher — wczoraj w nocyśmy się rozstali, poszedłeś niby do domu, dziś rano spotykam!! (pokiwał głową) naco to darmo bałamucić.

Frascatella śmiała się do rozpuku z tej domyślności starego rozpustnika, który westchnął i Włoszkę ujął pod rękę.

— Dokądże państwo teraz, jeśli wiedzieć wolno?

— Ja do domu, a ten pan był tak łaskaw, że mnie chciał odprowadzić.

— Siadajcież do mojej karety, pomieścimy się wszyscy, bo po złamaniu wczorajszej pożyczylem sobie u Dangla poczwórną tymczasem, póki mojej nie naprawią. Pojadę z wami na śniadanko, jużby też i przekąsić czas, bom się nalatał i nagniewał, co apetytu dodaje.

Włoszka zakłęła się, że nietylko śniadanie, ale i ostrygi nawet będą i uprzejmie zaprosiła ich z sobą, siedli więc razem do karety i pojechali do jej mieszkania.

— Ostrygi, moje dziecko, — siadając, powoli zamruczał jenerał — ostrygi dobra to jest rzecz, ale, Frascatelciu kochana, czy nie będą za drogie na twoją kieszeń, kiedy o mnie mowa? bo masz waćpanna wiedzieć, — dodał — że ja się nie ukontentuję tuzinem, jem kopami, kiedy się do tego wezmę, porachuj się... proszę... chybaś raptem pobogaciała!

Włoszka się uśmiechnęła na te naiwne przestrogi.

— Wiesz co, panie jenerale, — rzekła — na ten raz dam ci ich, ile zechcesz, jeszcze mnie na to wystarczy powinno, drugi raz już ci ich nie zaofiaruję, bo byś mnie zrujnował.

Jenerał spojrział z podelbą na podczaszyca, mru-
gając okiem, uśmiechnął się i szepnął:

— *Honestel! Honestel!* poczyyna sobie panienka,
w dobrym widzę humorze, że waszmości sobie złowiła.

Jakby te słowa, wymówione umyślnie po polsku,
zrozumiała Frascatella, spojrziała na Ordyńskiego
smutnie i cicho westchnęła — wtem powóz stanął
u bramy jej domu.

VI.

Ku wieczorowi tegoż dnia, gdy podczaszyc rozmy-
ślał jeszcze o pięknej a dziwnej Włoszce, wahając się
czy ją miał uznać szczerze pocziwą, czy tylko wybor-
ną aktorką, w obu razach nie mogąc pojąć wdzięku,
jaki ją otaczał — wpadł do niego zdyszany pan jene-
rał, wołając jeszcze na progu:

— Szczęście, zem też pana zastał w domu, a tu
król jegomość chce się z nim widzieć dziś jeszcze,
zabieram go zaraz z sobą do zamku.

— Cóż to się stało? Jaki powód? — zapytał pod-
czaszyc, trochę zdziwiony tym pośpiechem.

— Najjaśniejszy pan chce się go lepiej rozpytać
o te przekłète jasełka, za którymi marszałkowscy słu-
dzy latają napróżno po całej Warszawie; jak w wo-
dę wpadły! Rozповідаłem ja o nich królowi, ale
chce widać posłyszeć z ust pańskich, jak to się dzia-
ło, a zatem ubieraj się co najspieszniej, podczaszycu,
i jedziemy.

Podczaszycowi, choć niemiło było wcale w pe-
wien sposób instygatorem zostać i wciągnionym być
do śledzeń, musiał przecie zastosować się do woli
królewskiej i chwyciwszy strój dworski na siebie,
włożywszy wstęgę, zawołał o karete.

Koło zamku pełno było jeszcze, mimo zbliżającego
się wieczora, czeladzi mularskiej, ludu, cieślów, robot-
ników; kilku ułanów, kilku kawalerzystów w różno-

barwnych mundurach zwijali się tu i owdzie, karety wjeżdżały i wyjeżdżały z dziedzińców.

Wszedłszy jednak na pokoje, zastali tylko w kątku szambelana Wilczewskiego, grającego w szachy z jednym ze służbowych paziów, a w drugiej sali śpiącego wygodnie na kanapie generała Garczyńskiego; król był w swoich pokojach, ale że podczaszyc przychodził wezwany, dano o tem znać przez szambelana Wojnę, który się znalazł w innym pokoju. Wojna nierychło z wyprawy swej powrócił i dał znak generałowi, że mogą wniknąć do gabinetu.

Przeszedłszy kilka jeszcze sal i pokoi, których prawdziwie królewskie urządzenie podziwiał Ordyński, otwały się przecie drzwi do wielkiego gabinetu jego królewskiej mości, oknami wychodzącego na taras zamkowy. Był to obszerny, piękny pokój z kilkoma szafami bibljotecznymi, ozdobnemi w brązowe rzeźby i zielone firanki. W pośrodku dwa wielkie jednakowe biura, kilka krzeseł wybitych zielonym aksamitem, kanapka i wolterowski fotel u okna składały całe umeblowanie. Przed oknem także stał mahoniowy piękny trójnóg malarski i stoliczek z całym przyrządem artystycznym, nieco dalej pulpit i pudełko do akwareli, a na najbliższem biurze teki, papiery, pendzle, pióra, dyplomata, księgi, rysunki, sztychy w dość malowniczym rozrzucone były nieładzie. Na ścianach wisiało kilka pięknych obrazów: portret ojca królewskiego, jego matki, księcia Andrzeja, jego żony, księcia Stanisława i kilka pięknych nieznajomych twarzyczek.

W jednym kątku widać było niewielki szkic Bacciarellego, tajemniczą jakąś wyobrażający historję Stanisława, klęczącego przed zjawiskiem, marą białą, Moiną Poniatowskich, o której głuche krążyło podanie, że członkom rodziny przyszłe ich przepowiadała losy.

Król jegomość, w bogatym szlafroku, a jak naówczas zwano „robdeszanie“, z pod którego oszytą korunami koszulę widać było, stał u biura w pośrodku

pokoju, oglądając rysunki, które mu podawał mężczyzna po francusku ubrany, wesołej i ożywionej twarzy, ale niezbyt już młody. Z drugiej strony stołu w dość zaniedbanym ubraniu, z zawiniętymi rękawami, oparł się pierwszy króla malarz i faworyt Marceli Bacciarelli, spoglądając z ukosa to na artystę, to na króla, to na rysunki z trochę szyderską miną. Stanisław August widzieć tylko co był porzucił robotę, bo w rękę jeszcze miał pendzel, którego nie złożył i nim na papier wskazywał.

— Mości Norblinie, — mówił do stojącego i z uśmiechem coś z teki dobywającego rysownika — ta Zuzanna prześliczna, ale pozwól sobie powiedzieć, że rywal Rembrandta w sztychu, zbyt znowu w rysunku ciała Rubensa mi czasem przypominasz. Twoja Zuzanna zbyt może jest pulchna i chybaby starców znęcić mogła, nie jest to świeże dziewczę, jakiegobym tu sobie życzył...

Bacciarelli rozśmiał się, schwytawszy króla na dwuznaczności.

— Trudno bo się od tych arcydzieł oderwać! — mówił znowu — to głowa Polaka! Cudzoziemiec schwycił cudnie charakter narodowy, równie jak Bacciarelli i Canaletto, prześlicznie! wybornie! Strój nasz dawny, choć niewygodny i śmieszny, bo nas od reszty Europy na jakieś tatarskie plemię wystrycha, na obrazie, w sztychu jak się malowniczo wydaje!

— A! — wykrzyknął nagle król, biorąc coś z teki — to Orlandini! żywiuteńki! wykapany! a co za charakter! Winszuję ci, panie Norblin! Co za talent! Patrz tylko Bacciarelli, jakie dotknięcia!

Gdy Bacciarelli z uśmiechem, ale w milczeniu rysunek oglądał, generał, któremu się niebardzo chciało czekać, ośmielił się przerwać królowi.

— Wasza królewska mość rozkazałeś się nam stawić!

— Zaraz, panie jenerale, przepraszam cię, podczasycu, chwilę tylko! — I szepnął coś Norblinowi

na ucho, odsuwając papiery i pokazując mu rysunek jakiś na stole.

Artysta z uszanowaniem ujął ten płód królewskiej ręki, dzieło utworzone w wigilję narad sejmowych, a wystawujące nową liberję dworu, którą król chciał przemienić. Naturalnie, Norblin odchwalić się nie mógł rysunku, kompozycji, doboru barw, cieszył się, radował, oglądał, dziwił, uwielbiał pomysł i wykonanie, Bacciarelli szedł z nim w zawody, coraz nowe ukazując piękności w tym rzucie.

Skończyli wreszcie, zgodnie na jeden zdobywszy się concept, że żaden artysta z powołania nicby piękniejszego nie potrafił wymyślić.

Król wierzył czy nie grubemu kadzidłu, ale je z rozkoszą wciągał w siebie i rozweselony zwinął swój rysunek, żegnając Norblina przypuszczeniem do pocałowania ręki królewskiej.

Naówczas król, trochę zasepiony myślą poważniejszej sprawy i indagacji, którą musiał rozpocząć, zbliżył się powolnie do podczaszycy. Nim jednak usta otworzył, oznajmiono mu architekta Zug'a, Fontanę, Merliniego, potem nadejście Le Brun'a rzeźbiarza, potem przyniesiono obraz, który król polecił był kopjować Tokarskiemu, co widocznie więcej daleko króla obchodziło, niż jakieś satyryczne jasełka. Żywo więc przystąpił do przybyłych z intencją rychłego pozbycia się ich obu.

Podał podczaszycowi rękę do ucałowania, uśmiechnął mu się łaskawiej i zapytał go dość obojętnie:

— Cóżście to tam wczoraj z jenerałem za osobliwsze mieli widowisko? Prawda to, że w niem nikogo nie oszczędzano?

Ordyński, który wstręt miał do delacji wszelkiej, dość lakonicznie odpowiedział:

— Przypadek chciał, najjaśn. panie, żeśmy trafili na jasełka jakieś z panem jenerałem, z powodu zepsucia się powozu. O ile mi szum, krzyk gawiedzi i nie dość dobra pamięć dozwoliły schwycić to przedstawienie, przypominam sobie, że występowały tam

głównie figury biskupów, dygnitarzy, posłów, kilku kobiet...

— Któż z kobiet? — spytał ciekawie król, w oczy pilnie patrząc podczaszycowi.

— Pani hetmanowa Ogińska, księżna wojewodzicowa mścisławska, księżna jenerałowa podolska.

— A z familji mojej kto więcej? — marszcząc się frasobliwie, rzekł Stanisław August.

— Książę prymas tylko i książę Stanisław.

— Hm! hm! — przerwał król — jak się też wmości zdaje, kto może być autorem tego niecnego paszkwilu?

— Zbyt krótko jestem w Warszawie, zbyt mało ją jeszcze znam, żebym o tem śmiał nawet jakkolwiek sądzić — szybko odpowiedział podczaszyc, a jenerał podchwycił:

— Za to tylko ręczyć mogę, że człek nie z gminu, dowcipny bardzo i w ostre zbrojny słówka, głowa nie-lada, wiersz gładki.

— Nie pamiętacież nic? — spytał Poniatowski.

— Ja nic a nic, najjaśn. panie — pośpieszył Ordyński.

— Ja ledwie kawałki, bo to mi się jak groch z kapustą w głowie pomieszało, — dodał Baucher — a wstydziłbym się powtórzyć, takie to wszystko grubjańskie i niepocziwe.

— Przecież mówiłeś mi, że i ty tam byłeś na scenie, musisz pamiętać, co o tobie śpiewano? — zagadnął król jenerała.

— Skromność mi nie pozwala powtórzyć — trochę żartobliwie skłaniając się i tłumiąc gniew, rzekł stary dworak.

— Nikomu nie powiem, daję ci na to słowo królewskie, — zawołał, zbliżając się, Stanisław August — ałem ciekaw manieri poety, możebym go po niej poznał?

Zawahał się trochę jenerał, ale wiedząc, że rozśmieszy, a znając, że u króla łaskę miał, choć chwi-

lową, kto go rozmarszczyć potrafił, rzekł pocichu z miną dziwnie skrzywioną:

— Ot, tak, najjaśn. panie, ni mniej, ni więcej ucięto mnie w ten sposób:

Prochu nie wachał, kąty wycierał,
Brzuch zawsze pelen, a głowa pusta.
Wszystkich dworaków jenerał,
A ulubieniec Augusta.

Król się szczerze rozśmiał, ruszył ramionami i zawołał:

— O! niepoczciwy! niepoczciwy! Ale czyż nie a nie nie pamiętasz jenerale nad tę li jedną zagadkę?

— Klnę się w. k. mości, żem ze złości wszystkiego zapomniał; a potem, było tam czego słuchać, jedne lepsze nad drugie, rejestr aptekarski!

— Mości Ordyński, — odwrócił się król — niewiele ja się, widzę, od wpana dowiem, alem też chciał cię prosić, żebyś o tem nie rozpowiadał, ponieważ, jak sądzę, rzecz ubito zaraz z początku, niech ją milczenie i zapomnienie pokryje.

— Darmo bo to już milczeć, — odezwał się stary dworak z miną zafrasowaną — buchnęło to, słyszę, po całym mieście jak z armaty, a wierszyki nawet chodzą już po rękach. Ci, co je stworzyli, sami roznieśli.

Król się bardzo jakoś zasepił, a że mu jednak, mimo frasunku, pilno być musiało do Zug'a, Le Brun'a i Bacciarellego, właśnie w chwili, gdy mu oznajmowano kilku panów senatorów, których do innego dnia odesłał, śpiesznie się zwrócił, żegnając swych gości, do ulubionego zajęcia.

Gdybyśmy poważnych historyków świadectw nie mieli o tych zajęciach królewskich, coby ledwie zwycięskiemu Ludwikowi XIV przystały, a z których tak dziwnie nasz Poniatowski przypomina owego króla René, malującego rękopisma w chwili, gdy mu całe zagarniają prowincje, trudnoby uwierzyć, że w pośród ruchu, jaki wówczas panował w Warszawie,

mógł król myśleć o czem innem, jak o nim. Zagrożona Rada Nieustająca, projektowane uchwały względem wojska, pogłoski, które się już szerzyły o zażądaniu sądu na dawnych winowajców, a zwłaszcza na Ponińskiego, co za wszystkich płacił; uparcie i gorąco popierany aljans pruski, tak dla króla niesmaczny, odebranie mu w ostatku resztek władzy powinny były skłonić go, jeśli nie do żywego losem kraju zajęcia, to do obstawania za sobą. Tymczasem wobec takich okoliczności król się bawił jeszcze, nie mając wiary w żadne środki, których mógł użyć, idąc naostatek ku przyszłości, w którą nie ufał, jak się idzie naoslep w ciemnościach, nie wiedząc czy nad przepaść nie wiedzie obrona droga.

VII.

Wieczorem u pani starościny małogoskiej, u pani Opeckiej, u hetmanowej Ogińskiej, u wojewodzicowej mścisławskiej, gdzie się zbierało dużo osób z przybyłych do Warszawy i ze dworu, o niczem nie mówiono, tylko o przygodzie owej jenerała i podczaszyca, a trafem dziwnym wszyscy już powtarzali wierszyki o osobach, z którymi byli źle, w zupełnej będąc niewiedomości innych, co się do nich samych lub ich stronnictwa stosowały.

Śmiali się nawet najsrożej pokaleczeni, bo o sobie nie wiedząc jeszcze, cudzej biedzie radzi byli. Z tego powodu i podczaszyc Ordyński, grający tu jakąś rolę, zwrócił uwagę powszechną. Damy, zwłaszcza te, które w tej chwili były niezajęte, przy których sigisbejstwo wakowało przypadkiem, lub aspirantami tylko tymczasowymi zapelnione było, powtarzały sobie na ucho różne wiadomości o podczaszycu Ordyńskim. Zjawienie się młodego, ładnego chłopca ze wsi, w owe czasy powszechnego zepsucia, nie mogło przejść niespostrzeżone. Z początku, póki go widywano u boku matki, wydawał się trochę za młodym, i podczaszy-

na imponowała, ale gdy usłużni przyjaciele rozgłosili, że bywa u Frascatelli, że go z nią widziano na ulicy nawet, wielkie wrażenie zrobiło to po salonach. Wojewodzicowa mściławska, która od syna pierwsza się podobno dowiedziała o tem, że podczaszyc do tancerki uczęszcza, odezwała się wieczorem u starościny małoskiej:

— Wiecie państwo, że ledwie matka odjechała, już się ten młodzieniaszek w świat puścił, żal mi go bardzo, że tak lichy uczynił wybór i myśli śmiecie z ulic wymiatać, szkoda jego młodości!

— Zwłaszcza, — dodała gospodyni z ostrym uśmiechem — gdy mu o coś lepszego, przy jego minie i świeżości, niezmiernie byłoby łatwo.

— Pozwólcie panie, bym się też za nim ujął trochę; — odezwał się przytomny na wieczorze książę Nestor — wiem z pewnością od jenerała Bauchera, że to jeszcze bardzo niewinny i skromny dzieciak. A co się tyczy tej tancerki, wszystkim nam wiadomo, że ona do tych dziwnych, zaklętych istot należy, na które patrzy się z podziwieniem, nie mogąc ich zrozumieć. Naraża się na języki, ale nikt jej nie dowiedzie jednego prawdziwego kochanka.

— Ależ — zawołała gospodyni — wasza książęca mość dziwnie też jesteś naiwny, że wierzysz cnotie tancerki, która jeździ na wieczorki do księcia podskarbiego!

— Ona jeździ i chodzi wszędzie, gdzie się jej zamarzy, — rzekł książę — a z tego, co na nią powiadają, śmieje się niemniej.

— Powracam więc *à mes moutons*, — dodał książę Nestor — to jest do podczaszyca. Jenerał mi mówił, że dziwny z niego nowicjusz, choć ogromna w nim ochota puszczania się w świat. Nie brak mu nawet wcale dobrego wychowania, ale nieśmiały. Dobrzebyście panie zrobiły, biorąc na siebie wykrzesanie go i wyrobienie zeń człowieka. Zadanie przykre, ale nie było.

Rozmowa toczyła się ciągle po francusku, a przy-

tomna jej żona posła pruskiego, pani Lucchesini, piękna Włoszka z czarnemi ognistemi oczyma, słynąca z zalotności, której obojętność męża swobodnie i rozległe dawała pole, słuchała z innemi z podbudzoną ciekawością. Gdy książę Nestor skończył, śmiało odezwała się, prosząc go, żeby jej tę osobliwość przyprowadził i zaprezentował.

Nikt się nie dziwił temu, nikt nie uśmiechnął, kilka innych pań goniących resztkami piękności lub pięknych jeszcze, mimo że wcześniej z wdziękami swemi na świat wybiegły, chórem powtórzyły tę prośbę do księcia za posłową.

— Ale prawdziwie — śmiejąc się, odparł piękny generał — mógłbym mu pozazdrościć tylu ciekawości i takiego szczęścia.

— Rzeczywiście — dodała Lucchesini — przypominam sobie, że go gdzieś już widziałam, bardzo to ładny dzieciak.

Na tem przerwała się rozmowa, gdy jak na toż generał z podczaszycem weszli na pokoje pani starościny.

Dom jej był naówczas jednym z tych salonów prawie codziennie otwartych, gdzie się ludzie wszystkich niemal stronnictw spotykali. Służył on za *rendez-vous* niejednej zakochanej parze, nie mogącej zejść się gdzie indziej, za plac spotkania, nie bijący w oczy potrzebującym widzieć się tajemnie, dokąd każdy dążył pewien, że tam najświeższe plotki i połowę Warszawy znajdzie. Uprzejmość, dowcip gospodyni (Anny ze Scypjonów Szaniawskiej) czyniły wieczory jej jednemi z najprzyjemniejszych i najwięcej uczęszczanych. Ton w nich panujący był naturalnie francuski ówczesny, ale prawdziwie wielkiego świata.

To też najznakomitsze osoby owej epoki wołały tu spędzać godziny wieczorne niż gdzie indziej, a gdy inne paradniejsze salony stały pustką często, tu natłok był zawsze. Każdy przybyły do Warszawy musiał się prezentować staroście i indygenat otrzymawszy w jej domu, pewnym był przyjęcia u innych.

Nie dziw więc, że generał przywiódł tu swego protegowanego, bo nigdzie nie spodziewał się sam spotkać więcej osób i lepiej rozsluchać, czem Warszawa tętniała, a podczaszycowi z tego stanowiska najskuteczniej mógł całe towarzystwo ukazać.

Starościna obu przybyłych powitała swoim zwyczajem z godnością a uprzejmie; oczy wszystkich kobiet zwróciły się zaraz na wilka, o którym tylko co była mowa, a co tak w porę przyszedł. Wilk nasz wydał się im czem był w istocie, wielce powabnym, pięknym młodym chłopakiem, którego resztką nieśmiałości dziecinnej jeszcze wdzięczniejszym uczyniła.

Ten, który był celem tak ognistych napaści, najmniej się ich domyślał: zatrzymała go zaraz przy sobie księżna wojewodzicowa, na którą aż strasznie ramionami ruszać zaczęto w młodym kątku, że tak świeżuchnego kawalera na szczątki swych trędowatych wdzięków zwabić chciała. Jej żywa i ośmielająca rozmowa, dowcip szyderski, gwałtowna chęć podobania się, której już maluczko czasu do popisu zostawało — uwieźiła na chwilę podczaszyca. Pragnął może przejść gdzie indziej, spotykając i czarne ogniste oczy Lucchesini ku sobie zwrócone znacząco, i kilka par różnych odcieni wejrzeń szukających oka jego, promieniejących zalotnością, melancholją, wesołością, obietnicami — ale grzeczność go nie puszczała. Nareszcie gospodyni rzuciła z niego te kajdany, powołując ku sobie i niecierpliwiej przedstawiając Włosze.

Szczęściem tego wieczora posła inflanckiego nie było, zatrzymali go Mostowscy; Lucchesini więc zagarnęła podczaszyca i schwyciła, jak swego — nic jej nie przeszkadzało.

— Teraz już, — szepnął generał — choćby go starościna spróbowała przywołać, z tych pięknych łapek nie tak się łatwo da odebrać, jak od ks. wojewodzicowej!

Mienia się czasy i obyczaje: dziś, pomimo licznych

może wyjątków, trudnoby pojąć, jak gwałtowny szturm przypuściła Włoszka do młodzieńca, którego odrazu jednego wieczora wziąć chciała. Co dziwniejsza! nikomu się to nadzwyczajnem nie wydawało, choć biło w oczy szkaradnie; jedna tylko wojewodzicowa szemrała na bezwstydnosć. Co na ten napad poszło słów, zapytań, odpowiedzi i wejrzeń strzelistych, wejrzeń co aż do dna duszy zaglądały — wyliczyć niepodobna. Niktby się im nie oparł, cóż dopiero młody, niedoświadczony i wcześniej przygotowany do upadku Ordyński?

Osobliwszy to był charakter kobiecy; w niej miłość i miłostki raczej z namiętnego usposobienia, niżeli z serca i potrzeby uczucia płynęły. Fantastyczna, niestała, porywcza, poświęcająca się dziś, by jutro wyrzucać ofiarę, którą uczyniła, łatwo gniewliwa, gwałtowna do szaleństwa, mogłaby była znużyć najwytrwalsze przywiązanie, gdyby go nie rozdrażniała co chwila tysiącem nowych wdzięków, w które ją każdy nowy wybuch przystrajał. Ze wszystkimi wadami wieku, z zalotnością obyczajów ówczesnych łączyła dumę jakąś, ambicję i ogień sobie tylko właściwy.

W pierwszej chwili przedstawiła się Ordyńskiemu w postaci kobiety czulej i łagodnej — była to zwykła jej fizjognomja zapoznania, zdawała się nią ośmielać, by przybliżyć i pociągnąć ku sobie. Oczy jej patrzyły miluchno, usta mówiły słodko, czoło oblewało się mgłą tęsknoty i pragnienia nienasyconego, ale to była tylko pierwsza maska, którą rychło zrzucała piękna Włoszka, ze zręcznością szatańską przechodząc stopniami powoli do coraz wybitniejszych rysów, w których gwałtowna namiętnosć, chęć władania, a często i gniew panował.

Tego wieczora wszystkich jej dobrych znajomych uderzyła ta słodycz nadzwyczajna i powolność, któremi się dla Ordyńskiego osłoniła. Nie gniewała się, że wkoło niej ten i ów po polsku przemówił jak zwykle, nie wyłajała nikogo, nie wstrząsała się na każde

skrzypnięcie paryskich trzewików księcia Nestora, które było dla niej nieznośne. Rozmowa poczęła się od matki podczaszyca i Włoch, o których z tęsknotą mówiła piękna ich córka, przeszli potem do Warszawy, do dworu, do tych ogólników, pod które podłożyć można wszelką myśl, jaką kto chce; których obcy słuchają, nie rozumiejąc, a jeden tylko pojmuje prawdziwe znaczenie.

— Pan musisz być bardzo stęskniony za matką i ogłuszony tą wrzawą, tak nową dla siebie? — spytała Lucchesini podczaszyca.

— Patrzę, słucham, dziwuję się, — odpowiedział Ordyński — jestem wszystkiemu nowy.

— Zazdroszczę panu tych uczuć — rzekła Lucchesini, — bo dla mnie wasza Warszawa tak już w krótkim czasie stała się znajomą i nieciekawą! Tak mi tu między wami za moją tęskno ojczyzną!

— Wątpię, by pani braknąć mogło towarzystwa i wielbicieli — dodał podczaszyca, ośmielony jej wzrokiem.

— O! niczego mi nie braknie, nawet tego sprzętu, który pan zowie wielbicielami, ale to wszystko tak nudne i pospolite. Ja lubię młodość, a tu i młodzi są starymi.

Najnudniejsze w świecie wiodę życie w Warszawie — dodała pani Lucchesini — mąż mój, jako dyplomata, nieustannie zajęty, ledwo go raz w miesiąc w cudzym domu spotkać mi się uda, towarzystwo poufalsze mam niewielkie, a w waszym świecie polskim tak wszystko nieznośne po polsku!

Ta impertynencja naówczas była tak w tonie zwykłych rozmów, że uszłaby nawet w ustach każdej Polki; podczaszyca więc, nie biorąc jej za złe, tylko się uśmiechnął.

— Przyznaj jednak pani, — dodał — że robimy, co tylko możemy, by się z naszego barbarzyństwa otrząsnąć.

— Może być, ale że waszego „wczoraj“ nie znam,

a „dzisiaj“ nie mam z czem porównywać, ten postępy wydaje mi się jeszcze bardzo chyba niedostrzeżonym...

— Więc Warszawa nie miała szczęścia podobać się pani? — zapytał podczaszyc, coraz bardziej pociągany płomienistym jej wzrokiem. — Szkoda! zawsześmy uchodzili za gościnnych, przykro nam będzie, jeśli wrażenie, jakie stąd wywieziesz pani, naszym chęciom nie odpowie.

— Zresztą, — poprawiając się, przemówiła Lucchesini — alboż wiem jeszcze, jakie stąd wrażenie wywiozę, czekam i patrzę, patrzę i czekam dotąd.

To czekam — pełnem było obietnic; zrozumiał je dobrze choć niedoświadczony Ordyński i już miał odpowiedzieć, zbierając się na odwagę, gdy druga z tych pań, co na niego czatowały, przysunęła się do rozmawiających jeszcze śmieiej, jeszcze dziwniej porywając się na podczaszyca.

Była to piękna blondynka, od lat trzech dopiero zamężna, której puder modny bardzo był do twarzy — bieluchna, świeża, rumiana, rzekłbyś, łagodna jak baranek. Jedna to była z tych mnóstwa pięknych starościn, w które Warszawa obfitowała za Stanisława Augusta, które wszyscy kochali, poczynając od króla, które malował każdy artysta, wielbił każdy młody; jedna z tych, co umiały doskonale wszystkim być miłe, nikogo nie zrażać, każdemu jakąś część nadziei wydzielając za dobre chęci.

— Podczaszycu, — zawołała, wpadając między niego a panią posłową ze szczególniejszą odwagą (była mu już trochę znajomą z widzenia) — czy to prawda, jak mówią, żeś się już zakochał?

— Ja? — płoniąc się zmieszany, rzekł podczaszyc — ja, pani?

— Nie byłoby nic nadzwyczajnego! — przechodząc w dumny tonik, przerwała Lucchesini.

— Tak jest, pan, pan, przyznaj się przynajmniej szczerze, będziemy wiedziały, czego się trzymać — dodała roztrzepana blondynka, rzucając okiem na posłową z minką wiele znaczącą.

— Alem ja jeszcze nie miał czasu rozpatrzyć się w Warszawie i pomyśleć o wyborze!

— Ale my już wszystko a wszystko wiemy — mówiła żywo, nie dając się wmieszać Włoszce, starościna, a jakże nie mamy wiedzieć, kiedy się kto tak mało strzeże i po ulicach swoje triumfy oprowadza!

— Rozumiem nareszcie — odezwał się podczaszyc, widząc, że się potrzeba stanowczo wywikłać z tych zapytań, którym ze wszech stron badające spojrzenia towarzyszyły. — Dziś rano spotkałem na ulicy tancerkę Frascatellę, musiano mnie z nią zobaczyć, i stąd cała plotka?

— Ale czyż tylko plotka? — zapytała natarczynie blondynka. Lucchesini także wlepiła w niego czarne swe oczy z zapytaniem niemem.

— Dotąd jest to plotka, nic więcej, — uśmiechając się, odpowiedział Ordyński — ale za dalej nie ręczę...

— Prawdziwie, — przerwała starościna, zaczynając się bawić wachlarzykiem — gdyby to plotką być przestało, wstydby nam było wszystkim, wiele nas tu jest, żebyś też pan z tylu pięknych kobiet wyższego towarzystwa w całej Warszawie nie umiał sobie wybrać i zszedł odrazu na tancerkę! to dobre na koniec dla Bauchera, dla podskarbiego, pan wart jesteś coś lepszego!

— A bezwstydnica! — ścinając zęby, mruknęła z gniewem tłumionym Lucchesini.

Podczaszyc pomiędzy temi dwiema pięknościami stał odurzony, nie wiedząc co począć, wahając się, ku której miało pójść serce jego, gdy właśnie w tej chwili stanowczej nadeszła trzecia.

Sławna to była piękność i niemniej głośna zalotnica, którą już był pierwszy jej mąż, podrujnowawszy się, oddał za trzykroć sto tysięcy drugiemu, wielkiemu a obojętnemu panu. Rozwód znowu miał ją, jak było słyhać, uwolnić od tego związku, a w miejsce jednego kilku już miała ubiegających się o jej rękę.

kę, wdzięki i dobra wytargowane na dwóch małżonkach.

Istotnie, piękna była jak anioł, gdyby tu tego porównania użyć się godziło, i miała ten rodzaj fizjognomji zwodniczej, pod którą, rzekłbyś, mieszkać powinny wszystkie cnoty i wszystek rozum tego świata. W spokojnem jej obliczu rafaellowskiej Madonny czytałeś, coś chciał, a w oczach jej ulgnąwszy, można było przemarzyć lata, prześnić wieki. Cóż kiedy ta twarz tak okrutnie kłamała!

Najpospolitsza z kobiet, ledwie miała trochę poluru, który nadaje wprawa w towarzyskiem życiu, niewiele dowcipu, nic serca, ale zato odwagę, jaką ją obdarzała piękność cudna, i tę pewność siebie, której nabyła, widząc u swych kolan co żyło, palące ofiary. Ćmiła ona w istocie twarzą nieco wschodniego typu co się tylko najpiękniejszego ukazywało, i panowała jak królowa w tym wieńcu, którym skroń swoją zdobiła stanisławowska Warszawa.

Ta trzecia zbliżyła się także, zdala już wzrokiem kłępując przyszłego niewolnika, chciała triumfu i była go pewną.

— Podczaszycu, — odezwała się zgóry — matka mi waćpana poleciła w opiekę; pięknie jej jesteś posłuszny, wszak od jej wyjazdu ani razu nie byłeś u mnie.

— A! pani! czuję, żem winien — grzecznie odpowiedział zagadnięty, — ale generał Baucher wszystkimi krokami memi kierował, nie dał mi się ruszyć samemu, niech zaświadczy.

— I on to zapewne — dodała piękność — zrobił panu tę znajomość z taneczną — fe! Zostaw to pan starym naszym weteranom!

Podczaszyc się zarumienił.

— Prawdziwie — rzekł — nie tylem winien, ile się zdaje.

— Waćpan — przerwała, nie słuchając nawet usprawiedliwienia, piękna pani — odprowadzisz mnie

dziś do domu... mam mu coś od matki powiedzieć... miałam list od niej...

To rzekłszy, odwróciła się majestatycznie i wiedząc, że zwyciężyła, że się na nią wściekać będą, rzucała podczaszyca na resztę wieczora pastwą swoim rywalkom, które z trudnością w uśmiechach gniew tłumiły. Lucchesini przysunęła się do starościny, szepcząc do niej żywo:

— Widziałas pani co podobnego! Kazała mu się odprowadzić! *C'est joli!*

— Bezwstydna! — pochwyciła z kolei blondynka, zżymając białemi ramionami — tak jest pewną siebie, że byle skinęła, weźmie kogo zechce! Głupi ci mężczyźni!

— Prawdziwie — z przymuszonym uśmiechem kończyła posłowa — byłby to dobry, miłosierny uczynek, gdyby jej kto podczaszyca schwycił! i figiel nieoceniony.

Spojrzały sobie w oczy — jedna myśl w nich błyskała — zamilkły, bo się doskonale rozumiały. Blondynka zwróciła się żywo ku młodemu człowiekowi, znów poczynając ścigać go prześladowaniem i półsłówkami, z drugiej strony nie rzucała go Lucchesini; podczaszyc stracił głowę i oszalał. W sercu jego były się podniecone uczucia, myśli wrzące prześladowały głowę, oczy błąkały się z jednej twarzyczki na drugą, nie wiedząc, na której spocząć miały, szalał aż cierpiał.

Wtem generał podszedł ku niemu cicho.

— Winszuję ci, — rzekł, zniżając głos — trzy najpiękniejsze kobiety ubiegają się o ciebie, szczęśliwy! Wszystko to potrosze winienesz Frascatelli. Chcesz mnie posłuchać, wybierz sobie na początek starościny; ładna i dobra kobiecina, choć trochę kapryśna, ale która z nich nie ma much w nosie? Lucchesini djabeł, popędliwa, niezdolna, a ma już posła inflanckiego, z którymbyś się rozprawiać musiał. A że to poeta, ciąłby cię podwójnie szpadą i piórem. Od szabli kresa zarosnie, a atrament plama niezmyta! Męza nie li-

czę, bo minister, myśli o traktatach, nie o żonie. Wielka ta pani ma tylko kaprys do asińdzieja, proszę się nie urażać, potem cię porzuci, a jegomości darmo i pycha i serce boleć będzie. Strzeż się jej, to stworzenie *sine corde*! prawda, że laleczka cudna, ale co z tego? starościna także ślicznotka i jak ułał dla ciebie.

Takie to były nauki, jakimi karmiono podcza-szyca, takie początki jego na tym świecie, do którego wzdychał. Na ów wiek w tem wszystkim nie było nic dziwnego, nic bezwstydneho, bo obyczaje doszły do tego stopnia rozwiązłości, że się już wstydić nie umiano.

VIII.

Oddawszy karete swoją jenerałowi, podczaszyc pod koniec wieczora podał rękę pięknej pani, która, biorąc ją, powiodła okiem po posłowej, starościnie i reszcie dam, ukłonem lekkim pożegnała wszystkich i powolnie w triumfie wyszła z wybranym swoim. Jenerał się uśmiechnął, rozstając się ze swoim pupilem, wykrzyknawszy tylko:

— Ba! ba! żeby mi kto choć raz jeszcze wrócił młodość moją, ofiarowałbym się trzy całe dni pościć o chlebie i wodzie.

Że późno już dość było, powoli wszyscy się rozjeżdżać zaczęli, i starościna, która miała to w swoim charakterze, że się łatwo zrazić nie dawała, karecie swojej wślad za pierwszą uwożącą Ordyńskiego jechać kazała, ażeby się dowodnie przekonać, jak też długo podczaszyc zatrzymany zostanie u pięknej pani, która mu list od matki tłumaczyć miała. Stangreci ówcześni dobrze się na podobnych znali poleceniach, i sługa starościny spełnił roztropnie i zręcznie jej rozkaz, a dojechawszy do pałacu, w którego dziedziniec wtoczyła się kareta, zatrzymał się zboku za pociągnięciem sznura.

Starościna, nie lękając się dość ostrego powietrza, piękną swą twarzyczkę przyłożyła do wpół podniesionego okna powozu i z nateżonym wzrokiem postanowiła czekać podczaszyca, który nadspodziewanie prędko ukazał się w futrze pieszo we wrotach, przyglądając się, czy gdzie fiakra nie zobaczy.

Rozpoznawszy go instynktem, starościna kazała podjechać i drzwiczki otworzyć.

— Siadaj pan — odezwała się, śmiejąc.

Ordyński ośupiał.

— Pani tu, jakim przypadkiem? — zapytał.

— Żadnym przypadkiem, najumyślniej w świecie, chciałam się przekonać, jak długo państwo czytać będziecie ów list podczaszyny. Ale widzę, że pana zwiedli, próżnąś tylko wartę odbył, bo i bez niego bezpiecznieby była do domu zajechać mogła, niktby karety nie napadł; nie zięb-że się pan napróżno, siadaj, ja cię odwiozę.

— Ale to być nie może! Ja mieszkam tak daleko!

— To być może i to być musi, — odparła blondynka — ja tak chcę i każę.

Podczaszyc dał się przekonać, jak dziecko, kareta zamknęła się za nim i zostali sam na sam we dwoje. Młody człowiek powoli coraz mniej dziwować się poczynął temu natarczywemu zalotnictwu pięknych pań i śmiał się potrosze ze swego położenia.

Anusia, Frascatella, Lucchesini i ostatnia nawet majestatyczna piękność, wszystko się zatarło wśród tej przejażdżki, która, trwając krótko, znaczyła tak wiele, że podczaszyc, wysiadając i całując rączkę ścisnącej dłoń jego blondynki, uczuł się związanym nieodwołalnie.

— Jutro na obiad do mnie, — szepnęła mu pocichu — wieczorem razem pojedziemy do pani Opeckiej, będziesz mi pan służył za *cavaliere servente*. Słyszysz pan? proszę go o to i nie chcę być zawiedzioną! Jutro cały dzień panu zabieram, całuteńki!

— Pilno mi świtu i jutra doczekać! — odpowie-

dział Ordyński, rozmiłowany i pałający. — Nie chybię, chybabym umarł z nadziei!

— A! na Boga, nie umierajże mi pan — odpowiedziała starościna. — Z nadziei niema zwyczaju umierać, a ja chcę, byś żył dla mnie! — dodała pocichu, ściskając go raz jeszcze ręką drżącą — do jutra, do jutra!

Kareta szybko się od wrót zawróciła, a Ordyński pozostał jeszcze jak przybity do miejsca, nie wiedząc, co się z nim działo, gdy uczuł lekkie ręki ściśnienie i po księżycu ujrzał djabelskie oblicze cavaliere Fotofero, kłaniającego mu się z uśmiechem powinszowania i wymuszonej grzeczności.

Nie wiedzieć, jak do tego przyszło, ale się już podczas z temi rysami, co go tak przerażały w początku, oswoił i nie doznał teraz, może wskutek unoszącego uczucia, bolesnego, przykrego wrażenia, jakie na nim ta twarz czyniła, gdy ją pierwszych razy kilka zobaczył. Zdziwił się trochę, wzdrygnął, bo po ślicznych kobiecych twarzyczkach trzech piękności ujrzeć takich rysów nie można było bez wstrętu, ale zniósł to jakoś wesoło. Świat mu się uśmiechał i diabeł nie wydał tak czarnym. Cavaliere Fotofero patrzył mu w oczy i kiwał głową.

— A widzisz pan, — mówił — że i z moją szpetną twarzą oswoić się przecie można, już w panu nie widzę dziś tego wstrętu, co wprzód i winszuję, że się powoli otrząsas z dziecinnych przywidzeń! Łupina może być czarna, a orzech smaczny! — dodał aksjomatycznie.

Podczas uśmiechnął się, sam nie wiedząc dlaczego, ale serce mu się śmiało.

— Ślicznie, wesoło, po młodemu poczynasz pan życie, — rzekł Fotofero — ot, tak to lubię! Frascatella, Lucchesini... ta pani starościna... jest w czem wybierać! Zresztą, poco wybierać, kiedy wszystko zagarnąć można.

I rozśmiał się znowu osobliwszym jakimś śmiechem, który jakkolwiek cichy, zdawał się po pustych

daleko rozlegać ulicach i rozlatywać w powietrzu, powtarzany ech tysiącem.

Ordyński nie uchodził, sam sobie wyrzucał swój strach dawniejszy i dawał mówić Włochowi, słuchając go z zajęciem. Zdziwiło go tylko, że tak doskonale o najświeższych wiedział wypadkach.

— Cóżto? pan chyba każdy krok mój śledzić musisz? wiesz tak dobrze wszystko.

— Wszyściuteńko, — odparł Fotofero, mrugając wypukłemi oczyma — a później jeszcze przekonasz się pan, że i na wiele przydać się mogę osobliwie jak pan młodemu... Panu brak doświadczenia: Poinso nie znał obyczajów naszych, generał myśli tylko, gdzie co zjeść, zostawiony jesteś własnym siłom, serdecznie mi cię żal, podczaszycu, i gdybyś chciał do prawdy... ale widzę, że się już marszczyć zaczynasz.

— Ja i owszem, słucham z wdzięcznością!

— Słuchasz, a nie ufasz.

— Czemużbym miał od nieufności zaczynać?

— Powtarzam, mógłbym się przydać bardzo.

— Wszak i pan tu jesteś obcym.

— Ja? ja nigdzie obcym nie jestem, obywatel świata, wszędzie jestem jak u siebie. Warszawę znam od pewnego czasu, i wyznaję, że mi się teraz wcale podobać zaczyna. Jest to stolica po mojej myśli. Grają grubo, szaleją, piją, hulają, kochają się — ja to lubię, potrzeba życia używać.

Podczaszyc spojrzał zukosa na dziwnego towarzysza z jakąś niedowierzającą miną, obawiał się, czy nie żartuje.

— Panu nic nie brak, byś tu wielkie miał powodzenie, — kończył cavaliere — jesteś młody, przystojny, dobrze wychowany, bogaty i dobrego imienia; lubiłbym być w pańskiej skórce. Tylko mi się pan nie złap na jaką długą sentymentalną miłość, to wycieńcza i ogłupia... O Anusi spodziewam się, żeś pan zapomniiał — podszeptał wkońcu.

— Co? o jakiej? — zdziwiony coraz bardziej, zapytał, cofając się prawie z przerażeniem, podczaszyc.

— Zapomniałeś pan, że ja doskonale i oddawna znam Głuszę, łatwo bardzo domysleć się mogłem, co się tam święciło między Anusią a panem.

— Ale nic! nic! to przywidzenie! — smutnie jakoś przerwał Ordyński z westchnieniem mimowolnem ku Głuszy, które go zachmurzyło.

— Niech niem będzie, to lepiej, — odparł cavaliere — Frascatella także dziwaczna, nie dla pana wcale, mówią nawet, że pocziwa, to jest głupia, niema tam poco chodzić... Z tych pań będziesz sobie brał pokolei, jaką zamyślisz, to rzecz nietrudna — jak grzyby z koszyka... Dobranoc, dobranoc.

Rozśmiał się znów po swojemu, aż podczaszyc się wzdrygnął, ukłonił nisko i zniknął tak szybko, że Ordyński nie mógł nawet dostrzec, w którą uszedł stronę.

IX.

My się na chwilę teraz przenieśmy do pustej Głuszy, w której od śmierci staruszki ciężki osiadł smutek i pustka grobowa. Odjazd Michała, nagły prawie zgon starościny osierociły piękny pałac i zawczasu dozwoliły pajakom snuć nici, zapowiadające długie ich panowanie. Ten niedawno jeszcze tak świetny dwór milczał teraz z pozamykanemi okiennicami i drzwiami, stojąc jak zaklęte zamczysko. Kilku pozostałych sług rzadko przesunęli się od oficyn, w pałacu nikt nie mieszkał, a stary Sieniński nie miał serca zajrzeć do pokojów od czasu pogrzebu starościny.

Obchodził on raz w dzień z obowiązku powierzone mu drzwi, dawał klucze do środka zaufanym, ale sam ni razu we wnętrzu nogą nie postąpił, tak mu serce bolało, patrząc na tę śmierć powolną miejsc, do których się tak przywiązał. Powoli i on też coraz martał, milknął, posepniał i zamierał. I nie było nikogo, coby go odżywił. Anusia w żałobnej sukni chodzi-

ła po staroście, w żałobnych myślach po podczaszycu — tęsknota z niepokojem dręczyła ją razem. Siadali z ojcem i wzdychali oboje, rzadko słowem odezwało się które, by poskarżyć.

Ojcu żal było wędnącej córki, córce ojca i kogoś jeszcze. Dnie szły na ślimaku nudne i posępne: budzili się bez ochoty do życia, zasypiali w trwogach i nudzie. Stary ksiądz kanonik rzadko zawitał do Głuszy, bo mu wiek wycieczek dalszych nie pozwalał; zresztą Sieniński mało miał przyjaciół, nie żył z nikim prawie, a że był skąpy, niebardzo kto się do niego pokwapił. Wabiłyby młodzież piękne oczy Anusi, ale coś przebąkiwano o niej różnie, ludzie dopatrzili się byli szeptów z paniczem i roznieśli je na językach; inni mieli ją za wielką panią, że się przy staroście i podczaszynie wychowała, ostatnich wreszcie smutek i obojętność odstręczały.

Raz na dzień w południe, a i to nie bez wewnętrznego drżenia, szła Anusia do pokojów zmarłej starościny z Agatką, bo tam jeszcze po niej sprzęt, oprócz tego, co komu oddać przeznaczyła, nienaruszony pozostał. Tu klękała przed ołtarzykiem i mówiła Anioł Pański za jej duszę, a ile razy przeszła pokoje osierocone, gorzko zapłakała po umarłej.

I we dwoje potem zasiadali z ojcem w pokoiku drugiej przeciwległej oficyny na całe dni westchnień i milczenia.

— Jak się to przeraźliwie długie wyda życie, mój Boże, — mówiła w duszy Anusia — jak tęskne, w jedno okno patrzeć zawsze i nic w niem nie widzieć, słuchać szumu wiatru i bicia własnego serca, liczyć żółwie godziny i drzemać półsnem, nim się zaśnie na wieki.

Staremu choć się równie serce ściskało, inny jednak skutek wywarła na nim samotność: dziewczę dręczyło się, niecierpliwiło, egzaltowało, on drętwiał, posępniał, zamierał. Raz w dzień przeszedł dookoła, podzwonił kluczami, powrócił, usiadł, wziął książkę nabożną i drzemał — popatrzwał na Anusię, powzdy-

chał i usypiał. Anna, widząc to, oblewała łzami i swój los i ojca; w niej młodość z głębi serca dobywała życie, on już o swej sile żyć nie mógł, potrzebował a brakło mu podsycenia. Czasem próbowała go ocucić wspomnieniem, piosenką, pytaniem, powieścią, ale na próżno; starzec podnosił głowę, popatrzał, odezwał się krótko, i jeśli się rozgadał, to jakby z rozdrażnioną gorzej odchodził tęsknotą, a po niej szybciej obumierał jeszcze.

Długie wieczory jesienne i zimowe słuchając pode drzwiami, nicbyś tam nie usłyszał, prócz wolnego oddechu drzemiącego Sienińskiego i westchnień dziewczyny, która modliła się lub tęskniła. A myśl jej to biegła za straconą opiekunką, to za podczaszycem, który ją porzucił uśmiechnięty, lecąc w tę otchłań, o jakiej Anusia z opowiadań najstraszliwsze miała pojęcie. Powieści sług, plotki krążące po dworze domyślać się jej dozwalały, w jaki wrzątek wpadł Michał i co mu tam groziło; ale jak go było ratować?

Jednego wieczora jakoś potrafiła dłużej ojca od snu wstrzymać rozmową i poczęła go rozpytywać, czyby gdzie krewnych nie miał, sądząc, że go jakim wspomnieniem orzeźwi.

— Kto to ubogiemu krewny? — rzekł, biedząc się, jak miał zwyczaj, stary Sieniński — at! niechnoby po sukcesję, znalazłoby się powinowatych na furię.

— Wszakże to siostra mojej matki mieszka o mil kilkanaście, i tej nigdy nie widziała.

— Ba! bo się to lepiej od nas ma, a pocoby miała chałaków odwiedzać; poszła za dzierżawcę, teraz już, słyszę, drugą wioskę kupują.

— Ale twoi krewni, mój ojczu, — spytała Anusia — wszakżeś miał podobno brata, wspominałeś mi dawniej o nim.

— Brat ci to jest, jeśli nie umarł — rzekł obojętnie dość stary.

— Gdzież on mieszka? — spytała dziewczyna.

— Mieszkał to on w Warszawie i miał tam swój dworek na Bednarskiej ulicy, ale nie wiem, co się

z nim teraz dzieje od lat trzech, bo mi znaku życia nie dał.

— Żonaty?

— Nie był żonaty, chybaby to głupstwo zrobił na starość, — odparł, mruczając niechętnie dość, Sieniński — żył sobie kawalersko, służył po panach, uciulał grosza dobrego i teraz osiadł na dewocji w stolicy, bo taki przywykł był do ludzi i hałasu.

— Musi być stary? — pytała ciągle Anusia.

— O! pewno, blisko dziesiątkiem lat ode mnie starszy, a i ja niemłody. — Westchnął.

— A czemużbyśmy się nie dowiedzieli do niego, — podszeptało dziewczę — ot, onby tam mógł kiedy nam co oznajmić o podczaszycu, a tak nigdy nic o nim wiedzieć nie będziemy. Onby może popilnował zdaleka i w złym razie poratował.

Stary się uśmiechnął.

— Nie nam to — rzekł — takich panów pilnować i ratować, a co my im pomoc możemy? Czy to tam jeszcze źle? Musi hulać po Warszawie całą gębą. La-buś mu pewno myśli nie przykróci, bo i to cymes. Żeby tylko jak dziad nieboszyk fortuny z wiatrem nie puścił, bo coś go się grosz nie trzyma.

— Przyznam ci się, ojczy, że się o niego śmiertelnie obawiam.

— Ja się już bać przestałem, — rzekł stary — bom pewny, jak że żyję, że go już nie zobaczym, tak jak kamień w studnię, szukajże go na dnie.

Stary westchnął, pomilczał, głowę spuścił na pier-si i powoli usypiać zaczął, Anusi gorące łzy puściły się z oczów, wstała i rzuciła się, szlochając, na kolana przed obrazem.

— O mój Boże, — zawołała, składając ręce z zapa-łem — nie daj mu ginąć w skalaniu i grzechu, uratuj go dopóki nie zgubi duszy, ocal go, jeśli nie dla zasług jego, to przez cnoty tej świętej staruszki, która się tam modli za niego!

Ledwie po północy niepokój dał jej usnąć. A we śnie zdało się jej, że klęczała u nóg starościny, w jej

pokoju; na dworze była znów wiosna zielona i słońce złocistemi migało promieniami, kanarek śpiewał w klatce w zawody ze słowikiem na bzowym krzaku; staroscina modliła się z twarzą pogodną, odwróciła się, uśmiechnięta weselem nieziemskim ku biednej Anusi.

— Nie płacz, — rzekła cichym, bardzo cichym głosem — nie płacz, dziecko moje, i nie bój się niczego, ty jedna uratować go możesz, i ty go uratujesz.

Ty musisz stąd wygnać się do Warszawy, by go z oddechu wyciągnąć. Ja za was oboje modlić się będę i obojgu pomagać.

Ledwie tych słów, których z uwagą rozczulona słuchała Anusia, dokończyła staruszka, jasne jej oblicze rozplynęło się w promieniu słonecznym, zdawała się mienić w przejrzystą mgłę jasną, ulatywać, oddalać i niknąć; pokój pociemniał, osmutniał, Anna ujrzała go nie jakim był wprzód, ale jakim go codzień widywała — pustką grobową. Zima przysunęła się pod okno i śpiewy ucichły. Dziewczę zbudziło się, myśl mając pełną snu tego, który jej utkwiał w pamięci, jak rozkaz z niebios zesłany. Nie zmrużyła już oczów i wstała raniej, niż zwykle. Ale jak ojcu powiedzieć, co tylko snem było, jak u niego wyjednać pozwolenie wyjazdu i pociągnąć go za sobą?

Anusia wahała się, dzień za dniem uchodził, co chwila wrażenie snu się zaceirało, niepodobieństwo stawało w oczach wyraźniej — zamilkła wreszcie, myśląc, że to było marzenie chorego serca, nie głos z nieba, co ją za nim w pogoń wysyłał.

I sen ów rozniosły dumy na skrzydłach szarych, a Anusia znowu płakała niespokojna.

I jednej nocy, gdy po łzach usnęła, ujrzała się powtórnie w pokoju starosciny rozwidnionym wiosną, staruszka siedziała przed nią w swem krześle z twarzą pogodną ale surowszą.

— Ty płaczesz jeszcze, dziecko moje, — odezwała się do niej — a nie chcesz posłuchać głosu mego... ty jedna przecie uratować go możesz. Przeżegnaj się

krzyżem Pańskim, pójdzie za tobą anioł stróż i modlitwy moje, a śmiało w imię Boże!

I cień znikł znowu, rozplywając się w obłoku, ujrzała go, jak ulatywał pod niebiosą, jak w nie jasnymi wchodził wrotami. Ale jeszcze wahała się Anusia, w kilka tygodni sen się powtórzył raz trzeci. Uzbrojona więc odwagą nową, Anna wstała, postanawiając wszystko uczynić, co można, by do Warszawy się dostać.

— Będę — mówiła w duchu — ścigać go okiem niepostrzeżona, zakryta, śledzić, upatrywać, a uchowaj Boże nieszczęścia, może potrafię go ratować, przychodząc z umarłej przestrogą, z pomocą drobną, ale serdeczną. O! gdybym go potrafiła wyrwać ze szponów tych ludzi, co go już otoczyć musieli!! Nie! on nie zginie, ja nie dam mu rzucić się w przepaść. A potem wstąpię do klasztoru i spokojna o niego modlić się będę i płakać po nim do śmierci — bo nikt, nikt go tak kochać nie będzie!

Ale jak było ojca nakłonić, jak pociągnąć za sobą starego, co z krzesła ledwie się chciał dźwignąć, resztę życia uprzykrzonego snem zbywając?

Anusia niemało sobie nałamała głowy, od czego tu zacząć, ale westchnąwszy do Boga i rozdobruchawszy wprzód ojca, jednego wieczora zagadła go znienacka:

— Mój kochany ojcze, jakby to dobrze było i wesoło, żebyśmy pojechali odwiedzić stryja w Warszawie. Przyznam ci się, że mi tu trochę nudno, a i ty się nie bawisz. Wszakby to nieźle było, nieprawdaż?

Sieniński popatrzał wielkimi oczyma i przeżegnał się w milczeniu.

— A co tobie w głowie? — zapytał — toś ty, widzę, oszalała, zachciewa ci się podróży. Czy to ty podczaszyna czy podczaszanka? Dobrze nam tu cudzy chleb jeść, warzone i pieczone, nie rozwiązując worka, to siedźmy i nie dziwaczmy. Jeszczeby czego nie stało, żeby i ja z tobą oszalał i, zakasawszy poły, ruszył do Warszawy.

Anusia zamilkła, spodziewała się tego, ale myślała

była rzucona, reszta zależała od Boga... okoliczności... powolnego przekonania. Nie zrażało ją wcale oburzenie starego, który syczał, gderał i drwił z córki, dopóki nie usnął.

Nazajutrz Anusia swoje.

— Śmiałeś się, tatku, ze mnie — zawołała — i może miałeś powody, ale doprawdy nie tak to ja głupio mówiłam. Ot, wy się tu postarzejecie przed czasem, tambyście się rozruszali, ożyli, przypomnieli lepsze czasy. A co się tyczy kosztu — jużciżby nam tam brat kawałek chleba nie pożałował, a tutejsza pensyjka i ordynarja gracjalisty zaoszczędziłaby się, byłby to czysty zysk.

Sieniński pokręcił głową.

— A jaki z niej filut, — rzekł — no! no! już mi się wyrachowała z czystym zyskiem. A któż ci powiedział, że brat nie pożałuje, to skąpiec, jakiego świat nie widział.

— Stary kawaler, bezdzietny, choć oszczędny, dla swoich nie poskąpi pewnie.

— Ot, jakto znać, że asanna mego brata nie znasz; a jemu to naco? Czy to myślisz, że on gospodaruje? Wiemci ja sam i od ludzi jak żyje. Kupi z rana bułeczkę za trzy grosze i mleka za dwa, to ma śniadanie, na obiad pójdzie, za osiem groszy flaków spakuje i syt; w śpiżarni mu szczury gospodarują...

Anusia pokiwała główką, źle się jej wiodło, ale nie zrozpaczyła.

— Choćby i tak — rzekła — albo to mu nie rozweselim samotności, wszakże to coś warto?

— Albo to w mieście może kto być samotny, jemu spokój potrzebniejszy, moje dziecko; mało mu tam nahuczą pod oknami, a zechce ludzi, to tylko na ulicę wyjść.

— Toć kogoś kochać potrzebuje, a nie ma.

— A! a! — zaśmiał się stary — a siebież on nie kocha za wszystkich?? i szkatułkę drugą?

Anusia dała pokój, czekała trzeciego wieczora,

a gdy zmierzchnęło, póki stary się nie zdrzemnął, znów rozpoczęła o Warszawie.

Sieniński już splunął.

— I co to znowu, czy już temu końca nie będzie? — zapytał, a toś się, widzę, uwzięła bzdurstwem mi głowę męcić?

— Daruj tatku, ale wiesz, że kobiecie jak się czego zechce...

— To aż kańczugiem wypędzać trzeba ochotę.

— Tego się ja nie boję, — uśmiechnęła się Anusia — wyszliśmy z tych czasów, kiedy bić było potrzeba, ja już nie dziecko.

— A ja sił w rękę nie mam! — westchnął starzec.

— Ale doprawdy — dokończyła córka — ja się nie wyrzekam tej myśli, żeby jechać do Warszawy.

— Boję się, żebyś na tem nie sfiksowała, — mruknął Sieniński — co ci to jest?

— Zważ tylko, ojcze, jakbyś ty się tam przydał podczaszycowi: tam go obsiedli oszusty, próżniacy, darmozjady, karciarze; sam w nim przeczuwasz żyłkę do utracjuszostwa, strzeż Boże, przyplącze się co gorszego? Czybyśmy naówczas przydać mu się nie mogli?

— My? albo to nas posłucha?

— Ciebie, ojcze? Czemuż nie, pewna jestem, bo cię zawsze kochał.

— A i ja go kocham, tożem go na rękę wypiastował! — mruknął z westchnieniem stary.

— Widzisz, ojcze, westchnąłeś, żal ci go, a poratować nie chcesz?

— Nie chcę!! ja nie chcę? Radbym z duszy, ale co może taki jak ja człowiek, zestarzały i bezsilny?

— Przy pomocy Bożej wiele, — żywo odparła Anusia, widząc, że nareszcie trafiła na czułą strunę — jestem pewna, że tybyś mu wiele pomógł? Że tybyś go ocalił!

Stary się głęboko zamyślił.

— Dajmy temu pokój, — rzekł — to nad siły nasze, porwiemy się, nie podołamy, śmiechu tylko narobimy, a sami zginiemy, nie krwaw mi serca.

I zamilkł. Teraz już pewną była Anusia, że potrafi dopiąć swego; odkryła w nim bowiem prawie niespodzianie przywiązanie do podczaszycy i wiedziała już w co bić może. Nie dała więc staremu pokoju ani na chwilę, wymógłszy naprzód obietnicę zastanowienia się nad tem, później pół-przyrzeczenia, potem słowo, że pojedą, nareszcie naznaczenie nawet dnia wyjazdu.

Cudem to było prawie, takiej tam cierpliwości potrzebowała, takiego wytrwania, uporu, by starca, przywykłego już do spoczynku i rozmiłowanego w próżnowaniu, wyciągnąć z kąta, który polubił, z którego się przez lat kilkadziesiąt nie ruszył. Naprzód tedy zebrał się stary napisać do brata do Warszawy, rad bardzo w duchu, że trzeba będzie na odpowiedź czekać; ale rychło jakoś uwinęły się pocztą i list odebrał, któryby może zataił, gdyby nie szedł na ręce Anny. Brat nie zapraszał go bardzo, ale też nie odpychał, owszem, ofiarował dwie izby w dworku komornem, to jest za zapłatę, ciesząc się, że będzie miał z kim wieczorem pograć w warcaby i posiedzieć przy świecy, nie płacąc za nią. Wcześniej też zamówił sobie stół u Sienińskiego, i widać było z pisma, że w rachunku musiał się bardzo pilnować. Serca tam było niewiele, ale trudnoż go się było spodziewać od nieznajomego. Anusia, czytając list, bo okulary ojca jakoś się były zawieruszyły tak, że ich wyszukać nie mógł, umiała w nim wyczytać, co chciała, a ominąć, co się jej zdawało niebardzo potrzebne. Sienińskiemu zaczęła się coś podróż uśmiechać, i nazajutrz poszedł opatrzyć stary swój wózek, najmować konie u Żydka arendarza, myśleć o zapasach na drogę.

Przygotowania te trwały ze dwa tygodnie, gdyż im bliższy był dzień wyjazdu, tem stary więcej wynajdywał trudności, a na ostatku co tylko miał, chciał zabierać z sobą. Ledwie go Anusia nakłonić potrafiła, by zostawił rupiecie, a co pilniejsze tylko wziął z sobą. Potem znów Żyd nie był gotów, wózek rozeschły wymagał naprawy, i nierychło się wybrali.

W dzień wyjazdu Anusia poszła raz jeszcze do pokoju staruszki, aby ją modlitwą za jej duszę pożegnać, klękała we łzach u krzesła, złożyła ręce i gorąco poczęła wzywać Boga na pomoc, bo jej odwagi znów brakło.

Zaglądała wszędzie, całowała sprzęty, na niejeden łza upadła, nie było kryjówki, kącika, do którychby nie zajrzała, a w każdym bodaj garstka pyłu, bodaj odrobina ziarna dla ptaszków, zeschnięte kwiecie, papier zmięty, ręką staruszki zapisany, do łez ją rozrzewniały.

W ścianie była szafeczka, w której starościna zwykle trzymała łakocie dla dzieci, to jest dla Michasia i Anny; stamtąd to przychodziły gruszki, śliwki suszone, latem owoce lub cukierki. Annie chciało się raz jeszcze zajrzeć do tej pamiętnej szafeczki, do której nikt może nie zaglądał od śmierci starościny. Jakże się zdziwiła, ujrzawszy na półce wśród pudełek nietkniętych, w których myszki gospodarowały w resztkach słodczy — papier jakiś zapisany.

Chwyciła go z trwogą — i krzyknęła, widząc swe imię na wierzchu ręką staruszki napisane. — *Dla Anusi Sienińskiej, mojej pocziwej wychowanki. Niech ją Bóg błogosławi.*

Z początku ze łzami, z bijącym sercem nie mogła nic prócz słów tych wyczytać, w ostatku otworzyła pismo i znalazła w niem maleńki krzyżyk i błogosławieństwo.

„Idziesz w świat, moja Anno, — pisała starościna — idźże z krzyżem świętym i mojem błogosławieństwem. Niech go ci Bóg udzieli i Matka Jego na każdym kroku ciężkiej drogi życia. Śmiało z niem, dziecko moje, a wyjdiesz cało i zwycięsko; ja się za ciebie modlić będę i z góry strzec ciebie. Niech cię Bóg prowadzi w Imię Ojca i Syna; i Ducha Świętego. Amen.

Tych kilka słów zdawały się skreślone jakby z przeczuciem chwil, w których Anna znaleźć i przeczytać je miała; pokrzepiły ją i dodały odwagi. Ucałowawszy, schowała drogą tę pamiątkę i weselsza, ochoczo zbiegła do ojca.

Pożegnanie z Głuszą było smutne i długie, popłakali się ludzie, stary rozszołał na dobre. Anusia nieprzytomna prawie siadła na wózek, i Żydek, popisując się z końmi najętymi, w galop ruszył z brukowanego dziedzińca.

X.

Rok z okładem minął od czasu, jakeśmy rzucili podczaszyca rozpoczynającego życie nowe w Warszawie, a rok ten mignął mu szybko niepostrzeżony, lecz jakże wielkie sprowadził zmiany. Często z człowiekiem dzieje się, jak z owym bajecznym kameleonem: włóż go w chustkę białą, pobieleje, posadź wśród zielonych liści, zielonym się stanie, czarna go ziemia poczerśni. Tak i tu było właśnie: podczaszyca wziął na siebie barwę wieku i miejsca, z największą łatwością zastosowując się do rozwiązłego a miłego towarzystwa, które go otoczyło.

Szybkim krokiem szedł po drodze powodzeń światowych, coraz głębiej w zepsucie, wziętość i sławę, jakiej się chciał dorobić. Chwycił się był i porzucił kilka kobiet wyższego towarzystwa, od starościny począwszy, która go odżałować nie mogąc, a ustąpić zmuszona, próżno starała się jeszcze odzyskać. Wszystkie namiętności, śpiące dotąd, bujnie rozwinęły się w Ordyńskim, bo nikt ich nie hamował — bawił się, kochał, jak kochano w XVIII wieku, grał szalenie i szalenie tracił.

Labe Poinsoł przez Ryxa, któremu skuteczne dał lekarstwo na różę w nogach, na którą nieustannie cierpiał starosta piaseczyński, potrafiwszy sobie wyrobić miejsce przy dworze królewskim, w pół roku opuścił Ordyńskiego, mając go za dostatecznie przygotowanego do wyjścia na świat o własnych siłach. Michał, korzystając z większej jeszcze swobody, ze stosunków, które porobił, przykładem innych jał się naprzód postawienia domu swego na stopie odpowiedniej. Nie

zważał wcale na kosztą, jakie to za sobą pociągnąć miało, sądząc, jak wszyscy bogaci młodzi ludzie, że pieniędzy wyczerpać się nie może.

Naprzód więc nabył kamienicę na Krakowskiem Przedmieściu, chcąc być w pośrodku miasta, a Zug i Merlini przerobili mu ją na gustowny pałacyk z ogrodem, w którym nie brak było ani mostków na suchym rowie, ani grot z przywiezionych zdala kamieni, ani nawet wodotrysku zasilanego kilku wiadrami wody wiślanej.

Z pośpiechem przysposobiono mu dom, stajnie, oficyny, wszystko, co do wygody posłużyć mogło. Poprowadziła za sobą ta zmiana nowy skład dworu, pomnożenie sług i wydatków, ale Ordyński brnął śmiało: przyjął kucharza Francuza, ściągnął konie wierzchowe, sprawił cug tarantów przepyszny, kupił karykl modny, przyjął murzyna, ustroił janczara i zaczął żyć co się zowie po pańsku.

Wszyscy smakowi jego, wykwintności i inwencji poklaskiwali, nikt wstrzymać nie myślał, sądząc, że go na to staje. Dom podczaszyca stał się wprędce jednym z tych, do których zbierała się młodzież najświetniejsza, nawet ksiązę Józef kilka razy zaszczycił go odwiedzinami wieczornemi.

Rzadki był dzień, żeby nie oświecono pałacyku i nie spodziewano się gości; stoły gry nie próżnowały nigdy, hulanki nieraz przeciągały się do dnia białego. Ordyński uprzejmy, miły, uśmiechnięty, dowcipny, używał dotąd młodości, nie spotkawszy na swej drodze ani zawodu, ani przykrości, ani chmurki... każde jego życzenie spełniało się czarodziejsko i zdało mu się, że to, co ludzie zwykli pleść o nieszczęściach, przeciwnościach, boleściach i t. p., pochodzić musiało ze złego humoru i dziwactwa; słowem, nie pojmował, by komu gorzej od niego być mogło.

Aż lubo było spojrzeć na tę fizjognomję rozjaśnioną, promienistą i zupełnie szczęśliwą. Wprawdzie rok ten znacznie ostudził młodzieńca, zobojętnił go, odmienił, ale nie było w nim ani jednej burzy, któraby jasne

dni słoneczne ściemniła, choć nie było i pragnień namiętnych — spokojnie używał z zaufaniem w swoim losie.

Dwóch nieodstępnych przyjaciół szli z nim krok w krok. Jenerał, który przywiązał się do niego, bo nigdzie łatwiej jeść, pić i pożyczać nie mógł, i cavaliere Fotofero, który zawsze potajemnie widywał się z podczaszycem, coraz większą otrzymując nad umysłem jego przewagę. Pierwszy poradził mu postawienie domu na stopie poważniejszej i sam urządził niektóre jego części, stręcząc mu kucharza, sławnego Rondeau, który służył u Ogińskich, wybierając wina, prawie zawsze dysponując obiady i podwieczorki, które też najregularniej codzień zjadał, jeżeli go gdzie indziej przysmak jaki nie zwabił. Prawda, że też zato służył podczaszycowi w sprawach potocznych, posłował, chodził, często bardzo zręcznie pomagał w umizgach, odciągając niepotrzebnych świadków; a czerpiąc z kieszeni pupila, czynił to z pewnem umiarkowaniem, zawsze *in extremis* tylko, wyrachowawszy, że mu ta pomoc na długo służyć będzie mogła.

Cavaliere, który tajemniczą grał rolę przy podczaszycu i nigdy nawet na próg domu jego przy ludziach wejść nie chciał, widywał się z nim codzień prawie na ulicy, w ogrodzie, wśród przejażdżki, ale sam na sam. I on też radził, pomagał, rozweselał, żartował, podochacał, a podczaszyc teraz znajdował go jednym z najprzyjemniejszych i najrozumniejszych ludzi, jakich poznał w Warszawie. Pomimo usilnych nalegań Ordyńskiego cavaliere Fotofero nigdy do niego nie przychodził przy gościach, rozmaite dając powody ukrywania się swego.

Przy wyjeździe matki podczaszyc był jeszcze na stopie młodzieńca, który nieśmiało w świat zagląda, teraz już przeszedł do ludzi, mających w nim prawo obywatelstwa. Należał do wszystkich zgromadzeń, wiedział, co się działo na każdym, nie było bez niego zabawy, liczono go do najświetniejszych gwiazd młodzieży. Nie było bowiem, w całym znaczeniu ówczes-

snem wyrazu, człowieka lepiej wychowanego do świata, jak on — celował we wszystko, co mogło odznaczyć tego rodzaju pracowitego próżniaka. W grze nie było nadeń spokojniej przegrywającego ogromne sumy, ani wygrywającego grzeczniej i mniej chciwie; tańczył, jak bóg tańca, śpiewał bardzo przyjemnie francuskie piosenki, grał na flecie, który był ulubionym mężczyzn instrumentem, może przez małpiarstwo Fryderyka, na klawicymbale także z pewną wprawą i biegłością, jeździł konno niezbyt mocno, ale prześlicznie, powoził się w whisky po mistrzowsku, umiał z pajęczyny wysnuwać rozmowę niby ożywioną i utrzymywać ją pół dnia, jak akrobata szpadę na palcu, nie dając jej upaść nigdy; z kobietami był ujmującej słodczy i grzeczności, z mężczyznami nadzwyczaj zręczny, a w potrzebie stawał na szpady i pistolety, ile razy było potrzeba, nie zmrużając oka.

Po starościnie, która cały miesiąc używała najzupełniejszego triumfu i włóczyła za sobą podczaszyca, jak zwycięzca niewolnika — Ordyński zaprzągnął się do wozu owej pięknej pani, chciał potem przejść pod sztandary Lucchesiniowej, ale go nie dopuścił już poseł inflancki, który zupełnie ją opanował, i choć nie raz zagryzała go kaprysami i napawała zazdrością, stale trzymał się przy niej. Zkolei podawały sobie Ordyńskiego lekkie piękności ówczesne, a on w tym wrzątku nieznużony, przechodził od jednej do drugiej z obojętnością młodzieńczą, dowodzącą, że albo nie miał serca, lub go nic jeszcze obudzić nie mogło.

Frascatella zrazu była trochę zaniedbaną, potem znowu począł do niej pokryjomu uczęszczać, ale przekonawszy się, że tu ciężiej daleko idą miłostki niż na wielkim świecie, powtórnie do niej zobojętniał.

Wśród otaczających ją w zepsutym czasie najzepsutszych istot, naśladowających na małą skalę bezwstydy głośnych du Thé, Guimard, Clairon i tylu innych — Frascattella była istotnie czemś fenomenalnem, i nikt jej pojąć nie mógł. Posądzano ją o wyrachowanie, o szalbierstwo, o skrytość, a nikt posądzić nie chciał

nawet o poczciwość i cnotę. Gdy jej wkońcu nie dowieść nie było można, rzucono ją jak nierozwiązaną zagadkę, omijając ruszeniem ramion obojętnem. Podczaszyc swoją młodością i naiwnością początkową, może wdziękiem i świeżością dzieciństwa, z którym przyjechał, zajął był widocznie tancerkę, która, jak z niczem, tak i z tem nie tała się wcale; prześladowano ją Ordyńskim, śmiała się tylko, ale gdy poczęto napastować go, by się pochwalił, na jakiej był stopie z tancerką, podczaszyc, jakkolwiek chciał, nie mógł przyznać się, by poufalszy nad drugich zyskał u niej przystęp.

Drażnił go ten opór i ile razy na pamięć mu przyszła, powracał do niej znowu, by znów pójść z niczem i wstydem.

W chwili, gdy go chwytały tak zmienionym i wykształconym, podczaszyc zajmował się bardzo gorliwie nowem na horyzoncie zjawiskiem. Była to świeżo przybyła ze wsi żona wojewody K..., od lat trzech zameżna, która cały ten czas spędziła w Paryżu i po raz pierwszy w Warszawie zjawiała się w całym blasku świeżych wdzięków, z urokiem, jaki u nas każdemu nadaje otarcie się o obczyznę. Choć wychowana w kraju i ubogich rodziców córka, nabrała pani wojewodzina i tonu, i powagi pańskiej, a że była prezentowana na dworze Ludwika XVI, że miała szczęście być zapraszana przez Polignac'ów i Marję Antoanettę na wiejskie zabawki do Trianon, że z jej męża śmiano się tam trochę, bo się po polsku nosił, a do króla Ludwika prawił po łacinie z dodatkiem mościerdzieju i t. d. i t. d., słowem, że się otarła o to, co dawało ton Europie, przyjęto ją w Warszawie, jak zstępujące z obłoków bóstwo.

Para to była wielce niedobrana, pocieszna bardzo, ale szczęśliwa. Wojewoda, z antenatów pan, był może śmieszniejszym w Paryżu, ale w kraju z wielu względów zasługiwał na szacunek, bo w nim jeszcze tlała resztką uczuć, które dawniej kraj ożywiały. Panna Karolina miała wszystkie wady, których tylko nabyć

można przez złe, niedokończone i sentymentalne wychowanie, a że wojewoda był do niej, jak młokos, a raczej jak starzec, przywiązany ślepo i szalenie, widząc może błędy, nie miał serca ani ich skarcić, ni próbować poprawić; wojewodzina robiła, co chciała, ciągnąc go za sobą, jak posłuszną ofiarę.

Można sobie wystawić, jakim rojem otoczyła ją młodzież, dla której zjawienie się nowej gwiazdy było wielkim wypadkiem w życiu próżniaczem. Poznało odrazu, że chętnie hołdy czcicieli przyjmować będzie: głośny jej pobyt w Paryżu, o którym wiele mówił książę Nestor, ręczył za to. Sapieha rozповідаł na ucho każdemu o tem, kto chciał słuchać, bo mu w listach donosili przyjaciele o każdym jej kroku. Stanęli tedy do walki zapaśnicy, a podczaszyc w ich szeregach. Wkrótce widocznie faworyzowanych zostało dwóch tylko, Rybiński poseł, bliski krewny, czy synowiec biskupa kujawskiego, młody człowiek, który nie tyle rozumem i innemi przymioty, co nadzwyczajną celował pięknością, i nasz Ordyński.

Wojewodzina była, jak wiele pań świeżo wzniesionych na stanowisko w świecie, o jakim ledwie marzyły, trochę dumna z losu, który swym przymiotom przypisywała, a tem większą pragnąc okazać się panią, im mniej ku temu miała prawa, trzymała się wszystkiego, co jej równe czyniły, gotowa iść za ich przykładem dalej, niż sumienie pozwalało. Cieniuchna, celująca figurą, zgrabna, zwinna, żywa, wojewodzina w wyrazie twarzy i czarnych, ogromnych oczu miała aż do zbytku wiele dumy i surowości, nadając tem sobie powagę, której brak czuła może w duszy.

Otwarcie domu ich w Warszawie na chwilę zachwiało wieczorami starościny małogoskiej i Opeckiej, rzucili się tam wszyscy, ale na wstępie znaleźli tyle ceremonij, stopniowań praktyk dworskich i wymagań etykiety, że większa część zupełnie się cofnęła, a inni zrzadka się tylko pokazywali.

Rybiński i podczaszyc dotrzymali placu przy świetnej gwieździe nowej, a ostatni nawet nie zląkł się wo-

jewody, który go solennie nudził powagą swą, polszczyzną, łaciną i starym sposobem pojmowania rzeczy. Ordyński zdawał się więcej zajęty wojewodziną, niż kiedykolwiek którą z tych pań, co go sobie wyrzywały. Czy mu zabiło serce? czy szlachetniejsze obudziło się przywiązanie, czy poprostu była to tylko fantazja i próżność? nie wiem. Rybiński równie uparcie stał w miejscu, nie ustępując mu kroku, bo kochał istotnie, a niewielkiej będąc głowy, uczucia miał gwałtowne, pasja zaczynała już w nim dochodzić do szału niemal. Dwaj współzawodnicy mierzyli się oczyma, ścigali myślą, ale pozostali z sobą w stosunkach grzeczności zimnej, jak wprzód. Wojewodzina nie zdawała się żadnego wyróżniać szczególnie, trzymała obu na uwieży, co naturalnie każdy z nich przypisując wpływowi antagonisty, jątrzył się i burzył wewnątrz.

Tak stały rzeczy w chwili, gdy znowu chwytny podcaszyca z nową twarzą, z nową duszą, ścigającego szczęście, gdzie go nigdzie nie było.

XI.

W domu podcaszyca zebrało się, jak zwykle wieczorem, liczne towarzystwo, grą szczególnie ściągające. Czy to skutkiem jakiejś obojętności gospodarza, czy niedomyślności jego, dozwalał on w domu swoim zakładać co wieczór banki ludziom wielce podejrzanym, przybłedom z końca świata, tym właśnie i podobnym, jakich widzieliśmy już u księcia podskarbiego, okrzesanym filutom, w których obfitowały wszystkie stolice XVIII wieku, a do Polski szczególnie zwały pieniądze i sława rozrzutności naszej.

Jednym z najpoufalszych teraz był tu ów Włoch, u podskarbiego zaprezentowany przez cavaliere Fotofero, który był u podcaszyca, jak we własnym domu. Szczególniejszem jakimś zrządzeniem Ordyński, grając z nim, sam prawie wygrywał, czasem okroiło

się coś generałowi, reszta gości nieszczęśliwie wychodziła, i wielkie sumy często zagarniał bankier.

Był to człowiek bardzo starannego wychowania, i znać bywalec na wielkim świecie, kawaler dwóch jakichś mitologicznych orderów, których wstążki różnobarwne nosił w pętlicy, mówiący niemal wszystkimi językami, słodki jak lukrecja, uprzejmy, zresztą osłonięty tajemnicą, bo nikt o przeszłości jego nie wiedział słowa. Zwał się Cerulli.

Napozór nie mający żadnej pasji, zimny, niezbadany, z wejrzeniem, które spotykał każdy wycelowane ku sobie niespodzianie, nie mogąc zmusić, by się otwarcie ze wzrokiem jego zmierzyło, Cerulli dla Ordyńskiego był czuły, przyjacielski, ale zbyt może narzucający się ze swoją poufałością, traktował bowiem podчасzyca na stopie równości. Znosił to gospodarz, bo grać lubił, zrobiwszy sobie z gry nałóg, a z Cerulim grał, jak chciał, i zawsze dosyć szczęśliwie.

Tego wieczora goście napływać już zaczęli i salonik się napelniał, gdy Cerulli wszedł powoli, ukłonem wszystkich zimnym powitał, poufale podał rękę podчасzycowi i rozsiadł się w krzesle obok kasztelana Ł..., głębokiem milczeniem, zamyśleniem lub półsłowem dwuznacznem zbywając zapytania, które mu zadawano.

Podчасzyca najmodniej strojny we frak papuziego koloru, w ręku ze srebrnej lamy na tle blado-różowym, prześlicznie upudrowany i wyfryzowany misternie, w koronkach, które parę tysięcy talarów kosztować mogły, rozparty na kanapie, nogę założywszy na nogę, może dla pokazania przepysznych klamer u trzewików, bawił się dewizkami od zegarka, składającymi się z gruszek korałowych, ametystów i granatów, i z modnego naówczas bardzo sznurka z włosów, zakończony kwastem brylantowym. Obok marszałek sejmu, księżę Nestor, przybyły tylko na chwilę, siedział smętny i zmęczony, za nim poseł inflancki, uderzający fizjognomią pełną dowcipu, życia i łagodności, dalej Weyssenhoff, Mostowski, Bielawski, Witten,

jenerał Garczyński, koniuszy Kicki, a nawet Komarzewski kupkami się pozbierali, szepcząc między sobą.

Rozmowa zaczynała się ożywiać, bo ktoś się wówczas nie zajmował gorąco wszystkim, co wkoło wyrastało, jak grzyby na wiosnę, z nieporównaną szybkością zjawiając najniespodziewaniej.

Nigdy może umysły do większej czynności podbudzone nie były, nigdy wszyscy aż do najmniejszych nie zajmowali się tak bardzo wypadkami bieżącymi. Mnóstwo mów, wierszy, epigramatów, rozpraw, paszkwilów, roztrząsań krążyło drukowanych i pisanych po Warszawie, wiele z nich z prawdziwym dowcipem, z wielką siłą i uczuciem na papier rzuconych było, i potężne też czyniły wrażenie. Komentował je każdy, powtarzano, odpisywano; nigdy tylu satyryków i pamphleciarzy nie miała Polska, co wówczas.

Nigdy też może Warszawa nie przedstawiała obrazu więcej ożywionego, a wybitniejszej nie miała fizjognomji. Co krok spotkałeś postacie, wydatne typy, jakie tylko wydaje społeczeństwo w sile zdrowia, lub gdy ostatecznym walczy o nie bojem. Obok Węgierskich — Bauchery, obok Zajączka — Kurdwanowscy, obok posła inflanckiego, Niemcewicza, Trembeckiego — Molski naprzykład, typ w swoim rodzaju, lub kasztelan Ł...; obok Turskiego — Komarzewski, dalej dowcipny Turkuł, zepsuty Poniński, ognisty Kołłątaj i tylu innych. Tuż szlachetniejsze postacie posłów, a z nimi Małachowscy i Zamojscy, naprzeciw hetman, wojewodzcowa, starty i mdły typ księcia Nestora, a w ostatku całe stado dworaków i dworek.

Wszystko to działało, ruszało się, zajmowało najmniejszymi dnia zjawiskami, aż do sług, dworu, czeladzi, aż do woźniców, co, stojąc przed salą sejmową, wołali do siebie — precz z pieczeniarami, przodem patrjoci; każdy głośno mówił przekonanie swoje lub je puszczał na niepodpisanej ćwiartce w świat po aprobatę, i nie mignęło jedno słówko niepochwyczone, bo każde do żywota należało. Widziałeś tam na twarzach wszystkich to upojenie egzaltacją, rozmarzenie, które

się spotyka tylko w chwilach stanowczych, wielkich przedsięwzięć, lub nieszczęść wielkich — słowom odpowiadały czyny, czynom szły w pomoc słowa i serca.

W tej chwili uchwały sejmowe, sprawa księcia podskarbiego, wiersze rozrzucone z tej okoliczności były właśnie na stole wraz z nowinami francuskimi; a że u podczaszyca zbierali się ludzie różnych stronnictw, krom naczelników, mówiąc dosyć swobodnie, starano się być ostrożnym i nie drasnąć nikogo.

Na wyprzódki każdy najsurowiej sądził kraj swój i stary w nim porządek rzeczy; najrozsądniejsi nawet chcieli burzyć, goniąc za utopją. W czasie całej tej rozmowy, którą, jakeśmy powiedzieli, podsyczał sejm i wypadki we Francji, Cerulli i kilka innych osób siedzieli w ostrożnem milczeniu. Kasztelan jaśniał wymową i krzyczał tak głośno, jak na obradach, nie umiając powściągnąć do większej sali przywykłej deklamacji. Nikt nie miał nadzwyczajnego poszanowania dla miernych wcale talentów człowieka, którego przeszłość cień rzucała na nowszą i do miary czasu zastosowaną rolę, ale wyręczał wielu, gadając za wszystkich, słuchano go chętnie.

— Mości panie, — rzekł, powstając, wojewoda K..., mąż pięknej Karoliny — wszystko to śliczne może, doskonałe, ale ja nasze stare czasy wolę, a teraźniejszego wyznaję, że nie rozumiem.

— To nie dziw, — odpowiedział, nie dając się nikomu uprzedzić, kasztelan z intencją szyderstwa — są to czasy, któremi brzemienne chodziły wieki.

— Daj Boże, aby się przy porodzeniu nie okazało, jak z ową górą w bajce, — odezwał się wojewoda — i żebyśmy nie doczekali się *ridiculus mus* na końcu.

— Jest wielu partyzantów staroświecczyzny, — rzekł mówca — ale póty u nas nie będzie dobrze, póki się nie pozbędziemy właśnie starych przesądów.

Pokłaśnięto przesądom, był to wyraz prześladowany. Bóg wie, co się wówczas zwało tem imieniem, wszystko co przeszkadzało i wadziło — małżeństwo, między innemi, liczyło się do przesądów.

— Zaccni panowie, — przerwał z kąta Baucher — co się tyczy przesądów, jednym z najzgubniejszych jest późna wieczerza, prosimy gospodarza, by ją kazał przyspieszyć.

Wszyscy się z tego zwrotu rozśmiali.

— A potem do gry, — zawołał ktoś z tłumu — aby czasu nie tracić.

Wojewoda ciężko stęknął.

— Wszystko u nas nicpotem, — rzekł — mieszczan przerabiają na szlachtę, szlachtę mieszczańią.

— I wino piją, — przerwał znów Baucher — nie pocziwe stare węgierskie, ale ten francuski kwasek, co ledwie chorego mógłby zaspokoić.

— Mówisz pan o szampanie?

— Szampan! śliczny mi szampan — mruknął wojewoda.

Jakby na zawołanie wniesiono wino, i kielichy poszły kołem. Cerulli wziął jeden, ale z nim jakoś manewrował, że zawsze miał go pełnym i nic nie pił. Wkrótce zaszumiało w czuprynach, rozmowa stała się żwawsza, swawolniejsza, otwarto drzwi do jadalni, tu do reszty podochocili się niemal wszyscy, a dopieroż do kart. Wojewoda, który oprócz w marjasza, nie grywał w nic, z kieliszkiem sobie na boku pozostał, inni rojem stół obsiedli, między nimi młody Rybiński, którego twarz od początku wieczora pałała jakąś gorączką, a oczy nieustannie zwracały się na gospodarza. Cerulli, dawszy się trochę prosić dla ceremonji, posłał do swojej karety po szkatułkę i bank otworzył. Podczaszc siadł do gry także; towarzystwo było liczne, umysły rozgrzane winem i rozmową, ale jak skoro pieniądz błysnął na zielonym stole, zaszeleściały czarodziejskie karty, serca uderzyły strachem i nadzieją, zwróciły się wszystkie twarze, upadła ożywiona pogadanka i liczenie, przerywane tylko sykaniem lub wywoływaniem stawek, rozciągnęło swe skrzydła nad nimi.

Rybiński grał z chmurnem czołem i gorączkowym niepokojem. Kilka dni temu przegrał był kilkaset du-

katów, a że kieszeń jego nie była zbyt przeciążona, zdziwiono się, zobaczywszy, że znów ze trzysta przed sobą położył; krótko jednak przed nim poleżały i zwyczajem codziennym poczęły wędrować do banku jedne za drugimi, tak że w godzinę pozostał bez grosza. Na pięknej jego twarzy namiętność gry wyryła najnieszlachetniejszy wyraz gniewu — cisnął kartami o stół i powstał z krzesła, wołając głośno:

— Prawdziwie u pana podczaszyca tylko podczaszycowi grać można, on jeden wygrywał!

— Jak to pan rozumie? — podnosząc głowę, zbłądły, ale spokojny zapytał Ordyński.

— Jak ja to rozumiem, to mnie wiedzieć, a pan sobie bierz, jak chcesz, to mi wszystko jedno.

W ręku Cerullego karty drżały, Ordyński szepnął słowo jenerałowi i grał dalej, ale konwulsyjnie drżący. Rybiński powoli odszedł od stołu, zgrzytając zębami.

Baucher wziął go do okna.

— Starościcu kochany, — rzekł — przykrą mam misję, ale cóżes powiedział, to obelga!

— Tego nie odwołuję!

— A zatem pojedziesz z nami do Jeziornej, dasz nam satysfakcję.

— Wszelką, jaką chcecie, oprócz tej, żebym wam więcej przegrywał, bo tu noga moja nie postanie. Ogrywajcie sobie na spółkę z Włochem całe miasto, życzę wam szczęścia.

Słowa te, wymówione półgłosem, doszły uszu podczaszyca, który zagryzł wargi i grać przestał. Dogonił u drzwi Rybińskiego.

— W moim domu — rzekł — nie chcę się unosić i prawom gościnności ubliżyć, ale niech pan wie, że w każdym innem miejscu byłbym mu dał natychmiast naukę, jak się język trzyma za zębami.

— Możemy się znaleźć i gdzie indziej, — obojętnie dość odpowiedział Rybiński — kto od kogo i jaką weźmie naukę, to jeszcze pytanie.

To mówiąc, trzasnął drzwiami i wyszedł. Wrzawa za nim powstała wielka, ale zapamiętali gracze, słysząc ją, nie ustąpili od stołu, aż Cerulli, dociągnawszy talji, zabastował.

Jedno śmiałe słowo, rzucone w pasji przez Rybińskiego, sprawiło ten skutek na nieszczęśliwych graczach, że choć żaden ustami myśli tej nie powtórzył, wszyscy jednak spojrzeli po sobie i, nie biorąc strony podczaszyca, wkrótce opuścili go, wynosząc się pocichu i zostawiając z poufałymi.

W godzinę może po tym wypadku generał tylko, Poinot, który zdala był sceny świadkiem, i niejakiś pan Parnawski, przyjaciel domu, co się kręcił trochę przy dworze, a trochę gdzie z komina kurzyło, w pustych zostali pokojach.

Było to jakby uderzenie piorunu, wśród którego Cerulli, niby nic nie rozumiejąc, zagarnawszy grosze, wymknął się cichaczem. A że zwykle bawiono się tu do dnia, a goście wcale nie wzięli strony podczaszyca, miało to wielkie znaczenie. Wiedział Ordyński, że słowo starościca obudziło podejrzenie wszystkich, zmieniając je w przekonanie prawie, że mu niepowetowaną na czci wyrządziło krzywdę. Pierwszy to raz zachmurzyło się jego czoło, a generał i Parnawski na próżno usiłowali go rozweselić i wytłumaczyć mu jako tako zniknięcie gości. Podczaszyc rozumiał dobrze, co to wszystko znaczyło, a przypominając sobie okoliczności gry, swoje wygrane, stałe niemal nieszczęścia drugich, dziwił się teraz sam, że wprzód nie zwrócił oczów na Cerullego.

Tymczasem trzeba się było przygotować do pojedynku, co, jakkolwiek śmiałemu, trochę zakolała sercem. Generał z p. Parnawskim ofiarowali się na jutro do starościca pójść po warunki. Cała ta awantura natychmiast przez gości miała ogromny rozgłos w mieście, a że często słowa jednego dosyć, by cień rzucić na najpocziwszego człowieka, cóż dopiero, gdy są pozory słuszności? Podczaszyc w jednej godzinie odsądzony został od czci i wiary. Wszyscy

szeptali, że dom trzyma nad skalę, że przyjmuje po królewsku, wydatki ma ogromne, a dobra obciążone, i każdy odchodził, jeśli nie z przekonaniem szalbierstwa, to z wątpliwością obelżywą o poczciwości Ordyńskiego.

XII.

Jedno nieszczęście nigdy samo nie idzie, trzymają się one pod ręce i wloką gęsiego. By jedno na próg, tylko co i drugich nie widać. Nazajutrz podczaszyc siedział rano u siebie zadumany i ponury, czekając powrotu posłów, niewiele o pojedynku, więcej o różnych jego tłumaczeniach rozmyślając, gdy mu znać dano, że marszałek dworu, miał już bowiem i intendenta, niejaki pan Frejer, nastroczony z ręki jenerała, chciał się pilno z nim widzieć. Nie lubił Ordyński tych posłuchań i narad, wiedział bowiem, że koniec końcem zamkną się ogromnym rejestrem i żądaniem pieniędzy, a kasa się wyczerpywać zaczynała, ale cóż było robić.

Głuszę i dobra Ordyńskich dobrze już była od śmierci starościny zahartowała podczaszyna, która, powypuszczawszy w zastawy i dzierżawy, co mogła, zabrała pieniądze, chcąc sobie kupić willę jakąś w pobliżu Florencji. Reszty, co stamtąd przyszło, podczaszyc tracił i jeszcze pozaciągał był znaczne długi, tak że niewiadomość tylko stanu interesów spokojnym go o nie czynić mogła; w istocie były w najstraszliwszym nieładzie.

Pożyczał w Warszawie na wszystkie strony wielkimi sumami, u bankierów, u Żydów, winien był po handlach za towary bardzo wiele, a choć dotąd kredyt się włókł, bo coraz wierzycielom dawano coś na rachunek, długi na czas, w którym zaciągnięte zostały, były przerażające.

Karty trochę, dom, życie wystawne wzięły, co skąd się urwać dawało, kieszeń była pusta. Czerpali z niej

przyjaciele, zbytek, rozrzutność, namiętność i złodziejstwo. Widzenie się więc z panem Frejer wcześniej przykrem poczuł podczaszyc, a gdy zobaczył tego jegomości, w czarnym fraku, szczelnie pozapinanym, nisko kłaniającego się w progu, ogromną dźwigającego księgę, dobrze mu już znaną, skrzywił się i porwał zniecierpliwiony. Miał on ten chwalebny pański zwyczaj, że nigdy w rachunki nie wżerał — dawał pieniądze, brał, sypał, ale się nie rozpatrywał ani jak przyszły, ani któredy poszły — wszelka praca i natężenie umysłu choć chwilowe były mu nieznosne.

— A cóż tam pan powiesz, panie Frejer? — rzekł do intendenta, który zawsze nasrożony, poważny, nigdy nie dopuszczający się uśmiechu, wyglądał gdyby Kato, choć z tą miną stoicką kradł gorzej wszystkich, co kradli (a było ich dosyć!).

— Jw. panie, jest okoliczność ważna.

— Co tam przecie?

— Ot dziś rano, jak gradem, sypnęli mi rachunkami dostarczający kupcy, zwąchawszy o jakimś pojedynku.

Podczaszyc wstrząsnął się od gniewu.

— To nie pora wypłaty! — zawołał.

— Jednakże, jw. panie, trzebaby coś radzić, mogą być natrętni.

— A ludzie od czego! — krzyknął podczaszyc w gniewie — odpędzić! — Pomiarkował się po chwili. — Zresztą — rzekł — zawołać Aarona, wezmę u niego i zaspokoję tych ichmościów.

— A jeśliby Aaron chybił? — spytał drobnostkowy i regularny Frejer.

— Natenczas weźmiemy gdzie indziej, a waćpan mi dzieciństwem tem głowy nie kłopotz — ile to wynosi?

— Ogółem może przejść trzy tysiące dukatów, nie licząc tych, co się jeszcze nie upominają.

— Tak wiele?

— Jw. panie, to jeszcze nie wszystko.

Podczaszyc pochodził żywo.

— Dość tego, — rzekł — nie pora to rachunków, innym czasem, innym czasem...

— Ale mi grożą sądem i zajęciem...

— Śmieliby? ta hałastra?

— Nie wiem, czego się tak zlekli, jest to okropne zuchwalstwo — ale potrzeba radzić, potrzeba radzić.

— Posłać więc po Aarona, do jutra...

Jeszczeby był może stał dłużej we drzwiach Niemiec, który niełatwo z placu schodził, ale generał i pan Parnawski weszli właśnie, pierwszy blady i sztywny, drugi nadto czerwony i zmieszany widocznie.

Podczaszyc, spojrzawszy na nich, poznał, że nie musiało im pójść gładko. Generał milczał, nie śpiesząc mówić, kapitan Parnawski (był bowiem jakimś kapitanem *in partibus infidelium*) chodził rozgorączkowany. Frejer skłonił się, odszedł powoli. Ordyński przyskoczył do nich niecierpliwy.

— No, jenerale, mów! kiedy? gdzie? jak? coście postanowili!

Baucher połknął ślinkę, odchrząknął, spojrzał na towarzysza i, jak to bywa, gdy przemówić trudno, widocznie na niego chciał zrzucić ciężar spowiedzi. Ten sapał, ale nie okazywał wcale ochoty mówienia, ruszył ramionami i odskoczył z pantomina, zdającą się oznaczać — a mnie to do czego?

— Cóżto jest? no! mówcież przez litość, — zko-
lei do obu się zwracając, wykrzyknął podczaszyc —
mówcie!

— Ale czekajże, niech się wysapię, — odpowiedział generał — wreszcie — niech się namyszę, od czego mam począć.

— Cóż tu się namysłać? kiedy? gdzie? jaka broń?

Znów Baucher wężrzał na kapitana, jakby go o litość prosił, a kapitan się zżymał tylko, uciekając od niego w drugi koniec pokoju.

— Jenerale, tylko bez tych powijaczek, mów, proszę, coście zrobili! Chcecie, bym zwarzował, przecież się nie zlekne!

— Ale bo! ale bo! — przerwał stary dworak. — Podczaszycu, każ mi dać kieliszek wina... w gardle mi zaschło z gadania i gniewu... Rybiński warjat!

— Wiem o tem!

— Głupi człowiek!

— Być może, ale strzelać się z nim muszę.

— Ale ba, Rybiński — wykrztusił, wypiwszy wino, Baucher — Rybiński bo nie chce się bić.

— A toż znowu co? — krzyknął Ordyński — chce, żebym go zbezcześcił publicznie? Jakąż może mieć rację? Wczoraj sam prawie mnie wyzywał.

— Tak, ale tu nastąpić musiały jakieś podłe rady i ukartowano inaczej.

— Ale cóż mówi na miłość Boga, co mówi? nie drażnij mnie, oszaleję.

— Co? chcesz wiedzieć co? — przerwał Baucher, porywając się z kanapy cały zburzony, bo czuł, że mu te sceny żółć poruszają i robią chorobę, która zwykła się była kończyć czasem żółtaczką — co? ot co plecie, truteń — że ponieważ — ale mów bo Parnawski!

— Albo to pan generał gęby nie ma! — zuchwale odparł kapitan.

Podczaszyc stał blady jak ściana, niemy, a myśl jego trafiać już musiała na obelgę, którą miał odebrać.

— Mówi Rybiński, — wykrztusił Baucher — nie będę się z nim bił, bo kto szulerów w domu trzyma i gra z nimi na wspólkę, ściągając do siebie na karty, ten z uczciwym człowiekiem mierzyć się niewart. — Wypowiedziawszy wreszcie te ciężkie słowa, generał padł wysiłony w krzesło.

Ordyński czerwieniał, bladł, zmieniła mu się twarz kilka razy, zdawało się, że zemdleje i padnie, słowa zastrzegły mu w gardle, pot wystąpił kroplami na blade jego czoło, w ostatku poczał przychodzić do siebie i rzekł, ścinając usta:

— Dziś mu jak psu w łeb strzelę.

— Nie, — odpowiedział generał — to już zły interes, wiesz zapewne, czem to pachnie pod bokiem kró-

la, w czasie sejmu, pod jurysdykcją marszałkowską taka awantura. Przypomnij sobie, jak sądzono Taylora, że się tylko na Ryxa porwał! Jabym poprostu nadsłał na niego ludzi i kazał mu, jak Grabowski Stokowskiemu, wyciąć odlewanych sto nahajów, toby go rozumu nauczyło.

— To mało! — wybuchnął podczaszyc — to nie! plama, którą rzucił na mnie, krwią się tylko zmyć może i powinna.

Zadzwonił ręką drżącą.

— Charles, — rzekł do kamerdynera — podaj mi króciice, proch i kule.

Jenerał, który wszystkich podobnych tragicznych historyj nie lubił, a wiedział, że się tu na coś nie żartem zabiera, miał się już ku rejteradzie. Parnawski patrzył i milczał.

— A gdyby — odezwał się — wprzódki kijmi, jabym panu podczaszycowi nastreczył do tego bardzo tęgich ludzi, coby go w biały dzień, wyciągnawszy z karety, gotowi osmagać.

Podczaszyc słowa nie odpowiedział, tylko usta dumnie podniósł, brwi ścisnął i począł w milczeniu nabijać króciice.

— Ale bo nie wiesz jeszcze katastrofy, — dodał jenerał, schylając się już ku czapce — ten szelma Cerulli, kat go wie co za jeden...

— Cóż znowu Cerulli? — spytał podczaszyc, drżąc a usiłując udać flegmatyka.

— A, uciekł gałgan z miasta wczoraj jeszcze, *nec locus ubi Troja fuit*, zabrał się z manatkami i drapnął w nocy, Bóg wie dokąd.

Podczaszyc znów błady się zrobił jak ściana, i zęby straszliwie mu się zacięły.

— Ha! — rzekł — i temu nie radzę się spotykać ze mną!!

— Ale bo w istocie — z wymówką cichą wystąpił Baucher — dość byłś nieostrożny, podczaszycu, kto to ludzi tego kalibru wpuszcza tak na poufałej stopie do domu?

— Alboż go nie przyjmował hetman, książę marszałek, kasztelan i inni...

— Tak, gdy go tu wprzód poznali! Kto wie, co to za ptaszek. Rybiński, słyszę, zgrał się do koszuli i długu zrobił z tysiąc dukatów, nie dziw, że go to za serce wzięło. Inni, prawdę powiedziawszy, także niemałe tu sumy posadzili, choć ja narzekać nie mogę, ale ja gram ostrożnie i rano wstać potrzeba, żeby mnie ociąć!

Podczaszyć milczał.

— Jadę natychmiast, — rzekł do jenerała — będę się do nocy włóczył, póki Rybińskiego nie przydybię i w łeb mu nie wypalę.

— Zdaje mi się, — chłodno odparł Baucher — że go dziś nie spotkasz. — A pomyślawszy, że wypadałoby niebezpiecznej awanturze zapobiec, wziął za kapelusz i sposobił się do wyjścia, mrugnawszy tylko na Parnawskiego, żeby pozostał i podczaszyca pilnował. Kapitan chętnie to uczynił, ale z Ordyńskim ciężka teraz była sprawa, ani się słowa od niego dopytać, nie wiedział, co się wkoło niego działo, chodził obłąkany. Nie pożegnawszy jenerała, nie spostrzegłszy Parnawskiego, położył pistolety nabite i począł się machinalnie ubierać, śpiesząc i targając, co mu podawano,

XIII.

W godzinę potem zaszła karetą i Ordyński, w kieszenie fraka powrzucawszy króćce, wyjechał z wizytami, ale jenerał, domyślając się, gdzie być może, wszędzie go uprzedził.

Czuł on, że taka obraza płazem Rybińskiemu ujść nie może, obawiając się wszakże, by w pierwszej chwili gniewu nie skończyła się bardzo tragicznie, przeleciał ważniejsze domy, do innych rozesłał, oznajmując, co się święci. Część też wczorajszego wypadku w mieście wiadoma była i, prawdę mówiąc, nienajlepsze uczyniła wrażenie, gdyż każda potwarz przyjmuje się

łatwo, a przyjęta wyrasta szybko. Przypominano sobie zbyt pańskie podczaszyca życie, przebąkiwano o zrujnowaniu, tu znów ucieczka Cerullego zarzut do reszty czyniła podobnym. Kareta podczaszyca wszędzie zastała drzwi zamknięte. Był to dla niego cios ostatni, którego mężnem sercem znieść nie umiał. Im mocniej przekonywał się, że go nie przyjmowano umyślnie, tem boleśniej cierpiał i wpadł prawie w paroksyzm szału, gdy mu na ostatku i drzwi wojewodziny odmówiono.

To go w samo serce uderzyło najboleśniej.

— Do domu! — zawołał — do domu!

Powóz potoczył się po bruku, a podczaszyca, w głąb jego się rzuciwszy, patrzył tak oślepieniem oczyma na migające ulice, że nic nie widział przed sobą, i kilka osób, z któremi się spotkał, nie poznał.

Z drogi, zmieniawszy myśl, kazał zawrócić do jenerała. U bramy krakowskiej żebrak nawet Orlandini z pychą się jakąś od niego odwrócił, niby go nie spostrzegł, uczuwszy zapewne zdaleka wypróżnione kieszenie. Jenerała również jak innych w domu nie było.

Podczaszyca pomyślał i kazał się wieźć do Frascatelli.

Frascatellę zastał samą jedną, smutną, zatopioną w fotelu i chorą. I ona od czasu, jak jej nie widział, wiele się odmieniła — i ją odstąpili przyjaciele, znalazłszy nazbyt surową, zbyt dziwną, a tymczasem biedne dziewczę warzyła i wysuszała tęsknota za krajem, o którym marzyła we snach, opłakiwała na jawie. Choroba niszczyła ją gwałtownie, za nią przyszedł i niedostatek zajrzeć do obsypanego wprzód darami możliwych mieszkania. Pusto było dokoła, ona sama jedna, łyzy w oku, twarz blada, wejrzenie tylko błyszczące jeszcze a usta uśmiechnięte smutnie jakoś, grobowo.

— A! dawno! dawno! jakeśmy się nie widzieli, podczaszycu, — zawołała Frascatella, podając mu rączkę wyschlą i białą — cóżto się stało, żeś tak był

o mnie zapomniał? Tak dawno żadnej już wesołej nie widziałam twarzy, nie słyszałam uśmiechu! Wszyscyście mnie porzucili, dzięki ci, żeś choć późno sobie przypomniał, że ja jeszcze żyję!

Podczaszyc stał przed nią, ale tak zmieniony, drżący, blady, że za drugim wejrzeniem Włoszka domyśliła się wielkiej jakiejś w życiu jego zmiany i pomimo osłabienia porwała się, załamała ręce, pytając ścichłym nagle od uczucia głosem.

— Co ci to? podczaszycu!

— Mnie? nic! — odpowiedział Ordyński nieprzytomnie, siadając drżący, bo czuł, że mu się nogi chwiały, nic... nic.

— Jakto, nic? — wpatrując się w niego, zapytała tancerka — nie możesz mnie zbyć taką odpowiedzią, na twarzy twojej napisane jakieś nieszczęście. Co cię spotkało? mów? kto cię zdradził? kobieta?

Pierwsza jej myśl była o kobiecej zdradzie, podczaszyc z pogardą ruszył ramionami.

— To się nie liczy! — rzekł z gorzkim uśmiechem.

— Ale mów pan, na Boga!

— Ja i ty, widzę, — rzekł Ordyński, oglądając się — jesteśmy zarówno zdradzeni przez cały świat i opuszczeni od wszystkich. Wczoraj jeszcze wieczorem byłem ich ulubieńcem, dziś się mnie zaparli i odepchnęli. Ale się pomszczę! pomszczę się krwawo!

Frascatella nic zrozumieć nie mogła, oczy jej żywo biegały po twarzy przybyłego, by tajemnicę wybadać, a nic odkryć w niej nie umiały.

— Powiesz-że mi pan — co to się stało?

— Naco mówić? ktoś ci tu inny zapewne pośpieszy przynieść wieść o mojej hańbie, o wstydzie. Ja idę, ja iść muszę...

Zerwał się. Biedna dziewczyna, przestraszona, krótką chwilę sądząc, że go do niej serce i litość przywiodły, opadła na krzesło smutnie, spuściwszy głowę na piersi.

— Myślałem, że tu kogo znajdę — rzekł. — Sapie-

he, jenerała, kogokolwiek, chciałem wiedzieć, co się dzieje ze mną! poradzić! idę... lecę dalej!

— Biedny! — że łza w oku szepnęła Włoszka — tak był szczęśliwy niedawno! tak mu się świat uśmiechał. — Podczaszycu! — dodała głośno — słowo proszę cię tylko. Ja od kilku tygodni z krzesła się już nie ruszam! ja nic nie wiem. Pocziwy Bekler, który mnie przez litość odwiedza, zakazał mi tańca pod karą śmierci... ale to nic! ja i tak umrzeć muszę... Możebyś mnie chciał dokąd posłać? Może ci na co przydać się mogę? mów, proszę...

I zerwała się gorączkowo z fotelu, chwytając za poręcz i stół, twarz jej zarumieniła się, usta drgały; podczaszyc spojrział i serce się mu otwarło — nie-szczęście je poruszyło dopiero, łza zakręciła mu się w oku.

— Dziękuję ci, — rzekł — dziękuję serdecznie—ale cóż mi tu pomóc możesz, gdzie idzie o życie, o krew, o zemstę...

Frascatella zadrżała i upadła zemdlna. Podczaszyc zostawił ją na ręku sługi, a sam jak szalony poleciał znowu pukać od drzwi do drzwi... ale wszędzie z zimną twarzą odpowiadano mu.... nie przyjmują! Wściekły zawrócił do siebie.

Mrok szary poczynął zalegać ulice, a chmura nad miastem zwieszona, milcząca, jasnymi błyski wiosennej burzy rozświecała niekiedy fantastycznie ulice, na których przechodzący i przejeżdżający migali jak cienie.

Nagle zatrzymała się kareta i twarz djabelska Fofotofera ukazała się w jej oknie. Podczaszyc schwycił się i machinalnie porwał za pistolet, djabeł się rozśmiał tylko.

— Tobiem winien — zakrzyknął Ordyński z pasją — całe moje nieszczęście... tyś jego sprawcą...

— Ja? ja? co? — spytał obojętnie cavaliere.

— Tyś do mnie sprowadził tego psa Cerulli, za którego pokutuję.

— Cerulli to mój kompatrjota — no? — i cóż?

— Nic nie wiesz?

— Ja zawsze wiem wszystko.

— To oszust!

— Nie, podczaszycu, zacny człowiek!

— Pocóż uciekł?

— Uciekł? on? wysłany został w ważnej, bardzo ważnej sprawie łóż Melchizedecha...

— Zgubił mnie!

— Jakto zgubił? — spytał, szatańsko się śmiejąc, Fotofero — samiście dobrowolnie głowę stracili...

— A mógłbym nie stracić jej? ty wiesz wszystko... drzwi mi dziś zamykają, każdy odwraca się ode mnie.

Błyskawica oświeciła w tej chwili twarz cavaliera zimną i przejętą nielitościwym szyderstwem.

— To naprzód źle, — rzekł chłodno — że nie masz pan taktu i powściągnięcia. Świat sobie, my sobie — niech gadają, odwracają się...

— Cóż to za rada?

— Gdybyś pan przed jenerałem papłą nie narobił wrzawy i hałasu — jużbyś do tej pory miał w rękach Rybińskiego i byłbyś czysty.

— To może prawda, — odparł podczaszyc — ale cóż począć?

— Masz pan pistolety?

— W kieszeni.

— Każ zawracać, — rzekł cavaliere, wsiadając do karety — jedziemy razem, dam ci ofiarę w ręce. Zemsta jest zbyt szlachetnem uczuciem, uczuciem dzieci natury, — dodał, śmiejąc się — bym ją miał tamować, jak drudzy... Krew, tak, tylko krew zaspokoić ją może.

— Hej! na Nowolipie! — krzyknął do woźnicy.

Podczaszyc ostygł jakby czarodziejską dotkniętą laską, widząc się tak blisko zabójstwa, które przez cały dzień marzył i układał. Słowa cavaliera otrzeźwiły go dziwnie, ale cofać się nie chciał, myśl tylko podawała mu wszystkie zbrodni następstwa i przerażała niemi.

— Trafimy na Rybińskiego — rzekł Fotofero —

pieszo idącego od swoich przyjaciół, poznasz go pan łatwo po jasno-piaskowym płaszczu, celuj tylko dobrze, a potem uciekaj.

— Uciekać! — zawołał podczaszyc, któremu się w głowie pomieścić nie mogło, jak teraz Warszawę porzucić, tak wszystkie węzły, które wprzód lekceważył, silnie go do niej krępowały, a ze wszystkich najmocniej miłość ku wojewodzinie.—Uciekać! ja nie mogę!

— No! no, o tem potem, zrobisz, co zechcesz, — rzekł cavaliere — teraz idzie nam o rybkę naszą, baczność, celuj pan dobrze, życzę szczęścia!

To mówiąc, kazał się w rogu ulicy zatrzymać karecie, sam pod rękę ujął podczaszyca i, mimo kropiącego deszczu, wyprowadził go z powozu na miejsce jakieś pod domami.

— Stój pan tu i uważaj, — rzekł — za chwilę Rybiński iść musi...

Uchylił kapelusika i zniknął.

Najrozmaitsze uczucia poczęły miotać Ordyńskim, w którym na nowo zawrzała chęć zemsty i odezwała się zadana obelga. Dobył króćce, odwiódł kurki i z okiem obłąkanem upatrywał piaskowego płaszcza.

XIV.

Sienińskiemu i jego córce droga się jakoś nie wiodła, i stary, wkrótce zmęczony, chciał już po kilkakroć zawracać do domu. Możeby to był uczynił, gdyby nie córka, dodająca mu ducha i odwagi. Nareszcie przekłatawszy z biedą pół drogi, bliżej już będąc Warszawy niż domu, musiał nieborak kończyć, co rozpoczął. Żydek Abramko wcale nie był na furmana stworzony, koni do zbytku żałował i obroku także, jechał nadzwyczaj powolnie, często się zdrzemnywał, niebardzo na trakt uważał, a że do najlichszych gospód dla tańszego furazu zajeżdżał, Sienińscy niewiele mieli wygody. Nie było przytem dnia, żeby oś nie pękła, koło nie zleciało, uprzęż się nie psuła, a przynajmniej kil-

ka razy nie porwały postronki, co wszystko wiele opóźniało jadących i bardzo ich niecierpliwiło.

Abramko zaś nie dawał sobie nawet mówić, żeby w czem sam lub konie jego winne być miały, a ze starym ujadał się zęb za zęb, dowodząc, że na całym świecie lepszych koni i furmana nie dostanie.

Anusia, spokojny świadek tych niepowodzeń, robiła, co mogła, by ulżyć ojcu, w drodze nie myśląc o sobie wcale, a okiem śledząc, rychło się pokaże ta upragniona Warszawa.

Jednego wreszcie poranka mgłą i dymami uwieńczona, rozsiadła szeroko nad brzegiem pięknej Wisły, czarodziejską swą masą dziwnie skupionych domostw, pałaców, kościołów zaświeciła stara Mazowska królowa. Annie serce zabiło.

— On tam! on tam! — zawołała i z wielkim strachem poczęła się modlić.

Ogrom miasta, które, w miarę, jak się zbliżali, coraz potężniej się rozrastało i zdawało rozciągać bez końca, przeraził ją i zasmucił.

— Jak go teraz znaleźć w tym świecie, w tym wirze!

Stary także Sieniński przypatrywał się grodowi w posepnem milczeniu, z niejakim wyrzutem spoglądając na córkę, która go aż tu zawiodła. I jego zatrwożyła ta mnogość murów, to mrowisko ludzi. Już zbliżając się do miasta, zamrużywszy oczy, poznać je mogłeś po otaczającym powietrzu, w którym unosiło się tysiące różnych wyziewów dziwnych; po wrzawie ludu, co płynął i odpływał z tego morza. Wozy z drzewem, włościanie z wszelkiego rodzaju na targ idącymi zapasami, wojsko, słudzy pańscy, karety, cugi, poczty, Żydzi, szlachta, żebractwo coraz tłumniej w miarę zbliżania się otaczali wózek. Anna tuliła się do ojca, który, zdawna na wsi żyjąc, ani takiego gwaru, ani ścisku i ruchu wyobrażenia nie miał. Kłaniał się co chwila próżnym powozom i po bratersku salutował panów szlachtę na podjezdkach z obrokiem w trokach kłusujących do miasteczka. Malownicza

rozmaitość strojów czyniła ten tłum mieszaniną oryginalności pełną; każdy poczet wojskowych szedł w innej barwie, każdy prawie żołnierz inaczej umundurowany, ten zielony, drugi czerwony, ów z piórem, inny z kitą, — w baranich i lisich kapuzach szlachta, w sobolich kołpakach Żydzi, mieszczenie w holenderskich kapeluszach, kontusze różnych województw, Żydówki w muszkach, perłach, załózkach i pantoflach, chłopci w swoich szarych sukmanach, Węgry olejkarze w sinych płaszczykach, pobożni pielgrzymi, ciągnący do Częstochowy, w sukniach czarnych, księża wszelkiej barwy — kogóż tam nie było! Wśród tego chaosu i tłumu ciągnęły karoce pańskie o czerwonych kołach, długie, wyłacane z wysokim koziółkiem, z lokajami na tylnych stopniach, pozaprzęgane dereszami, izabelami, tarantami, lub malowanymi końmi (był jeszcze i ten zwyczaj); tu i owdzie przeżył się posłaniec z listami, kursor pieszy, lub Kozak z Ukrainy na dziarskim koniu w burce, z oseledcem z pod czapki wymykającym się za ucho.

Po setnych dopytywaniach o dworek brata stary odszukał go nareszcie na Bednarskiej ulicy i co prędzej wjechał w dziedzińczyk, chcąc trochę odetchnąć. Tu żywego ducha w początku, nareszcie z pod mizernej kletki, zbitej z tarcic i desek, do starego muru przypartej, wysunęło się coś bardzo niepoczesnego, tak dziwne jakieś stworzenie, że w początku rozeznąć było trudno mężczyzna czy kobieta, a nawet czy człowiek. Figurka ta miała może półtora łokcia wysokości, ogromny garb na plecach, głowę skrzywioną nim ku ziemi, nadzwyczaj wielką i straszną, ręce niepomierne długie, a nogi koszlawe zakończone stopami kolosalnych rozmiarów. Stworzenie to okryte łachmanami było poczwarnie brzydkie i odrażające. Podniosło nieco przyrosłej głowy, otworzyło usta i krwawymi oczyma błysnęło na przybyłych, ale gdy mówić szybko poczęło, nie było go sposobu zrozumieć. Poczęto pytać o Sienińskiego, ale ani chciał odpowiedzieć, ani myślał odpowiadać; podniósłszy kij, zaczął

wypędzać, krztusić się, łajać, i choć wyrazu żadnego dopytać nie mogli, domyślili się łatwo, że ich precz odganiał. Zajadły ten obrońca podwórza był jedynym stróżem i sługą pana Kaspra Sienińskiego.

Skąpiec wybrał go sobie przez oszczędność z pod kościoła Bernardynów. i umówił za jedno nocne w budce schronienie, co ledwie dobremu psu służyć mogło, do pilnowania domu. Żebrak powinien był zawsze na noc powracać, i gdy Sieniński wychodził rano, dworku przez ten czas pilnować. Resztę czasu kaleka siedział pod kościołem bliskim za jalmużną. Dziś pierwszy raz od niepamiętnych czasów zobaczywszy zajeżdżający w dziedziniec wózek, sądził, że szturmem chcą wziąć domostwo i bronił go, jak mógł. Już Żyd, dobrze po plecach oberwawszy, chciał się cofać, gdy stary pan Kasper powrócił z wotywy przed N. Panną, której codzień u Św. Jana słuchał, i walkę tę przerwał nareszcie.

Dwaj bracia spojrzeli na siebie, nie poznali się, ale domyślili i z mokremi oczyma rzucili w objęcia. Warszawiak starszy był znacznie od wieśniaka, ale o wiele wydawał się młodszym. Był to wysokiego wzrostu, śnać piękny niegdyś mężczyzna, ubrany czysto, zwinny, gadativus, dosyć wesół, z ogromnym siwym wąsem podkreconym do góry, z wysoką laską w ręku, ze srebrnym w uchu kolczykiem. który do polskiego stroju nie wiedzieć jak się przyplątał. Kolczyk ten, pamiątka po pewnej pannie Domiceli, dla miłości której dał sobie niegdyś pan Kasper ucho przekłuć, pozostał mu na starość jedynem po niej wspomnieniem.

Bracia, którzy się wieki nie widzieli, dziwili się swej starości, gospodarz potem zwrócił się do Anny, którą galancko w rączkę pocałował, gdy ona właśnie to samo przez uszanowanie dla stryja uczynić chciała.

— No Hołodrygo,—rzekł przybyły do żebraka, stojącego jeszcze z podniesionym kijem — ruszaj sobie wasze pod kościół, a ty, Żydku, zamykaj wrota i pilnuj się, bo tu złodziejów a sprawnych więcej, niż wody

w Wiśle. Ty zaś, kochany bracie i kochana moja synowiczko, do środka proszę, proszę, odpocznijcie.

Kamieniczka, a raczej dworek Sienińskich, wielka to była lichota; ściśnięty dwiema wielkimi kamienicami piętrowymi, wyglądał jak grzybek między dębami, nisko i ubogo, zdawna niereparowany, ściany miał czarne, dach dziurawy, okna niezbyt całe, a stary skąpiec, nie mogąc najać nikomu, sam cały zajmował.

Wnijscie było jedno tylko od podwórza, u dwóch okien z ulicy kraty grube jak w więzieniu, a że obok naprzeciw stały wyższe domostwa, a uliczka była wąska, ledwie trochę bladego światła dochodziło do ponurego wnętrza. Izby były stare, niskie, sklepione, wilgotne, sień czarna, dwa długie pokoje po bokach, większy jeden pośrodku, od dziedzica ciupek parę całą zajmowały budowę.

Pan Kasper wprowadził gości swoich do głównej największej izby, w której że był czarny stół, trzy podobne stołki, ława, piec z zielonych kafli i wielki Pan Jezus na ścianie — zwała się ona gościnna.

A! jak strasznie się to wydało więzieniem po przestronnych i wesołych mieszkaniach w Głuszy, po jej drzewach i ptaszętach, otaczających każdy budynek. Tu tylko skrzyp wozów, wołanie woźniców i kłątwy ludzi słyhać było, a trochę błota rozlane na pogarbionym bruku stanowiło widok cały.

— Rozgoście się tu sobie, Anusia każe znosić tłumoczki, a my z bratem — dodał — może pójdziemy pogawędzić do mnie.

To rzekłszy i ciekawie spojrzawszy na manatki, które Żydek ściągał, wziął Sienińskiego pod rękę i zszedł z nim do swojej izby.

Ta smutniejszą jeszcze może była od pierwszej, ubóstwo czy skąpstwo biło z niej przykro w oczy. Żadnego prawie sprzętu, nic do wygody, łóżko a raczej wyleżany barłóg, stół rzeźbiony bez nogi kijem podparty, fotel bez siedzenia deską pokryty, kufer stary otworem, a z niego widać liche rupiecie, w kominie kupka popiołów, w kącie miotła, u drzwi szczer-

baty dzbanek, kilka świętych obrazków, częstochowskiej fabryki, na ścianie rzędem poprzylepianych, oto wszystko. Przybyły pan Jan, przywykły do wygodek, uczył dreszcz przechodzący po plecach i smutnie oglądając się, westchnął.

— Ale ty, widzę, coś, braciszku, — rzekł — w najlepszym jesteś stanie — tak u ciebie ubogo!

— A! a! — westchnął Kasper — jak widzisz, istotnie, ledwie się żyje — czasy drogie, tylko że z głodu nie umrę. Dworek kosztuje co rok, a grosza z niego nie mam złamanego szeląga — jeszcze stróża płacę, a co do ratusza nabiorą, strach! Jeszcze to taka szatańska ulica, że i w komorne nikt się nie stręczy — a ciężko! ciężko!

Spojrzał zukosa na pana Jana.

— Dobrze, żeście do mnie się zwlekli, weselej jakoś razem będzie, dwie izby wam odstąpię; za to będziecie mnie wiktować... i opalać a zresztą i oprać możebyście też powinni, i do opłat miejskich się przyłożyć, a ja już sam nic od was za to nie wezmę.

Znów spojrzał, badając.

Stary pan Jan, nic nie mówiąc, oglądał się, tak mu ta nędza zdawała się dziwną i niepojętą.

Anna tymczasem w pierwszej izbie płakała trochę schwytana chłodem, pleśnią i ciemnotą tego mieszkania za serce.

— Gdzie on? — mówiła sobie — jakby go tu znaleźć? Jak się o niego dowiedzieć? Jak tu jakoś smutne życie! Zdaje mi się, żem w więzieniu.

Nazajutrz już weselej wyglądały izby, bo w nich gość Anusia ustroiła trochę puste kąty, oczyściła, co się dało. Gospodarz poglądał na jej robotę z rezygnacją, ale jednak niebardzo chwalił wbijanie ćwieków w ścianę.

Odszedł z rana wedle zwyczaju na mszę do Fary, resztę dnia ciągle siedział z przybyłymi. Gaduła to był dość miły, człek bywały, z którym, gdyby nie jego śmieszne skąpstwo, wybornieby żyć można. Stękał

tylko, gdy mu o sobie mówić przyszło, o drugich różne dykteryjki rozpowiadał, śmiejąc się, żartując.

W ostatku prosił, żeby mu się nie dziwowano, że zawsze w domu, dla nagniotków obuwia znieść nie mogąc, boso chodzić musi. Anusia, za dobre to biorąc, słuchała, dziwiła się i nie szukając w nim wad, których dojrzeć nie mogła, przyjęła go, jakim był; ujmował ją grzecnością i ochoczą rozmową.

Od niego zaraz nazajutrz dowiedzieli się, że podczaszyc dom kupił i urządził na nowo, że żył bardzo po pańsku i że zapewne niedługo, tak szumiąc, pociągnąć potrafi.

Sieniński wzdychał, słuchając, ruszał ramionami i powtarzał pocichu:

— Pójdzie, mosanie, Głusza! pójdzie Głusza! na damuzelki i asy! A! gdyby naszą stara pani z grobu wstała, drugi-by raz umarła z boleści, a wszystko to przez tych urwipołciów Francuzów!

— Aleby go może jak ratować można! — przemówiła Anusia.

— A to jak? — rzekł Jan — albo to do niego przystęp teraz łatwy; gdyby i przystąpić, czy się to da zreflektować?

Anna zamilkła, myśląc, że Bóg da sposób i nastęczy ratunku zręczność, zapamiętała jego mieszkanie, a w przyszłości obiecywała sobie poznać miasto ze stryjem i choć zdaleka spoglądać na przyjaciela młodości.

Wszystkie jednak marzenia Anny rozbiły się o mnóstwo trudności, których się zrazu ani domyślała. Przekonała się, że po Warszawie z ładną twarzą samą jedną chodzić nie można, że do podczaszyca przystęp niepodobny, że go nawet zobaczyć trudno, bo przez ulicę przelatuje karetą, a w kościele nie bywa. Zbierała więc tylko wiadomości o nim przez stryja i ojca, a w kilka dni po przyjeździe posłała starego, ażeby mu się oznajmił z przybyciem, nic o niej jednak nie wspominając. Sieniński, przebrawszy się w wielkanocny kontusz, poszedł do swego panicza

z rana: długo musiał czekać, nim wstał, napokutował się w antykamerze i ledwie o dziesiątej puszczoney został wraz z czekoladą. Podczaszyc żywo się do niego zerwał, bo mu przypominał Głuszę, a może — może Anusię.

— Jak się masz, stary? — krzyknął — co ty tu robisz?

— A cóż, jw. panie, znalazło się brata, który ma posesyjkę przy Bednarskiej ulicy, to się do niego ściągnęło, bo w Głuszy po odjeździe państwa bardzo pusto.

— A córka?

— Córka? — przełknął stary, nie chcąc kłamać i nie mogąc powiedzieć prawdy — zdrowa, jw. panie, zdrowa... bardzo dziękuję.

Spojrzzał mu w oczy Ordyński i nie śmiał pytać więcej.

— Cóż tu myślisz robić?

— A co? Popatrzyć jeszcze na świat Boży, póki oczy we łbie, pomodlić się, zresztą odpoczywać.

— Przychodź-że do mnie często, mój Sieniński, przykażę, żeby cię w każdej godzinie puszczano.

Podczaszyc wypytywał go się o wszystkich i wszystko, o dom, ludzi, a ubocznie i o Annę. Staremu, nieprzywyktemu kłamać, było to niełatwo, płatał się język bardzo, tak że podczaszyc, nie mogąc dojść, co się stało z Anusią, domyślił się, że mu całą prawdę dla czegoś powiedzieć nie chce. Różne myśli przesuwaly mu się po głowie, wąż zazdrości ścisł serce; kilka dni chodził smętny, dumał, wzdychał, ale piękne oczy wojewodziny spędziły te chmury z czoła.

Potem Sieniński zrzadka go widywał tylko, a choć pierścionek Anusin jeszcze mu ją przypominał, choć chwilami niepokoił się o nią, nie miał czasu wśród roztargnień tylu stałej, dłużej o niej pomyśleć.

Anna od przybycia wiodła życie prawie zakonne, z ojcem, stryjem i niewielu jego znajomymi. Szczęściem w ich liczbie był znakomity swego czasu człowiek, ksiądz Spirydjon, kapucyn, który z młodości bę-

dąc znajomy z Sienińskimi, czasem ich odwiedzał i chwilę spędzał z nimi.

Człowiek-to był zewszecmiar poszanowania i czci godzien, jako kapłan i jako obywatel. Otaczała go wielka powaga, jaśniała dokoła niego świętość i najbezbożniejsi nawet plamy na nim upatrzeć nie mogli. Schorzały, kaszlający, sił niewielkich napozór, duszą umiał to mizerne i umartwieniami zniszczone ciało podnieść, tak że więcej znosił osłabiony i wątpli, niżeli najwytrwalsi jego towarzysze. Oprócz praktyk religijnych, spełnianych najściślej, znoszonego głodu, chłodu, dyscyplin, włościenic, pracy spowiednika i kapelana więzień — jako poradnik dusz wielu bolejących, od rana do nocy wzywany, rozszarpywany, nie miał godziny spokoju.

Spokojnego umysłu, pogodnej twarzy bladej, zawsze uśmiechniony, jakby w Boga patrzył, bo w dziełach Jego widział rękę wszędzie, ojciec Spirydjon nie był jednakże bez związku z wiekiem, wśród którego żył i urósł. Nie pobrażał on mu, ale czuł, że potrzeba zbliżyć się do chorego, by go leczyć, nie unikał więc ludzi, łagodnie przystępował do zranionych, nie groził i nie groził, ale pociągał dobrocią i światłem, którego mu udzielało natchnienie.

Świątobliwego owego człowieka znała wówczas cała Warszawa jako opiekuna więźniów, jako dysponującego skazanych, protektora ubogich, a masoni, iluminaci i filozofowie ówcześni poklaskiwali mu nawet, widząc go bez różnicy wspierającego i cieszącego katolików, żydów, protestantów i wszelkich ludzi, bez różnicy wiary i stanu.

Ksiądz Spirydjon wiek swój pojmował jasno, widział wszystkie jego wady, bolał nad niemi, ale miał nadzieję w miłosierdziu Bożem; gdy inni nad upadkiem wiary jęczeli, grożąc, że po Wolterze nie powstanie chrześcijaństwo, on z uśmiechem mówił:

— Nie bójcie się, zginie to plugastwo, wszystko przejdzie, a prawda świecić musi. Nie bójcie się o wiarę, lękajcie raczej o siebie.

Zresztą, co wiek ów dla ludzkości przynosił prawd nowych, mimo wiedzy jego, z łona wiary, na którą bluźnił, dobytych, to nasz kapucyn przyjmował jako dar Boży, umiając rozróżnić w steku myśli niesfornie spletanych złote pasma, idące z góry.

Że nietylko zbrodniarzy nawracał, ale i najzwardzialszych grzeszników usiłował opamiętywać — często w tym celu odwiedzał takich, którym słowo Boże z ust jego potrzebnem mu się zdawało. Za takiego właśnie w grzechu zakutego miał ks. Spirydjon pana Kaspra, a związany z nim będąc od młodu, próbował do ostatka uleczyć go z namiętności brzydkiej, w której z wiekiem brnął coraz głębiej. Często zaglądał do jego mizernej izdebki, często z nim posiedział, a po bytności jego stary ponuro się i smutnie zamyslał.

Zaraz po przyjeździe Anny, w dni kilka, zjawił się kapucyn po południu w progu izdebki pana Kaspra z wesołem:

— Niechże będzie pochwalony...

Obejrzawszy się potem:

— A co tu? u waści najazd jakiś? goście? czyś kogo przyjął w komorne?

— To brat mój Jan, — rzekł Kasper, całując księdza w rękę i usiłując zakryć bosc nogi, za które ksiądz Spirydjon nieraz łajał — kochanych, dobrodzieju, mam gości.

— I przyjmujesz ich po swojemu, na bosaka! — zaśmiał się kapucyn — oj! niepoprawiona natura!

— To z powodu nagniotków, ojcze dobrodzieju.

— Ba! ba! znamy te nagniotki! Każdy ma takie nagniotki, panie Kasprze; przeszłym razem mi mówiłeś, żeś uczynił votum, a teraz...

Kasper spuścił głowę.

— Wstydz bo się waść, — dodał cicho staruszek, śmiejąc się ciągle — czyż taki do końca nie wydobędziesz się ze szpon tej brzydkiej pasji?

— Cicho, jegomościuniu! cicho! — zawołał Ka-

sper przerażony — a nuż moi goście posłyszają, pomyśleć gotowi, żem skąpiec a zatem bogaty...

Kapucyn się rozśmiał i usiadł spocząć na zydelku.

— No! to się waści chwali, żeś, jak widzę, brata przyjął!

— A cóż, musiałem, ojcie, i niemało mnie to kosztować będzie... zrujnują mnie trochę.

— Cicho, nie mów o koszcie i wydatku. A liczysz waść, jak ci serce za to płaci! ha? Wstydź się, panie Kasprze! A teraz prowadź mnie do Jana, trochę go znam.

Podniósł się staruszek i wyszedł z Kasprem, który szybko wdział buty, do wielkiej izby, zajętej przez Jana i Anusię.

— Niech będzie pochwalony, — powtórzył na progu — witam was, dzieci moje! Stary przyjaciel Sienińskich; móci marszałku, coś, widzę, poznać mię nie chcesz? A ojciec Spirydjon! widzisz. To musi być córka waszecina! Niechże ją Bóg błogosławi!

Anusia przyszła go pocałować w rękę.

— Dobrzeście zrobili, żeście tu przyjechali, ot stary pan Kasper trochę odżyje. A cóż w Warszawie myślicie, bo się tu pewnie próżnowaniem bawić nie będziecie?

Stary wytłumaczył się księdzu, że jemu sił do pracy nie starczyło, a Anusi zajęcie domem, kuchnią i gospodarstwem wszystek czas zabierze.

— Każdy niech pracuje jak może, aby z Bogiem, wszystko dobrze, wszystko Bóg przyjmie. Bez krzywdy bliźniego, bez uszczerbku na duszy, w imię Pańskie, aby dalej, aby bliżej do uroczystej godziny.

To spotkanie było dla Anny jakby pierwszym stopniem do dopięcia celu; marzyła już, że przez rądy ks. Spirydjona, przez tych, których on znać musi, trafi jakoś do podczasyca i tę duszę już nad przepaścią stojącą na inną zawróci drogę.

W kilka tygodni potem przyszedł znów ks. Spirydjon, a zastawszy śpiącego pana Kaspra, przyszedł do Anusi, na ten raz samej. Skorzystało z tej chwili

dziewczę i rzuciło się do nóg starcowi; przeląkł się nieco zrazu kapucyn, myśląc, że straszliwe jakie usłyszysz wyznanie, bo i łązy towarzyszyły niewinnej spowiedzi, ale ochłonął powoli, gdy Anna, potrzebująca się zwierzyć komuś, wylała przed nim całą swoją duszę, opowiedziała mu życie, dzieciństwo, młodość, wychowanie, opiekę starościny, przywiązanie swe do Michała...

Wyznanie było, jak spowiedź, szczere i całkowite: nie utaiła nic, powiedziała nawet o snach w Głuszy, o myśli, co ją tu przywiodła.

Starzec słuchał ją z rozczeniem rzewnem.

— Dziecko moje, — rzekł — obrachuj się, czy cię tu krom nadziei ratunku nie przywiodła, acz niewinna miłość ku niemu?

Anna spuściła oczy.

— Wiem, że nie mogę i nie powinnam go kochać, — odpowiedziała — ale nie mogąc być niczem dla niego, chcę przynajmniej ratować go w jednej chwili życia. Potem gotowam wstąpić do klasztoru.

Staruszek głową pokiwał.

— Zawsze pocziwe to myśli twoje, — rzekł — ale jakąż ja ci dam radę? Słyszałem nieco o Ordyńskim, wpadł w wielki świat i należy do tych, do których kapłan nie ma przystępu, bo od niego uciekają.

Proś Boga, modlitwa wiele może, a jeśli się zdarzy sposobność ratować go w jakim złym razie, jam ci gotów w pomoc. Sama nie rzucaj się na niebezpieczeństwo, byś nie upadła... Słabą jesteś. Upaść łatwo, dziecię moje, cóż dopiero w walce, w której ufna i pocziwa niewinność z jednej, a rozwiązłość obojętna z drugiej strony.

Pociechą jakąś i ufnością nappełniło się serce Anny po zwierzeniu kapucynowi, który ją z uczuciem, odchodząc, pobłogosławił.

Nazajutrz zaraz trafem zobaczyła podczaszyca w kościele, dokąd przybył wślad za piękną wojewodziną; skryta za konfesjonał przypatrywała mu się, a srogi ból cisnął serce. W oczach jej tak się odmie-

nił! Powiew miasta uniósł z sobą świeży rumieniec, pogodę oka młodego, ust wesele, czoła jasność — piękny był jeszcze, ale w nim czuła Anna jakby rozhukane zwierzę, jakby oszalałego i pijanego... Zmartwiła się, widząc go w kościele obojętnym na Boga; śmiał się, chodził, stawał, przypatrywał, siadał, szeptał, był jak na widowisku i ani na chwilę, ni razu, nie podniosła się myśl jego i serce ku Temu, co świątynię napępiał, niewidzialny dla niego.

Zapłakała, ścigając go oczyma, podającego z uśmiechem rękę pięknej damie, z którą od pół kościoła szeptać poczęli do siebie nadto poufale.

XV.

Jakie tam myśli snuły się po chorej głowie podczaszyca w chwili, gdy, okryty ciemnością wieczora i chmur, oblany deszczem i migoczącymi niekiedy na niebie błyskawicami, stał i czekał z krwią zimną na wydarcie życia człowiekowi? — nie wiem... Są to godziny, w których jak przed śmiercią całe życie zarysowuje się szybko na tle wyobraźni, w których się przeżywa na nowo całą swą minioną przeszłość, uczuwa, co kiedyś czuło, przypomina, żałuje... serce bije, myśl się płacze, żal naprzemian, bojaźń i znowu szal ogarnia.

Nagle — przed oczyma podczaszyca, który stał, dysząc nieprzytomny, ukazała się wysoka postać w piaskowym płaszczu... ręka zadrżała.

Błysnęło, poznał Rybińskiego o trzy kroki od siebie, starościc widać postrzegł go także, bo się chciał cofnąć, ale nim miał czas zawrócić, przyskoczył Ordynski i, przyłożywszy mu króciwę do piersi, wystrzelił. Starościc krzyknął, chwycić się chciał za mur rękami, posłonił i upadł.

W tej chwili jakby zasłona jakaś spadła z oczów podczaszyca — ostygł, ujrzał przed sobą trupa, ciekącą krew, załamał ręce i stanął skostniały. A tuż i lud

gromadzić się poczynął i wrzawa powstawała dokoła. Ordyński nie miał siły nawet uciekać. Uczuł tylko, że go ktoś chwycił za rękę i żwawo cisnąc przez lud, z nim uchodził, ale dokąd? kto? nie postrzegł.

W duszy wiło się, powtarzało, tętniło jedno tylko słowo:

— Zabiłem! zabiłem!

Śmiech nareszcie straszny przez tę wrzawę myśli dobił się do jego uszu.

— Podczaszycu, — rzekł przewodnik — dokąd się teraz udać myślisz? Zabiłeś Rybińskiego, potrzeba uciekać, mów, co mam z tobą zrobić?

Ordyński stał jak słup.

— Al! co to za dziecko, — zawołał cavaliere — poprowadzę cię do Frascatelli, może tam odzyskasz przytomność i pomyślisz, co zrobić z sobą.

Przejeżdżający fiakr zabrał ich obu, a ruch powozu dopiero i ulewny deszcz ćwiczący w twarze, bijące pioruny, burza gwałtowna trochę oprzytomniły podczaszyca. Zakrył oczy, począł płakać, Fotofero ramionami ruszał.

Zajechali na Miodową w dziedziniec, usłużny przyjaciel wysadził Ordyńskiego, wwiódł na schody, otworzył drzwi, wepchnął do mieszkania, a sam zniknął.

Służąca, postrzegłszy podczaszyca zbroczonego krwią, która na suknie jego wytrysła, krzyknęła, sądząc z niej i z bladości twarzy, że był raniony. Na głos ten z drugiego pokoju wybiegła przerażona tancerka, spojrzała, domyśliła się wszystkiego i przybliżyła niespokojna. On ją zlekka odepchnął.

— Nie tykaj mnie, krew, krew, jestem zbójcą...

Nieprzytomnego prawie kobiety posadziły w krzesło, spojrzał po sobie, zobaczył plamy czerwone — i omdlał.

Włoszka pocziwa, zapominając o sobie i swej słabości, poczęła go ratować, uklękła cucić, a sługę posłała po doktora Beklera. Napisała także kartkę do generała, wzywając go pilno do siebie i z nią na zamek

chłopakowi iść kazała. Na klęczkach tak przed nim patrzyła nań, drżąc z boleści, nie mogąc doczekać się otrzeźwienia, bo, choć oczy otworzył, zdawał się nieprzytomny; odpychał od siebie, miotał się, a słowa z ust wyrывały się bezładne.

Po godzinie blisko takiej męczarni zaturkotało w dziedzińcu, generał wpadł do pokoju i rzuciwszy okiem na podczaszycę, za głowę się schwycił.

— Gdzieś go złapał? — zawołał.

Widok Bauchera zdawał się zabójcę ochładzać, spojrzał mu w oczy.

— Na ulicy — odpowiedział zcicha.

— Strzeliłeś?

— Zabiłem go.

Stary pieczeniarsz zmarszczył się gniewnie, niecierpliwie i ramionami ruszył.

— Ratuje się teraz sam, kiedyś dobrej rady nie słuchał, — rzekł zimno — wiesz, czem to pachnie, zabicie posła pod bokiem króla i sejmu, pod jurysdykcją marszałkowską?

— Na Boga, — przerwała Włoszka gwałtownie — tu nie czas grozić i wymówki robić, potrzeba go ratować.

— A co ja mu poradzę? — zawołał generał, przechadzając się zakłopotany — umyвам ręce! umyвам ręce! jutro-by mnie jeszcze do indagacji pociągnęli. Upadam do nóg... Jedna jest rada a krótka, wziąć pieniędzy jak najwięcej i nie powracać do domu; póki sprawa się nie rozgłosi, uciekać jak najdalej.

— Ale ja nie mam ani pasu, ani pieniędzy.

— Ja ci też ani jednego, ani drugiego dać się nie ofiaruję, — odpowiedział generał, biorąc się do drzwi — sam będę na oku, a grosza, słowo honoru, grosza przy duszy nie mam. Rób, co chcesz, a uciekaj.

Frascatella gniewnie ruszyła ramionami.

— Otóż to przyjaciel, — zawołała — to przyjaciel. Jeśli innych nad tego nie miałeś, podczaszycu, toś biedny, bardzo biedny!

Ordyński siedział w krześle zadumany głęboko,

gdy mu jak błyskawicą mignęła myśl, że Sienińscy mają dworek na Bednarskiej ulicy i że oniby go może poratowali, gdyby się do nich dostać można. Nie chciało mu się uciekać z Warszawy, żelazny łańcuch nałogu przykuwał go do miasta, czuł, że gdzie indziej żyćby nie potrafił.

Ochłonawszy nieco, poczynął roić, że sprawa ta da się zatrzeć, byle zwlec stawienie się przed sądem i nie dać pochwycić. Zdawało mu się, że go nawet w Warszawie szukać nie powinni, bo pomyślą, iż musiał uciec już dalej.

Pożałował nawet, że starego swego sługi Sienińskiego nie odwiedził kiedy, terazby mu się wiadomość o mieszkaniu ich przydać mogła. A że posyłać i dowiadywać się niebezpiecznem było, musiał, nie spuszczać się na nikogo, sam iść i szukać dworku.

Wstał więc po chwili z krzesła, narzucił płaszcz i chciał odchodzić, gdy Frascatella przybiegła z drugiego pokoiku, niosąc w chustce, co mogła znaleźć, ostatki ubogiego mienia, klejnociki i trochę grosza, (w myśli przeznaczone już na pogrzeb), które chętnie oddawała podczaszycowi!

— Weź pan to, — rzekła, czepiając się go uparcie — na pamięć matki klnę ci się, panie, że więcej nie mam, a to mi zupełnie niepotrzebne.

— Dziękuję ci, dziękuję, — odpowiedział Ordyński z trochę dumy — bądź spokojna, mam pieniądze.

— Dokąd myślisz?

— Szukać przyjaciela! — smutnie odpowiedział podczaszyc.

Zadrżała Włoszka i przeżegnała go; chciała zatrzymać i ukryć, ale podczaszyc sam przypomniał jej, że tu go szukać mogli najłatwiej, wiedzą, że bywał u niej. Wybiegł żywo, ledwie skinąwszy głową rozplakanej dziewczynie.

Deszcz lał jak z wiadra, potoki toczyły się rynsztokami, z rynien spadały kaskady, a pioruny warczały jeszcze w oddaleniu.

Podczaszyc po wielu obłędach, przesuając się

pod ścianami, co chwila podejrzewając, że go ścigają, na każdy krzyk drżąc i przytulając się do muru, dostał się wreszcie na ulicę Bednarską, ale jak tu wynaleźć dworek Sienińskich? Zdawało mu się, że lada słowo wydać go może, że poznają go po głosie i mowie, z postawy i sukni, nie śmiał nikogo spytać, najciemniejszymi przebiegając się zakątkami. Wreszcie ulewa ciągnęła, ciemniejsza coraz noc, jakiś strach pozostania pod gołym niebem wśród snującego się ludu, zmuszając go szukać schronienia, wyrobiły w nim trochę odwagi; musiał się pytać kilku przechodniów, zbyli go niczem, nie wiedząc o żadnym Sienińskich dworku; udał się do miejscowych i chodząc od wrót do wrót, doczekał nareszcie, że mu wskazano niski domek, w którego jednym okienku gorzało blade światło. Tu do wrót trudno się znów było dostać, tak zawczasu zatarasował je pan Kasper z pomocnikiem swoim Holodrygą, a że po nocy nie było praktyki, by kto przyszedł, nierychło usłyszał głosy, dopytujące się, czego chce.

Sam przeciw niemu wyleciał stary, niespokojny kogo tam licho niosło... i zdziwił się, dowiedziawszy, że potrzebuje ktoś widzieć się pilno z panem Janem.

— Ale poco i czegoż po nocy, to i jutro przyjść można?

— Sprawa pilna, proszę otwierać, proszę otwierać.

Jeszcze się wahał gospodarz, obawiając złodziejów, aż podczaszyc zawołał mu przeze drzwi, że tu o życie ludzkie idzie i żartować nie można.

Kasper zatrwożył się mocno, a że o życie szło, nie o pieniądze, odważył się odryglować i wpuścił przybyłego, który, zataczając się ze znużenia i niewprawy do piechoty, wpadł do dworku jak szalony. Za nim wśladał leciał pan Kasper.

W większej izbie na krzeselku drzemał pan Jan, a Anusia spokojnie modliła się na książce, którą miała po staroście, gdy drzwi się otworzyły i blade, krwią zbрызgany, w wykwinętym stroju, ukazał się na progu, jak zjawisko, podczaszyc.

Nie wiedząc o jej bytności w Warszawie, ujrzawszy ją nagle, cofnął się, ona krzyknęła, tak niespodzianie go ujrzawszy w tej porze. Sieniński, przebudziwszy się, oczy przecierał, nie mogąc zrazu zrozumieć, gdzie jest i co się dzieje.

Anna jednak najprędzej odzyskała przytomność i ze świecą poskoczyła przeciw niemu.

— Panie Michale! co to panu? — zawołała.

— Co mi? — rzekł, opierając się o ścianę, podczaszyc, który nóg nie czuł pod sobą i był jak w gorączce — co mi? Zabiłem człowieka! muszę się kryć! ratujcie mnie!

Sieniński ręce załamał, Kasper pobladł, Anna, ujrzawszy krew, cofnęła się przerażona.

— Zabójca, zabójca, on zabójca! Możeż to być, o Boże!

— Ale kogoż zabiłeś pan? co się stało? — zapytał, ciągnąc go za suknie, gospodarz.

— Posła Rybińskiego.

— Gdzie? w Jeziornej, w pojedynku?

— Nie, tu na ulicy.

Bracia spojrzeli na siebie z przestachem, a pan Kasper odstąpił krok od przybyłego.

— Jak się to stało? Jak się to stać mogło? — spytał, łamiąc ręce, stary Sieniński.

— Obraził mnie śmiertelnie, strzelać się nie chciał, musiałem krwią zmyć obelgę, nie mam się gdzie skryć; jeśli wy mnie nie przytulicie, schwycą mnie na gorącym razie, sąd będzie ciężki, na Boga skryjcie mnie.

— To gospodarz domu — rzekł pan Jan, — aleśmy wszyscy słudzy waszej rodziny i dla niej poświęcić się gotowi, niema co myśleć, znajdziesz pan przytułek u nas, ale czy będzie bezpieczny?

— Ubodzyśmy ludzie, — dodał Kasper — dachu nie poskapić, a zresztą spuszcza się na wspaniałomyślność pańską! — I schylił się do kolan podczaszyca.

— Dziękuję wam, a! dajcie mnie odetchnąć! biegłem pieszo! czuję się słabym!

Dopiero w kilka godzin odzyskał krew ziemniejszą, opamiętał się, rozmyślił i przywołał starego Jana Sienińskiego, żeby go wysłać na zwiady, a razem po pieniądze i klejnoty, które w domu zostawił.

— Bądź jednak baczny, — dodał — żadnemu z ludzi nie mów, gdzieś mnie widział, o zdrajców nie trudno. W karteczce, którą daję do Frejera, piszę, że jestem na gościńcu i pojedę dalej, jak tylko powrócisz. Być może, że wślad za tobą pójda, nie wracaj więc wprost do dworku, ale złóż, co odbierzesz, na Miodowej ulicy.

Dał mu adres do Frascatelli.

Pan Jan, mimo spóźnionej pory, wywoławszy Hołodrygę, który kłął, drzwi otwierając znowu, poszedł zaraz. Kasper zasunął się do swej izdebki, rozmyślając, czy mu ta awantura nie mogłaby przynieść jakiej korzyści, Anna została z nim sam na sam.

Ale on tak był w początku zajęty sobą i swem położeniem, że na nią i razu oczu nie zwrócił. Ona tymczasem w milczeniu smutnem przypatrywała się towarzyszowi lat dziecinnych, dziś tak dziwnie zmienionemu w krew oblanego zabójcę. Strój wytworny, który go okrywał, splamiony śladami morderstwa, był symbolem stanu jego duszy.

— A! nie tak! nie tak spodziewałam się go ujrzeć znowu, — mówiła w duchu Anusia — o mój Boże! jeśli tam z góry pada nań wejrzenie starościny, jakże ona cierpieć musi. Zapomniał wszystkiego, ledwie spojrzał na mnie, ledwie się zdziwił, gdy mnie zobaczył! Biedny Michał!

Podczaszyc podniósł po chwili oczy ku niej, spojrzał zadumany i twarz jej przypomniła mu chwilę, po których żal odzywał się stokroć, a teraz silniej, niż kiedy, zabiło serce i tęsknem rozkołysało się uczuciem.

Pierwszy raz może silniej pożałował tego, co utracił: niewinności duszy, czystej, pierwszej swej miłości i chwil w zaciszu wiejskiem spędzonych, gdy jeszcze umiał modlić się, wierzyć, spodziewać. Dziś, używając

tylko, zużył się, czuł próżnię w sobie, a z tego żywota gwarne go, rozkosznego nic mu nie pozostawało nad kilka gorzkich, zatrutych wspomnień. Ani jednego przyjaciela, ni jednego serca! Wszystkie dłonie cofnęły się, wszystkie drzwi zamknęły. Żywiej przypominało się życie w Głuszy, głos starej babki zdawał go się napominać i wyrzucać mu, że o Bogu zapomniał, że zapomniał o jej duszy... Uczuł w tej chwili, że na pierśiach jego wisiał razem z krzyżykiem babki skromny, ubogi pierścionek Anusi, który trafem jakimś tak długo z nim pozostał; zdawało mu się, że się przebudza z długiego snu przykrego.

— A! — rzekł wreszcie — jakże wam dziękuję, żeście mnie nie odepchnęli.

— Mógłżeś pan to pomyśleć i wątpić o nas? — z trochą wymówki spytała Anna.

— Ja? wątpię teraz o wszystkim i o wszystkich...

— O kim pan chcesz, ale nie o nas, ale nie o mnie — dodała ciszej.

— Ale skądżeś ty tu się wzięła, Anno? — zapytał, namyślając się — zdaje mi się, że ojciec dawał mi do zrozumienia, że cię na wsi zostawił.

— Nie było potrzeby mówić panu o mnie! — odpowiedziała Anusia z westchnieniem — co ja mogłam pana obchodzić? Miałeś pan tu tyle nowych i miłszych ci znajomych!

Michał gorzko się uśmiechnął.

— Gardzę niemi wszystkimi, — rzekł — miłsze mi dziś spojrzenie na pogodne czoło twoje, Anusiu, niż wszystkich tych zalotnic uśmiechów!

— Taka zmiana od ranka? — cicho szepnęła dziewczyna — ja jej nie wierzę, panie Michale, gniew mściwy mówi przez ciebie; byleby ci się uśmiechnęli, powrócisz do nich.

— Nigdy!

Wtem zapukano do bramy.

— To musi być mój ojciec, — zawołała Anna — potrzeba mu biec otworzyć.

Hołodryga też, śpiący tylko jednym okiem, wypadł

z budy, klnąc niezrozumiale, nie mogąc pojąć, co się dziś w spokojnym domku stało, i pytając — kto tam? kto tam?

— Wywołajcie mi do wrót tego pana, który tu niedawno przyszedł! — odezwał się głos jakiś.

Ale Hołodryga łajał i kłął, nie myśląc słuchać, gdy Anna przypadła do furtki.

— Niema tu żadnego pana, — odpowiedziała, poznając po głosie obcego — dajcie nam pokój!

— Czyj to dworek, Sienińskich, a więc musi być u was Ordyński.

— Nie wiemy o żadnym, obcych tu niema, idźcie z Bogiem, snu nam nie przerywając.

— Proszę mi podczaszyca wywołać, — powtórzył głos — to nie są żarty, ja się z nim widzieć muszę, powiedzcie mu, że przyszedł do niego ten, który go prowadził na Nowolipie...

Chociaż głos nieznanego bardzo przykro brzmiał w uszach Anny, poszła jednak z poselstwem do podczaszyca, który, domyśliwszy się cavaliera, pobiegł do wrót.

W istocie był to Fotofero, który otworzoną wcisnąwszy się furtką, stanął przed nim z dość pochmurną twarzą.

— Jakżeś się dowiedział, że tu jestem? — zapytał Ordyński.

— Jak? ja wiem wszystko — odpowiedział zimno przyjaciel — i źle, że pan tu jesteś! — rzekł prawie z gniewem.

— Dlaczego?

— To nic niewarte schronienie, ulica zbyt bliska miasta, ktokolwiek w oknie cię zobaczyć może, dowiedzą się, wyszpiegują. Nie chcę, żebyś tu pozostał.

— Dlaczegoż? — odparł podczaszyca, trochę urażony tonem rozkazującym — to ostatni mój przytułek, innego nie mam i mieć nie mogę.

— Ja jutro, nie dalej, wynajdę panu ustronne, pewne i najwygodniejsze mieszkanie. Tu źle, źle, różni bywają! tu pan pozostać nie możesz!

— Ale dlaczegoż? — zniecierpliwiony odezwał się Ordyński — ja się tu czuję bezpiecznym.

— Mam moje przyczyny, z których tłumaczyć się nie mogę.

— A ja przyczyny, dla których chcę pozostać.

— Może Anusię! — rzekł szydersko Fotofero.

— Bez żartów! — z gniewem odpowiedział podczaszyc — bez żartów, proszę tem imieniem, które nie wiem, jak się do pańskich ust dostało, nie szastać.

Cavaliere zdjął kapelusz z udanem uszanowaniem i odpowiedział:

— *Honneur aux dames!* a zatem — spytał po przestanku — mam szukać mu mieszkania, wynosisz się pan, czy nie?

— Nie widzę potrzeby, tymczasem wszystko, co zwraca oczy na ten dworek i pańska tu bytność naraża mnie. Dobranoc, rozejdźmy się.

— Do jutra, — rzekł kwaśno Fotofero — ale potrzeba się wynieść! Musisz pan wynosić się stąd!

To mówiąc, wybiegł, zatrzaskując furtkę za sobą, z ogromnym łoskotem zapadającą za nim, jakby nią olbrzymia cisnęła ręka.

Hołodryga na ten stukot wyleciał z gniewem, krzykiem i kijem, ale już nikogo nie znalazł i palnął ze złości we drzwi zamknięte.

Podczaszyc wielkimi krokami przechadzał się po izbie, poglądając na Anusię.

— Bywa u was kto? — zapytał.

— U nas tak jak nikt.

— Ale przecież macie znajomych?

— Kilku mieszczan i kupców do pana Kaspra przychodzą.

— A z kobiet?

— Nikogo.

— Będę tu bezpiecznym?

— Nie wiem, gdzie lepiej ukryćby się można, — żywo zawołała Anusia — jest pokoik na boku, a o zamieszkującym go żywa dusza prócz nas wiedzieć nie będzie. Wprawdzie nie tak tu wygodnie jak w Głu-

szy — i smutno! trochę czuć więzienie, a wzrok kraty rozcinają, ale cicho i bezpiecznie.

Znowu zastukano do drzwi, a w chwilę potem wszedł smutny i zamyślony stary Sieniński. Z twarzy już jego widać było, że złe przynosił wiadomości, otarł pot z czoła zmarszczonego.

— Co mi przynosisz? — zapytał podczaszyc — nadewszystko proszę nie ukrywaj przede mną. Co mówią? czy Rybiński żyje?

— Żył jeszcze przed chwilą, ale doktorowie mu żadnej ocalenia nie robili nadziei.

— Czy szukają mnie już w mieście?

— Dom był ostawiony ludźmi marszałkowskimi, trzęsiono go już. Straż była także w kilku innych domach i na Miodowej u tej... — dodał starzec, krztusząc się — u tej jejmościanki.

Anusia spojrzała na ojca i zbladła.

— A w mieście? co mówią w mieście?

— Mówią powszechnie, żeś pan ujechał, ale kazono ścigać, Rybińscy naznaczyli podobno za schwytanie jakąś nagrodę — król już o wszystkim wie, biskup z płaczem zaraz do niego poleciał, domagając się surowego ukarania. Obiecano mu, że morderca oddany będzie w ręce sprawiedliwości...

— Nikt cię o mnie nie pytał? a w domu? co się dzieje w domu?

— W domu! — rzekł stary, ruszając ramionami — sądny dzień, Frejer klnie i głowę traci, wierzyciele oblegają, słudzy się porozbiegali, każdy coś pochwyciwszy, ledwie resztki ocaliłem z komody, do której mi pan klucz dałeś, i tego mało mi z rąk nie wydarto.

— Jenerał Baucher tam nie był?

— Nikogo prócz kupców.

— Byłeś na Miodowej?

— A! na Miodowej — byłem, tam zostawiłem, wedle rozkazu, co się uratować dało... ale to trzeba będzie rychło zabrać stamtąd, bo ta panienka tylko co nie widać, jak umrze. Doktorowie tam koło niej tańczą, i księdza już wołano.

Podczaszyc westchnął, Anna zaboląła nad tą nieznaną umierającą.

— Albo jej nigdy nie kochał, — rzekła w duchu — lub nigdy serca nie miał, ona teraz kona, a on tu się kryje. O! toby było niegodne! Wolę myśleć, że jej nie kochał, bobym się nim brzydzić musiała, ale jakież to były ich stosunki?

Na tem skończyła się rozmowa ze starym Sienińskim, a że późno już było w noc, a wszyscy czuli potrzebę spoczynku, Anna wzięła się rozporządzać, sama z ojcem przenosząc się do alkierzyka, a podczaszycowi po rozmyśle zostawiając równie bezpieczną i wygodniejszą wielką izbę.

Podczaszyc ujrzał się w kilka minut sam jeden w pośepnem mieszkaniu, za kratą, u mizernego łoża, przy nagiej ścianie; zamiast obrazów rozkoszy i sprzętów zbytkowych, czarny tylko krucyfiks mając przed sobą... Na stoliku dogorywało światło, w izbie dusiło go powietrze ciężkie, a po głowie cięższe jeszcze snuły się myśli... na sukni, w oczach miał ciągle przyśchłą krew, krew człowieka!

XVI.

Następnego dnia Jan Sieniński wyszedł zawczasu na zwiady, bo niespokojny podczaszyc prosił go na wszystko, by mu pewniejszą dał wiadomość o Rybińskim.

Starzec znalazł już po rogach ulic poprzyklepiane paszkwile nocne, w których zbryzgane krwią i błotem walało się pocziwe imię Ordyńskich. Ze zgrozą, ze smutkiem zdarł z nich parę i westchnął płaczliwie nad losem, co podawał w pośmiewisko ostatniego potomka rodu zasłużonego i czystego dotąd... Ale z wierszy tych dowiedział się także Sieniński, że Rybiński żyć jeszcze musiał, śmiertelnie tylko będąc postrzelony. Stary, wedle zlecenia podczaszyca, poszedł pod bramę krakowską do Orlandiniego z pełną tabakierą

umyślnie kupionej nato rapy, aby się od niego coś pewniejszego dopytać.

Żebrak już był na swoim stanowisku, wypił świeżo kawę, ręce na żołądku skrzyżował i w błogosławionym spoczynku z góry spoglądał na mijające go mrowie ludu. Wygodnie ułożywszy nogi na słomiance, parasol przygotowawszy zboku na przypadek deszczu, siedział sobie Orlandini, jak pan ulicy, wygrzewając się na wiosennem słoneczku.

Pan Jan wiedział już, z kim miał do czynienia, znał, że cudzoziemiec, choć próżniak i żebraczysko a dumny, schylił przed nim czapki i wszedł w rozmowę rapą.

Orlandini pogardliwie rękę wyciągnął i raczył zażyć.

— Dobra tabaka! — rzekł — a dajcie no jeszcze raz!

— Proszę, proszę — odpowiedział Sieniński.

— Piękny dzionek!

— Ślicznie po wczorajszej burzy.

— Spodziewam się, że król powinienby wyjechać do miasta, nieźleby było, rzadko teraz się ruszy, z powodu sejmu... a jeszcze-no tej rapy.

Sieniński stał z tabakierką otwartą.

— Słyszał pan co o zabójstwie posła Rybińskiego? — spytał nieznacznie.

— Nie zabity! nie zabity! — rzekł Orlandini z pewnością — widziałem się wczoraj z dworzaninem księdza biskupa kujawskiego, ranny ciężko w piersi z lewej strony, ale mówią, że wyżyć może. Zabójcy, słyszę, surowo poszukiwać nakazano, ale myślę, że do tej pory uciec musiał... Ale ba! nie chciałbym mieć jego głowy na karku!

— To paniatko! znajdzie się kto, co się za nim ujmie i nie mu się nie stanie.

— Wszelako, wszelako, — rzekł Orlandini, zażywając ciągle — choć mówią, że i król go protegował, bo się podobno dawniej w matce jego kochał, zbytni

szął młodzieży chce poskromić i dać przykład. Pod bokiem sejmu — a to poseł!

— Nie znaliście podczaszyca? — spytał Sieniński.

— I owszem! chłopiec się był utresował u nas, niczego! Słyszę, kobiety za nim szalały, ale pod koniec źle o nim mówiono, szulerował, brzydka rzecz...

Pan Jan aż zbladł, tabakierka zatrzęsła mu się w rękę, Orlandini popatrzał mu w oczy.

— A co waści? — spytał.

— To tak, drżączka.

— Szkodaby rozsypać tabaki... dajcieno mi jej trochę do mojej tabakierki, wcale dobra!

— Chętnie, chętnie, ale byka za indyka, gdybyście też mi zrobili jedną łaskę, która was nic kosztować nie będzie?

— Oho! a co to waści potrzeba? — dumnie zagadł Orlandini — widzę, że nie bez interesu przyszła ta rapa do mnie.

— To bagatela.

— Chcesz mnie, widzę, przekupić! no! no! gadaj.

— Będziecie dziś pewnie widzieli jenerała Bauchera, gdybyście oddali mu ten bilecik.

Orlandini pocmokał, popatrzał...

— Jaki waszeć mądry! — rzekł — za rapę! A ba! oddają się to bileciki, ale nie za niuch tabaki. Ja muszę żyć i dobrze zjeść, i dobrze się napić, mnie życie kosztuje, a kto się mną posługuje, niechże karmi!

— Cóżby to kosztowało? — spytał się pan Jan, biorąc się do sakwy.

— Co? to jak od kogo — rzekł żebrak. — A od kogo list? mów waść!

— Od jednego z przyjaciół jenerała.

— Ba! ba! z przyjaciół! ma on i przyjaciółki! Daj waćpan tę rapę do tabakierki, to od podczaszyca pewnie! Dodasz jeszcze talarą; wiem, że dukatby się należał, ale teraz musi być goły.

Sieniński westchnął, wyszukał najgładszego talarą i wcisnął go z biletą w rękę żebraka. Orlandini obojętnie wziął pieniądz, w szeroką kieszeń zielonej

zbrukanej kamizeli wrzucił, bilecik w drugą, wysypał rapę do dna, założył znów ręce na brzuchu i kiwnął głową Sienińskiemu, jakby mu mówił:

— Bywajże asan zdrów, więcej już rozmawiać nie myślę.

Sieniński pociągnął potem na Miodową do Frascatelli, u której wczoraj zostawił pieniądze i klejnoty podczaszyca. Zastał tu od wczoraj siedzącego doktora Beklera, a chorą ledwie z życia ostatkiem.

Przeze drzwi słychać było wśród ciszy ciężki oddech jej piersi i głos słaby, którym żegnała przytomnych.

Niewiele ich tam było teraz: pocziwy lekarz, dwie kobiety, służąca, nikogo z dawnych czcicieli. Ujrawszy starego, Włoszka podniosła się jeszcze, oddała mu klucz, wskazując szufladę kantorka, i szepnęła rozczulona.

— Pożegnaj pan go ode mnie, wątpię, żebyśmy się już zobaczyli na tym świecie. — Łzy potoczyły się jej z oczu, a doktor milczenie nakazał.

— Do czego to? — spytała nieposłuszna — czyż i tak umrzeć nie trzeba... ja to czuję, że nie wyżyję. Napróżno, doktorze, trzęsiesz głową... Matka tam na mnie czeka, a was i świata nie żałuję! tak mi tu było ciężko w wieńcach róż na skroni i w czczych oklaskach jak w kajdanach, jak w przekleństwie.

Zamknęła oczy, zdawała się marzyć, tak że stary Sieniński, który długo mimowoli wpatrywał się w śliczną jej, jak marmur bladą twarzyczkę, niepostrzeżony na palcach się wymknął ze zwilżoną powieką.

— A! mój Boże! mój Boże! — rzekł do siebie, wrywając się na miasto — jakie to ich tutejsze życie! Człowiek głowę traci! wrzawa, pisk, jęk, ten umiera, ten się kocha, ów szaleje i zabija. Ani chwili spoczynku, żebyś jak chciał się zdrzemnąć! Sfiksować tu trzeba! nielepiej żeby na wsi siedzieć i poprostu Pana Boga chwalić?

Powolnym krokiem posuwał się dalej pan Jan dla sprawdzenia wieści o Rybińskim ku ulicy, na której

było jego mieszkanie; zdala już łatwo dom rozpoznał, bo przed nim stało karet kilka i ludzi dosyć. Powoli idąc, zaczepił to tego, to owego, udając prostego ciekawca, choć dosyć niezręcznie, bo co chwila wzdychał. Nareszcie dwie żywo ugađujące się kumoszki we wrotach kamienicy, wprost naprzeciw domu Rybińskich, uczyniły mu nadzieję, że się czegoś dowie.

Zdala już słyhać je było mielące szybko językami, zatrzymał się przy nich z ukłonom — dzieńdobry.

Spojrzały nań zukosa.

— A co słyhać? — spytał — czy taki umarł?

— Ale nie! — odpowiedziała jedna.

— Nie, nie, — dodała druga, prześcigając się w opowiadaniu — doktory tylko, słyse, rozcieli mu het piersi, kulę wyjęli, a że była w samem sercu, potrzeba było i serce zaszywać czerwonym jedwabiem.

— I cóż, będzie żył? — spytał pan Jan.

— Słyse, będzie, ale serca to niewiele mu się zostanie, ono kawałeczek.

— Osobliwość, — dodała druga — a to dawniej powszechnie gadali, że byle człowieka choćby szpilką zakłuć w serce, musi skończyć, a tu teraz tacy doktorowie, że i do serca się dobiórą i zeszyją, i nic.

— To przez to, — zaczęła pierwsza pocichu — że choć synowiec czy coś biskupa, ale taki był, słyse, farmazon, a farmazon choć siecz, choć pał, nic mu nie będzie... Był taki farmazon, i widzieli nawet, że chodził do ich tego Łoża... Gdyby tak pocziwemu katolikowi, nie daliby rady, ale oni mają swoje sposoby!

Druga tylko ruszyła ramionami.

— A wszystko to poszło przez miłość, — dodała — oba się w jednej pokochali; z tym, co do niego strzelił, w jakiejś farmazonce, a ta, słyse, obu durzyła, aż z wielkiej zazdrości tamten mu śmierć chciał zrobić. Co to, słyse, była za kula!

— Mówią, — przerwała pierwsza znowu — że się to pokłóciło przy kartach.

— Tak, ale to bez miłość poszło, — kończyła druga — najpewniejsza rzecz... nawet, słyszę, ta farmazonka z desperacji po Rybińskim mało nie szaleje, choć ma męża, ale to u tych pań mąż to jak trójnózek, na to jest, żeby na nim postawić kochanka.

Dłużej już nie mając się tu czego zabawiać i będąc pewien, że Rybiński żyje, pan Jan ruszył napowrót ku dworowi.

XVII.

Późną nocą generał Baucher, któremu się, mimo bileciku naglącego podczaszyca, bardzo nie chciało widzieć z tak podejrzanym, a do tego gołym w tej chwili jegomością, uznał jednak koniecznem odbyć tę pańszczyznę i znalazłszy Kaspra Sienińskiego u krakowskiej bramy, czekającego, by mu wskazać dworek, poszedł z nim pieszo.

Jakkolwiek spodziewany, generał zszedł podczaszyca z Anusią i zobaczył ją, nim potrafiła umknąć.

— Patrzajcie, — rzekł w duchu — ślicznie pokutuje, szczur w serze! zazdrośnik, nigdy mi ani wspomniał o tym buziaczku, a to być musi dawna jego sekretna faworytka! jaki filut!

Z miną politowania pełną, ale dosyć kwaśną, generał przystąpił do dawnego swego pupila.

— Na Boga, co słyszać? co król mówi? — zapytał na wstępie podczaszyca.

— Król? — rzekł generał wolno — musisz już wiedzieć, że ksiądz biskup chciałby waszmości ćwiartować, gdyby mógł, i gotów dowodzić, że to gorzej niż zabójstwo, świętokradztwo tknąć księzego synowca. Chodził do króla z lamentem, król się gniewał, ale któż nie zna złotego serca? Mówił mi wieczorem wyraźnie, żebyś się skrył, a co lepiej uciekł, bo z sądami marszałkowskiem i nie żarty.

— A w mieście?

— Szczerze ci powiem, interpretacje są różne

i nieciekawe. Ten Cerulli ucieczką swoją całkiem sprawę popsuł, ludzie androny plotą.

— Domy mi pozamykali!

— Ale wiem, — spuszczać głowę, rzekł generał — to ze strachu, żebyś gdzie spotkawszy Rybińskiego, awantury nie zrobił.

— Myślisz?

— Jestem tego pewny.

— Nie byłeś u wojewodziny?

— Owszem, w rozpaczę biedaczka.

— Jaktol czego?

— A, po Rybińskim!

Podczaszyc ręce załamał.

— Po nim? jakto? skąd-że się to wzięło?

— Z waści, widzę, wielkie jeszcze niewiniątko! — śmiejąc się, odpowiedział Baucher. — Nie domyślałeś się nawet, co się pokazało, oto, że pozornie cię na sznureczku trzyma, aby tem pokryć ściślejsze stosunki z Rybińskim; od czasu, jakieś go postrzelił, zachorowała, w rozpaczę, ręce łamie, zachodzi się, płacze. Mąż nie wie o co idzie, złożyli to na spazmy, siedzi przy niej, wzdycha, a łzy mu grochem płyną, trzech doktorów nie odstępuje.

— To być nie może!

— Ale tak jest, darmoby nie wierzyć.

— A inne panie nasze?

— Teraz kto żyw za Rybińskim, bo ranny.

Podczaszyc z gniewem zaciął usta.

— Nikt nawet nie spyta o mnie?

— Jedna starościna i to pocichu — ale tej teraz nowy amant pilnuje djabelnie, a o Frascatelli wiesz przecie?

— Chora?

— Umarła dzisiaj — rzekł Baucher spokojnie — i lepiej zrobiła — dobre to było stworzenie, ale nie na swoim miejscu, jej trzeba było pójść do klasztoru, nie do teatru.

— Biedne dziecko, — odezwał się podczaszyc ze

smutnem uczuciem — zapewne lepiej, że skończyła życie, które dla niej było nieznosną męczarnią.

— A zatem, — począł gość, któremu już pilno się było wymknąć, chwytając za kapelusz — a zatem potrzeba się pożegnać, podczaszycu; siedź cicho, nigdzie się nie pokazuj, my puścimy fusa, żeś do Niemiec uciekł — potem się to utrze.

I generał nakładał co najprędzej rękawiczki, pragnąc się wyrwać, bo mu i lokal, i suche przyjęcie nie smakowały wcale.

— Nie zapominaj o mnie przed królem — odezwał się — a radź, co mam począć, jeśli Rybiński wyzdrowieje.

— Trzeba się będzie z nim strzelać.

— A gdyby znów nie wyszedł! Jak się oczyścić.

— Najgorzej się oczyszczać, — obojętnie rzekł generał — nim się on wyliże, ludzie zapomną, wrócisz, pojedziemy sobie dalej po staremu i kwita. Byle ten przeklęty sejm, który myśli z gruntu wszystko przerabiać, pokoju nam nie zamącił.

— Bądź zdrow — a na ucho dodał: — Widzę, że i tuś sobie obmyślił lekarstwo od nudów, najrzałem ładną twarzyczkę. Dobrze pomyślano; zawsze to dystrakcja.

Podczaszyc się zarumienił i prawie rozgniewał.

— To tak jak siostra moja, — zawołał porywczy — wychowane ze mną i święte dla mnie dziecię.

— Och! och! zazdrośnik, — rozśmiał się stary — zazdrosny! wstydz się, dalipan za wcześniej, jeszcze przecie niełysy — dobranoc.

I wyniósł się co prędzej, obiecując sobie, że nierychło drugi raz odwiedzi podczaszycę.

Pozostawszy sam z sobą, Ordyński zatopił się w myślach smutnych, przebiegając całe życie swoje i rozpatrując się nad tem, do czego ono go doprowadziło. Szczęściem jeszcze, choroba Rybińskiego czyniła jakąś nadzieję wyjścia z tego fałszywego położenia, jeżeliby ocalał.

Byłby tak dumał długo, gdyby nie poczuł, że ktoś,

cichaczem się wsunawszy, tuż przy nim stanął. Był to cavaliere, którego Anna przez wpół otwarte drzwi najrzawszy, krzyknęła, gdyż twarz ta przypominała jej także straszne widziadło na obrazie św. Michała.

— Kto tam jest obok? — spytał Fotofero.

— To moja przybrana siostra, współwychowanka, córka naszego sługi... Ale jakżeś to wszedł i co mi przynosisz?

— Że Rybiński żyje — źleś pan mierzył. — Ale może dobrze się stało. Kwatera kawalerska wcale porządna najęta w ustronnym kątku, wesola, czysta, wygodna, czeka na pana, co najprędzej wynosić się potrzeba.

Rzekł to tak żywo i nagle, jakby miał w tem jakiś interes, żeby podczasyc wyniósł się stąd co najrychlej — uderzyło to młodego człowieka.

— Ja nie mogę się stąd oddalić! — rzekł po rozmyśle stanowczo.

— Dlaczego?

— Nie chcę się tłumaczyć.

— Chybabyś pan chciał zerwać całkiem stosunki z przyjacielem i obrazić go śmiertelnie? — rzekł cavaliere z przekąsem.

Podczasyc spojrział nań z góry, twarz ta znowu wydała mu się straszliwie poczwarną.

— Wybacz pan, — rzekł dumnie trochę z pańskim ukłonem — ale ja woli mojej za żadną przyjaźń nie sprzedam.

— A zatem zostań pan tu, — zawołał gość — zostań, ale jeśli cię tu odkryją i złapią, ja umyвам ręce.

Ordyński zastanowił się i zadrżał — co tu było począć?

— Do jutra — rzekł.

— Jutro być może za późno.

— Kilka godzin mi daj do rozmysłu.

— Ja i za godzinę nie ręczę.

Podczasyc potarł czoło, obejrzał się, jakby rady szukał w otaczającym — gdy właśnie zapukano do bramy, chód w sieni dał się słyszeć, a nim drzwi

otworzono, cavaliere, nie pożegnawszy się nawet, wyleciał piorunem i zniknął.

Tuż prawie wszedł z jednej strony ksiądz Spirydjon, z drugiej Anna. Stare, poważne i piękne oblicze księdza dziwnie świętem i pogodnem wydało się podczaszycowi po tej poczwarze, która jakby z przestachu przed chwilą pierzchnęła.

Powitawszy po Bożemu, ksiądz wpatrzył się z litością w młodego człowieka i przywitał go powtórnie ściśnięciem ręki; podczaszyc uczuł się jakoś przejęty, upokorzony pod spojrzeniem jego, jakby stał przed najwyższym sędzią.

— Nie obawiaj się pan przybycia nieznajomego, — rzekł kapucyn — jestem stary tego domu przyjaciel, o panu wiem wszystko, a nawet tać nie będę, żem tu dla niego przybył. Cóż to za utrapienie przede mną wyleciał?

— To... dawny mój znajomy, — wyjąknął podczaszyc — Włoch pewien.

— Jakiś *diabolus incarnatus*, — rzekł staruszek — szusnął koło mnie jakby co złego... gdybym z natury nie był odważny, mógł był mi napędzić strachu.

— Darujesz mi pan, — przerwała Anna z uśmiechem, przystępując do Michała, — żem ja tu ojca Spirydjona poprosiła. Był tak łaskaw, że przybył na nasze wezwanie, choć jednej chwili nie ma wolnej. Zdawało mi się, że pobożny kapłan najpotrzebniejszym panu być może.

— Najpotrzebniejsze — odezwał się podczaszyc z trochę niepokoju — byłoby mi teraz pewne i bezpieczne schronienie; wszak mnie już i tu podobno chcą szukać, tylko co o tem odebrałem wiadomość.

Anna załamała ręce.

— A ojcze, ratuj, ratuj go, na Boga!

Kapucyn namyślił się trochę, przeszedł po izbie, wziął płaszczyk złożony u drzwi, dobył czapeczki z rekawa i rzekł.

— Bierz pan płaszcz i chodź ze mną, znajdę ci miejsce bezpieczne.

Gdy Anna z wdzięcznością całowała ręce staruszka, podczaszyc posłuszny chwycił płaszczyk i kapelusz i, prawie nie żegnając się, wyszedł z księdzem razem.

We wrotach ojciec Spirydjon zatrzymał się, szepcząc mu:

— Słuchaj pan, idź jak najdalszą drogą do furty kapucyńskiej na Miodową, tam pytaj o ojca Spirydjo-
na, w klasztorze wpana ukryję do czasu, ale wprzód
muszę na to wyjednać pozwolenie, a razem iść nie
możemy.

To mówiąc, ścisnął go za rękę i o kiju ale żwawo
posunął się, wskazując podczaszycowi drogę przeciw-
ną. Ten skoczył wbok natychmiast i w ciemności, nie
pytając dokąd i którędy idzie, zniknął z oczu.

Nie upłynęło pół godziny, gdy straż marszałkow-
ska napadła dworek Sienińskich, osaczyła go dokoła
i rozkazawszy roztworzyć bramę, co Hołodryga speł-
nił ze strachem, splondrowała od strychu do piwnic,
w najtajemniejszych nawet zakątkach. Pan Kasper,
nie zapierając się wcale, że podczaszyc u niego się
ukrywał, bardzo jakoś naturalnie zaręczał, że rano
jeszcze wyjechał, niewiadomo dokąd.

Tymczasem zbieg nasz błdził po ulicach przele-
kły i napadłszy wkońcu stojącego przy szyneczku
fiakra, kazał mu się wieźć do kapucynów. Rzucił się
w powóz zmęczony, zamyślony, zbity, oczy puszcza-
jąc na oświecone miasto, po którym przed kilku dnia-
mi latał z innymi za zabawą i uciechą, wśród które-
go teraz się jak zbieg błakał. Zajrzał w okna domów,
w których się bawiono, i zazdrościł szczęśliwym, po-
tem żółć zalała mu serce, i oczy od tego obrazu od-
wrócił. Nigdzie śladu nie znalazł żałoby po sobie. Na-
gle fiakr rozpędzony się zatrzymał, światła jakieś
i śpiewy ocuciły zdrętwiałego, spojrzał — przechodził
pogrzeb.

Długim szeregiem szli księża, zakonnicy, kilku lu-
dzi z pochodniami, a prosty wóz, okryty czarnem suk-
nem, powolnie wioził trumnę czarną, drewnianą, od-
krytą, z której tylko długi ogon sukni białej i wianek

kwiatów widać było. Podczaszyc podniósł się machinalnie na nogi, spojrzął i zobaczył białą, spokojnym snem ujętą twarz pięknej Frascatelli, która go spotkała na drodze do grobu, jakby raz jeszcze chciała pożegnać.

Na piersiach, w złożonych rączkach trzymała swój sztylecik, zakończony rękojeścią w kształcie krzyża, bo tak biedna, umierając, mieć chciała.

Od owego wieczora u księcia podskarbiego, kiedy ją poznał żywą, wesołą, szyderską, do dzisiejszego ile zmian! — pomyślał gorzko Ordyński — tak-że się kończy wszelka nadzieja, wszelka radość ziemską?

Pogrzeb był ubogi i nieludny, żadnego z jej przyjaciół za trumną, wielbicieli, mniemanych kochanków ani słyhu: dwie śpiewaczki Włoszki, służąca, kilka bab, bractwo ze świecami i kupka próżniaków. Trumna kołysała się na wozie, wstrząsana coraz nierównym brukiem, a piękna jeszcze główka Włoszki zdawała się poruszać na białej poduszce, ręce nawet, ściskające ów krzyżyk, co z nią szedł do grobu, kołysały na piersiach.

Łza zakreśliła się w oczach podczaszyca i zimny obwiał go smutek, uczuł przelotnie całą nicość ludzkiego żywota.

Jak widzenie powietrzne przeciągnął pogrzeb, zniknął, oblały go ciemności, fiaker ruszył i stanęli u klasztornej furty.

Ordyński zadzwonił, spytał o ojca Spirydjona i spotkał go już z książką w ręku, oczekującego w celi furtjana.

— Chodź pan, — rzekł mu starzec — nie wiem, czy ci tu będzie wygodnie, ale pewno bezpiecznie.

To mówiąc, powiodł go na oddalony korytarz i otworzył maleńką celę, czystą, ubogą, zakonną. Tu postawiwszy stoczek na stoliku u wąskiego łóżeczka, prosił podczaszyca siedzieć, a sam na zydelku pod ścianą się rozgościł.

Obejrzał się Ordyński; czyściej tu, bielej, weselej może było, niż u Sienińskich, ale jakoś straszno. Izdeb-

ka wydała mu się szeroką tylko trumienką. Okno za kratą, drzwi ciemne dębowe w głębokiej framudze, szafeczka w ścianie, tapczan, stolik a na nim kilka umyślnie położonych książek, zydelek, dzban z wodą, siennik wypchany słomą, a nad głową posłania wielki krucyfiks drewniany, oto co znalazł w nowem swem mieszkaniu.

— Nie oglądaj się, moje dziecko, — przerwał mu kapucyn, uśmiechając się — niema tu co widzieć, ciasno i ubogo, nagie ściany, tyle, ile potrzeba dla zakonnika; dla was pewnie to mało, ale to wam dajem, co mamy.

Podczaszyc zarumienił się, złapany tak na odgadnionej myśli, i szybko odpowiedział:

— Mnie tu aż nadto będzie dobrze, aż nadto, bylebym był bezpiecznym.

— Zdaje mi się, że za to ręczyć mogę, bo choćbyście nawet zeszli kiedy do kościoła, i tam was nikt nie pochwyci, w klasztorze niema jeszcze zwyczaju szukać i prześladować nikogo... Dawne prawo schronienia, jeśli nie jako prawo, to jako zwyczaj istnieje. Smutno wam tu być może, ale kto wie, nie zawadziłoby w samotności pomyśleć nad sobą i przyszłością.

Świeżo rozrzewniony pogrzebem, przygnębiony swoim położeniem, Ordyński odezwał się z wylaniem:

— A! ojcie, gorzkie bo myśli na pokarm przychodzą... o świecie myśleć nie warto, ludzie tęsknoty niewarci.

— Bałamuctwo, moje dziecko, — odpowiedział kapłan — świat stary zwodziciel, to prawda, ale ludzie są różni, a jakich sobie z między nich wybrałeś, taki cheś miał, jak kto sobie pościeli, tak się wyśpi.

Podczaszyc westchnął ciężko.

— Przyszło do tego, — rzekł kapucyn — żeś wpan musiał godzić na pierś brata, bliźniego, dlaczego? Dla czczej obrazy honoru! Rozlałeś krew, a! czy nie czas, żeby teraz, gdy Bóg łaską swoją uratował od zbrodni, wnijść w siebie i zwrócić się z tej drogi, która, jak widzisz, do takich dziur i trapezów prowadzi?

Podczaszyc tak już był odwykły od słów pobożnych, że ich prawie nie pojmował.

— To pewna, — rzekł — że żałuję tego, co się stało, ale cóż miałem począć?

— Pierwsza rzecz, — odparł kapucyn — to, plu-nawszy, porzucić te próżniacze życie. Albow to ja was, takich paniczów i fircyków nie napatrzył się? Co robicie? Oto od rana do wieczora bawicie się, używacie, śliczni obywatele kraju! Śliczni chrześcijanie!

— Zapewne, — rzekł skłopotany podczaszyc — nie przeczę, żeśmy może trochę winni, ale trudno czegoś i młodości nie wybaczyć!

— Wiele, wiele się wybacz, — odpowiedział Spi-rydjon — ale przecie nie wszystko. Gdy się stera, zbłoci, zgnuśnieje i zbabieje, to się jej nie wybacz, gdy szaleje, zamiast pracować, darować jej tego nie można.

Pierwszy raz, oddawna, usłyszał Ordyński tak surowe słowa, ale je poszanował, bo mu znów świętą przypomniały babkę.

— Nie chcę wmości nudzić perorą, — rzekł, wstając z ławy, weselszym tonem kapucyn — samotność i dobra książka uleczą, spodziewam się, niezadawnioną jeszcze chorobę... masz pan tu *Drogę do życia pobożnego* i *Tomasza à Kempis*... dobranoc, dobranoc. — Obejrzał się jeszcze, czy czego nie brakło gościowi, i wyszedł powolnie.

Milczenie klasztorne otoczyło przybyłego, myśli jego zburzone wiły się kłębam po głowie, rzucił się na łoże i znużony usnął.

XVIII.

Następnych dni ojciec Spirydjon w chwilach wolnych nie omieszkał odwiedzić Ordyńskiego, a każda jego rozmowa coraz głębiej sięgała w serce młodego człowieka, który w tej ciszy ciąglej myśleć musiał i myśl zwracać na siebie.

Staruszek też nie gromił go, ani przestraszał — za-

wstydział, żartował, wskazywał cele życia, łamiąc niebezpieczne zasady i przekonania, które Poinset wpoił w młodą i wrażliwą duszę. Nienatarczywy, cierpliwie i powolnie dokonywał to dzieło nawrócenia, które podjął z ufnością w Bogu, niezrażony tem wcale, że rolę znalazł chwastami zarosłą. Podczaszyc w początku słuchał go z roztargnieniem, jakby z konieczności tylko, potem uważniej nieco, ale mało korzystał jeszcze. Z nudy pochwycił książki, umyślnie mu zostawione i odrzucił je, bo ich zrozumieć nie mógł, i wrócił znowu do nich, a słowo czasem jedno ciągnęło zeń długie pasmo dziwnie pomieszanych myśli.

Zostawmy go w tem bezpiecznem ustroniu, a przejdźmy na ten świat, który opuścił. Tu zniknięcie jednego zapaśnika ani się postrzec dawało, szął szedł bez niego swoją starą drogą, a ludzie i o podczaszycu, i o Rybińskim, który leżał, walcząc ze śmiercią jeszcze, zupełnie zapomnieli.

Starościc Rybiński codzień jednak miał się lepiej.

Z początku cała Warszawa brała udział w jego cierpieniu, a pani wojewodzina aż się była rozchorowała, posyłano, dowiadywano się, lecz po upływie jakiegoś czasu poczęło to ustawać, a piękna Karolina, widząc, że się nierychło doczeka jego powrotu do zdrowia, wybrała mu zastępcę, choć jeszcze po nim czasem wzdychała wieczorami. W parę tygodni doktorowie zaręczali już za życie, ale podczaszycowi pokazywać się jeszcze nie było można, boby zawsze za zadane rany i napad z bronią w rękę przed marszałkowskim sądem odpowiadać musiał.

Tymczasem po zniknięciu Ordyńskiego dom jego, konie, sprzęty przez wierzycieli przyaresztowane zostały, rozciągniono nawet sekwestra na majątki, a po obliczeniu strat, które w ciągu pobytu w Warszawie poniósł, okazało się, że połowę większą majątności sprzedaćby potrzeba, ażeby długi uspokoić. Reszta majątności znacznie też zahartowana była przez podcześnie do Włoch jadącą, tak że w najszcześniejszych okolicznościach Głusza mu i coś jeszcze przy niej po-

zostać mogło. Nie było też komu chodzić około interesów, a że wierzyciele i zastawnicy ostro się pilnowali, wszystko przez nich zostało pozajmowane w administrację.

Stan majątku był niemal zrozpaczony, a podczaszy-na, której o tem doniesiono, odpisała do Labe Poinso, że bardzo ubolewa nad położeniem syna, ale go poratować nie jest w stanie i do kraju wrócić nie myśli, radząc, by spieniężywszy w Polsce resztki, jakie ocalić potrafi, do niej do Florencji się przeniósł.

Podczaszyc, odebrawszy ten list, przeczytał go i obojętnie odłożył na stronę. Nie ciągnęły go wcale Włochy — cóżby tam robił ubogi? Tu jeszcze miał nadzieję dźwignięcia się, tam żadnych. Może też uczucie jakie, wzrosłe w samotności, przywiązywało go do kraju, choć się przed sobą do niego nie przyznawał.

Anna zjawiała się niekiedy w kościele, do którego umyślnie często teraz modlić się przychodziła, a i on mszy słuchiwał w łoży od niejakiego czasu. Młoda miłość ku niej obudzała się coraz żywiej, pierścionek nawet z piersi poszedł na palec, bo się go już teraz nie wstydził.

Sam sobie dziwił się, jakim szczęściem samo widzenie jej napawało go zdaleka, jak go wzruszał jeden rzut oka, który ku niemu posłała, dziwił się, że więcej nie pragnął, że z tęsknem i spokojnem przywiązaniem miło mu było dumać o niej dnie całe.

Od owej nocy, w której się przeniósł z dworku Sieńskich do klasztoru, cavaliere już mu się nie ukazał więcej, miał jednak jego wizerunek przed sobą, bo mu Anusia, odzyskawszy z domu, obraz św. Michała przysłała. Ale szatana zakrył, by go nie widzieć.

Rozwagał teraz, jak dziwnie ta postać wplątała się w jego życie i jaki, na nie wpływ wywarła. Znajdował ją na każdym kroku, wszędzie z pomocą pozorną, a zawsze wiodącą do zguby... dziwaczne myśli wiły mu się po głowie.

Raz tedy, gdy ks. Spirydjon przyszedł do niego rankiem po mszy, podczaszyc, niby żartem, począł coś

o szatanie; zakrycie jego twarzy na obrazie, o które się kapucyn zapytał, było powodem rozmowy.

— Ojcie, — rzekł mu, spoufalcony już z nim trochę — jużciż szatan jest prostym wymysłem?

— Jakto? moje dziecię — spytał ks. Spirydjon. — Naco ci to pytanie? Mów mi otwarcie, bo zdaje się, że krętą ścieżką dokąds dążysz.

— No, to powiem wszystko otwarcie, ale się ze mnie nie śmiej, mój ojcie, — odparł podczaszyc, zawstydzony prawie, odkrywając postać szatana na obrazie — widzicie tego anioła ciemności, tę poczwarną, straszną, dumną i wykrzywioną śmiechem przekleństwa głowę?

— Widzę i zdumiewam się malarzowi, co ją tak pomyślał i wyraził!

— Ten obraz należał niegdyś do babki mojej, świątobliwej niewiasty, modliłem się nieraz przed nim w dzieciństwie do mego patrona, a na dziecku jeszcze tak wielkie robił wrażenie, że mi się we snach roiała ta potwora. Później strach przeszedł, ale wstręt pozostał.

— No i cóż dalej? Dziwną mi historję prawisz — rzekł ks. Spirydjon.

— Najdziwniejsza dopiero się rozpocznie, — cichszym głosem począł podczaszyc — oto tu w Warszawie, wkrótce po mojem przybyciu, wciągnięto mnie na wieczrę hulacką do księcia podskarbiego.

— Niema co mówić, dobre miejsce dla skończenia edukacji — szepnął kapucyn.

— Tam poczęto ze mnie sobie szydzić młodzika i ktoś mi podrzucił pytanie, że pewnie choć w djabła wierzyć muszę. Ja w śmiech, ale oglądam się, a tuż w zwierciadle kubek w kubek mój djabeł z obrazu mi się kłania.

— No! no! — zawołał ks. Spirydjon — to coś bardzo zawilego, czy ci się tylko nie przywidziało?

Podczaszyc jak najdokładniej opowiedział staruszkowi swoją znajomość z cavaliere Fotofero, jego usługi, rolę, jaką w krótkiem życiu odegrał i każdy

krok tego dziwnego przyjaciela aż do ostatnich odwiedzin.

Kapucyn dobrze mu patrzył w oczy, jakby go trochę o sen na jawie lub bzika posądzał, a naostatek dodał:

— Są rzeczy niepojęte, moje dziecko, ale gdy człowieka opanuje niemoc, a wie na nią lekarstwo, jakby go nazwano, gdyby użyć nie chciał?

Podczaszyc zmilczał.

— A na diabła, — dołożył ksiądz — czy on *incarnatus* czy *invisibilis*, jeden mamy pewny środek od lat tysiąca siedmuset kilkudziesięciu: krzyż święty i modlitwę, czyżes ich waćpan użył kiedy?

Podczaszyc rozśmiał się, bo dotąd, niestety, modlić się wstydził, a rady babki nie umiał posłuchać. Kapucyn spojrział na niego i tabaki zażył.

— Tacy to z was teraz ludzie, — rzekł — wierzyć we wszystko krom w Pana Boga, w oszustów iluminatów, w Mesmerów, Cagliostroów, w Swedenborgów, w ducha Gablidona, w Massonów i całą klikę ich, we wróżby, czary i widzenia, a gdzie istotnie wierzyć potrzeba, to wstyd!! Oj, ciężko nas Bóg z tego kurować będzie musiał, mości panie, zapiszczym, zaskwirczym... Ale nie dowołamy się litości, póki...

Starzec zamyślony zamilkł.

— Ale cóż, ojcze, sądzisz o tem? — spytał podczaszyc — to dla mnie coś niepojętego.

— A dla mnie jasno, jak na dłoni, że gdybyś się modlił, toby cię ta słota opuściła. Reszty ja nie tłumaczę, bo nie wszystko się tłumaczy.

Ordyński siadł zadumany.

— Waść się diabła zaparłeś, że w niego nie wierzysz, — śmiejąc się, dodał kapucyn — co za dziw, że dumna sztuka chce się zemścić, to tak, jakbyś się wazzeć nie uklonił wielkiemu panu i tyłem się do niego obrócił. Pan Bóg, choć go się codzień słowy i czynem zapieramy, *patiens quia aeternus*, a temu graczowi niedaleka może meta, musi się o swój honor upomnieć!

— Ojcze, żartujesz sobie ze mnie?

— Śmieję się, prawda, ale kto wie, czy żartuję. Jakże tu z wami o tem i mówić, kochanku? Od czego zacząć ludziom starej wiary, co wiele rzeczy i nie pojmujemy i rozbierać nie śmiemy; gdy wy macerujecie każdą rzecz, nie patrząc, czy narzędzie, którem robicie swoje analizy, bierze materjał, czy nie! Słowem, heblujecie wodę i świdrujecie powietrze!

A widząc chmurną twarz gościa swego, zakończył:

— Zrób to waćpan dla mnie, a pomódl się też kiedy, popróbuj! Świętą miałaś babkę, co cię wychowała, na łożu śmierci wołała do ciebie zdaleka, prosząc, byś nie zapominał o Bogu; czemuż i dla niej uczynić nie chcesz, co ci przecież zaszkodzić nie może?

Nic nie odpowiedział Ordyński przez fałszywy wstyd jakiś, w którym go zakamieniły sarkazmy Labé Poinsoł i pojęcia, na których podrastał przy matce. Stary kapucyn westchnął boleśnie, zamilkł i po cichu odchodząc, zostawił go samemu sobie.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LXXVII

J. I. KRASZEWSKI

DJABEL

CZASY STANISŁAWA AUGUSTA

CZEŚĆ III



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

ODBITO NA PAPIERZE KRAJOWYM Z FABRYKI PAPIERUI TEKSTUR „PILICA”

I.

W ozdobnych pokojach od czoła jednego z pałaców ulicy Senatorskiej przechadzało się dwóch ludzi o szarej wieczornej godzinie. Służący zapalali świece w żyrandolach i przygotowywali się do przyjęcia wiadać spodziewanych gości. Apartament, w którym się to działo, świeżo był obity, przystrojony, i świecił przepychem, pragnącym więcej popisać się z bogactwem, niż smakiem.

Znać w nim było człowieka, co myślał, jakby z ust wywołać wykrzykniki: musi być panem.

Wielka sala cała wybita była adamaszkiem zielonym w kwiaty, w złożone oprawnym ramy, firanki podobne z frendzlą złocistą osłaniały okna, żyrandole świeciły od szkieł i bronzów, liberja strojna w pończochach i trzewikach zwijała się w wielkiej liczbie.

Gospodarzem w tym wspnianym domu był Włoch, ów Cerulli, któregośmy już widzieli u podskarbiego i podczaszyca, co tak nagle znikł z Warszawy, a teraz bezpiecznie powrócił i znów dom otwierał na większą jeszcze, niż pierwiej, stopę.

Towarzyszem z nim rozmawiającym był cavaliere Fotofero, czarno strojny, wyelegantowany, z dość zafrasowaną minką. Oba, ująwszy się pod ręce, chodzili po sali wielkimi krokami, wiodąc z sobą żywą rozmowę.

— Nieinaczej, — rzekł Fotofero — potrzeba podczaszyca ratować, bo gdzieś ze strachu zaszył się w kącie, a tam go pewnie zaskoczą ludzie, co nawracać

lubią i zbałamucą głowę młodemu chłopcu. Zajmuje on mnie wielce, nieradbym, żeby marnie zginął, potrzeba go uwolnić z tej kozy i na świat wyciągnąć.

— Stracił, słyszę, majątek?

— Być może, i nie byłoby to dziwnem, ale czyż jeden żyje i hula, nic nie mając? Od czegoż kredyt, przyjaciele, kobiety i karty?

— Zapewne, ale do dawnego trybu życia, nie wiem, czy powróci.

— Mylisz się, byleby się ukazał, łatwowierni, których pełen świat, kredyt mu powrócą, ciekawi będą się cisnąć do niego; trochę śmiałości a potrzyma się jeszcze na nogach. Potrzeba tylko naprzód, żebyś ty go rehabilitował w opinii. Już się okazuje z samego przyjęcia tutaj, że nowym charakterem odziany, nie jesteś, nie możesz być w podejrzeniu o szulerkę, za co właśnie z Rybińskim była robota; znajdziesz łatwo, przegrawszy im trochę, dwóch, trzech ludzi, co pójdą z tobą upominać się o twoją krzywdę u postrzelonego starościca, dasz sobie aplomb i zbawisz Ordyńskiego.

— A, ba! generał i szambelan-by poszli!

— Dosyć ich będzie, obu dzisiaj mieć będziesz, poproś ich o to. Jak skoro skończysz z Rybińskim, a podczaszyc się uniewinni, nic mu nie będzie przeszkadzać do pokazania się na świecie, awanturę zatrzeć łatwo i skargi eliminować. Zresztą, jeżeliby się wahał wyjść ze swojej dziury mój protegowany, o co mi wielce chodzi, znajdę na niego sposób...

— Obfity jesteś w sposoby; jaki?

— Najlepszy! Najrzałem w dworku, do którego się był schronił, prześliczne dziewczę, widocznie jakąś jego sekretną dawną a ulubioną kochankę. Ludzkie oko dotąd jej nie zna w Warszawie, a to kąsek smaczny. Byle o niej rzucić słówko tym pocziwcom, którym nic nad nowość nie smakuje, posuną się do niej, zaczną się kręcić, ścigać, a jego zaraz zazdrość wypchnie z kąta na obronę faworytki. Wyciągnę go jak na wędkę, bo mi naprawdę żal, zmarnieje to...

— Widzę, że ci o to bardzo chodzi, żeby podcza-

szyca świat odzyskał! — rzekł z uśmiechem szyderskim Cerulli.

— Bo mi go żal, bo szczerze żal, z praktycznego filozofa, jakim już być poczynął, łatwo go tam przeobrazić na pospólitego bigota.

— Czy należał do Wschodu? — spytał Cerulli.

— Dotąd nie, — odpowiedział cavaliere — ale la-da dzień bylibyśmy go wciągnęli, gdzie chcieli, bo mu się głowa paliła, bardzoby się przydał na prowincję.

— Cóż, kiedy tak słabego charakteru?

— Ale jest uczucie honoru! Słaby człowiek zresztą w ręku mocnego człowieka to jedno z najlepszych narzędzi do działania, bodaj to z nimi tylko mieć do czynienia!

I rozśmiał się głośno, a wtem rozmowa przerwana została wnijsiem kilku osób znajomych nam już z tej powieści, które się spotykały prawie wszędzie, gdzie się wesoło bawiono. Szukali naówczas i najumiarkowańsi, gdzieby trochę poszaleć i odurzyć się mogli, tak ciężkie brzemie frasunku wkładała na ich ramiona owa epoka walki.

Szambelan Turski, sławny swoją mową w procesie Ponińskiego, jeden z naczelników masonerii warszawskiej, Trembecki, Łojko, Kicki, Węgierski, Komarzewski, Suchodolski i kasztelan orator nadeszli jedni z pierwszych, za nimi poczęli się ściągać i mniej znajomi goście, wśród których ukazali się Zabiello, Bielawski, Witten, Weyssenhoff, Zajączek i poseł inflancki, sławny już naówczas autor śpiewów kilku, dum, bajek i komedji w rękopiśmie przygotowanej, która czytana naprzód u Mostowskich, potem na innych wieczorach, wielki rozgłos i wielkie zjednała mu oklaski. Mnóstwo przytem posłów i różnego stanu ludzi naciśnęło się na ten wieczór do Cerullego, który świetnie się zapowiadał.

Wśród zabawy, przy której w początku i mowy o kartach nie było, Włoch ciągle się uskarżał na Rybińskiego, ubolewając, że skład okoliczności, gwałtowna potrzeba, która go nagle do Wiednia powołała, nie

dozwoliły na gorącym razie o krzywdę się swoją upomnieć. Wszyscy słuchali go w milczeniu, i powoli przekonać potrafił, że czuł silnie wyrządzoną sobie obelgę.

Przed wieczerzą zmuszono szambelana Węgierskiego, że przeczytał wiersz swój do Zamojskiego, jedyny pochwalny, jaki w życiu napisał, i okryto go oklaskami; potem poproszono posła inflanckiego o wyjątek z „Powrotu posła“, a że i Bogusławski się znalazł pod ręką, powierzono mu odczytanie scen kilku, przyjętych z wielkim zapalem. Rozmowa potem, ożywiając się coraz, dotknęła polityki, społeczeństwa, a w ostatku przeszła w plotki o kobietach, finał nieuchronny każdej polskiej gawędki. Wspomniał ktoś wojewodzinę, stąd Rybińskiego i podczaszyca.

— Żal mi tego chłopca, — rzekł generał, liczący się dla formy zawsze do przyjaciół jego, w nadziei, że może jeszcze nawierzch wypłynąć — żal mi go, bo, jak się okazuje, skrzywdzony był i za żywość tylko pokutuje.

— Zdaje się, — dodał ktoś — że, gdy Rybiński wyzdrowieje, nic mu nie będzie na zawadzie do pokazania się znów na świecie.

— Ale, słyszę, — szepnął generał — strasznie wiele przez ten roczek przeświatał.

— A, co tam! — zakrzyczano — jeszcze bogaty, matka jego żyje po książęcemu we Florencji, dobra ma ogromne, choć zahartowane, ożeni się i interesa podkuruje.

— Cha! cha! — wmieszał się ze swym śmieszkim suchym Cerulli — podczaszyc, jak się widzi, serce miał szerokie, wszak ci to, panowie uwierzycie, przy tyłu amorach, na któreśmy patrzyli, jeszcze jedną jakąś chował potajemną faworytkę, słyszę, cudo piękności, utrzymywał ją gdzieś we dworku na Bednarskiej ulicy.

— Ja ją nawet najrzałem, — przerwał generał — śliczna dziewczyna, niema co mówić.

Wszyscy uszu nadstawili, bo nowa, nieznana i za-

lotna, jak sądzono, piękność była dla nich niespodziewaną i miłą gratką.

— Cóż się z nią stało? gdzie ona? — pytano ze wsząd.

— Zdaje mi się, że pozostała w dworku na Bednarskiej ulicy, ma to być wiejski kwiatek, — dodał Cerulli z włoskim akcentem szarlatana, zachwalającego cudowny olejek, leczący rany, zasiewający włosy i wywabiający plamy — ma to być wiejski kwiatek prześliczny, coś niewinnie pięknego...

Młodszy panowie spojrzeli po sobie.

— A gdzieżby to ją zobaczyć można? — spytał kasztelan orator.

— W łazienkach nie bywa, — szepnął ktoś zcicha poza nim — to pewna.

— Chyba w oknie dworku, bo nigdzie nie pokazuje się i nie wychodzi... Dziecię to jeszcze, ledwie może szesnastoletnie.

— Ba! w to graj! — cmoknął kasztelan, ręce zatarłszy — a do tego nie warszawianka. Jakże się to dzieje, że jej dotąd nie wyszpiegowano i nie zbałamucono.

— Ale bo to ma być na serjo kochanka podczasyca i dziewczyna pocziwa!

— Cha! cha! — zaśmiał się stary fundator kąpieli, ruszając ramionami i udając, że na dłoni liczy pieniądze, — a to od czego?

Podkomorzy brański, który oddawna ziewał, pociągnął za rękaw gospodarza.

— A co, grać nie będziemy? — spytał.

— Nie chciałbym — rzekł Cerulli, wymawiając się.

— No! no! nabok niepotrzebna skromność! Każ podać kart i kości, niech poeci i literaci pod nos sobie kadzą, my czasu nie traćmy! Niech sobie pan Bielawski z Węgierskim jedzą się, kiedy chcą, od nóg czy głowy poczynając, Ursino niech bajki prawi, a inni choćby i prawdy mówili, nic nam to do gry przeszkadzać nie może.

Prosimy o karty, *unanimiter* prosimy o karty —
podał generał i inni za nim.

Gospodarz wahał się jeszcze nieco, ale wreszcie ulec musiał słodkiej przemocy, i kupka złota błysnęła na zielonem suknie. Ci, co grać nie mieli ochoty, pili, rozmawiali, porozchodzili się, a że salon taki wygodnem był miejscem do schadzki i rozmowy, korzystając z zajęcia karciarzy, sformowały się kupki politycznych rozprawiaczy i posłów o przyszłej naradzających się sesji.

Rozmowa o różnych sprawach potocznych sejmku trwała godzin kilka pocichu między zgromadzonymi, gdy zgrany trochę gospodarz bank zamknął i drzwi otwarto do sali jadalnej rześisto oświeconej, w której stół w tajemniczy ustawiony był trianguł.

Jenerał Baucher, dawno oczekujący tej chwili uroczystej, pierwszy, rzuciwszy karty, wotować począł, aby praw żołądka nie zapomniano, a potrawom nie dać stygnąć, i wszyscy, affirmative głosując, hurmem się sypnęli w drzwi otwarte.

Łakotnisie rzucili się zaraz na ogromne stosy olbrzymich raków, które jak koralowe piramidy z trzech rogów stołu się wznosiły na wielkich srebrnych blatach. Baucher założył serwetę pod brodę i już, obcy rozmowie wszelkiej, oddał się cały przekonywaniu, dowodząc, że dwom panom naraz służyć nie można.

Raki, ostrygi, ryby, mięsiwa, pasztety oblano przedziwnem winem, którego był dostatek, a goście w uniesieniu admiracji dla gospodarza przy końcu wieczerzy gotowi go byli żywcem kanonizować. Korzystając z tego szczęśliwego usposobienia i coraz żywiej objawiających się czułości, Cerulli stanął nagle z kielichem w ręku i prosił o głos — stało się milczenie wielkie.

— Panowie! — rzekł Włoch — pozwólcie, bym przy tej zręczności wziął za słowo miłe oświadczenia, które odbieram — ratujmy człowieka i droższy nad wszystko honor niewinnego. Honor nad wszystkol nieprawdaż? Wzywam tu przytomnych jenerała i pa-

na szambelana P..., aby mi byli łaskawi jutro towarzyszyć do Rybińskiego! Mogę liczyć na łaskawą pomoc?

Jenerał, który poczynął trawić, a odbywając tę funkcję, sprzeczać się nie lubił, kiwnął tylko głową, dając znak zezwolenia i gotowości. Szambelan, którego wino czyniło czułym, poszedł aż ścisnąć Cerullego, którego wycalaował przy tej zręczności na wszystkie strony, przyrzekając *unguibus et rostro* bronić go (póki będzie dawał podobne wieczory).

— Czekam tedy kochanych panów jutro o jedenastej ze śniadaniem; — rzekł, kłaniając się, Cerulli — posileni ostrygami, które pocztą sprowadzić kazałem, ruszymy rozmówić się z panem starościcem. Niech mi powróci, co wydarł — imię zacne de Cerullich hrabiów państwa rzymskiego nie pozwala mi i chwili ścierpieć tej plamy! — rzekł, a szumny toast wzniósł się na cześć amfitrjona.

Jenerał jednak pozostał zamyślony, raz, że w rakach przebrał trochę miarę, powtóre, że niekoniecznie był rad zadrasnąć Rybińskich i kłaść palce między drzwi; myślał, jakby się wykręcić, — ale, niestety, nie było sposobu!

Wieczór skończył się prawdziwą orgją pijacką, w której uczestniczyła znaczna część tych, co jutro zasiadać mieli na prawodawczych ławach. Ranek powitał niedobitki, śpiewające pieśń Hiramową, i przy pienu o wschodzie istotny wschód słońca zajaśniał w oknach sali. Drzemiących śpiewaków karety porozwoziły po domach.

II.

Rybiński przechadzał się już po pokoju i przyjmował przyjaciół, którzy odwiedzać chcieli; miał się znacznie lepiej, blady był tylko i upływem krwi i dietą osłabiony, ale mu za parę miesięcy zupełnie zdrowie i powrót dawnych sił prorokowano. Znudzo-

ny zamknięciem, nie lubiąc książek, bo wcale nie rachował na rozum i literaturę, bawił się sobie wystrzyganiem sylwetek, które robił bardzo zręcznie, i grą w szachy ze starym panem Mieleckim, szlachcicem kujawskim, który przybył jako stary przyjaciel domu pielegnować go w chorobie i żyjąc na koszcie księdza biskupa, bardzo był rad gratce, która mu się upiekleła *insperate*.

Resztę czasu spędzał pan Rybiński w oknie na miłym przypatrywaniu się ulicy, lub gawędzie z Maćkiem, dawniej pajukiem, dziś pierwszym swym sługą. Taki był stan i zajęcie konwalescenta, a właśnie gapił się przez szyby, nie mając co robić następnego ranka, gdy ujrzał trzy karety, zatrzymujące się w bramie; a że go wielu odwiedzali i gościom był rad, a Kujawiaka nie mając pod ręką, nudził się — nie pytając kogo Bóg dał, Maćkowi puścić kazał. Zdziwił się niepomału, postrzegłszy po osobach, gdy weszli, że to się włókł jeszcze ogon sprawy z podczaszycem.

Jenerał, szambelan i de Cerulli, uzbrojony we wszystkie swe orderzy, weszli bardzo poważnie, jak przystało na ludzi, mających sprawę honorową na karku — skłonili się zdaleka, a szambelan P..., jako najwymowniejszy, z gracją i polityką dworską rzecz rozpoczął:

— Starościcu dobrodzieju, — rzekł ówczesnym stylem wieku, co wymowę często w plątaniu miejsc — cieszy to nas niepomału, że mamy szczęście oglądać go w zdrowiu pomyślnem i powtórny raz w progach życia, jakby na nowo na świat narodzonego — pora to, zdaje się, rozpoczynając *cursum vitae renovatum ab alto* — naprawić lekkie może, ale pewnie bolesne uchybienia, jakie z prędkości, żalu, lub serdecznej jakiejś afekcji popełnić się mogło.

Starościc znużony, zmieszany, nic jeszcze nie zebrał się odpowiedzieć, szambelan zrobił przestanek, zażył tabaki i własną elokwencją uradowany tak dalej rzecz swoją ciągnął:

— Tak jest, przybyliśmy tu jako pośrednicy i posłannicy zgody z gałęzią oliwną.

Racz nam pan ucha łaskawego nie poskąpić; przystępuję do krótkiego eksponowania interesu!...

— Ale ja żadnego interesu nie widzę i do żadnej się winy nie poczuwam — odburknął starościc, któremu powoli impet zwyczajny powracał.

— Za pozwoleniem, to się zaraz wyjaśni — o ucho łaskawe proszę. Przytomny tu hrabia de Cerulli, Neapolitańczyk, krzyża złotej ostrogi, św. Huberta i duńskiego słonia kawaler, naczelnik Melchizedechowych łóż na Wschodzie naszym — czuje urazę do pana starościca o lekkie słowo w żalu rzucone, gdyś się go zdał pomawiać o grę nieuczciwą. To dało powód do nieszczęsnej zemsty objętego wyrzutem podca-szyca Ordyńskiego. Tak lekko ludzi szacować nie godzi się, i to właśnie do poprawienia zostaje.

— Tak, należy do poprawienia, — dodał jenerał, który się już nudzić poczynął — kochany starościcu, zapomnij niesłusznego żalu i wróć honor, komu go ująłeś nierozważnie.

— Jakże ja to odwołać mogę, com powiedział? — zapytał Rybiński, zaczynając się mieszać trochę.

— Całe miasto i najlepsze towarzystwa, najdosłojniejsze damy znają hrabiego de Cerulli, jako najzacniejszego, najszlachetniejszego człowieka. Pozycja jego w naszym Wschodzie i wysokie posłannictwo, które piastuje, udowadnia charakter jego.

W tej chwili Rybiński, należący do łoży, spojrzał na Włocha, a ten dał mu znak, po którym starszego poznał posła, skłonił głowę w pokorze i rękę podał na znak zgody.

— Skoro tak jest, winieniem zapewne, — rzekł ciszey — ale proszę przyznać, żem drogo opłacił przedkość, bo z drugiego świata powracam, nie wymagajcież ode mnie jakiego upokorzenia.

— Uchowaj Boże, — krzyknął szambelan, rad, że się kleiło jakoś — o to tylko chodzi, abyś pan hrabiemu de Cerulli wrócił *activitatem*, a tamtego o strzał

nie prosekwował, boś go sobie sam naprowadził krwią gorącą.

— Podczaszycowi wybaczam, sambym może był nielepszy, dzięki Bogu żyję, winę uznaję, kiedy o to chodzi i rzecz skończona, ale wątpię, by stryj mój równie powolny był do zgody.

— To rzecz nasza, — przerwał generał — król jęgomość przyrzekł w tym względzie przeważną instancję swoją i on to na ks. kujawskim wymoże.

Starościc skłonił się grzecznie i zamilkł. Rzeczy jakoś nadspodziewanie gładko się ukartowały, a braterstwo w loży niezaprzeczenie największą ku temu było pomocą. De Cerulli zbliżył się do starościca.

— Muszę też panu — rzekł — jaśniej wytłumaczyć się, dlaczegom naówczas znikł i zaraz się nie starał o wyklarowanie tego nieszczęśliwego nieporozumienia. Wiesz pan, że rozkazy starszych nie cierpią zwłoki, a z nieposłuszeństwem wytłumaczyć się niczem nie można — odebrałem był właśnie rozkaz odbycia poselstwa śpiesznego do Wiednia dla narady... Musiałem dniem i nocą lecieć... Nie było sposobu.

Rybiński milczeniem przyjął wymówkę, a widać już było ze wszystkiego, że dlań obojętną była reszta sprawy, gdyż główne punkty załatwione zostały.

Generał, odzyskawszy swój dobry humor, gdy wszystko lekko tak i dobrze poszło, wstał, poczynając sypać jak z rękawa miejskie plotki.

— No, starościcu, — dodał — czas ci już wyjść na świat; będziesz blady, interesujący, sam czas starać się o pannę, bo do mężatek ci nie życzę, tam bladeść źle rekomenduje.

A teraz, gdy już mamy słowo szlacheckie i rzecz skończona, dowidzenia, starościcu — dokończył generał, podając rękę. — Oznajmimy biednemu podczaszycowi, że się na świat po swoich rekolekcjach wychylić może!

Starościc odpowiedział znowu milczącym ukłonem i słowy:

— Byleby ks. biskup na to się zgodził, jam gotów

rękę podać, ale deprekacji żadnej publicznie czynić nie będę.

— To się rozumie! — zawołał szambelan — czyn starczy za słowo.

To mówiąc, pożegnali się i odjechali posłowie, a de Cerulli triumfujący, powracając z nimi, zawiózł ich jeszcze do winiarni, którą generał wskazał, dla zalaania zgody kilku butelkami starego węgryzyna.

Rozstali się pijani i w najlepszej w świecie przyjaźni.

Gdy się to dzieje, wczorajsi wieczorni goście Cerullego wzięli bardzo do serca i na język wieść o tajemnej kochance podczaszyca i ponieśli ją po mieście.

Z rana już król jegomość od starosty piaseczyńskiego, od Russa i od Brunet'a z kolei o tej Anusi się dowiedział, bo głód był jakoś na tego rodzaju nowinki, i każdy myślał, że królowi nowalję przyniesie. Stanisław August aż się o Anusię Bauchera spytał, bo był ciekawy świeżych twarzyczek i myślano już jakby mu ją gdzie pokazać. Tymczasem szpiegi pani... pobiegli do niej zaraz z doniesieniem o przygotowywającej się jakiejś niewierności królewskiej, a n. pan, najniewinniej odpokutowawszy za prostą ciekawość, nie śmiał więcej spytać o dziewczynę. Swobodniejsza młodzież tego dnia poszła na zwiady, i kilku się założyło, że nie tylko ją zobaczą, ale z nią mówić będą. Wszyscy, cisnąc się do nieznanjomej, pewni byli, że to jedna z tych piękności, w jakie od Sasów obfitowała Warszawa, z tych pięknych dziewcząt, znanych tylko z imienia i wdzięków, o które bywały pojedynki i zwady gorszące, bo za ich wozem szły całe pułki starych i młodych wielbicieli.

Rój kawalerów rzucił się na ulicę Bednarską, szukając dworku, pytając o sławną Anusię. Ona tam, płacząc, siedziała nad starą księgą, dumiała o dziwnym losie, który ją związał z człowiekiem, co nigdy stałszym węzłem nie mógł się z nią połączyć — a dookoła ciekawi i natrętni wszelkiemi sposobami dobijali

się jej okien i bramy. Śmielszy pan Węgierski, który ładne twarzyczki lubił, a konceptu mu nigdy i śmiałości nie brakło, wprost sobie do wrót zapukał.

Że naówczas ani pana Jana, ani Kaspra nawet w domu nie było, Hołodryga niecierpliwy sam wrót pilnował, czekając rychło go powrotem swym uwolnią pod kościół.

On więc otworzył szambelanowi, który, obejrzawszy tę postać ciekawą i heroicznie ją brzydką znajdując, z admiracją teratologa wyegzaminowawszy od stóp do głowy, zdjął kapelusz i grzecznie powitał żebraka.

Hołodryga wziął to za żart, począł się już krztusić z gniewu, a że w złości gorzej jeszcze mówił, niż zwykle, wydał tylko jakiś krzyk dziki.

— Doskonale! Jakie pierze, taki śpiew! — rzekł Węgierski — zacny stróżu tych pól, a bardziej tych murów, racz mnie posłuchać, słowo tylko.

To mówiąc, dla lepszego wyjaśnienia podał Hołodrydze talara, a na widok jego żebrak otworzył usta i zamilkł, pieniądz go skonwinkował.

— Czego chcecie? — wyjąknęła poczwara.

— Przysłał mnie tu pan Sieniński, gospodarz, wszakże go niema? do panienki...

— Niema go! do panienki! a dobrze!

Obracając wciąż na dłoni talara, żebrak puścił szambelana bez dalszego sporu do środka, a Węgierski, dawszy susa, wprost do dworku skoczył. Chodziło mu o to tylko, by zbliższy zobaczyć Anusię, otworzył drzwi i znalazł się naprzeciw niej oko w oko, ale zdziwił trochę, widząc, zamiast zalotnego, strojnego dziewczęcia, piękną, skromną, ale smutną, modlącą się panienkę, której wzrok, dumy i powagi dziewczęcej pelen, odrazu go zmieszał. Anusia, sądząc, że chodzi o podcaszyca, że to jakiś poseł od niego, przybliżyła się do dworaka.

Ten właśnie szukał naprędce pretekstu do wytłumaczenia się z przybycia, gdy Anna sama mu podała środek wywikłania, uprzedzając pytaniem.

— Pan przychodzisz od podczaszycy?

— Zgadłaś pani, w istocie od podczaszycy.

— A cóż mi pan przynosisz? może pan czego żąda? potrzeba mu czego? grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Kazał pani powiedzieć, kazał powiedzieć — jąkał się Węgierski. — Co, u diabła, mógł mi kazać powiedzieć? — rzekł w duchu.

— Nowe niebezpieczeństwo pewnie! — łamiąc ręce, zawołała Anna.

— Nie! nie, uchowaj Boże, owszem... jednakże widzi pani... głównie... kazał mi się dowiedzieć o jej zdrowie.

— O zdrowie moje? — rumieniając się z niejakim niedowierzaniem, spytała Anusia — o mnie?

— Tak jest, dlaczegoż to ją zadziwia?

— Bo niepodobna, by teraz myślał o kimś obojętnym, gdy tyle ma o sobie do myślenia... cierpiąc i dręcząc się swoim losem. Powiedz mu pan, żem zdrowa, że się modłę za niego, że Boga proszę gorąco, aby go oswobodził...

I łza pociekła z pięknego czarnego jej oka.

Szambelan był drwiarz wielki, niewiara, sceptyk, ale człek gorącego serca — dotknęło go prawdziwe uczucie, na którem omylić się nie mógł, znając serce ludzkie — pożałował swej igraszki nawet i zły na siebie wyszedł z tego domu.

— Głupie jeneralisko! — zawołał za bramą — mylił się grubo, wziął jakąś cnotliwą pupilę, piękną, ale chudą i czarniawą, za amantkę! wierz-że tym starym wygom, którzy wszędzie widzą kochanki, gdy ich już sami mieć nie mogą!

Ledwie ustąpił Węgierski, już do wrót cisnął się Zabiello, ale ten nie użył przekonywającego talara i Hołodryga omal go kijem nie przepędził; nielepiej powiodło się kilku innym. Mniej śmiali uwijali się przed oknami, a że przez kraty niesposób było nic dojrzeć, klęli starą budowę.

Najprzebieglejszy i najzapaleńszy do tego rodzaju

sztuczek pan podkomorzy brański zrobił zapomocą Orlandiniego na przesmyku uroczystą znajomość z panem Kasprem i z nim razem ruszył do jego dworku pod pozorem, że jest budowniczym, że bardzo możny sąsiad chce kupić domostwo i obejrzenie mu polecił. Dowiedziawszy się zaś o słabostce starego do grosza, począł go tentować wielką sumą, którąby mu za dworek, bardzo do rozpoczęcia jakiejś kamienicy potrzebny, zapłacić mogli.

Kasper, nic nie podejrzewając, wiódł starostę wprost do siebie, z ukłonami bez końca, a ten mu duby smalone prawił o wartości jego dworku. Weszli nareszcie, i trzeba widzieć było, jak doskonale grał rolę architekta, jak po wszystkich kątach zaglądał, laską ściany wymierzał, mury sądował i rozważał sklepień strukturę.

Sieniński dał się zwieść najzupełniej, zachwalając tylko rudery swoje.

— Dworek niepozorny, — mówił żywo — ale niech pan zważy, w jakim położeniu! Przychód mi daje ogromny, procent, jakiego w innych ulicach właściciele piętrowych kamienic nie mają... Lekko szacując, wart trzy... co ja mówię trzy?... cztery... a w rzeczy pięć tysięcy dukatów... może więcej.

— Stój, kochany panie, — przerwał podkomorzy brański, wchodząc do środka — jak tak pojedziesz, trudno ci się będzie potem zatrzymać..

— Co to dla bogatego nabywcy, fraszka, — rzekł, oblizując się, pan Kasper — a dla ubogiego, dla tak ubogiego jak ja człowieka.

— Jakto ubogiego, kiedy dworek tak piękne panu robi procenta?

— Ale obciążonemu familją.

— A pan jesteś żonaty?

— Żonaty wyraźnie nie jestem. — cofając się przed kłamstwem, wyjąknął pan Kasper — ale gorzej, bo mnie bliscy obsiedli.

Wtem weszli do pokoju, w którym Anna modliła się jeszcze, rozmyślając o poselstwie podczaszyca — podkomorzy ujrzał ją, zdziwił się, jak pierwszy, nie znajdując ani w postawie, ani w stroju, czego się spodziewał — to jednak wcale go nie zraziło.

Anna wstała zapłoniona.

— Omyłka, — rzekł w duchu podkomorzy — ale trafiłem lepiej, niżem myślał, to brylant jeszcze nie-
tknięty!

Piękność dziewczęcia uderzyła go silnie — jasne jej czoło dziewicze, oczy z taką przemawiającą siłą i szczerotą zawróciły mu głowę do zbytku zawsze zapaloną.

Już dalej murów nie mierząc, izb nie rozpatrując, choć się Kasper napraszał, cofnął się podkomorzy, rozmyślając głęboko, jak z najrzanego skarbu korzystać i jak go sobie przyswoić.

Inni, mniej od niego zyskawszy, wieczorem, gdy się przyszło obrachować z tego, co dokazali, wszyscy niemal kłamać musieli, żeby się na śmiech nie wystawiać. Węgierski milczał tylko, podkomorzy zaś w najżywszych kolorach odmalował Anusię i na nowo zapalił tych, co jeszcze jej widzieć nie mogli.

U pani starościny małogoskiej, u pani Opeckiej nie mówiono tylko o sławnej już od wczora Anusi, która, najniewinniej i nic o tem nie wiedząc, stała się celem rozmów i ciekawości. A że powtarzane wieści dziwnie w ustach rosnać umieją i mieniają się w dziwolagi, Bóg wie, co prawiono o zamkniętej za kratą i pilnowanej przez garbatego Hołodrygę piękności.

Osnowały się różne intrygi, by ją zobaczyć, dostać się do niej, rozkochać ją, wykraść, a piękne panie ruszały ramionami, śmiejąc się z tych wysileń młodzieży, zajętej więcej Anusią, niż najważniejszą sprawą sejmową. Ze wszystkich jednak rozplamienionych podkomorzy brański najmocniej sobie głowę łamał i poprzysiągł, że podczaszycowi skarb jego wydrzeć musi.

III.

Wyobrazić sobie można, co się działo z podczaszy-cem, za którym nagle zamknęły się drzwi klasztorne, za nim, co nie znał zamknięcia i samotności, nie próbował myślenia, nie chciał zastanawiać się nad sobą, pragnął używać, nie pytając końca, bo weń nie wierzył, lub spojrzeć mu w oczy nie czuł odwagi. Sam z sobą, z książką pobożną, z widokiem smętnym, z drażniącym zdala gwarem ulicy, którą słyszał, widzieć nie mogąc, z bliższym szmerem modlitwy, niekiedy chwilową rozmową z ks. Spirydjonem — jak zwierz, bił się o mury ciasnej celi, nie mogąc w niej niepokoju swego pomieścić. Przywykły do gwaru, utonął tu w głuchem milczeniu — coraz to chwytał książkę, ale słowa w niej nie rozumiał, bo ona i on daleko byli od siebie.

Całym zapasem były dlań wspomnienia przeszłości, ale wypadkiem dziwnym on, co wedle siebie począł dopiero żyć w mieście i to, jak mówił, świata skosztował, kiedy szedł czerpać ze skarbnicy pamiątek, we wspomnieniach tych chwil szалу znajdował tylko martwe, zeschłe szczęty, z których na pokarm dzisiejszy kropli nie umiał wycisnąć. Serce czy myśl wiodły go do Głuszy, do pokoiku babki, pod straszny obraz patrona, na ów mały stołeczek, na którym siadał u nóg starościny, słuchał jej nauk i powieści — do Anny i dziecięcych z nią zabawek, których dziś, zawczasu zgrzybiały, się wstydził, a wstydząc się, żył jeszcze niemi pokryjomu! Taka to siła chwil życia pocziwych, że przeżyte, jeszcze w sobie mają soki pożywne, — gdy lata, poświęcone nasyceniu, płoną na popiół i rozcho-dzą się z dymem.

Bolał Ordyński w tem zamknięciu, targając próż-no więzy swoje — ale cóż począć było? nie mógł prze-spać dni całych, musiał je przedumać samotnie. Czasem wychodził na korytarze klasztorne, żeby zyskać więcej przestrzeni i szersze miejsce przebiegać niespo-kojnymi krokami, — ale i tu myśl jego biła się

o obrazy, o pojęcia, czyny dziwnie sprzeczne z tem, do czego był nawykł w swem życiu.

Na tych długich osłonionych krążgankach spotykał wizerunki świętych mężów, powagą śmierci otoczonych, z których lica były światłości, przeszłość ofiar i modlitwy. Napróżno chciał się uśmiechać, wpatrując w te oblicza, myśląc w duchu: To byli ludzie, jak my!

Oczy ich, czoła, usta, suknie nawet mówiły, że to nie dzisiejsi i nie pospolici byli ludzie, — ugiął głowę mimowolnie i mijał ich niespokojny. Spotykał dalej obrazy męki Chrystusa, które do oziębłego serca nic jeszcze przemówić nie mogły — czytał napisy, pełne pobożności, namaszczenia, lub groźby przerażającej — ale rzadko co doszło przez oczy omglone do duszy jego, częściej uśmiech szyderski błakał się jeszcze po ustach. Obawiał się nawrócić, aby śmiesznym nie został!

W samotności klasztornej, w ciągu dni długich, które tu przeżywał, podczaszyc więcej się męczył, niż ulepszał. Z rozmów nawet z ojcem Spirydjonem korzyść nie mogła być zrazu wielka — aby orać wołem, trzeba mu wprzód jarzmo włożyć, a jarzma tego nie chciał wdziać biedny młodzieniec, tak jeszcze rozhukana dusza i umysł do szyderstwa nawykły wzbraśniał się przyjąc wszelką prawdę, którejby rozebrać nie potrafił.

Rzadko go kto tu odwiedzał, oprócz ojca Spirydjo-na, ale ten miał tyle zatrudnień około nieszczęśliwych po więzieniach, przy ubogich, że wiele czasu poświęcać mu nie mógł. Co mu zbyło tylko od obowiązków, dzieląc na modlitwę, rozmyślanie i rozmowę z Ordyńskim, rzadko mógł dłużej nad chwilę z nim pozostać.

Od godzin rozmyślania, modłów i pokuty nawet odrywał się czasem dla niego, ale wprędce spostrzegł, że tu natrętnym być nie można w nawracaniu.

Potrzeba było, żeby chory sam zawołał nareszcie o lekarstwo, badał tylko stan jego duszy i cierpliwie oczekiwał. Wiedział starzec, że niewiele warte nawró-

cenie, gdy ku niemu wola się grzesznego nie skłoni sama; co tylko skutkiem szczególnej łaski, usilnej pracy nad sobą lub powolnego wpływu otaczających być może.

W początkach niecierpliwił się podczaszyc, warczał, zżymał, tęsknił, dopytywał o świat, który przedziutko o nim zapomniał, zesmutniał potem, zamyślał się i wpadł na te ożywiające wspomnienia młodości, których źrój po długiem zapomnieniu znalazł płynący jeszcze. Z oczu jego wyczytał zmianę stanu duszy stary kapucyn, bo dostrzegł w nich rozrzewnienie pocziwsze, smutek, tęsknotę do rezygnacji już bliską.

— Łaska Boża działa — rzekł — dajmy mu czas, by się zwyciężył.

I jak był przywykł, zakonnik wchodził codziennie do celi z uśmiechem na ustach, z tabaczką w rękę, wesół, rubaszny czasem, pełen słodczy i dobroci, opromieniony pokojem nieziemskim. Czasem, gdy się go jeszcze podczaszyc o świat dopytywał, zbył go żarciem tylko.

— Kochany panie Michale, — mówił — a cóż chcesz, bym ci o świecie powiedział? Mój świat a jęgomościń to antypody! Co ja tam wiem, jak się bawia, szaleją i lata czyścica lub wieczności piekieł zapracowują w pocie czoła! mnie dopiero wzywają, kiedy już naczynie potłuczone, a płyn drogi ciecie z niego, niestety!! często, na czarną brudną ziemię... coby miał od słońca miłości Bożej wyparować do góry i niebios! Mój świat, kochany podczaszycu, to ci nie-szczęśliwi, których niema dnia, żeby na wieczność nie dysponował, a na których twarzach albo zatwardziałość zbrodni, albo rozpacz i zgryzota się malują. Ot, wczoraj dwóch z mojego świata powiesili, dziś dysponowałem na stracenie kobietę, co męża otruła... widzisz, wiele to świata mojego. I co ci po nim?

Podczaszyc westchnął. Widział on już pomimo powabów, jakimi go życie porzucone pociągało ku sobie, ile w niem było fałszów i szychu wśród pozornych świecideł.

Zbliżała się może chwila odrodzenia, ale jeszcze nie była przyszła, rozrzewnienie tylko, jak rosa, dzień i wschód jasny poprzedzająca, oblało duszę łzą srebrzystą — ale słońce nie rozjaśniło niebios jeszcze i szary zmrok okrywał smutnym całunem bezbarwne przestrzenie.

IV.

Pan podkomorzy brański, który, zobaczywszy Anusię, rozgorzał niepomąłu (bo go płomień niewiele kosztował, ale i ostygnięcie nie było trudne), człowiekiem był lekkomyślnym nad wszelkie pojęcie, życie gotów zawsze postawić za to, co jutroby przez okno wyrzucił.

Z młodości nic nie stawiało tamy rozhukanym jego namiętnościom, los dziwnie mu sprzyjał i z najtrudniejszych okoliczności jakby cudem zawsze wywikłał. Stąd wyrobiło się w nim zuchwalstwo niesłychane i rzucanie się bezmyślne na wszystko, co dogadzało chwilowej bodaj fantazji. Szał u niego nie rodził się z namiętności, ale z nałogu dogodzenia sobie. Serce dawno w nim spało, zdętwione zepsuciem, głowa tylko gorzała i ciało się miało.

Posłał zaraz szpiegów swoich na zwiady, a nim parę dni minęło, miał już dokładniejszą nieco wiadomość, kto była Anusia, jakie ją z podczaszychem łączyły stosunki i widział, jak trudno mu będzie zbliżyć się do niej. Wiadomość ta, ukazując mu same przeszkody, zraziła go nieco, ale cofać się przecie nie myślał. Już się był kilku poufałym zwierzył ze swego projektu, a że nęc w sobie utrzymać nie mógł, zaraz też przed nimi żalić się począł, jak mu to ciężko szło, że Anusia była dziewczęciem prostem i pocziwem, wychowanem na wsi, że sposobu prawie nie ma do niej dostąpić; przyjaciele rozśmiali się na całe gardło.

— A! a! podkomorzy się cofa! — zawołano — za trudno! przecież trafiła kosa na kamień!

— Ja się cofam, — wykrzyknął, bijąc pięścią o stół, zapaleniec — tego jeszcze nie bywało i nie będzie! Idę w zakład, jeśli chcecie, że za tydzień Anusia gospodarować nam będzie w moim domku na Nalewkach.

Podkomorzy, wzorem owych sławnych domków zwierzyńca *parc aux cerfs*, miał domek urządzony na Nalewkach, gdzie ulubienice trzymał i dawał niekiedy poufałym swoim wieczorki i baliki bardzo głośne.

Słowo się tedy rzekło, pochwycono je, potrzeba było dotrzymać! Podkomorzy zagryzł palce do krwi, natarł głowę, ale zaklął się, że na swoim postawi... Sam tu niewiele mógł zrobić, musiał użyć zwykłych swoich pomocników, kamerdynera Sykstyńka (rodem ze Lwowa, który, że się gdzieś znalazł na ulicy Sykstówką zwanej, i nazwisko też od niej otrzymał) i niejakiej Szwędzkiej. Sykstynek na ten raz niebardzo mógł usłużyć, na Szwędzkiej cała spoczywała nadzieja.

Były to wybitne swego czasu postacie, których lekko zbyć niepodobna. Sykstynek, łotr kamerdynier, bo jaki pan, taki kram, ale łotr elegant, co się zowie, zgóry traktujący nietylko kamerdynierów braci, ale szlachtę szaraczkową, równie, jak pan ufał w szczęście i broił niesłuchanie, rachując na podkomorzego, że go i z pod szubienicy wyciągnie. Zuchwała sztuka, miał się za równego wszystkim, a jeśli raczył przed królem uchylić kapelusza, to raczej przez bojażń kija, niżeli uszanowanie. Miał on tyle dowcipu i sprytu, że w potrzebie mógł z siebie na chwilę i dosyć potulnego zrobić człowieka, ale zawsze grał rolę panicza i udawał, że panu podkomorzemu przez przyjaźń tylko służy. Że go pochodzenie i nazwisko piekło, zrobił sobie jakąś romantyczną historję swego rodu, którą często na plac najbezczelniej wyciągając, od jakiegoś hrabiego Syksta w prostej linji się prowadził.

Madame Szwędzka chodziła wszędzie z tym francuskim tytułem bardzo słusznie, raz, że podobno miała w początku sklep modniarski, powtóre, że zajęcie

jej i rola, wcale nie polskie, Francuzką ją czyniły, O pochodzeniu tej awanturnicy nikt nie wiedział, ani skąd się wzięła w Warszawie; jakiś akcent cudzoziemski w mowie się jej przebijał, a rysy też nie były tutejsze. Ciemnej płci, oczów czarnych, żywych, twarz już około czterdziestoletnia, ale jeszcze resztki piękności starannie pielęgnująca, gadatliwa, ruchawa, żwawa, bezczelna, znała cały świat, tylnymi drzwiami bywała nawet w zamku u Brunet'a, w każdym pałacu miała jakieś stosunki, jeździła koczukiem, ubierała się wytwornie, szczebiotała po francusku, a krąg jej znajomości tak się rozciągał szeroko, że z jednej strony dotykając antykamery króla, z drugiej zajmował uliczną tłuszcę i najbrudniejsze szynkownie.

Mieszkała na ulicy Bednarskiej, w swoim podobno własnym domu, tajemniczej kryjówce, do której wchodziło się przez trzy bramy: od przodu, z tyłu i z boku. Wrota były zaryglowane, straż pilna, a kto wie, co się działo wewnątrz! Niezmiernie zawsze zajęta, madame Szwędzka we dnie prawie się nie pokazywała, lub jeździła *incognito*, wieczorem dopiero puszczała się w świat za swemi interesami. Co robiła, a czego nie robiła, określić niezmiernie trudno.

Wozila listy, bileciki, czasem jeździła aż na wieś i powracała często nie sama, ale z ładnemi towarzyszami, sprzedawała brylanty, zegarki, koronki, podejmowała się tajemnych prezentów, intrygowała na wszelkie sposoby, wpływała nawet ubocznie do facjend majątkowych i politycznych. Nikt nigdy się nie przyznawał głośno do znajomości z nią, ale mało kto naówczas jej nie używał w jakimś krytycznym razie. Rozumie się, że madame Szwędzka jeździła, posłowała, pośredniczyła i krzątała się niedarmo, dobre umiejac ciągnąć zyski ze swego generalnego faktorstwa. Cnotą, która ją wzniosła na wysoki popularności stopień, głównym przymiotem była niesłychana zręczność i dyskrecja. Nigdy nie skompromitowała nikogo ani dobrowolnie, ani przypadkiem, nie dała się złapać za język, ani za pismo, milczała doskonale.

W razie biedy wykręcała się sama przemożnemi wpływami, ale za sobą nie pociągała nikogo.

W owych czasach intryg, miłostek, facjend, przekupstwa, tajemnic silny był pomocnik do wszystkiego z madame Szwędzkiej.

Ocierając się o ludzi, pomimo podszewki gburowskiej, która się zawsze w niej przebijała, tak się była powierzchownie otarła, tak nabrała manieri świata, że przez godzinę jaką mogłaby była w najlepszym mieścić się towarzystwie; a gdy chciała, tak grała rolę głupowatej, cnotliwej, skromnej, że oszukałaby każdego. Niepospolita aktorka umiała ludzi napamięć i korzystała potężnie z tej umiejętności. Chciwa, dumna, bezczelna, miała wszystkie wady swego stanu, ale w wysokim stopniu posiadała jego przymioty.

Podkomorzy, jak skoro przysiągł mieć Anusię, poleciał zaraz sam do Szwędzkiej, nie chcąc czekać, póki wezwana przyjechać raczy. Ledwie się dostawszy do bramy od tyłu, ledwie wymodliwszy posłuchanie, musiał jeszcze czekać, bo jejmość była na konferencji z jakąś tajemniczą figurą, która przybyła najętą karetą i weszła tak zakwefiona, żeby jej i djabeł nie poznał.

Po odprowadzeniu tej pani do powozu madame wyszła nareszcie do podkomorzego, zafrasowane trąc czoło. Przyjmowała go może umyślnie w małym troche, przyćmionym saloniku, z którego aż czworo drzwi w cztery wiodły strony. Pokój to był, mimo dość przyzwoitego i wykwintnego niby przybrania, tchnący bezecenstwem jakimś... była w nim jakaś woń zbyteczna, woń rozpusty, co się oblewa wyciskiem wszystkich kwiatów, by straconą świeżość niemi nagrodzić... drzwi jego patrzyły złowrogo, posadzka zdawała się miejscami jakby krwią zaschłą po zbrodni poplamiona, każde krzesło spowiadać się zdawało z jakiegoś występku, którego było świadkiem. Na dwóch fałsz-marmurowych słupach stały dwa piękne, ale pęknięte wazony, których szczerby kto wie jak powstały?

Ale podkomorzy, zajęty swoją sprawą, nie miał czasu zastanawiać się nad fizjognomją salonu i szybko zbliżył się do madame. Ona w progu, starannie jednak drzwi za sobą zamknąwszy, plasnęła w ręce, kiwając głową ze śmiechem.

— A! a! cóż to za niespodziany gość u mnie! musi ci być gorąco, podkomorzuniu (zwała wszystkich bez ceremonji, spieszczając tylko tytuł lub imię), kiedyś się aż sam do mnie pofatygował.

— Szczęśliwie, kochanie, chodzi o mój honor... i o... serce. Oboje w niebezpieczeństwie...

— O! o! już się pali, jak jasna świeca! — zawołała jejmość, kręcąc głową ze zbladłym uśmiechem — a jak nie w porę przychodzisz! nie wyobrażasz sobie, co mam na głowie, półtorej kopy najtrudniejszych interesów...

— No, to jednym więcej nie zawadzi.

— A daj mi pokój! ty ze swoim musisz kolei czekać (wiedziała, komu to mówiła).

Podkomorzy obrócił się na nodze i syknął.

— A idź do diabła z poczekaniem! oto mi słowo! Madame, śmiejąc się z trafności swojej, rzuciła się na kanapę.

— No, mów, nie mam czasu, krótko a węłowato.

— Naprzód słowo, że się podejmiesz.

— Zobaczę.

— Tu niema zobaczę — potrzeba, musisz i kwita. Dam, co zechcesz, a zrobisz, co powiem.

— Dam, co zechcesz! — powtórzyła, ruszając ramionami. — Jaki mi pan! no! gadaj!

Wtem spojrzała, jakby dla zobaczenia godziny, na kameryzowany zegarek, wiszący u pasa, śliczne caceczko.

— Mów, nie mam czasu, *parole d'honneur!*

Poczęła się bawić zegareczkiem. Podkomorzy, zobaczywszy go, kwaśno się skrzywił, bo już rozumiał, o co idzie.

— Ale naprzód — przerwała, kładąc mu rękę z zegarkiem na kolanach — kupisz sobie u mnie to cac-

ko... Śliczny pektoralik! same brylanty warte z 50 dukatów! a żebyś jeszcze wiedział, w jakiej była potrzebie ta, co mi go kazała sprzedać... co to za śliczniutki buziaczek! Dobrze, żeś przyszedł, to go kupisz.

— A kupię! kupię! — trochę kwaśno rzekł podkomorzy.

— Otóż, jeden interes skończony... dasz mi tylko sto dukatów.

Podkomorzy syknął, zagryzł palce, ale się nie sprzeciwił.

— Wstydz się, już sykasz! co to znaczy sto dukatów — *une misère!* teraz mów.

Podkomorzy począł całą historję Anusi i swoją, ale mu kończyć nie dała madame, domyślając się połowy. Podumała nieco.

— Sprawa trudna, dziewczyna ze wsi, nie uboga może! zakochana, uczciwa! a to śliczną mi swatasz robotę, niech cię kaduk porwie!

— Szwęsiu, ale to zrobić się musi.

Kiwnęła głową.

— Potrzeba czasu.

— Trzy dni.

— Zwarjowałeś!

— No, to cztery...

— Najmniej tydzień.

— Niesposób!

— Cóż myślisz na to sakryfikować? — zapytała, wpatrując mu się w oczy.

— Ceny nie naznaczam.

— Szalony! — szepnęła, ruszając ramionami — no! ale naprzód zapłać za zegarek.

Podkomorzy wyciągnął rękę po cacko, ale Szwęsia swoją cofnęła.

— Alboż myślisz go wziąć?

— A cóż, kiedy kupuję!

— Kupujesz, ale mi go darować musisz, inaczej ani się podejmę interesu, tysiąc ich mam na głowie, idź do licha.

Zwróciła się ku drzwiom.

Podkomorzy dobył sakiewki, popatrzał na nią, ale coś wyglądała chudo.

— Pieniądze — rzekł — odeślę ci za godzinę, ale interes zrobisz.

— Dla ciebie, podkomorzuniu, jakże tego nie zrobić! — szydersko uśmiechając się, odparła Szwędzka i podała mu rękę — no! no! bądź spokojny, a siedź cicho! Gdy będzie potrzeba, to ci dam znać.

V.

Nazajutrz rano szedł pan Kasper Sieniński z kościoła od Św. Jana, a obok niego zakwefiona kobiecina, w której najwprawniejszemu oku trudno było poznać wczorajszą madame Szwędzką; chociaż nie kto inny mu towarzyszył. Ale jakże się zmieniła! co za spokój na jej twarzy, tchnącej skromnością i smutkiem, jak niewykwintny ubiór, jaka obojętność i powolność ruchów!

Pan Kasper toczył z nią rozmowę po drodze, prowadząc ją do swego dworku.

— Jakże to być może, — mówiła madame — żebyś waćpan dobrodziej nie przypomniał mnie sobie? Byłam naówczas na respekcie u j. o. księcia kasztelana...

— Przyznam się waćpani dobrodziejce, — odparł pan Kasper — że ja naówczas, pokojowcem będąc, od czego (*intra parenthesis*) i najlepsza szlachta poczyniała — nie śmiałem ani oczów podnieść na respektowe panienki, a waćpani dobrodziejka musiałaś być chyba bardzo młodziutką, prawie dzieckiem.

— Tak jest, prawie dzieckiem — szybko dodała pani Szwędzka i westchnęła. — A co to za święty, bogobojny był dom księstwa kasztelaństwa... a sama pani! anioł!

— Święta, istotnie święta osoba! — rzekł pan Kasper.

— Ale jakże się to dzieje, że pani się dostałaś do Warszawy? — spytał Kasper.

— Długoby to było opowiadać, — westchnęła madame — a niema co słuchać! ale, chwała Bogu, han-delek mi tu poszedł, stosunki się porobiły niezgorsze, i, gdyby tak jeszcze udało się znaleźć uczciwego człowieka, coby się zaopiekował mojem wdowieństwem, a zarządził tym groszem, co się to uciulał! — bo to tak samej kobiecie trudno!

Chrząknął i odprostował się pan Kasper — na wspomnienie grosza dziwna myśl zaświtała mu w głowie; spojrział, uśmiechając się, w oczy jejmości, czapki poprawił, pasa pociągnął, wąsa pokręcił, czoło pogładził — ona oczki wdół spuściła skromnie.

— Masz waćpani dobrodziejka słuszność, ale nie chłystek, stateczny, wytrawny, coby to grosza nie przehulał... choćby nie tak młody, aby pewny...

— E! mnie tam wcale o młodość nie chodzi, — mówiła, ciągle wzdychając, Szweśia — chcę opiekuna!

Zbliżali się ku dworkowi, a pan Kasper coraz stawał się rezolutniejszy.

— A do mojej ubogiej chatki nie raczysz to waćpani dobrodziejka nóżką wstąpić? — zapytał grzecznie.

— Jeśli pan pozwolisz? — skromnie odezwała się kobiecina.

— Najgoręcej proszę mi ten honor uczynić, chociaż to ubogo, ubogo — ale bom ja oszczędny i z jutrem żyję — dodał cicho stary.

— Oszczędność to największa cnota! — odpowiedziała jejmość.

Pani Szweźdka, udając, że nie wie, kto we dworku zamieszkuje, weszła doń, doskonale odgrywając rolę dewotki, z wielką księgą pod pachą, z ogromnym kokosowym różańcem w ręku. Pan Kasper, nie mogąc jej przyjąć w swojej izdebce, musiał wprowadzić do średniego pokoju, gdzie właśnie samą zastali Anusię. W pierwszym wejrzeniu na nią nieostrożnem, łakomem, badawczem dla innych ludzi byłaby się wydała

niepocziwa kobieta, tak jej oczy błysły szatańsko, ale nikt tego nie uważał, a ona rachowała na to i zaraz zakrzyczała w progu:

— A cóż to za niespodzianka! a toż jakie śliczne dziecko w pańskim domku? czy córka?

— Nie pani, mam honor przedstawić pani skarbnikowiczowej dobrodziejce (tak się mu kazała tytułować) synowicę moją, Annę Sienińską, wychowaną podczaszyny Ordyńskiej, która tu z ojcem swym, a bratem moim, pod tę chwilę nieprzytomnym, samotność moją podziela.

— Ależ to cudny fiołeczek, ukrywający się w cień! — zawołała Szwesia, po przywitaniu siadając koło Anusi, która, czegoś skłopotana i jakby przecuciem odepchnięta, odsuwała się trochę od dewotki. — Dawnoż to, moje dziecko, w Warszawie?

— Ja? od kilku miesięcy.

— I ciągle tu tak w kąteczku? — spytała, przymiłając się, mniemana wdowa.

— Bardzo mi tu wesoło z ojcem i stryjem.

— Ależ to samotność nie dla twego wieku, kochane dziecko, — dodała madame — to klasztor prawie. Waćpan dobrodziej — obróciła się do pana Kaspra — nie powinienesz tu tak dać więdnąć tej różyczce.

Pan Kasper, nie wiedząc co odpowiedzieć, ruszył tylko ramionami.

— A cóż, — dodał po namyśle — myśmy ludzie prości, gdzie nam towarzystwa szukać, siedzim w kącie, Boga chwałąc poprostu.

— Cha! cha! panience-by się i kawaler należał! — wpatrując się wciąż pilnie w Anusię, dodała Szwesia, przeszywając wzrokiem biedne, zmieszane dziewczę — ale na to jeszcze czas.

— O! i bardzo! — mruknął Kasper.

— Jakże to szczęśliwie, — przemówiła po chwili — że nas los do siebie zbliżył, panie Sieniński, to u mnie przecie panienka — jakże imię?

— Anna! — szepnęło cicho dziewczę.

— U mnie panna Anna znaleźć może czasem roz-

rywkę, towarzystwo uczciwe, zabawkę, mogę jej towarzyszyć do kościołów na nabożeństwo, przechadzkę, czasem i wieczorek u mnie spędzić weselej będzie. Ja bardzo lubię młode osoby, sama dzieci nie miałam, to się choć cudzemi chętnie otaczam.

— Bardzo dziękujemy pani — z galanterją rzekł stary, przysiadając się nieco, a Anna przerwała:

— Ale ja się tu bynajmniej nie nudzę, ani towarzystwa pragnę, przywykłam do ciszy, spokoju i pracy.

— A to bardzo ślicznie, — krygując się, rzekła madame — bardzo ślicznie dla młodej panienki, bo to chroni od tysiąca niebezpieczeństw wśród tego zepsutego świata grożących, ale dla zdrowia i dla humoru nie wadzi niewinna rozrywka.

Rozmowa, w ten sposób dosyć zręcznie prowadzona, trwała jeszcze chwilę, ale napróżno usiłowała różnemi sposoby Szwęsia przybliżyć się do Anusi, która czuła wstręt jakiś od pierwszego wejrzenia na mniemaną dewotkę. Nareszcie wstała wdowa i, uśmiechnąwszy się do pana Kaspra, rachując na to, że zaproszenie go do domu i przyjęcie w nim większe na umyśle Sienińskich zrobić może wrażenie, zaproponowała staremu, żeby ją przeprowadził i nawzajem odwiedził. Kasper, który już dziwne na wdówkę miał projekta, pochwycił chętnie życzenie, wziął czapkę i laskę, podał jej rękę i powierzwszy Anusi straż domu, sam, rześko się zwiżając, wyszedł ze Szwęsią.

Wiedziała ona, któremi go drzwiami wprowadzić do swego domu, zawróciła się do tylnej bramy na ten cel przeznaczonej, otwierającemu dała znak jakiś niepostrzeżony i nie powiodła Kaspra do owego saloniku, w którym widzieliśmy ją rozmawiającą z podkomorzym, ale do izdebek na dole, przyzwoicie, skromnie ubranych i jakąś pocziwą a dostojną minę mających. Całą drogę grała swą rolę z taką naturalnością, łatwością i precyzją, że staremu i przez głowę szalbierstwo przejść nie mogło.

I te dwa pokoiki! zdrajcy — jak grały pocziwe, spokojne życie! jak tu wszystko było w porządku, czy-

sto, świeżo, wesoło i jasno. Kwiatki w okienku, łożeczko wysłane wysoko a bielutkie gdyby śnieg! kluczyki na kołku, kanarek w klatce, dziewczyna prosta do usługi, mebliki stare i niewymyślne. Staremu się aż uśmiechało, gdy pomyślał, że ta zacna wdówka może — może — może — starość jego uweseli. Nie widział w tem niepodobieństwa, a czuł się jeszcze na siłach zawrzeć dozgonne śluby. Tymczasem madame zaprosiła go na kawę, a nim ją podano (bardzo poprostu i po gospodarsku), zaczęła mu opowiadać o dawnym handlu, o dochodach, jakie miała, o domu, o lokatorach i t. p.

Stary potakiwał, rozczulał się, a że co chwila, niby przypadkiem dowiadywał się dokładniej o domniemanej ilości talarów w kuferku spoczywających, o które wdowa bardzo się jakoś turbowwała — stawał się coraz czulszy, młodził, a tak mu się podgolony łeb zawrócił, że wyszedłszy po ucałowaniu rączek rześnistem, palnął głową o furtkę, co mu się w życiu nigdy nie przytrafiło.

Ale co to może szał, kiedy w starem sercu obudzi się poniewczasie! Leciał do domu, żeby co prędzej w cztery oczy z bratem o tem pogadać i pochwalić się sperandą. Zastawszy go, nuż się rozpościerać szeroko! Pan Jan milczał, słuchał, ramionami ruszał, a że nie był świadkiem wszystkiego i Szwęsia nie wywarła nań wpływu, którym potrafiła obalamucić pana Kaspra — na zimno sądząc, domacał się w tem wszystkim coś podejrzanego. Dodać potrzeba, że ożenienie brata, z którego spadek na Anusię miał iść kiedyś, jakoś go niemile drasnęło.

Kasper, widząc tę obojętność, a nawet znalazłszy niedowiarstwo, ofuknął się.

— Co bo to, panie Janie! myślisz się oponować i nie dzielasz moich nadziei? — rzekł nieukontentowany.

— Ale to trochę waści, panie Kasprze, w głowie świta, coś tak nagle w godzinę już i znajomość, i czu-

łość, i gotowość stanąć na kobiercu! lichy wie, co to takiego, a zapominasz, żeś starszy ode mnie.

Zataił ręce, przeszedł się.

— Otoby mnie los spotkał na starość! — rzekł — no!

Anna, która weszła na pół rozmowy, rozśmiała się aż ze stryja.

— Patrzcie no! i ten pusty dzieciak chichi ze mnie stroił no? a czegoż się ty śmiejesz?

— Ale bo, stryjasku, strasznie się po młodemu rwiesz do tego małżeństwa...

— Alem młody! — huknął Kasper, nie zważając na ruszanie ramion brata — wiodło się życie skromne, uczciwe, młodość siedzi w kieszeni caluteńka, anim z niej tyle nie uronił! Dość tych śmiechów, a co wiem, to wiem! i co ma się zrobić, to się robi.

Nazajutrz rano pan Kasper, gdyby na fest wystrojony i odświeżony, drapnął *summo mane*, jak sam mówił, do kościoła, a tu w ławce na wczorajszym miejscu zastał już swoją znajomość, modlącą się bardzo pobożnie i nie zwracającą oczu na niego. Dopiero po nabożeństwie zeszli się u święconej wody, co pan Kasper wyrachował po młodemu i udało mu się zręcznie, bo ani czekał, ani gonił, tak się z krokami wymierzył. Madame Szwësia rozśmiała się w duchu z nowego kontusza i postawy odmłodzonej konkurenta. Wyszli tedy razem z kościoła, jedną mając do przebycia drogę.

Jan teraz czekał powrotu brata, domyślając się a nuż go znów wdówka odwiedzi, rad był w oczy jej zajrzeć. Szwësia jak wczoraj, chcąc się powoli przybliżyć do Anny i oswoić ją z sobą, dała się na spoczynek zaprosić. W pochmurnej minie i najeżonym wąsie Sienińskiego domyśliła się coś nieprzyjemnego, więc trochę odłożywszy na potem pana Kaspra, który się musiał odchrząkiwaniem głośnem i otworzeniem tabakierki przypominać, starając uwagę zwrócić na siebie, wzięła się jejmość do ojca Anny i do niej.

Rozpoczęła się rozmowa, jakkolwiek chłodna, ale tak zręcznie prowadzona, że w pół godziny pan Jan

został pokonany, a Anna nawet śmieiej coraz i weselej spoglądała na skarbnikowiczową! O! jak bo na to pracowała, udając i pocziwą, i bojaźliwą, słabą istotę, której jedynym celem spokój, nabożeństwo, kawałek chleba na starość.

Wyszła, a Jan, z bratem zostawszy w sieni, pokiwał głową.

— No! no! — rzekł — istotnie ekstraordynaryjnie miła kobiecina, coś nawet zdaje się tak potulnego, pocziwego! ale to nie dla waści, młoda jeszcze, co się zowie młoda!

— A waćpan mi ciągle tym szpakiem w oczy rzucaasz!

— Poco te przypomnienia, — przerwał Kasper — stary, no to stary, ale jary! i kwita! i kwita! Alem się, jak wmość, co drzemiesz ciągle, nie wyżył i nie zszarzał. A wdówka! prawda — *ut sic!*

Złożył cztery palce w kupkę i pocałował.

— Kamienica! porządki i—kufereczek! kufercio! a! Albom bardzo tępy, albo tak lekko ceniąc, kilkanaście tysięcy talarów oszacować je można — posażek piękny! a żem kawaler, — dodał, mrugając oczkiem, siwak — ona wdowa, zapis mi się należy — *to rerum natural!*

Jan milczał, Anna się śmiała, bo byli weszli do izby i tu już rozprawiali...

— Nie zapominajże, Anusiu, żeśmy do niej zaproszeni wszyscy na poobiednią kawę, — dołożył Kasper — zobaczycie ją w domu! rządu niewiasta!

Słodkie uśmiechy i słówka mniemanej wdowy nie ułudziły dotąd Anny, nie wzięły ją wcale za serce, ale w tęsknem jej życiu ta rozrywka, którą obiecywała nowa znajomość, nie była do odrzucenia. Nie gniewała się, że jej ktoś przybędzie, do kogo czasem słowo przemówićby można, u kogo trochę się rozerwać w smutku.

Szwesia przyjęła ich znowu na dole, w tych dwóch dość ciasnych izdebkach, przystrojonych tak skromnie i pocziwie; przybranie ich do okoliczności było całkowicie komedją, utworem artysty.

W progu już zastali jejmość w białym puderman-
tlu, wyświeżoną, ale bez rózu i bielidla, które zwykle
nosiła, pozornie bardzo uradowaną przybyciem gości,
a jak zawsze skromną, cichą, łagodną.

Po smutnej izbie dworku te pokoiki świeżutkie je-
szcze, z trochę zieloności, ze śpiewem kanarka, ze
swym sprzętem wygodnym, uderzyły Annę i przypo-
minając jej życie wiejskie, łyzy prawie wycisnęły z oczu.
Rzuciła się do wazoników, zielonością ogród w Głu-
szy i kwiatki starościny przypominających, do kanar-
ka... Szwęsia, niby nic nie widząc, śledziła każdy jej
ruch i łzę nawet postrzegła.

— To doprawdy jakieś niewiniątko, — powiedziała
w duchu — z tem to kłopotu więcej niż warto, no!
ale to nie moja rzecz!

Wkrótce podano kawę, na grzeczności dla Anny
szczególnie siliła się wdówka i tak dobrze udaną ja-
kąś czułością potrafiła ją ku sobie pociągnąć, że chci-
wa przywiązania Anusia nie potrafiła być całkiem nie-
wdzięczną. Poczęła ją zwać przyjaciółką, spoufalać się,
ośmielać. Pan Kasper rosnał, bo i jemu dostawały się
choć okruchy oświadczeń i serdeczności; a wdowa dla
niego umyślnie coraz to coś o talarach brząknęła, co
go rozplomieniło niesłychanie. Chodził, poglądając nie-
znacznie na próżny, ale dobrze zamknięty kuferek po-
kryty dywanikiem, stojący w drugiej izdebce przy sa-
mem łóżku, nie mógł się od tego nęcącego widoku
oderwać. Oczy wdowy do reszty go durzyły, bo nań
tak czule patrzała, jakby jutro iść mieli do ołtarza.

Kilka godzin zbiegły żywo na opowiadaniu o dwo-
rze księstwa kasztelaństwa, który Szwęsia zdawała
się znać na palcach, choć w życiu go nie widziała.

Jeszcze w progu zapraszając serdecznie Anusię do
siebie, pożegnała ich Szwęsia, a ledwie wyszli, prze-
brana inaczej, rzuciła się w czekający powóz i poje-
chała do podkomorzego.

Przez tych dni kilka nie miał on żadnej o losie
swoim wiadomości, co go okrutnie jątrzyło, ale że mu

kazano czekać, musiał i w miarę jak nieprzywykły do cierpliwości na zniesienie niepokoju się wysilał, rosły w nim żądze, pracowała głowa — byłby dał wszystko, co chciano za Anusię, którą raz najrzał w życiu! Rozrywał się wprawdzie, grając po nocach całych, ale że to było pod wieczór jakoś, jeszcze go w domu zastała madame, właśnie u toalety. Porzuciwszy więc fryzurę i puder, jak stał w białym pudermantlu, nawpół umączony, nie starłszy twarzy, poleciał do niej, drzwi kazawszy pozamykać.

— No, a cóż, Szwęsiu, kochanie! a co? — krzyknął, wpadając, podkomorzy i wcale nie obrażając się śmiechem jej.

— Podziękujże mi naprzód, żem się do ciebie sama *en personne* fatygowała, — a ślicznie mnie przyjmujesz! fe! co za paskudnik!

— Przepraszam cię, ale tak jestem ciekawy!

— A tu nic nie będzie! — chłodno powiedziała Szwędzka.

— Jakto! — wybuchnął gwałtownie podkomorzy, łamiąc ręce — a tom zdyszhonorowany.

Uśmiechnęła się tylko.

— Co myślisz! Dziewczyna po uszy rozkochana w Ordyńskim, prosta, głupia, ani do niej przystąpić. Otacza ją dwóch starych, wyschłych, zakamieniałych dziadów, pilnując jak we łbie oka. I nic to interesów nie rozumie.

— Ani pieniędzy nawet?

— Albo to oni ich potrzebują?

— Ależ stryj skąpiec?

— Patrz! jak już wiel! — rozśmiała się Szwędzka i nagle ton zupełnie zmieniła — no, co mi dasz? to ci ją na Nalewki przywiozę, na dzień i godzinę naznaczoną.

— Co chcesz?

— Fe, myśli się targować!!

— Nie targuję się, ale pytam.

— Bądźże wspaniałym, — zawołała Szwesia po swojemu — sypnij! jest za co! niema co mówić! różyczka! I że przywiozę, to pewna, ale dalej, dawaj sobie rady, jak chcesz, ja się w to nie mieszam i prze-powiadam nawet, że kłopot mieć będziesz.

Podkomorzy trochę się zamyślił.

— Co będzie, to będzie, — rzekł, — ale pokażę ludziom, że co zechcę, to dostanę; w sobotę u mnie wieczór gości hukiem, Anna musi mi pogospodarować.

— No, ale cóż mi dasz, — rzucając nań okiem chciwem, przerwała łotrzyca — mówno, co dasz?

— Mów, co ci mam dać?

Wstała z kanapy jejmość i przeszła się po pokoju, niby się namyślając.

— Siadaj i pisz weksel do Cabrego na...

Schyliła mu się do ucha.

Podkomorzy poszukał tylko kałamarza, chwilę podumał.

— To ci dam weksel w sobotę.

— A, niewierny! — dumnie krzyknęła rozgniewana — no! to bywaj zdrów!

— Jakto? Ale ja ci wierzę, tyłkom się chciała wprzód Cabremu opowiedzieć, — podchwycił przestraszony podkomorzy — ale kiedy tak, na, bierz, byle tak było, jakem prosił.

— Słuchaj, na dzień i godzinę nie chybię, bo to moja rzecz, ale jak się z tego wywikłasz, co wyniknie, nie moja sprawa. Stworzenie całkiem dzikie, ażeby je ugłaskać, więcej potrzeba czasu, to już nie moja sprawa.

Podkomorzy pochmurny usiadł pisać, a madame, chodząc po pokoju, zobaczyła pierścioneł, leżący na stoliku, i włożyła go na palec bez ceremonji.

— A to na pamiątkę dla mnie — rzekła, pokazując.

I kiwnąwszy mu głową, na którą spuściła welon, znikła znajomemi sobie drzwiami.

Podczaszyc siedział jeszcze w klasztorze zamknięty, dumając i zżymając się na dziwne położenie swoje. Od dni kilku dziwny jakiś smutek go trapił, któryby był nazwał przeczuciem, gdyby filozofja Poinsoła dozwoliła mu przypuścić ten fenomenalny stan ducha. Tłumaczono to podówczas zdrowiem, żołądkiem, mózgiem, chorobą, czem chcąc, byle nie duszą, której upierano się nie widzieć w człowieku. Niepokojniejszy był niż kiedy, więzienie gorzej mu coraz ciężyło, nawet trochę umiejąca go ukołysać rozmowa o. Spirydjona teraz drogi do serca, zawałonego jakimś ziemskim uczuciem, wynaleźć nie mogła. Starzec czekał, ale wzdychał.

— Twarda natura do dobrego, — mówił w sobie — rekluzja nawet pożyć jej nie może, przyjdzie może czas upamiętania, ale nierychło... i kto wie, czy przyjdzie?

Pomimo jednak zewnętrznych oznak zatwardziałości, podczaszyc zmieniony był znacznie swoim bytem u kapucynów — nie otworzyło mu się serce, ale zmiękło, nie poprawiły pojęcia, ale uznał, że obok nich istnieją inne, mocą których ludzie w spokoju i zgodzie z sobą i światem żyją; rzucone było ziarno, choć nie schodziło jeszcze.

Sama ta tęsknota, która często poprzedza nawrócenie, dobrym już była znakiem, a zwrot częsty ku dzieciennym latom symptomem pragnienia innych wrażeń i żywota. Żywił, jak mógł, ojciec Spirydjon dobre ziarnka, chuchając na nie i pielęgnując, a czekając wschodu, nieraz też kto z gości poufałych klasztoru odwiedzał samotnika, przychodząc w pomoc kapłanowi.

Dziwnie zaprawdę wydawali się ci starcy podczaszycowi, który na nich spoglądał z ciekawością, jak na istoty drugiego świata. Byli to ludzie, których ubóstwo i wieś uchroniły od nabrania poloru wieku, u których tradycja czczoną jeszcze była i szanowaną jak

arka narodowa, ostatnie niedobitki Rzeczypospolitej jagiellońskiej, konającej teraz w objęciu reformatorów. Starzy konfederaci barscy, z kresami chlubnymi na głowie, gotowi jeszcze byli pod starość sięść na koń i codzień chodzili siodła swe i moderunki oglądać; zakonnicy wreszcie, których stan chronił od zepsucia. Maluczki ten świat, który wzdychał, modlił się, płakał i czekał, który miał serce i wiarę, patrzył już tylko na czynnych, ale sam nie był w czynie — miejsce jego zajmowało pokolenie, którego chęci walczyły z fałszywem pojęciem środków. Tu się przysłuchował młody człowiek podaniom mało znanej przeszłości, z której wprzód uczono go się naśmiewać, i poznał, że szacunku była godną; tu ujrzał, że barbarzyństwo, którem rzucali w oczy zepsuci, by się sami od zarzutu wynarodowienia obronić, całe było w fałszywem pojęciu form, których znaczenie zgasło.

W poważnem tem kole sędziwych, pobożnych, zapłakanych starców i myśl jego spoważniała trochę, choć z zatwardziałością upartą wpływowi ich się broził. Nieraz już o. Spirydjon miał na ustach słowo, z którem wyczekiwał dogodniejszej pory, by nie zrazić niewczesną gorliwością, — a wtem wszystkie nadzieje starca rozsypały się w proch w jednej chwili.

Tegoż dnia, a było to w sobotę, gdy staraniem Fotofero i de Cerullego zgoda z Rybińskim zawartą została, gdy i ksiądz biskup kujawski, przez króla ukolysany, zezwolił na nieposzukiwanie napastnika synowca swego, podczaszyca wezwano wieczorem do furty. O. Spirydjon, który wypadkiem chodził, usłyszawszy, że go wołano, a myśląc, że to może sztuka nieprzyjaciół, co dowiedziawszy się o miejscu, chcą go tylko wywabić, zwrócił się do przybyłego i spytał:

— A kogo to żądacie, moje dziecko?

Tem dzieckiem był niegdyś marszałek dworu i to-tumfacki podczaszyca, imci pan Frejer, do którego z rana zabiegł cavaliere, dając polecenie, żeby się do swego pana dostał.

Frejer z początku niechętnie się brał do tego, bo

usunawszy się przy rozbiciu z rachunkami, bardzo ślicznie spisanemi, nie miał potrzeby ratować Ordyńskiego, nie posądzając, żeby jeszcze co w kieszeni jego do wyłowienia i obrachunku znajdować się mogło. Słyszając o stanie interesów podczaszyca, będąc świadkiem, jak dom i sprzęty zabierano, myślał, że podczaszycowi *caput* będzie, jak mówił; jako bardzo porządny człowiek, nie chciał się do nieporządných chudopacholskich spraw mieszać. Cavaliere go dopiero przywiódł do pomiarkowania.

— Co ty sobie myślisz? — zawołał do niego po niemiecku — czy ty nie wiesz, że panowie są jak koty, które choćbyś zrzucił z największej wieży, zawsze padną na nogi i nic im się nie stanie? Pójdiesz do niego i oddasz mu kartkę moją, dodając ustnie, że sprawa z Rybińskim skończona, że nie ma się czego obawiać wyjść na świat; powtóre, dasz mu list z Florencji, donoszący o śmierci jego matki, a po trzecie dodasz, że jest pilniejszy nad wszystko interes..., dla którego powinien śpieszyć...

Frejer, dobrze się namyśliwszy, wziął kartkę i list i wybrał się do kapucynów, a gdy o. Spirydjon zagadnął, chciał zaraz kartelusz podać, ale pismo z kieszeni znikło jak kamfora.

— Kogo to żądacie?

— Podczaszyca Ordyńskiego — rzekł Niemiec z poważnym, jak suknia jego, ukłonem.

— Ale, — rzekł o. Spirydjon po łacinie, przypatrując się ciekawie Niemcowi — ja tu o żadnym w tej chwili nie wiem.

— Podczaszyc Ordyński Michał! — począł nalegać, wciąż kłaniając się, Frejer.

— Czego od niego chcesz?

— Mam poselstwo ważne, wielkie, smutne! — łamanym językiem począł, łatając się, Frejer, któremu łaciny nie starczyło.

— Cóż takiego?

Niemiec potrząsł głową.

— Jakże się waćpan nazywasz? — spytał ojciec — to się pójdę dowiem.

Niemiec po raz trzeci się uklonił, a że Polska szlachecka uczyła szlachectwa wszystkich, a kto w niej parę lat pobyl, już herbowych nabierał pretensyj, Frejer, syn tkacza gdzieś w Saksonji, odparł:

— Nazywam się Justus Bartholomäus von Frejer!

Z tem poszedł zakonnik do celi i otworzywszy drzwi, zastał podczaszyca spartego na stole, a tak zadumanego, że wnijsia jego nie słyszał.

— Laudetur...

— A! dobrywieczór jegomości!

— Powiedz mi, kto jest Justus Bartholomäus von Frejer?

Podczaszyc, który pod tem nazwaniem z trudnością poznał swego dawnego pełnomocnika, nierychło wykrzyknął:

— A! Frejer! to mój niegdyś totumfacki! Ale skądże go znacie, mój ojczy?

— Jak myślicie, czy to uczciwy człowiek? — spytał o. Spirydjon — nie zdradziłby was?

— Ale nie! to człek dobry, flegmatyk, Niemiec i okrutnie regularny w regestrach, o pieniądze trudno z nim było zawsze, ale co w rachunkach nikomu się nie da przepisać!

Rozśmiał się kapucyn.

— No, to może chcesz się z nim widzieć, czeka u furty!

Podczaszyc ruszył, chcąc wybiec, tak mu zapachniało stare życie, którego Frejer był przypomnieniem, ale go ksiądz powstrzymał.

— Czekaaj, bezpieczniej ci go tu wprowadzić!

I rzuciwszy na podczaszyca pełnem litości wejrzeniem, wyszedł, a po chwile wsunął się Frejer, kłaniając bezustannie. Ordyński o mało go w pierwszym zapale nie uściskał, tak był głodny wrażeń, plotek świata...

— Jakżeś mnie tu wyszukał?

— Posłał mnie cavaliere Fotofero, miałem nawet listek, — ale... — Niemiec zaczął szukać po kieszeniach. — Co to jest? Dziwna rzecz! ja nigdy nic nie gubię! Dziwna rzecz!

I brwi podnosił, i ramionami ruszał, i rewizję sukni rozpoczynał jak najsumienniejszą, ale listu znaleźć nie mógł.

— Nie pojmuję, jakem potrafił zgubić.

— No, ale wiesz przecie — zawołał Ordyński, zniecierpliwiony tą zgubą i flegmą, z jaką Niemiec, ledwie skończywszy poszukiwanie, znów je na nowo przedsiębrał — ależ wiesz, z czem cię posłano?

— Cavaliere Fotofero mówił mi..., ale jakże ja mogłem zgubić kartkę! — powtarzał Frejer, który począł wywracać kieszenie, aby je poznać, że były rewidowane.

— Zgubiłeś, toś zgubił, mniejsza, — tupnął nogą Michał — ale mi mów, z czem cię posłano.

— To nic, ale jak mogłem zgubić list! — zawołał niepokonany Niemiec — to niepojęta.

— To niepojęta, jak ty jesteś nudny, — zawołał podczaszyc, przeskakując z nogi na nogę — mów na przód, z czem cię posłano?

— Kazano mi powiedzieć, primo — tu Frejer, zobaczywszy kieszenie powywracane i suknie rozpięte, znów je do porządku zaprowadzać się zabierał—1-mo, że jw. pan śmiało i bezpiecznie wyjść już możesz, gdy sprawa z panem Rybińskim skończona, a król jego-ność księdza biskupa wziął na siebie; 2-do, że z Florencji przyszła smutna wiadomość pod datą...

— Co? Od mojej matki?

— Jw. podczaszyna nie żyje! — flegmatycznie, z ukłonem rzekł Frejer.

Ordyński rzucił się na krzesło, łamiąc ręce.

Szczerze on przywiązany był do matki, choć między nim a nią nie widać było tej czułości, która rodziców z dziećmi wiązać powinna, ale u obojga zatajone tłało uczucie, któremu tylko zimny wieku obyczaj nawierzch wyjść nie dozwalał.

Chwilę podczaszyc pozostał tak w smutnem zadumaniu, które Niemiec tem łatwiej poszanował, że użył tej chwili spoczynku na nowe poszukiwanie w kamizelce i pludrach, równie bezskuteczne, jak pierwsze.

Michał zapłakał nad sobą i nad nią... na obcej ziemi w sieroctwie zmarłej. On także uczuł się sierotą i zadrżał, myśląc, że na jednego Boga tylko śmiało rachować może.

O. Spirydjon, który się ukazał w tej chwili, zastał Niemca jeszcze się systematycznie przetrząsającego, a podczaszyca we łzach. Łzy te niemal go uradowały, bo płacz to owoc serca, a nie każdy zapłakać może!

— A! co ci to, dziecko moje! — zawołał z uczuciem — co ci to jest?

— Odebrałem wiadomość o śmierci mojej matki.

— Módlmyż się za jej duszę, — rzekł pocichu kapucyn, klękając... i począł głośno Anioł Pański.

Niemiec stał i patrzył, podczaszyc zawahał się, by za starym modlitwę powtórzyć, choć myśl już była gdzie indziej.

— Cóż teraz myślisz z sobą? — spytał, powstając, o. Spirydjon.

— Właśnie mi przyniesiono wiadomość, — odpowiedział podczaszyc — że sprawa moja o zadanie rany Rybińskiemu skończona, dzięki przyjaciółom. Śmierć matki wkłada na mnie nowe obowiązki i zajęcia, muszę wyjść natychmiast, ojcze, pozwól, bym ci złożył serdeczne dzięki za gościnność!

Starzec patrzył na niego prawie rozczulony.

— Ha, — wyjąknął powoli — idź w imię Boże, ale wolałbym był, żebyś tu jeszcze pozostał. Świat, stary bałamut, znów ci obejmie i omami, i to, coś w sobie wziął ze spokojnej, świętej tych murów ciszy, zwietrzeje rychło! Bogdajbyś kiedyś przypomniał sobie te dni rozmyślania i pokoju, jakieś tu spędził!

A jeśli cię serce zaboli, powróć tu do nas, panie Michale, powróć do nas, do Boga... tam... może ci na chwilę weselej się zda, ale przesumiawszy godzi-

ny policzone... żal ci ich będzie, bo każda owoc dać powinna, a te ci i kwiatu nawet nie zostawia po sobie!

— Dziękuję ci, dziękuję, ojcie — powtarzał podczaszyc.

— Dziękujesz, płaczesz, ale dlaczegoż tak ci się wyrywać pilno? Idź więc... idź! i niech cię Bóg ręką starca błogosławi!

Frejer jeszcze szukał, nie nie znajdując dotąd, podczaszyc, trochę rozczulony, ale odzyskaną swobodą rozgrzany, pochwycił za płaszcz i kapelusz — wyszli. O. Spirydjon milczący przeprowadził ich do furty, otworzył drzwi i krzyżem za podczaszycem, ściskającym dłoń jego, drogę przeżegnał.

Wieczór już był dość późny, Ordyński, spojrzawszy w gwarną ulicę, na ruch i zgiełk miejski, zatrzymał się odurzony, serce mu bić zaczęło.

— Frejer — rzekł — przyprowadź mi fiakra, iść nie mogę.

Powolnie, rozmyślając, Niemiec odstąpił kilka kroków, zbierając się iść i obrachowując, gdzie mu najbliżej będzie wynaleźć żądany powóz, gdy zdyszany, przerażony, z wyrazem bólesci i rozpacz na twarzy stary Sieniński wpadł na wschodki, wiodące do furty i nie postrzegłszy, potrącił podczaszyca.

— A, to ty, stary!

— A to pan!

— Co ci jest, Sieniński?

— A nieszczęście! okropne nieszczęście! wykradzono, porwano gwałtem, zdradą, podejściem moją Anusię, moje dziecko... niema jej! panie, ratuj!

To mówiąc, starzec ów tak zwykle powolny, co od pół życia drzemał więcej, niż żył, tknięty w serce, powalił się u nóg podczaszyca i zaszedł z gorzkiego płaczu.

— Co? gdzie? jak? co się z nią stało? mów! mów!

Chwycił się Ordyński zapłoniony, bo wspomnienie Anusi wzruszyło go do szaleństwa.

Ale stary Sieniński prawie bezprzytomny ciągnął

go, chwycił za nogi, nic prawie mówić nie mogąc i przerywanym tylko powtarzając głosem:

— Córka moja! moja córka, mój skarb! Anusia moja!

W tejże chwili, jak na zawołanie, z głębi ciemności nocnych zjawił się o parę kroków od nich płaszczem obwinięty Fotofero. Stał on, patrząc na obu, i uśmiechał się złośliwie. Podczaszyc pierwszy go spostrzegł.

— Cavaliere, ty tu...

— Na usługi wasze, jak widzicie... już pan wiesz o porwaniu Anusi?

— A ty?

— A ja oddawna.

— Kiedyż się to stało! kiedy! kto? jak?

— Dziś dopiero! przed chwilą ledwie!

— Wiesz, gdzie jest?

— I kto ją uwiózł, i jak, i dokąd, i dlaczego, wszystko wiem — rzekł zimno cavaliere. — Może to się połata, — uśmiechnął się — ty, stary, powracaj do domu, a my ci, trochę poczekawszy, przywieziemy córkę.

To mówiąc, klasnął w ręce, i fiakr z ciemności się wynurzył, a podczaszyc, cały wzburzony, nie oglądając się już na płaczącego starca, skoczył z Fotoferem do powozu. Na dany znak skry posypały się z pod kopyt koni, polecieli...

VII.

— Dokąd mnie wiesz? — spytał, oprzytomniając się, Ordyński — gdzie ona? co to za porwanie? mów, proszę cię... zaklinam.

— Cała ta historia funta kłaków niewarta, — rzekł poważnie Włoch — źleś waćpan zrobił, żeś się w tym klasztorze zamknął, gdzieś z nudy mógł suchot dostać, a świat cały zgubiłeś z oczu. Mówiono wiele o Anusi tymczasem, bo mówiono o tobie, podkomorzemu brań-

skiemu głowa się zapaliła, zaklął się i założył, że Anusię mieć będzie, i...

— Co, ten łysy rozpustnik! ten karciarz przebrzydły śmiały dotknąć Anusi?

— A! a! — rzekł cavaliere — a cóż to znowu za drogocenna perła, dziewczyna jak inne, tylko podkomorzy zrobił po swojemu, nie chciało mu się popracować samemu, zapłacił Szwędzkiej, Szwędzka ją wykradła i zawiozła mu do jego domku na Nalewki!

— Prędzej! prędzej — zakrzyczał podczaszyc. — Na Nalewki, na Nalewki, nie mogę zrozumieć, dokąd się fiakr kieruje.

— O! jakże ci pilno! — szydersko rzekł cavaliere. — Kochasz ją! przyznaj się?

— Nie czas mówić o tem, podkomorzemu łeb roztrzaskam, serce wydrę, to zwierz, nie człowiek! Dla dogodzenia fantazji gotówby krzyż zdjąć z kościoła! Prędzej na Nalewki.

Cavaliere patrzył mu pilno w twarz.

— Nic nie mam — rzekł — przeciw zabiciu podkomorzego i kogo ci się podoba, ale pamiętaj, kochany podczaszycu, żeby to nie był drugi tom sprawy z Rybińskim.

Podczaszyc nie słuchał, powtarzając swoje:

— Na Nalewki, żywiej! zapłacę konie! niech popadają!

Konie też leciały jak ptaki, a jemu krew kipiała, twarz płonęła, dłoń drżała, bo poczuł, że kocha Anusię i byłby się rzucił za nią na całe piekło.

Cavaliere śmiał się tylko z pod zakrzywionego nosa. Stanęli nareszcie u bramy zamkniętej.

— Tylko nie krzycz, — rzekł do niego towarzysz — cierpliwości! Wpuszczają tylko proszonych, ja znak wiem, otworzą nam.

To mówiąc, wysiedli, Fotofero zapukał do wrót zamkniętych, trzy razy po trzy, furtka otwarła się natychmiast, podczaszyc odepchnął Włocha, który znikł, stróża, co się go chciał spytać o hasło, i wpadł w dziedziniec, instynktem się kierując, na oświecone wscho-

dy, które po cztery naraz przeleciał! uderzył do drzwi oświeconej salki i cały jeszcze rozplamieniony, oszarpany, rozpięty, wskoczył w tłum mężczyzn, wśród których, szukając oczyma, nie znalazł kobiety.

Towarzystwo wesóło się zabawiało, choć bez gospodarza, śmiano się, szeptano, rozmawiano w kupki pozbijawszy. Oczy wszystkich zwróciły się na podczaszycę, a że wcale był niespodziewany i gniewny, skupiono się dokoła. Ordyński rozepechnął ich i popędził, słowa nie mówiąc, do drzwi wiodących w głąb domu. Trafiał na salę jadalną i stół zastawiony wspólnie, przebiegł ją! oparł się o drzwi zamknięte, które wyłamał, i przez ciemny jakiś pokój dostał się do sypialni podkomorzego, z której dochodzący go głos płaczliwy do reszty gniew jego rozniecił. Na środku pokoiku sam na sam z podkomorzym, który stał jak do modlitwy ze złożonemi rękami w pokornej i błagającej postawie, Anna trzęsąca się z gniewu, we łzach, ale z oczyma ognistemi oburzeniem, sparta o stół, wołała:

— Proszę mnie stąd wypuścić! Co to jest? kto pan jesteś! jak pan śmiesz.

— Jam twój wieczny sługa — mówił podkomorzy.

Na te słowa wpadł jak burza Ordyński z dobytą szpadą i równocześnie krzyknął:

— Kto on jest! niegodzien pocziwego imienia, które nosi! szubienicznik i zbójca!

Podkomorzy porwał się na hałas, jakby go kto ranił, cofnął, spojrzał, osłupiał z zadziwienia, zobaczywszy podczaszycę. Anusia skoczyła ku niemu, rzuciła się i wykrzyknęła:

— A, pan Michał, mój zbawca!

I w tej chwili u nóg się jego osunęła zemdlona.

Podkomorzy nie zebrał się jeszcze na żadną odpowiedź, tak go napaść ta zmieszala, gdy Ordyński, rzucawszy nań wzrokiem wściekłym, na ręce chwycił zemdloną i szpadę wzięwszy w zęby, wyszedł nazad przez jadalnię do sali. Tu gwar i zamieszanie znalazł wielkie; wszyscy, znając już gwałtowność Ordyńskie-

go obawiając się krwi przelewu, lecieli rozbrajać. Ordynski na chwilę złożył ciężar swój na kanapie, spadł wosnął w pochwę, stanął i drżący, przerywanym zawołał głosem:

— Mielicie panowie być świadkami, jak sobie ten łotr igraszkę chciał zrobić z niewinnej i poczciwej kobiety, zaprawdę piękna zabawka! Biorę was za świadków, że go łzę i zbezczeszczam do ostatniego, że go mam za najpodlejszego z ludzi i że tę rekawieczkę rzucam, jakbym mu rzucił policzek w twarz, gdyby wart był, żeby go się poczciwa ręka dotknęła.

— Podczaszyco, ożalałeś! — zepnęło kilku. Ale on, nie słuchając, wziął znowu na ręce omdlałą i z półtrojka rozstępujących mu się wyzwał, niosąc ją na wychody. Dwie łzy wrzące lały mu się po twarzy, to bladej jak mur, to czerwonej jak ogień.

Poza nim szmer, gwar i hałas powatały. Podkomorzy niewidzialny stał na progu sali, gdy go lizył podczaszyco, ale się nie ukazał, wzedł po zniknięciu jego, cały pomieszany i wylekły. Goście milczeli, spoglądając po sobie, nie wiedząc, jaką tu robić minę, najprzezorniejsi wynosili się podcihu, nie mając już na widoku wesołej wieczery i hulanki.

— Słyszeliście! — poprawiając stroju i fryzury, rzekł podkomorzy, blade jeszcze i nie mogący przyjść do siebie. Nikt nie odpowiedział.

— Ba! apelacja do Jeziornej! — brząknął ktoś, porzekawszy.

— Jeszcze Panu Bogu podziękuj, że cię jak Rybińskiego nie przeklął, bo jak widać na żartach się nie zna.

Podkomorzy zaciął usta.

— Ha — rzekł, usiłując się nadstawić i miną nadrabiając — mniejsza o Jeziornę, na dwoje babka wróżyła, ale mi żal tego ślicznego dziewczęcia. Ledwie ją szwagier przywiozła, ledwie m peruwajkami pierwszy strach i płacz utulać począł, spodziewając, że to się kończy ślicznie, pięknie i spokojnie, a tu go licho przyniosło! skądże się wziął? wszakże był zagranicą?

Gospodarz próżno się silił zatrzeć wrażenie tej sceny na gościach. Towarzystwo było zwarzone, najserdeczniejsi ledwie coś pod nosem pykali niezrozumiale, obojętniejsi milczeli, przypatrując się zdaleka, a przyjaciele z pokoju puciekali.

Nie brakło i tych, co już szydzili pocichu — wesołości ani sposób wyprosić! — wieczór zupełnie się nie udał!

Tymczasem podczaszyc, niosąc na rękę Anusię omdlałą, a niekiedy konwulsyjnie go jakby przez sen odpychającą, zbiegł ze wschodów w dziedziniec, dopadł bramy, którą mu coś otworzyło, i stanął w ulicy, rozglądając się na wszystkie strony.

O kilka kroków czekał nań cavaliere z powozem! Anusia jeszcze była całkiem nie odzyskała przytomności.

— A! — plaskając w dłonie, zawołał Fotofero, żywo podbiegłszy — w poręśmy przybyli, siadaj i jedźmy!

— Trzeba ją wprzód ocucić z omdlenia.

— Powietrze świeże i ruch najlepszem będą lekarstwem — zacierając dłonie i śmiejąc się cicho, odparł cavaliere, podsuwając fiakra.

Powoli, ostrożnie Ordyński złożył Anusię w powozie i usiadł przy niej, by ją podtrzymywać. Włoch usługowy stanął z tyłu na niewygodnej desce, ale tak, wprost do ucha podczaszycą miał przystęp.

— Na Bednarską, do dworku Sienińskich! — zawołał Ordyński.

— Gdziem ci mówił! — zagłuszył, prawie razem odzywając, towarzysz.

— Do dworku!

— Jedź, gdziem mówił! Słówko podczaszycu, zastanówno się... poco ty ją zaraz ojcu odwieziesz! wszak kochasz ją i masz w rękę, wieź do siebie!

— Milcz! milcz! — przebudza się.

— Nie usłyszy! ojciec już ją opłakał! Czemużbyś nie miał korzystać z okoliczności? Masz najęte nowe mieszkanie, mogłaby u ciebie odpocząć... Ona cię kocha, ona zostanie z tobą! Miałbym cię, panie Ordyń-

ski, za głupiego, za głupiuteńkiego, gdybyś inaczej postąpił. Korzystajże choć raz z okoliczności jedynej, z jej przywiązania i wdzięczności! wszak się z nią nie ożenisz, a kochasz ją! Czyż ci łopata w głowę kłaść potrzeba?

Podczaszyc, na którego piersi rozkołysanej tyłu uczuciami różnemi spoczywała piękna główka Anny, zatykał uszy na te rady zdradzieckie, ale czuł, jak weń płynęły, jak go rozmarzały. Cały raj cichego szczęścia otwierał się przed nim! pragnął, walczył, ostatek poczciwości wiódł go na drogę lepszą, ale namiętność brała górę i już spostrzegłszy, że nie jadą do dworku, nic nie mówił, spuścił głowę... Anusia się ocknęła, westchnęła boleśnie, krzyknęła, otworzyła oczy, poznała przy blasku latarni Michała i, płacząc, pochwyciła go za szyję. Ten ruch namiętny, nierozumny zbliżył ich serca, Ordyński stracił głowę; cavaliere tymczasem, schyliwszy się wpół, przysiadł na desce za powozem, żeby nie przeszkadzać, i ręce zacierał, cicho się uśmiechając...

Powóz leciał ulicami, jak zaczarowanym światem ciemności, wśród którego migały to rzędy okien jasnych, to nawieszane gdzie niegdzie lampy, to rozsypane drobne światełka. Ordyński ani wiedział, ani pytał, dokąd jadą, słodkimi słowy uspokajał Annę, której łzy czuł na swej twarzy jeszcze, a dziewczę płakało z przypomnień strachu, wdzięczności, wzruszenia.

Nagle powóz się zatrzymał w dziedzińcu jakiegoś domu.

— Gdzie jesteśmy? — spytał podczaszyc.

— Jesteś pan u siebie, — odparł cavaliere — apartament na pierwszym piętrze... *Buona sera!* I zniknął.

— Jutro odwiozę ją do ojca, — rzekł w duchu podczaszyc, wysadzając powoli z powozu — teraz niech się uspokoi i spocznie!

Anusia jeszcze nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie rozeznawała miejsca — naprzeciw nich kilku sług i Frejer na czele stali ze świecami.

— Co to jest, dokąd mnie pan prowadzisz? — zapytała, nagle się zastanawiając — wież mnie pan do ojca! gdzie jestem?

— Odpocznij u mnie chwilę, Anusiu, — rzekł podczaszyc — pojedziem zaraz do ojca!

— Pojedziem! odpoczywać! kiedy on tam siwy włos rwie sobie z głowy! — zawołała dziewczyna, — co ci się stało, panie Michale? — cofnęła się — natychmiast! natychmiast!!

Podczaszyc umilkł zawstydzony, chciał konie zawrócić, ale ich już nie było, odjechał niemi Włoch.

— Poślemy po inny powóz, — rzekł smutnie — ten odszedł... tymczasem zajdź do mnie.

— Nigdzie! ani na chwilę, tylko do ojca — stanowczo odpowiedziała Anusia, której charakter powracał z przytomnością.

— Chodźmy pieszo!

Frejer i służba stali w milczeniu.

— Po powóz i konie! hej, prędzej! — rzekł dosyć niechętnie Ordyński.

Anusia sparła się o mur i milcząca pozostała z głową zwieszoną, załzawionemi oczyma... Stali tak długą chwilę, słowa nie mówiąc do siebie, Anna tylko niecierpliwiła się coraz bardziej nieprzybywającemi końmi, nareszcie sługa powrócił, oznajmując, że dla spóźnionej pory fiakra nigdzie znaleźć nie mógł.

— Więc idziemy piechotą! — powtórzyła żywo Anna, podnosząc głowę — idziemy!

Ordyński prosić już nie śmiał, bo nań spojrzała tym wzrokiem, który usta zamyka, musiał ją prowadzić.

Noc ciemniejszą się coraz stawała — po domach i kościołach poznał podczaszyc, że byli na drugim końcu miasta, ale wiedząc, że Anusia co raz powie, to dotrzyma, nie sprzeciwiał się jej więcej. Szli więc z jednym tylko sługą, który niósł latarnię, mając nadzieję spotkać gdzie przypóźnionego fiakra, a Anna, odzyskawszy siły, śpieszyła, tak że za nią zdążyć było trudno. Podczaszyc milczał chmurny, jakby naprzekór

jeszcze nadeszła burza, puścił się deszcz ulewny, a dziewczę, nic nie czując, prócz powinności wrócenia do ojca, pędziło po śliskim bruku.

Ta podróż w milczeniu, ciemności, wśród burzy odbyta, trwała niezmiernie długo — błądzili po uliczkach nieznanomych, szli, wracali i na większe wydobyć się nie mogli. Po mozolnej włóczędze znaleźli się jakoś na Krakowskim Przedmieściu i choć już niebardzo było daleko, podczaszyc, dostawszy przecie fiakra, namówił Annę, by siadła; zajechali przed dworek, w którego oknie paliła się jeszcze świeczka, ale bramę znaleźli już zatarasowaną, dowód, że Kasper nie zapomniał bać się o swe pieniądze. Uderzono do wrót gwałtownie, Hołodryga, śpiący, nierychło się zbudził i odryglował. Wchodząc do izby, zastali braci w żywej z sobą kłótni, której tylko słów kilka do ich uszu docierało.

— Waszmościne głupstwo i chciwość wszystkiego tego nieszczęścia przyczyną, — wołał Jan — myślałeś o pieniądzach, a zgubiłeś mi córkę? Kto cię wie, czyś mego dziecka sam nie sprzedał!

Wyrazy te straszne podyktowała rozpacz.

— Panie Janie, opamiętajże się, — odpowiedział Kasper, żegnając — co ci jest? Wszakżem cię tu do siebie nie zapraszał, a com ja winien, żeś ty sam tej awanturnicy dziecko swoje polecił?

— Albożeś mnie na to nie namawiał?

Na te słowa weszła Anusia, rzucając się w objęcia ojca. Stary pochwycił ją, nie wierząc oczom swoim, padł na kolana i zobaczywszy dopiero podczaszyca, ku niemu podbiegł, objął za nogi, zabełkotał niezrozumiale, mowę z radości tracąc.

Kasper stał także, jak wryty, kiwając głową, ale niewiele okazywał uczucia; po chwili radość powróciła im przytomność. Ojciec jednak wymawiał ciężko, zająkiwał się i z wielką trudnością zdobywał na słowa. Chwycił rękę Anny, patrzył na nią i na chwilę od siebie puścić nie chciał.

— Jakżeż to było? — odezwał się wreszcie gospodarz, zbliżając ku Anusi — powiedz bo nam aspanna.

— A pozwólcie mi wprzód myśli zebrać, — odpowiedziała Anusia — drzę jeszcze cała, w głowie mi się przewraca... Wiecie, jak mnie ta jejmość namówiła na dzisiejszą przejażdżkę i zabawę wieczorną i jakem się ja jej dziecinnie pociągnąć dała.

— A jam głupi pozwolił — przerwał ojciec, zachodząc się z płaczem.

— Dalibóg, jam nie namawiał wcale — pocichu dodał pan Kasper.

— Jakto nie? a któż?

— Dosyć, żem się dała namówić i pojechała z nią, — przerwała spór Anna — naprzód zawiozła mnie do swego domu, tu, żem była, jak zazwyczaj, bardzo skromnie ubrana, naprzód mnie wymuskała, pomimo mojego oporu, i dopierośmy siadły z nią do powozu. Pojechałyśmy naprzód do jakiegoś ogrodu, gdzie prawie do zmierzchu przechadzałam się z nią po bocznych uliczkach. Szła ze mną zakwefiona, mało mówiąca, czegoś niespokojna.

Jakiś jegomość, który tu raz był we dworku, przypłatał się potem do nas, zaczepiał mnie, a choć odpowiadać nie chciałam, sam mówił długo, śmiał się, żartował; zbywałam go, jak tylko mogłam, nareszcie pożegnał nas i odszedł, a my chwilę jeszcze zabawiwszy, siadłyśmy do powozu.

W drodze jejmość ta powiedziała mi, że musi odwiedzić jakąś tam przyjaciółkę, do której na chwilę wstąpimy — niebardzo mi się to podobało, ale, z nią jadąc, sprzeciwić się nie mogłam. Zjechałyśmy w ustronną ulicę, a już się i ściemniać zaczynało, następnie do dworku jakiegoś, którego bramę zaraz za nami zamknięto, a ja z nią weszłam po wschodach na górę. Minawszy parę pokoiów, które mnie zdziwiły, żem nic kobiecego nie widziała, w jednym, w którym się tylko paliła lampa od sufitu wisząca, kazała mi pozostać, mówiąc: — Posiedź tu chwilę, ja zaraz powrócę!

Chciałam się wymawiać i do powozu zejść, ale, ledwie tych słów domówiwszy, znikła drugimi drzwiami, a mnie zaraz dziwny jakiś strach ogarnął, obejrzałam się i zdziwiona poznałam, że to być musi mieszkanie mężczyzny.

Cicho było dokoła, poskoczyłam do drzwi, jedne były zamknięte na klucz, próbuję drugich, także! Przerażona chciałam krzyknąć, gdy drzwi, których próbowałam, otwarły się, wszedł ten pan, co z nami mówił w ogrodzie i ukląkł przede mną.

Nie pojmowałam, co to wszystko znaczyć mogło, i słów, któremi się odzywał, nie rozumiałam nawet, wiem tylko, że przysięgał, obiecywał, zaklinał i porwał mnie za rękę, którą, gwałtownie mu wyszarpnąwszy, oparłam się o stół właśnie, gdy podczaszyc, drzwi wyłamawszy, pierwszy wpadł do nas.. Więcej nic nie wiem, bom zaraz zemdląa.

Anna rozplakała się.

— Dzięki Bogu, co cię ratował i tobie, panie, żeś nad nami miał litość — odezwał się Sieniński. — O! jabym był nie przeżył tego! truchleję jeszcze, wspominając!

W pierwszej chwili, gdy zmierzchło, a nie powracała Anusia, zaraz mnie tknęło, pobiegłem do mieszkania tej gałganicy... Już tam nie było jej ani śladu — mieszkanie stało pustką, powiedzieli stróże, że na wieś się gdzieś wyniosła.

— To była namówiona zdrada! — krzyknął Kasper, — ale któżby się jej mógł spodziewać, tak to stworzenie udawało układną i pobożną kobiecinę!

— Waćpan pierwszyś nas pociągnął swoją łatwo-wiernością!

— A nie byłeś ze mną u niej na kawie? a nie mówiłeś sam, że bardzo przyjemna kobiecina?

— Któż pociągnął i znajomość zrobił! — począł znów Jan.

I bracia kłótnię na nowo mieli zagaić, gdy Anna, całując ojca w rękę, usta mu zamknęła; postrzegli oba podczaszyca i zamilkli.

Ordyński, w którego duszy nie wiem co się działo, chmurny, złamany, gniewny, wstał z krzesła, po chwili spojrzał na Annę z wymówką gorzką i pożegnał kłaniającego się starca, rzucając mu smutek na pożegnanie.

— Módl się za duszę mojej matki!

— Podczaszyna nie żyje! — zawołali ojciec i córka z wyrazem serdecznego bólu — nieszczęście! nieszczęście!!

Podczaszyc odwrócił się i uszedł.

VIII.

Z wielkiem podziwieniem swoim podczaszyc w bramie zaraz spotkał się z cavalierem Fotofero, który w płaszczu obwinięty zdawał się nań oczekiwać; w milczeniu ujął pod rękę Ordyńskiego, wsadził do powozu i dał znak woźnicy, by jechał do nowego mieszkania.

— Skądżeś tu znowu? — spytał zdumiony podczaszyc.

— O to mniejsza, — odparł Fotofero — ale cóżes to najlepszego zrobił pan, dając tak z rąk sobie ujść ulubionej dziewczynie; na to potrzeba być...

— Cóż chciałeś, żebym ją gwałtem zatrzymał! Ty jej nie znasz!

— Nie znam jej, ale znam kobiety, — odrzekł, machając ręką, Fotofero — czasami czekają trochę gwałtu, by się poddać. Ale mniejsza o to, kto wie? lepiej się tak może stało, choć myślałem, że będzie inaczej. Cóż ci mówiła o podkomorzym brańskim, jak ją porwano? kto? wszak pewnie rozpowiadać musiała?

Podczaszyc niechętnie i krótko powtórzył powieść Anny, a cavaliere śmiał się wciąż, oczy mając wciąż wlepione.

— I pan temu wszystkiemu wierzysz? — rzekł pocichu, gdy podczaszyc dokończył! — cha! cha! miał-

żeby podkomorzy być takim, jak pan, ceremonjan-tem?

Ordyński zerwał się z siedzenia, wielkim głosem zawołałszy:

— Milcz! milcz!

Oczy mu się zaiskrzyły, pierś wzdęła, oburzył się, ale podejrzenie było wrzucone w duszę i rosnać w niej już mogło. Cavaliere nie żądał widać więcej, gdyż zaraz zręcznie bardzo zwrócił rozmowę, a podczaszyc, przypomniawszy śmierć matki, zwróciwszy myśli w inną stronę, smutny, do domu, słowa nie rzekłszy, przyjechał.

Na progu chciał go Fotofero pożegnać, ale Ordyński, poczuwszy się do wdzięczności dla niego, pociągnął go za sobą.

— Na ten raz służyć nie mogę, — rzekł cavaliere, wyrывая się — pilna sprawa woła mnie gdzie indziej, alem rad, że się pozbywasz dawnego ku mnie wstrętu i przekonywasz, że ci sprzyjam szczerze. Ja to sprowadziłem de Cerullego dla oczyszczenia ciebie, ja jeden pamiętałem o tobie, gdyś się skrywał, ja natchnąłem twoich dawnych przyjaciół, ja postarałem się o zgodę z Rybińskimi — ja wreszcie wcześniej zawiadomiłem o tobie jenerała, który już czeka na górze.

To mówiąc, potoczył się po schodach i znikł w ciemnościach.

Podczaszyc wszedł wolnym krokiem do swego mieszkania, ociągając się, bo mu teraz oznajmione odwiedziny Bauchera wcale nie były na rękę, potrzebował sam na sam smutek swój i znużenie wydychać.

— Ha! — rzekł w duchu — jenerała się pozbędę łatwo; gdy zobaczy, że go czem przyjąć nie mam, prędko się wyniesie.

— Podczaszyc! kochany mój podczaszyc! a witajże! — odezwał się Baucher, rozstawiając ręce do uścisku — przecież nam cię fata szczęśliwie wracają!

No, teraz opowiadaj mi swoją odyseę i radźmy, co począć.

Podczaszyc upadł przy nim na kanapę.

— A fe! — odezwał się generał, spojrzawszy mu w oczy — czy to się już godzi tak tracić ducha dla mizerji! Umarła matka, wszyscyśmy śmiertelni! zdradziła cię kochanka, któraż z nich nie zdradza? Nadzastałeś majątku, to rzecz do zreparowania; znudziłeś się klauzurą, tem ci lepiej światek będzie smakować. Jutro będziemy z tobą u króla.

— Poco?

— Takeśmy ułożyli, król cię z Rybińskimi *semitis arbitris* pojedna, a potem pokażesz się na dworze publicznie, i rzecz skończona. Sam słyszałem, jak n. pan, dowiedziawszy się o śmierci pani podczaszyny, powiedział: — Jam teraz jego opiekunem.

— Ale ja mam gotowe drugie zajście z podkomorzym, które mnie znów n. pana narazi.

— Co? on cię wyzwał?

— Nie, alem ja go publicznie złajał!

— A ba! nikt tego nie słyszał, prócz przyjaciół zapewne, byłeś w pasji, chodziło o kochankę, to już ja wiem wszystko, rzecz do załatwienia, obejdzie się bez kawalkaty do Jeziornej. Myśl lepiej, jak czas stracony nagrodzić, a nie o tem!

Złamany wypadkami Ordyński ust jakoś otworzyć nie mógł, bo i myśli skupić nie umiał. Odrętwiały spoczywał w tem osłupieniu, którego doznajemy, gdy wielki cios niespodzianie w nas uderzy. Noc już była uszła do połowy, gdy, widząc się zawadnym, Baucher ścisnął za rękę Ordyńskiego i kazał sobie podać karete.

Dopiero po jego odjeździe zwłókł się podczaszyc obejrzeć swoje mieszkanie i znalazł je urządzone na bardzo pańską stopę, obszerne, a co dziwniejsza, połowę w nim swoich dawnych sprzętów, jakimś cudem ocalonych. Na miejscu, które zawsze zajmował archanioł-Michał, pozostały u kapucynów, wisiał tej-

że wielkości prześliczny obrazek, wystawujący scenę wszeteczną, starego i mistrzowskiego pendzla.

Podczaszyc, rzuciwszy okiem po pokojach, uczuwszy się niesłychanie zmęczonym, padł prawie w łóżko i zasnął.

Gdy się przebudził, już nad nim stał jenerał, ubrany paradnie, i rozkazawszy podać czekoladę, nalegał na podczaszyca, aby się co prędzej ubierał.

— Musimy śpieszyć do zamku! — rzekł — bo król wyjechać może — a zatem duchem mi się ubieraj.

Przetarłszy ledwie oczy, posłuszny rozkazowi podczaszyc chwycił się z łóżka, przeszedł do garderoby, a jenerał pozostał przy czekoladzie, której wyziew połykał, studząc powoli. Tak się też dobrze obrachował z nią, że gdy ostatniego biszkekta dojadał i wodą go popijał, wyszedł Ordyński gotów, i zaraz ruszyli do zamku.

Była to godzina, w której król przyjmował tylko poufałych *à son petit lever*, w czasie, gdy Brunet i Russo pracowali z fryzjerem około stroju i głowy jego królewskiej mości. Sekretarz zwykle czytywał wówczas, jeśli nie było nikogo, listy prywatne, lub Reverdil przychodził z jakąś świeżą broszurą, najczęściej zasępiającą czoło królewskie. Czasem, gdy listów nie było, a król słuchać czytania nie miał ochoty, wpuszczano Byszewskiego, Komarzewskiego, Kickiego, Garczyńskiego, Bacciarrellego i innych, a ci przynosili z sobą niezawsze wesołe nowiny miejskie i zakulisowe, wiadomości sejmowe. Niekiedy król tę godzinę wyznaczał tym, których chciał przyjąć sekretniej, rozmówić się w cztery oczy. Pomimo jednak że jenerał z podczaszycem byli na liście zajęć tego poranku, nie zaraz ich przypuszczono; musieli czekać w gabinecie przyległym, bo król zajęty był właśnie rozmową o sprawach publicznych, nużącą go, niepokojącą, drażliwą, z ks. Łuskiną, biskupem kujawskim i kilku najpoufalszymi już u niego się znajdującymi.

Ta urywkami dochodząca oczekujących rozmowa

malowała dobrze charakter króla i stosunek jego do stronnictw, które ważniejszą na sejmie grały rolę. Partja własna królewska i prymasowska nie liczyła ani wielu, ani znakomitych ludzi, i sama przez się była bezsilną; prymas jeszcze odepchnął od siebie jednym niezręcznie wyrzeczonym i wielki rozgłos mającym wyrazem: zgraja, napiętnowawszy przeciwników wszelkiego rodzaju, czego mu darować nie chciało. Partja Potockich i Czartoryskich trzęsła tymczasem sejmem, a hetmańska i sapieżyńska podkopywała go intrygami pokątnymi, niewidocznymi, dopiero dającymi się czuć w skutku. Król bez zasady własnej, zobojętniały, przechylał się to do jednego, to do drugiego stronnictwa. Stosunki dawne, poufale i pewne węzły, co się nigdy całkiem rozprząc nie dają, łączyły go z hetmanem, Sapiehami, ostatek serca i szlachetności pociągał ku reformatorem. Nie mógł obojętnie patrzeć na usiłowania, którym poklaskiwała opinja, które nosiły cechę bezinteresownej miłości kraju. Ale te popędy szlachetniejsze trwały chwilę, niewiara, zwątpienie rozcinała nić ich pajęczą i król do hetmana powracał.

— Księżę biskupie, — słyhać było cicho mówiącego króla — szczerze powiadam, ja nic dobrego nie przewiduję. Ludzie niektórzy chcą dobrze, ale z nich nikt nie wie, jak począć; inni, sami nie wiedząc, czego chcą, krzyczą, ostatek daje się ciągnąć interesem, przyjaźnią, stosunkami. Ba, są i tacy, co o niczem nie myśląc, byle mowę rozgłosną wydeklamowali, syci. Wszystko to, daj Boże, by z dymem, a nie ze krwią poszło.

Nikt, zdawało się, nie odpowiedział na to królowi, lecz po chwili odezwał się ks. Łuski:

— N. panie, ci, co pragną reform dla kraju, nie darmo ich żądają, a wiedzą, czego chcą i czemu; drudzy też, coby się przy starem radzi osiedzieć, mają swoją rację — boją się, z domu wyszedłszy, zabłądzić w lesie... Usiłowania wszystkich wydadzą wreszcie owoc wspólny, da Bóg, piękny i smaczny. Powiększe-

nie wojska, przyłączenie się wszystkich, a z nimi i duchownych do ciężarów publicznych, skasowanie zgubnych elekcyj, przypuszczenie nieszlachty do praw wyjątkowych — dotąd *nobilitati exclusive* służących, reformy te godne statystów, co je przedsięwzięli.

— Ja też ich wcale nie ganię, — rzekł król — ale mi nikt wlać nie potrafi przekonania, żeby się to na co zdać miało: kiedy człowiek umiera, próżno myśleć, żeby mu bolący ząb wyrwać... A przytem, mój dobrodzieju, kraj nie przerabia się od fundamentów jednego dnia, na zawołanie — to darmo. Mnie nikt nie wszczepi nadziei, choćbym może za nią życie z ochotą sakryfikował.

— Byle król był z nami, — dodał ks. Łuskina — wszystko dobrze będzie...

Suchy śmiech był pierwszą odpowiedzią.

— Ten król niewiele wam pomoże.

A w mieście co tam słyhać? — odwrócił król rozmowę, jakby umyślnie unikając polityki

— Nasz podkomorzy brański — przysunął się By-szewski, który tylko co wszedł — znowu sztukę spletał: wykradł, słyszę, wczoraj ową Anusię podczaszycowi Ordyńskiemu.

— Ową to sławną Anusię, o której przed niejakim czasem tyle mówiono?

— Ale się nią długo nie cieszył, — dokończył generał szybko, nie dając się z plotką uprzedzić — prawy jej właściciel wpadł jak burza i zbezczęściwszy go, odebrał mu ją.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Niepoprawny! kiedy się to ten fajerwerk wypali — przebaknął król nareszcie, zwracając zaraz rozmowę. — Kazałem, — rzekł — żeby się tu dziś stawili podczaszycowi i natrę mu uszy za waszego synowca, mości księżę biskupie.

Na tem stanęła rozmowa, a generał, posłyszawszy, że się król o podczaszyca upominać zaczął, wprowadził go do gabinetu.

Na pierwszy rzut oka król wydał się podczaszyco-
wi jeszcze starszym, a choć wyraźne były ślady pięk-
ności i chęć utrzymania się przy niej — czas, czy
wypadki głęboko się wyryły na jego twarzy. Usły-
szawszy wchodzących, Stanisław August już ubrany
odwrócił się ku drzwiom i oblicze jego przybrało wy-
raz niezwyklej, udanej surowości. Podczaszyc skłonił
się raz pierwszy zdaleka.

— Mości Ordyński, — odezwał się król, wyciąga-
jąc ku niemu rękę — byłbym go surowo przyjął, ale
mi boleść jego usta zamyka i serce łagodzi. I ja też
cierpię nad stratą tak pełnej wysokich przymiotów
matki waćpana. Niech więc przebaczenie i zapomnie-
nie pokryje, co się stało z żywości młodzieńczej i krwi
zburzonej.

Oto jegomość ksiądz biskup kujawski, uproszony
przeze mnie, przychylając się do żądania mego, winę
waszmości darowuje, a ja z nim; ale niech to będzie
nauką dla przyszłości.

Podczaszyc zbliżył się do biskupa, który w milcze-
niu pośepnem oddał mu ukłon, potem ucałował rękę
królewską i natychmiast się wysunął; toż uczynili ks.
Łuski i generał Byszewski, pozostali tylko: król, je-
nerał Baucher i Ordyński.

Stanisław August powstał z krzesła i przybliżył się
do podczaszyca, marszcząc brwi nie bez wysiłku, gdyż
surowym być nie umiał, gniewu nie znał, nie tak z do-
broci (choć jej miał wiele), jak raczej z obojętności,
nie dopuszczającej burzy do serca.

— Wymagam po waszmości, — rzekł — byś mi
sprawy nowej z podkomorzym nie rozmazywał, po-
godzą was przyjaciele. Dość już tych pojedynków
i krwi rozlanej za kobiety, szklanki wody niewarte!
w takiej chwili wstyd się o to potykać.

Podczaszyc nie mógł nic odpowiedzieć, ale generał
podchwycił:

— Stanie się wola w. kr. mości, my to zaraz poła-
tamy, nie pojedają do Jeziornej.

— Szczęściem i tak dla waćpana, — dodał król — że sprawa o ranę Rybińskiego w nic poszła, bo pachniała nie lada czem pod sądem marszałkowskim.

— Jam był srodze obrażony, — rzekł podczaszyc — a odmówiono mi zadośćuczynienia.

— Nie mówmy o tem — przerwał Stanisław August. — Czas już wielki dla waćpana pójść śladem ojców, poprzestać życie tak trawić, potrzeba zacząć żyć dla kraju, pomyśle, by go użyć.

Podczaszyc skłonił się, całując rękę królewską, a wtem koniuszy Kicki wszedł, dając znać, że karety królewskie stały gotowe do naznaczonej przejażdżki; za nim Ryx wprowadził za sobą kamerdynerów, niosących kapelusz, laskę, szpadę, płaszcz... Paziowie w paradnych strojach na koniach, pułkownik Königsfeld, ich naczelnik... kilku ułanów stali już w dziedzińcu, oczekując, by towarzyszyć królowi. Ordyński z jenerałem ustąpił, a orszak świetny posunął się zaraz ku krakowskiej bramie i w niej znikł im z oczów.

IX.

Dzięki zabiegom przyjaciół, którymi zdawała się niewidzialna jakaś kierować ręka, Ordyński w chwili odzyskał straconą na świecie, co o nim był tak rychło zapomniiał, wziętość i przychylność. Cały więc zwrócił się znowu ku niemu, odganiając wspomnienie Anusi, do której czuł żal jakiś, usiłując sobie wmówić, że mu się okazała niewdzięczną.

Z pocziwych myśli, zasianych ręką o. Spirydjona i wschodzić już poczynających, wkrótce nic nie pozostało, zagłuszyły je inne, stare chwasty dobywające się z pod nich, nie wytrzebione jeszcze, ścięte tylko. Otaczający też znowu podczaszyca przyczynili się przykładem swoim do utrzymania go na tej drodze, a codzień wszechwładniej kierujący umysłem jego ca-

valiere rzucał nim jak piłką, pilnując, by zawsze popychać w stronę własnych jego namiętności.

Kilka łąz ledwie wylawszy po matce, ale grubą po niej wdziawszy w początku żalobę, podczaszyc znów się zdał w ręce Frejera, któremu dom swój i życie powierzył, a kierunek interesów ogólny przyjął plenipotent, jakich naówczas nie brakło.

Podczaszyc zawezwał do porady tylko w początku przedstawionego mu przez jenerała Bauchera niejakiego Lebiedzińskiego, dawniej podstarościę piotrkowskiego, a ten tak umiał nim owaćdnać i podobać mu się z układności swojej, że wkrótce wszystkie jego interesa powierzone mu zostały z najobszerniejszem do ułożenia ich pełnomocnictwem.

Podczaszyc, urządziwszy dom, pozostał w Warszawie, a że nowy lokal, który mu cavaliere wyswatał, bardzo zdawał się wygodny, tu się rozgościwszy, dawne począł sobie życie. Dom zajmowany przez niego, choć nieco od środka miasta oddalony, należał do piękniejszych budowli nowych; lecz pod bokiem mieszkał de Cerulli, który się był wyniósł z Senatorskiej ulicy, co także swoją miało cenę. W dodatku, w parę dni po zamieszkaniu, cavaliere poprowadził podczaszycę do okna, pokazał mu tuż naprzeciw obok Cerullego bardzo piękną twarzyczkę... Ordyński się zapalił, Fotofero śmiać począł i nie chcąc powiedzieć, ktoby to był, uciekł, zostawiając go pod wrażeniem wywołanem umyślnie.

Wysłani na zwiady natychmiast, bo podczaszyc gorąco brał rzeczy, donieśli mu, że to była ulubienica de Curellego, warszawianka wszakże, Kozłowska, sławna z niecnoty, znana pod imieniem pięknej Julji, niedawna kochanka eks-podskarbiego, a choć Ordyński marzył o większej niż podobna zdobyczy, nie mógł się, pomimo wstrętu, oprzeć uczuciu, które go ku niej ciągnęło.

Przyszło to tak jakoś nagle, zaskoczyło go tak

gwałtownie, że się nie opatrzył jak zabrnął daleko, jeszcze do niej i słowa nie przemówiwszy.

Sprawa o porwanie Anusi i zajście z podkomorzym zaraz nazajutrz staraniem wspólnych przyjaciół ułatwioną być miała; ale podkomorzy, który widać że za wolą królewską musiał ukończyć spokojnie, drożył się przecie z początku i śmieie stawał. Pośrednicy więc latali, chodzili, szeptali i robić się jeszcze zdawali, co już było dokończzone, a generał jadł z obu stron i pił z obiema, co mu wybornie dogadzało.

Podczaszyc ruszył tymczasem w świat, głodny będąc wszystkiego: kart, kobiet, śmiechu i zabawy. Sama wdzięczność wymagała widzenia się z de Cerullim, który oswobodzonego otwartemi powitał rękami, ale tonem daleko więcej protekcyjnalnym niż dawniej. Zdziwił się podczaszyc, widząc w nim taką zmianę, zdobyte nowe stanowisko na świecie i wpływy, jakie ten człowiek wywierał na wszystkich, ale mu je wytłumaczył charakter posłannika Wschodu. Pokoje się u niego nie wypróżniały nigdy, gra ciągle wrzała, lało wino, rzucono pieniądze garściami, rujnowali się gracze, a wśród tego szumu dostrzec było łatwo pilnemu oku jakichś zmów potajemnych, narad pokątnych, których gra i zabawa były pokrywką tylko. W salonach Włocha spotykały się osoby najwyżej stojące, których gospodarz jak równych traktował poufale, niekiedy dawał im rady i znajdował zawsze posłusznemi swemu sterowi. Widać było, że Cerulli piastował jakąś tajemną władzę i miał znaczenie wielkie w gronie, które go otaczało.

Tuż obok jego mieszkania, ale nigdy nie pokazując się na pokojach pełnych gości, zajmowała obszerny lokal piękna Julja. Okna jego wprost były zwrócone ku oknom domu Ordyńskiego; przez nie to pierwsza zawiązała się znajomość, i zdaleka ją widząc, tak się był już podczaszyc zapalił, że przysiągł generałowi, jako nic w życiu nie spotkał nad nią cudowniej pięknego.

Biedna Anusia zdawała się skazana na ciężką walkę bezsilnego pragnienia z losem, z biegiem wypadków niepowstrzymanym, przeciw którym otwarcie nawet stanąć nie mogła. Całym orężem jej była modlitwa. Ale czemże modlitwa, co niebo porusza? kiedy do Boga dochodzi gorącemi oblana łzami, często dla nas samych Bóg jej wysłuchać nie może. Nasze łązy dziecinne i nierozumne pragnienia mogą tam być porachowane w dalekiej przyszłości, lecz w chwili, gdy je posyłamy, rzadko sprowadzą, czego pragniemy gorąco, bo pragnienia nasze dla nas lub drugich trucizną. Więc próżno szły w niebo modlitwy, a serce cierpiało.

Porwanie niespodziane, przestrasz, uratowanie i ta chwila, którą przeżyła z głową spartą na ramieniu podczaszyca, wstrząsnęły całą jej istotą; nieznane światy marzeń otwarły się przed nią, a z niemi powracała w ten kątek ciemny, smutny, odosobniony, w którym żyć musiała sama z myślami tylko swojemi. Owe sny dawne, posłannictwo, które spełnić miała w Warszawie, ciągle snuły się przed tęsknemi oczyma, ale jak mogła je spełnić? Biedziła się, nie pojmując, że może, sama o tem nie wiedząc, będzie narzędziem ratunku. Wiedziała, że podczaszyca brnął znowu z przyjaciół w życiu, jakie był przed śmiercią matki rozpoczął, z większą jeszcze swobodą, z większem poniżeniem, bo pod pozorem, że między równymi sobie serca nie znalazł, zaprzeczał istnieniu serca i szukał tylko roztargnień, płacąc za zabawę. Jak go stąd było wyrwać i ocalić, gdy zbliżyć się nawet wstyd było ku niemu, poza wał brudów, który go otaczał.

Łzy jednak często płodniejsze są, niż sądzymy: one jak rosa niebieska padają niepostrzeżone, podziewają się gdzieś nieobrachowane, a zwilżają i żywią przestrzenie dalekie.

W kilka dni po uwolnieniu podczaszyca o. Spirydjon, niespokojny także o Ordyńskiego, bo go, jak

duszę, dla której była nadzieja ratunku, polubił i przywiązał się do niego, przyszedł dowiadywać się u Sienińskich, co się z nim działo. Zastał Anusię tak rozpaczającą prawie, że się aż zdumiał i zafrasował.

— Moje dziecko, — rzekł — rozpacz do niczego nie doprowadza, i owszem, spacza człowieka tylko, czyniąc go do wszelkiego czynu niezdolnym. Można co robić, róbmy, a nie, to się módlmy, by Bóg w łasce swej za nas czynił. Ufajmy mu jako Ojcu, drogi Opatrzności niezbadane! Miałem czas poznać Ordyńskiego lepiej; szlachetna to dusza, poczciwy chłopiec, ale zgangrenowało go lada jakie wychowanie. Któż to wie? czasem najnieporządniejsza młodość bywa przed-sionkiem poczciwego życia. Ja mam taki nadzieję, mam przecucie, że go nam Bóg powróci...

— To chyba cudem i twoją modlitwą, mój ojcie — odpowiedziała Anna, całując jego rękę.

Na te słowa wszedł pan Kasper, od niejakiemu czasu zmieniony wielce, z głową spuszczoną, twarzą zwiędłą, oczyma wpadłemi; kapucyn, spojrzawszy nań, powtórę się zakłopotał.

— A co ci to, panie Kasprze, — spytał — wyglądasz mi jak z krzyża zdjęty?

— Nic, ot tak nie mam się dobrze, po kościach chodzi czy choróbsko, czy starość.

— Trzebaby w złem zdrowiu lepiej o sobie pamiętać, — rzekł kapucyn — waćpan nadto już skąpisz na wszystko.

Panu Kasprowi aż oczy błysły, gdy tę wymówkę usłyszał.

— Skąpię! skąpię! — rzekł prawie gniewny — no! bō nie mam!

— Ale jeśli ci, stryju, potrzeba czego, — przerwała Anna — mów, mybyśmy się postarali.

— A co ma mi być potrzeba? nic — ot, jak przyszło, tak i przejdzie.

Kapucyn, chwilę tylko zabawiwszy, śpiesząc do swoich owieczek, ruszył zaraz w dalszą drogę, rozsypawszy krzyże błogosławieństwa na dworek Sieniń-

skich, a po odejściu jego pan Kasper zamyślony pozostał na krześle w pokoju Anusi.

Od porwania synowicy widocznie gryzły go więcej niż potrzeba omylone nadzieje, które młodość umie przeboleć łatwo, a wiek późniejszy nie zawsze przeżyć potrafi. Nie dziw, ostatecznie to życia kwiaty. Od chwili, jak się przekonał, że cała historia owej bogatej wdówki była niepoczciwem podejściem, Kasper tak sobie wyrzucał postępowanie swe, łatwowierność i tak cierpiał, że się dał oszukać, że aż wymizerniał i do reszty spadł z ciała.

W dni kilka potem, coraz czując się gorzej, położył się przed zwykłą godziną — nazajutrz chciał pójść na mszę i od bramy powrócić, wreszcie całkiem obległ bezsilny. W domu z powodu tej słabości niepokój stał się wielki, posłano do kapucynów po o. Spirydjona i po doktora w drugą stronę. Nadbiegł o kiju kapucyn, nadszedł stary Niemiec okularowy, i oba uznali, że źle było koło pana Kaspra.

Stary milczał, oczy trzymał wlepione w jedno miejsce, a rękoma wciąż koło siebie niespokojnie skubał. Powolnie wywiązywać się poczęła jakaś złośliwa gorączka, która, pomimo wszystkich środków lekarskich, jakie zaraz użyto, niczem się przerwać nie dała. Życie więcej niż oszczędne, bo niemal niedostateczne do utrzymania sił wiekiem nadwątłych, przyczyniło się też wielce do postępów choroby, na którą złożyły się starość, zmartwienie i wycieńczenie.

Ledwie trochę mu przytomności przyszło, by się wypowiedzieć przed o. Spirydjonem, potem, gdy wpadł w malinę, już z niej wyjść nie mógł. Brat i synowica siedzieli nieprzerwanie u łóżka jego, ale miasto, żeby go to pocieszać miało, drażnić się zdawało jeszcze. Szarpał się na ich widok, jakby napastników czyhających na jego mienie widział, zaklinał ciągle, że nic nie ma, przysięgał, że ubogi i miotał w strachu o jakąś szkatułkę, którą ciągle wspominał.

Był to jedyny przedmiot, o którym w czasie choroby mówił, a im silniej wzmagala się gorączka, tem

i strach o skarby się powiększał. Na przesileniu wreszcie, nie mając dość siły, by je przetrwać, stary począł się mieć znacznie gorzej, a doktor odszedł, nie wprawdzie nie powiedziawszy, ale z bardzo znaczącem kiwaniem głową.

W nocy zdrzemnęła się na chwilę Anna, usnął brat, a gdy się przebudzili nad rankiem, z przestraszem nie ujrzeli już starego w łóżku. Biedny obwinęty kołdrą, nie wiedzieć z jakiego powodu, pobiegł w nocy do komina, usiadł, skurczywszy się w popiele i tak mizerne życie swe skończył.

Wypadek ten nowe kłopoty, zajęcie i smutek spowodził na dworek Sienińskich — potrzeba było myśleć o pogrzebie, zająć się sprawami brata, a Jan, też ciężki dość, ledwie rady mógł dać sobie. Anna szczerze płakała po stryju, który był dla niej nieraz towarzystwem pożądanem i zabawiał ją gawędką wesołą, lub modlił z nią razem.

Spadek po nim, chociaż ci, co go dawno znali, jednogłośnie się zgadzali, że musiał mieć znaczne pieniądze, bo miał zręczność je nabyć a skąpił niesłychanie, nie przyniósł nic oprócz dworka. Przeszukano po wszystkich kątach tych mniemanych skarbów, ale nigdzie ani grosza nie znaleziono. Kuferek zawierał trochę gratów nic niewartych, po kątach izby walało się mnóstwo butów wszystko starych, gdyż innych pan Kasper nie kupował i nie nosił, nad głową łóżka wisiał zegarek z jednym indeksem a dwoma kopertami — i nic więcej.

Gdy starca wyniesiono drugiego dnia na Powązki, tak smutną pustką z wonią kadzideł i świec woskowych stał się im dworek, że Anna rada była uciec z niego, ale nie było dokąd, musiała zostać i cierpieć. Ona i ojciec przez cały wieczór przesiedzieli, modląc się w milczeniu, przygniecenii smutkiem.

Jan przecież, prędko ochłonawszy ze smutku tego, wypocząwszy, rozmówiwszy się z ludźmi o nieboszczyku, znalazł sobie zatrudnienie, gdyż mu nabito

głową, że gdzieś koniecznie muszą być schowane pieniądze.

Nic smaczniejszego nad grosz, co tak darmo bez potu przychodzi, to też Jan począł gorliwie poszukiwać go wszędzie, ale napróżno przetrzesiono górę, piwnice, skrytki, schowanki, szukano, stukając w ściany, czy gdzie nie było co zasklepionego, nigdzie nie znaleziono ni śladu.

Nie zraził się niepowodzeniem Sieniński, czas dzieląc między drzemkę i odpoczywanie. A że roił o spadku na jawie i śnił o nim nocami, często wstawał, mówiąc do Anusi:

— Śniło mi się, że nieboszczyk tam a tam skarb swój schował.

Anna ruszała ramionami, inny skarb mając w sercu! Ale gdy tak po tygodniowych poszukiwaniach daremnych marzy raz głośno stary, odpowiedziała wreszcie z rozłargnieniem:

— Darmo to szukać podobno, kiedy nic niema, gdyby co było, to chyba w kominie, w którym pan Kasper umarł, bo niepróżno tam z łóżka poszedł.

Powiedziała te słowa nawiasem, nie spodziewając się okropnych skutków, jakie miały spowodzić.

Jan aż się pochwycił na tę myśl, uderzającą go prawdopodobieństwem, i w tejże chwili, zabrawszy świecę, pobiegł do izdebki pana Kaspra. Komin był zamurowany oddawna nie wiedzieć dlaczego, może, aby chłodu nie prowadził do izby, której ciepła przez skąpstwo lokatora udzielać nie mógł; leżały w nim resztki zbite odwiecznego popiołu i śmieci. Rzucił się na to pan Jan chciwie i nic w nich nie znalazł; uderzyła go jednak wielka szara płyta kamienna przed ogniskiem leżąca, której róg jeden zdawał się trochę wyszczerbiony, jakby ją niedawno czemś żelaznem podważono. W kącie stał właśnie gruby, żelazny kruczek, który dziwnie się założył pod kamień, jakby tam już niejedną raz bywał. Sienińskiemu aż serce podskoczyło, dobył wszystkich sił, dźwignął i kamień się poruszył... krew oblała mu twarz z radości, choć

z wyteżenia uczuł razem, jakby coś w nim pękło; syknął tylko i nie zważał na to.

Anna, stojąc we drzwiach, patrzyła dość obojętnie.

— Ojcie, ojcie, nie morduj się, zmiłuj się, to kamień ciężki, tyś niesilny i chory...

Ale nie było sposobu go odciągnąć, a wezwać do pomocy nie chciał nikogo, żeby się nie wydało, co znalazł. Założył kruczek raz i drugi, oba razy poruszył płytę, ale podjąć jej nie mógł; usiadł na podłodze, niecierpliwie pochwycił oburącz kamień, a tak mu dłonie drżały! Kogóż bo pieniądze nie oszala, komu do nich nie zabije serce, choć zgrzybiałemu i na progu trumny.

Anna, widząc, że ojciec ostatka sił dobywa, napróżno go błagała w początku, by to do jutra odłożył, przyszła wreszcie pomoc mu sama, i tak jakoś we dwoje odwalili płytę, pod którą... znaleźli tylko dużo śmiecia i pyłu...

Stary począł go odgrzebywać, a gdy nareszcie ręka jego oparła się o antabę szkatułki dębowej, krzyknął tak dziwnie, że aż się córka przelekła.

— Są! są! pieniądze są! Znaleźliśmy i dobrześ przeczuła — zawołał prawie nieprzytomny.

Ale tu trudniej jeszcze było, niż z kamieniem, bo szkatuła, wbita mocno i dawno zapewne niewyciągana, siedziała uparcie w swej kryjówce.

— Do jutra, ojcie kochany, — prosiła Anna niemal rozplakana, całując ręce starego — do jutra!

Pan Jan nie dał sobie mówić, i zębami, rękoma, krukami, sznurkami pouwiązywanymi rwał do siebie tajemniczą szkatułkę, która się wreszcie ruszyła, przewróciła bokiem i z wielkim mozołem dała wyciągnąć na brzeg. Zaledwie tego dokonawszy, Sieniński tak się uczuł podźwignięty i schwycony boleścią nagłą, że nie mając czasu zajrzeć nawet, co tam było w dobytej kryjówce, dowlóknął się ledwie i legł na łóżku pana Kaspra.

Wszystko to razem, jak sen jakiś poczwarny a przerażający, przejęło Annę strachem niewysłowio-

nym. Zaledwie Jan położył się na łóżku brata, którego skarb zakłęty poruszył, ognista myśl śmierci jego, sieroctwa przeleciała serce Anny.

Cały więc czas do rana upłynął w niepokoju niewysłowionym i męczarniach chorego. Szkatuła, pierwsza przyczyna choroby, której odkrycie z łzami krwawymi wyrzucała sobie Anna, leżała na podłodze. Jan z oka jej nie spuszczał, ale tak cierpiał poderwawszy się w najniebezpieczniejszy sposób, że już nawet wstać dla obejrzenia nabytku nie mógł. Prosił jeszcze, mimo cierpienia, Anny, by mu ją przysunęła, otwarła, ale biedne dziewczę dokazać tego nie mogło, a sługi i Hołodrygi obawiał się Sieniński.

Noc wiekiem się wydała, i gdy pierwsze dzwonki po klasztorach zabrzęczały, przykrywszy wedle rozkazu ojca szkatułę i komin gratami, Anna pobiegła budzić i wysłać Hołodrygę po doktora. Choć kłął żebrak, ale wytrzeźwiony posłuchał przecie i poszedł. Nim się dowlókl, dostukał, wytłumaczył (co mu nie było łatwo, bo go tylko znajomi, przywykły do jego mowy, zrozumieć mogli), choroba pana Jana, zwykle w takich razach gwałtownie się rozwijająca, już coraz groźniej objawiać się poczyniała. Chory nade dniem począł mieć silną gorączkę, a co najgorzej, trwożył już o sobie. Jakaś idea przesądna przekleństwa braterskiego za naruszenie jego skarbu owładnęła jego umysłem i obawa śmierci ogarnęła gwałtownie serce. Doktor, który nadbiegł, przedsięwziął co tylko było można, ale odchodząc, spojrzawszy z politowaniem na Annę, która w rozpacz i przerażenie traciła całkiem przytomność. Nie było jej komu pocieszyć, pomóc, ratować i radzić, położenie stawało się każdą godziną rozpaczliwsze. Jak anioł opiekuńczy, zjawił się przed końcem dnia o. Spirydjon. Dowiedział się on o chorobie drugiego brata Sienińskiego i, nie zważając na spóźnioną porę i znużenie, przybiegł zaraz do dworku.

Zastał Annę we łzach, leżącą krzyżem przed obrazem Zbawiciela, doktora przy starcu bez nadziei już

chorym, zamęt i znowu jakieś przeczucie śmierci, która tak szybko raz po raz nawiedzała ubogą strzechę. Zaledwie go ujrzało dziewczę, rzuciło mu się do nóg, płacząc.

— Ojcie! ojcie! ratuj nas! Ojciec mój umiera!

— Cóżto jest? skąd to? co się stało? czy przypadek jaki? — spytał kapucyn — wszak go niedawno zupełnie zdrowym widziałem.

Anna opowiedziała wszystko i zaszła się znów z płaczu, przypisując sobie przyczynę wypadku, chociaż istotnie chciwość starca była powodem jego śmierci. Nie chciał oczom swym wierzyć o. Spirydjon, żeby słabość mogła się rozwinąć i stać groźną w tak krótkim czasie, poszedł do lekarza, ale ten otwarcie mu wyznał, że gorączka już się poczęła rozwijać, a chory żyć nie może.

Trzeba było widzieć oblicze o. Spirydjona, gdy człowiek walczył w nim z kapłanem, obawa ziemską i żal z poddaniem się woli Opatrzności. Dwie łyzy srebrzyste potoczyły się po zwiędłych, zmarszczonych policzkach, załamał ręce, milczał, znać było, że się łamał z sobą, a przeżegnawszy potem szybko, wskazał lekarzowi ręką pokój bliski, sam do obowiązku kapłana wracając, póki czas było jeszcze.

Jęk biednej sieroty sam jeden przerywał tę uroczystą chwilę, w której dusza chrześcijanina, powołana na sąd niespodzianie, przygotowywała się do niego sakramentem najwyższej pokory... Długo mówili z sobą, chory chwilami odzyskiwał przytomność, to znów stękał i bolał okropnie; w ostatku, gdy sprawy duszy załatwił, oddał w opiekę o. Spirydjona Annę i wszystko, co miała. Słusznie obawiając się o zebrany mająteczek sierocy i swoje mienie, i to, co po panu Kasprze tak nieszczęśliwie zdobył, zdał wszystko na ręce zakonnika dla deponowania w klasztorze. Chciał jeszcze obmyśleć dla Anny opiekę jakąś i wymówił z trudnością imię Ordyńskiego, gdy bóle go porwały i dokończyć mu już nie dozwoliły.

Trudno odmalować to, czego doznała Anna w tak

krótkim przeciągu czasu, dotknięta wszystkimi ciosami boleści, jakie tylko może przynieść życie — tracąc opiekunkę, stryja, ojca, wiarę i szacunek dla tego, którego kochała i zostając sierotą tak osamotnioną na ziemi, jak żaden ptaszek, co tylko Boga ma nad sobą, samotniejszym nie jest.

Męczył się jeszcze stary Sieniński dni parę, bez żadnej życia nadziei, walcząc tylko z boleścią... nareszcie śmierć zamknęła mu powieki, a bolesny krzyk Anny rozległ się po pustym dworku razem z ostatniem tchnieniem konającego.

XI.

Dzięki nieodstępniemu przyjacielowi i panu de Cerrulli, z którym dla gry i dla zbliżenia się do pięknej Julji codzień był lepiej podczaszyc, życie jego pędem szło w kierunku zguby, wiodąc go na niechybne przepaści. Ale wśród ówczesnego świata i prawie powszechnej rozpusty, upadku fortun, zwalania się imion widok ten nawet oczów nie zwracał, nie dziwił, nie wzbudzał litości.

Życie to stratne, nieopatrzone, pańskie, jakgdyby jutro świat się miał skończyć wyglądające, pochłaniało niezmierne sumy. Znowu więc podczaszyc pożyczął bez rachunku, wydawał bez rozwagi, przy nim wciąż ów szatan kusiciel szeptał mu rady namiętności jego podlegające.

Wkrótce pojednano podczaszyca z podkomorzym brańskim, a ten w pierwszej rozmowie dla dogodzenia swej próżności, choć nic nie śmiał powiedzieć na Annę, jednym ją znaczącym spotwarzył uśmiechem.

Podczaszyc zapragnął ból, jakiego doznał, krwią rozlaną ugasić, ale nie mógł żądać tłumaczenia z uśmiechu. i musiał cierpienie skryć w sercu, w którym już trupami leżały niejedna dawna boleść i niejedno wspomnienie.

Miłość dla pięknej Julji ogarniała go teraz całego,

a do wzrostu tej namiętności może i położenie kobiety, strzeżonej ściśle, przykładało się. De Cerulli zazdrosny, czy nie, jako Włoch, uchodził za szatana zazdrości, a sam cavaliere, dopomagając do miłostek, nieustannie ostrzegał podczaszycą, żeby się na zemstę jego współziomka nie narażał...

W ten sposób podżegano go jeszcze i drażniono. Julia pokazywała mu się w oknie tylko, ale oczy jej miłośno spoglądały na podczaszycę, paluszki wkrótce poczęły słać pocałunki, usta zdawały się mówić, że radaby zbliżyć się do niego.

Podczaszyc kilka razy próbował potajemnie dostać się do mieszkania Julji, choć na chwilę z nią widzieć, zawiązać stosunki jakieś, ale na każdym kroku znalazł nieprzełamaną zaporę: drzwi, ludzie, żelaza i oczy ją strzegły.

— Słuchaj, — rzekł zniecierpliwiony tem do Fotofera, przybyłego w odwiedzinę jednego poranku — jakto może być, żebym ja się dał temu Włochowi pokonać i odszedł z niczem?

Cavaliere namyślił się, zmarszczył, zadumał.

— Ha! ha! — rzekł — byłby może sposób, ale to trudno, bardzo trudno!

— Jaki! mów, użyję jakiegokolwiek!

— Przyznam ci się, — szepnął pocichu cavaliere — że de Cerulli ma tylko jedną słabość, przez którą do niego trafić można. Widzisz, na jakiej stopie dom trzyma, co go kosztuje życie, a jednak to człowiek niezmiernie chciwy! kto wie?... możeby się połąkomił na pieniądze, bo poczyną stękać, że go Julia drogo kosztuje.

— Na pieniądze! w to mi graj! — klasnął w ręce podczaszyc — to najlepiej, zapłacę mu, co zechce, niech mi ją odstąpi. Myślisz, że ją sprzedam?

— Nie wiem, spróbuję, pogadam, namówię, nie wspominając, od kogo wychodzi propozycja.

Podczaszyc uściśnął tak nieocenionego przyjaciela, powierzył mu całkowicie losy swoje i wyprawivszy go z pełnomocnem poselstwem, sam pozostał

w domu, niecierpliwie czekając, co mu przyniesie. Cały jednak dzień dał niepokojom wzbierać cavaliere, i nie pokazał się aż trzeciego. Ordyński wybiegł na przeciw niemu na wschody, a że miał u siebie kilka osób, porwawszy go pod rękę, zamknął się w gabinecie odległym.

— Co, — spytał — jakże idzie interes?

Cavaliere spuścił głowę.

— Żle, — rzekł — de Cerulli ani słuchać chce... Podczaszyc ręce załamał.

— Jakto? za nic?

— Nie śpieszmy, — przerwał poseł — kto wie, myśl rzucona może powoli wyrosnąć w nim, na to tylko potrzeba czasu. Wprzód, gdym mu to powiedział, zakrzyczał ze zgrozą, potem w godzinę sam mnie o to zaczepiał... Kto wie, co będzie jutro?

— Więc choć trochę mogę mieć nadziei.

— Będziemy robić, co tylko można; ty wiesz, — dodał pośrednik — jak ci sprzyjam i do jakich ofiar na usługi twoje gotów jestem.

Skłonił się; wyszli, podczaszyc rozogniony, on zimny i drwiący.

Znów upłynęło dni parę, w ciągu których durzył się, jak mógł, podczaszyc, chodząc od okna, z którego widział Julję, do stolika gry i kieliszka.

Cavaliere się nie pokazywał. Wieczorem trzeciego dnia oderwał go nagle od stolika i uprowadził do gabinetu.

— Śpieszmy, — rzekł żywo — rzecz się zrobić może, de Cerulli potrzebuje tysiąca dukatów, zgrał się trochę wczoraj, zaczepił mnie sam o targ, płac i bierz swoją ukochaną.

Podczaszyc porwał się za włosy, grósza przy duszy nie miał.

— Ale ja właśnie jestem bez pieniędzy!

— To nic, pożyczmy, choć na większy procent dla pośpiechu, bo tu z godziny korzystać potrzeba; napiszesz potem do Lebedzińskiego, przyśle z Głuszy.

Daj skrypt do roku na tysiąc kilkaset, a dziś jeszcze swoją mieć będziesz.

Ordyńskiemu zawróciła się głowa, siadł, napisał, i zataczając się prawie, rozmarzony do gry powrócił.

— O północy! — szepnął mu w ucho cavaliere. — Zabiorę ją i przywiozę tutaj, przygotuj dla niej pokój, bo kapryśnego będziesz miał ptaszka, a ciesz się swem szczęściem, którego ci pierwszy mam honor powinszować.

To mówiąc, Fotofero schował papier do kieszeni, a uśmiech towarzyszący słowom jego tak był dziwnie chytry i szyderski, że podczaszyc, pomimo namiętnego zaślepienia, nieco się uląkł.

Przeszło to jednak jak lekka chmurka. Posadziwszy kogoś na swoim miejscu do gry, polecił sam urządzać dom, przygotowywać się uroczystie, chcąc obchodzić przybycie pięknej Julji, którą przyjaciołom jako metrese *en titre* miał prezentować.

Wieczera wspaniała w mgnieniu oka przygotowaną została. W zamku, gdzie jenerał miał wielkie stosunki z Tremo i Schützem, prawie zawsze dostać było można pasztetów, cukrów, ciast, galaret i t. p., posłano z karteczką karetę i wszystko w mgnieniu oka przybyło, choć suto opłacone, ale duchem gotowe. Wino, owoce, likwory znalazły się w sklepach na rozkaz, a sala jadalna przed północą połyskiwała blaskiem luster, świec jarzących, zwierciadeł, porcelany i bronzów, wśród których zielone gałęzie kwiatów i owoce misternie rozrzucone ślicznie stanowiły obrazek. Umiano naówczas tak ustawiać stoły, że i dla oczu pięknymi były, i pociągającemi dla smakoszków; dziś to już zapomniana sztuka.

Północ wybiła na zegarach miejskich, gdy turkot karety, zatrzymującej się w dziedzińcu, wszystkich ustawił w szeregi ciekawe. Podczaszyc wybiegł, drzwi się otworzyły szeroko, i piękna Julja, wiedziona przez Fotofera, ukazała się na progu, oglądając śmiało po zgromadzeniu. Ordyński podał jej rękę, z uczuciem wpatrując się w tę twarzyczkę, która, w tej chwili dość

surowa i zimna, zdawała się przypatrywać i liczyć nowych poddanych.

I zbliższa była piękna ta sławna Julja! uroczo piękna, ale dziwnym wdziękiem kameleona, który, nie mając własnego wyrazu, z łatwością niepojętą zmienia się i przeistacza co chwila.

Gdy weszła, oczy wszystkich zwróciły się na nią, znowu podniosły się przygotowane kielichy, i szumny toast, któremu towarzyszyła muzyka, podniósł się na sali. Julja uśmiechnęła się tylko, spojrzała w twarz podczaszycowi, jakby mu się bliżej chciała przypa- trzyć, odwróciła z lekkim ukłonem do gości i siada- jąc na pierwszym miejscu, gdy przechodzili przez sa- lę jadalną, zawołała:

— No, siadajmy jeść, Michasiu! jestem okrutnie głodna, do trzystu djabłów!

Oklaskiem przyjęto ten wykrzyk grubjański, pod- czaszyc się trochę zmarszczył, ale humorem nadrobił i przysiadł się przy królowej uczty, która na początek kieliszka likworu zażądała.

Jenerał trącił w bok łokciem sąsiada.

— Takuteńka była u ks. Nestora, szatan baba, zo- baczycie dalej!

Niektórzy z biesiadników, co jeszcze pięknej Julji nie znali, na widok niespodziany prześlicznej kobie- ty, której mowa i głos w takiej były sprzeczności z wrodzonym wdziękiem, ogromne zrobili oczy, inni poklaskiwali oryginalności. Ordyński widocznie nie- bardzo był rad swej ekscentrycznej kochance, wołałby był pospolitszą, ale cóż było począć?

— Ja ją przeistoczę — rzekł, pocieszając się w duchu.

Zaczęła się rozmowa, do której w początku nie- wiele się mieszała piękna gospodyni, ale zaspokoiwszy głód pieczysem a pragnienie kilku kieliszkami cy- pryjskiego wina, które jej wcale główki nie zawróci- ło, rozochociła się jakoś.

— Widzę po tej kolacyjce, — rzekła, odwracając się do podczaszycy, którego bez ceremonji pocałowa-

ła w twarz głośno przy rześzystych brawach — że z ciebie porządny chłopiec i dobry gospodarz, wypiję twoje zdrowie, podobasz mi się doprawdy.

— Zdrowie podczaszyca! — huknęła za Julją kompanja.

— Będzie mu tu zdrowie! — szepnął jenerał.

Wszystko aż do ostatniego wybryku zwycięsko uszło pięknej Julji, wdzięk twarzy tak zaślepia!

XII.

Anna nie miała ojca. Zimne jego zwłoki czarny wóz i szereg księży wywiódł na cmentarz miejski, gdzie w tłumie mogił tysiąca wkrótce tej jednej znaleźć nie będzie można. Za trumną, prócz Anny w żałobie i we łzach, nie było prawie nikogo; posłano do podczaszyca, bo go o. Spirydjon myślał śmiercią starego sługi obudzić, ale kogo zgon matki nie wyrwał z szalów rozpusty, mógłże zgon obojętnego poruszyć człowieka? Podczaszyca właśnie był po wczorajszej uczcie weselnej. Zamknięty z piękną swą Julją, gdy mu o śmierci Sienińskiego oznajmiono, przeczytał kartkę, ruszył się i upadł na kanapę. Anna mu przyszła na myśl, jej sieroctwo, opuszczenie, czekający ją może niedostatek. Żal mu się trochę zrobiło dziewczęcia, potem zagadała zemsta, przemówiło lenistwo, zawarczała namiętność, odłożył do jutra i na pogrzeb nawet nie poszedł.

Jedynym opiekunem Anny pozostał o. Spirydjon, który w niepokoju o los jej, choć nie doradzał zakonnego życia, namawiał na schronienie w klasztorze. Było to w kilka tygodni po pogrzebie, a dziewczę, już ochłonawszy z pierwszych wrażeń, co je w początku przybiły, odzyskiwało wolę, zapał i siły. Opłakując ojca, Anna nie straciła z oczu towarzysza swej młodości, dla którego tu przybyła, chciała go ratować jeszcze, a uczuwszy się teraz swobodniejszą, myślała dziełu, przez starośćinę wskazanemu jej we śnie,

poświęcić się teraz cała. Klasztor więc nie odpowiadał wcale jej zamiarowi, musiała pozostać wolna, a nie chcąc i nie mogąc mieszkać sama, odezwała się śmiało o radę do o. Spirydjona.

— Wszak może ufność twą zyskałam, ojcze! — odpowiedziała mu — widziałeś mnie w różnych życiach wypadkach, znasz mnie trochę! Chcę pozostać sama i swobodna, nie taję dlaczego, bo muszę ratować podczaszycę. Jak? nie wiem, ale silnie chcę i starać się muszę!

O. Spirydjon ruszył brwiami i zażył tabaki.

— To mi się nie podoba, — rzekł — bo to nie kobieca rzecz, rady sobie nie dasz, a zgubić się dla niego łatwo. Ja ci dziś wierzę, moje dziecko, ale czy jutro pozostaniesz tak, jak dziś, nie ręczyłbym. Ludzka natura jak garnek, o którym póki surowy nie mówić, aż się z nim ukrop zagotuje.

— Ale ty, ojcze, znasz najlepiej, że serce mam dotąd niezepsute, a gdyby w nie co złego wkraść się miało, wierz mi, poczuję i przyjdę po radę.

O. Spirydjon zamilczał.

— Ale cóż myślisz począć, szalona głowo? — zapytał, ruszając ramionami.

— Sama nie wiem; robić będę co można, czem mnie natchną okoliczności. Środki zależą trochę od tego, co mi ojciec i stryj zostawili; nigdy się, ojcze, nie pytała o to, dziś proszę, powiedz, co mam?

— Właściem ci o tem przyniósł wiadomość, — odpowiedział kapucyn, dobywając papierów z rękawa — wezwałem kilku świadków, zrobiliśmy rachunek i — tu spojrzał na dziewczę okiem badawczem, śledząc każde jej drgnienie — i powiem ci, że jesteś bogatą, bardzo bogatą nawet.

Anna zarumieniała się, jakby z radości.

Ksiądz zasmucił się.

— Cieszysz się? — spytał.

— Cieszę się, — odpowiedziała — bo użyję tego grosza, aby go wydzwignąć i uratuję! Bez dostatku

trudniejby mi to może dokazać było. Ale skądże to niespodziane bogactwo?

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, — rzekł starszek — ojciec twój w pocie czoła zebrał ci kilka tysięcy czerwonych złotych, pan Kasper, nie wiem jakim sposobem, zostawił ich po sobie w czystem złocie kilkadziesiąt tysięcy, dość piękne klejnociki, oszacowane także na tysięcy kilka, skrypta pewne i zastawy.

— Jakże mu to przyszło?

— To tajemnica między nim a Bogiem; wiem, bo duszy jego byłem stróżem, że złemi środkami nie dorobił się tego mienia, ale kilkadziesiąt lat niesłychanego skąpstwa nielada co może.

Anna zamyśliła się, jak na modlitwie ze złożonymi rękoma i po chwili wstała.

— Więc mogę — zapytała — pokazać mu się dostatniej? Może też choć tak ku sobie go pociągnę z tej otchłani.

— To straszna igraszka, — rzekł surowo kapucyn — czynisz to w niewinności ducha, co zgubić może! Ale strzeż się na Boga, radź sumienia, nie ufaj siłom swoim, bo niejedna tak zginęła.

Anna uklękła, całując drżące dłonie o. Spirydjona i prosząc go o błogosławieństwo.

— Święty mój ojcie, — zawołała — czyste mam myśli i zamiary, biorę za świadka tę moją opiekunkę, która mi z nieba powierzyła dziecię swoje, nie chcę mojego szczęścia, chcę zbawienia jego! Niech ja zginę, byleby on ocalał. Kocham go, nie zaprę się tego, ale go odstąpię, byleby szczęśliwym był pocziwem szczęściem, błogosławionem przez Boga. Przeżegnaj mnie, ojcie, i nie lękaj się o mnie.

Wstała tak promienista zapałem, że starzec pokonany w milczeniu, nic już nie rzekłszy, odszedł. Znać było jednak, że się niemało frasował.

W kilka dni potem Anna za poradą kapucyna, który miał styczność z ludźmi klas różnych, przyjęła

do domku swego wdowę, niegdyś majątną, dziś zubożałą, niejaką panią Wąhorską, która jej nieodstępną odtąd towarzyszką być miała. Wybór ten był dość szczęśliwy, bo jej wychowanie, charakter i hart, z jakim przetrwała doznane nieszczęścia, rękojmię na przyszłość dawały. Mąż jej, niegdyś zamożny obywatel z pod Płocka, mając szczególną familijną od dziadów jeszcze żyłkę do procesów, pomimo najusilniejszych perswazyj żony, do ostatniej koszuli się pieniał i umarł, zakładając apelację od jakiegoś dekretu. Skutkiem tej przeszłej w nałóg namiętności do procesów Wąhorscy stracili co mieli do szeląga, a matka została z dwojgiem dzieci na bruku. Mając dawnych znajomych i stosunki w Warszawie, udała się do stolicy, gdzie jakąś resztką począwszy utrzymywać studentów, z tego się żywiła. Tymczasem własne jej dzieci poumierały, widok cudzych tak boleśnie pocziwe jej serce rozraniał, że musiała swój chleba kawałek na cięższy daleko odmienić. Założyła więc pralnię batystów i koronek, tak naówczas używanych, po które nieraz aż do Paryża wykwintniejsi posyłali, i z tego zapracowanego ciężko chleba utrzymywała się ubogo. Pomimo że jej pomagano, ceniąc cnotę, pobożność i szanując nieszczęście, jakoś i tu niebardzo się jej wiodło, a że była charakteru łagodnego, nie mogła sług w przyzwoitej utrzymać karności.

Gdy więc o. Spirydjon proponował jej przez kogoś, żeby zamieszkała z Anusią, pani Wąhorska chętnie się na to zgodziła, a dziewczę, wyczytawszy na bladej twarzy wdowy ślady cierpienia i wyraz rezygnacji, przyjęło ją jak matkę. Dziwnie też przypadły do siebie te dwa charaktery; pani Wąhorska, jako kobieta, co najdziwniejszych zmian losu doświadczyła, ufna była w przypadki dziwne, w zmiany niespodziane, w siłę woli własnej i pomoc Opatrzności.

Dwie kobiety znalazły w sobie źródło pociech niewyczerpane i gorąco się pokochały. Anna prócz tego zaludniła swój dworek kilku sługami, Hołodrydze tylko przez litość zostawiając dawny kątek przy bramie.

Wzięto się zaraz do odświeżenia domku, a że w mieście byle pieniędzy, wszystko łatwe, w kilka tygodni stanął jak laleczka ze zmienioną, skromną ale wdzięczną powierzchownością, obmyty ze starej rdzy i brudów.

XIII.

W kilka dni po owym wieczorze u podczaszyca cała Warszawa mówiła o Julji i Ordyńskim.

Jenerał w tydzień coś potem przyszedł swoim zwyczajem rano do dawnego pupila.

Zastał go przed zgasłym kominem w małym pokoiku, z głową spuszczoną, z oczyma zapadłemi, z miłą nadzwyczaj kwaśną.

— Jak się masz, Ordyński? — zawołał w progu — a co? Jak się tam powodzi *in nexu quasi matrimoniali*?

— Ba, — odpowiedział podczaszyc, siląc się na błady uśmiech — jako tako! — Ale i uśmiech, i słowa rozlały się w jakimś wyrazie znużenia.

— Cicho! cicho! jenerale.

— Co to jest? i dlaczego?

— Julja tuż śpi w drugim pokoju, dałaby mi dopiero, żebyśmy ją przebudzili!

— Ano! to chodźmy stąd gdzie indziej.

— A nuż zbudzi się i wstanie?

— To co?

— Potrzeba, żebym był zaraz, gdy oczy otworzy. Jenerał się rozśmiał w kułak.

— A to cię, widzę, spętała! Cóż u kata? boisz się jej, czy co?

Podczaszyc ruszył tylko ramionami, trudno mu się przyznać było, wyszli na palcach do gabinetu.

— Ano, kochany panie Michale, spowiadażę mi się szczerze, to coś, widzę, zakrawa na niewolę babilońską, jeśli tak potrwa, wypadnie, zakasawszy poły, uciekać.

— Ale to tylko pozory! pozory! — zawołał podczaszyc — Julja rzeczywiście trochę dziwna, ale jej serce...

— Gadaj o sercu, któreś za miły grosz kupił!

— Wszakżeśmy się kochali wprzód?

— Kpij zdrów z tego kochania, serca niema u takiej kobiety; że piękna, jak Venus nie przeczę, ale to podobno pierwszy jej i ostatni przymiot, no, gadaj szczerze i radźmy!

— A jak posłyszysz? — rzekł, oglądając się, podczaszyc — albo nas kto podsłucha i doniesie?

Baucher się rozśmiał głośno, tak, że Ordyński znów zląkł się, by śmiech jego nie obudził pani.

— Na miłość Boga cicho! — zawołał — niechże sobie śpi! nie budź licha!

— No, no, będę się wstrzymywał, gadaj mi otwarcie, to, widzę, Herod baba, trzeba na to lekarstwa.

— Słuchaj, jenerale, ale ty jutro roztrąbisz po całym mieście, co ci powiem.

— Michasiu! chyba się upiję, — odpowiedział do brodusznie Baucher — po trzeźwemu nie zdradzę.

— Ależ, jenerale, ty się dziś jeszcze upijesz!

— Wszystko to być może, ale jak ci dam trzeźwe i pijane słowo honoru, rachuj na mnie, te ci daję!

— To szatan z piekła rodem ta kobieta! — zawołał podczaszyc, łamiąc ręce.

— Czem ci, u licha, tak dojadła?

— Wystaw sobie jędzę-złośnicę, zalotnicę nieposkromioną, chciwą jak Żyd, podejrzliwą, jak szatan, a wdzięczną i piękną, jak posąg grecki kobietę.

— Tu sęk! — rzekł Baucher.

— Owładła mi domem, kuchnią, ludźmi, pieniędzmi, przyjaciółmi, wszystkim, co moje było, co mnie otaczało — stałem się niewolnikiem, kryć się muszę i męczyć jak w piekle.

— No, ale ładna bestja! — rzekł, śmiejąc się, stary i dodał, namyślając się: — potrzeba się z tego wycofać!

— Ale ja za nią szaleję!

— Toś warjat!

— Może, ale tak jest!

Jenerał popatrzył, ruszył ramionami i począł pić czekoladę.

— Pomyślimy, — rzekł — ale cię to, widzę, niemało kosztować będzie.

— Powiedziała mi wbrew, że tylu już miała kochanków, którzy się z nią nie ożenili, chociaż obiecywali, iż musi teraz pójść za mnie, com jej nic nie przyrzekł!

— Czuje, żeś słabizna! a mąż?

— Mówi, że ma rozwód w kieszeni.

— Kiedy tak, — rzekł przyjaciel — to nie przelewki, poznała się, że z tobą zrobi, co zechce, potrzeba się ratować, bierz paszport i uciekaj, gdzie pieprz rośnie.

— Ale bo mi jej szkoda!

Podczaszyc pochodził po pokoju wielkimi krokami zadumany i odezwał się z goryczą:

— Ha! nażyję się, nażyję! a potem sobie w łeb strzelę!

— Tak! — podchwycił jenerał, patrząc mu w oczy — widzę, żeś na drodze do czubków! Trzeba ostatniego warjata, żeby to zrobić! Chybaby mu gęba zarosła, żeby już pić i jeść nie mógł!! Wierz mi, życie takie warte swoje trzy grosze, a pistolet najgłupszym jest instrumentem.

W tej chwili dzwonek, którym gniewna miotłała ręka, rozległ się hałaśliwie w przedpokoju; dom przed chwilą cichy cały zatętniał żywymi krokami biegnących ludzi, a choć wszystko to się śpieszyło i leciało co tchu, już słyszeć było łajanie pięknej Julji, która zawsze burzą dzień rozpoczynała. Podczaszyc porwał się także i nie żegnając nawet jenerała, wybiegł ku sypialni, do której z jednej strony zdyszana służąca, z drugiej chłopak z kawą, z trzeciej lokaj z ciastem śpieszył, bo pani, ledwie otwarłszy oczy, w łóżku zwykła była jeść śniadanie.

Jenerał spojrział na to okiem doświadczonego postrzegacza, potrząsł głową upudrowaną, wargę dolną wychylił, czoło zmarszczył i biorąc kapelusz pod pachę, arcykomicznie szepnął sam do siebie:

— Ka-put!!!

Na szerokiem łóżku, osłoniionem firankami z ciężkiej ponsowej materji, ozdobnej złotą szmuklerszczyzną, w przejrzystych osłonach, na miękkim łąbędziem posłaniu, ubranem w przepyszne koronki, leżała piękna Julja, leniwie czarne otwierając oczy. Tuż przy niej siedział posłuszny podczaszyc, stała panna i stoliczek z kipiącą kawą.

Ziewnęła i powoli rozwarła powieki.

— Żle spałam! — zawołała — a! jak mnie głowa boli! dlaczegoś tak rano wstał? — spytała — chodziłeś gdzie? — Spojrzała mu w oczy, aż się biedny zmieszał.

— Ja? nigdzie.

— Kłamiesz! nie byłeś w drugim pokoju, leciałeś aż z trzeciego, gdym zadzwoniła.

— Tak jest!

— Pociąłeś tam poszedł?

— Miałem u siebie jenerała.

— A mówiłam ci, żebyś tego starego wieprza nie przyjmował.

— Co mówisz! to najlepszy mój przyjaciel!

— Do kieliszka, do sakiewki — tyś łatwowierny jak dziecko, a oni cię odzierają.

Podczaszyc uśmiechnął się boleśnie.

— To go nie przyjmę więcej! — rzekł cicho.

— Pleciesz! póki ja go nie odprawię, ty sam sobie rady nie dasz, ale ja staremu trutniowi tak zaleję za skórę, że tu więcej noga jego nie postanie.

— Zlitujże się, co on ci winien?

— Nie lubię go! Stary, paskudny! Hej! gałgany, kawa pani ostygła! — dodała z gniewem.

Podczaszyc pochwycił sam tacę i z nią, wyprzedzając ludzi, do kawiarni poleciał.

XIV.

Takie było położenie Ordyńskiego, a Anna, która wiedziała o wszystkim, z bijącym sercem śledząc każdy ruch jego nad brzegiem przepaści, łamała ręce, szukała sposobów i nic nie umiała poradzić. W głowie i sercu swoim badała środki, jakiemiby go wyrwała z rąk kobiety i ludzi, co do ostatecznej ciągnęli go zguby, ale pomysły były szalone jak uczucia, a w biały dzień na zimno począc, co one doradzały, nie miała odwagi.

Mieszkanie Anny tak daleko leżało od domu, który zajmował podczaszyc, że widzieć go i wiedzieć nawet o nim dość było z tego powodu trudno. Mimo oddalenia jednak, Anna chodziła, najkrętszą wybierając drogę, do kościoła Kapucynów, by, idąc, spojrzeć choć w okna Ordyńskiego, czasem go spotkać w ulicy, czasem zdaleka życia jego widzieć urywek.

Jednego poranku z Wąhorską razem wyszła na mszę do kościoła swoją zwyczajną a najdalszą drogą. Mijając dom podczaszyca, spojrzała ukradkiem w okna, firanki były pozapuszczane, wszystko w nim milczało i zasypiało po burzliwej może nocnej zabawie. Westchnęła Anusia, a wtem o kilka kroków, niepostrzeżony wprzód spotkał ją podczaszyc. Szedł on przeciwko dawnemu zwyczajowi swemu pieszo, — bo konie i powozy zostały pod dyspozycją pani — blady, wyniszczony, zmieniony do niepoznania i straszliwie smutny. W twarzy jego nie rozpacz, ale jakieś malowało się zobojętnienie, patrzył i nie widzieć się zdawał, żył bez uczucia życia, szedł jak bez celu... miał pozór pijanego... Na wąskiej ścieżce spotkali się nagle z Anną, oczy ich zetknęły się w wejrzeniu niespodzianem, żywy rumieniec okrył twarz dziewczęcia, podczaszyc zastanowił się i coś nakształt uśmiechu gorzkiego prześliznęło mu się przez usta.

— A! dzieńdobry ci, Anusiu!

— Dzieńdobry!

— Dokądże to idziesz?

— Ja! do kościoła! Sierotom modlić się trzeba goręcej jeszcze, bo Bóg im tylko ojcem i doradcą.

To mówiąc, wskazała na swoje suknie żałobne. Podczaszyc zadumał się jakoś posepnie. Łagodna Anny twarzyczka, którą krasił wdzięk nie naśladowany nigdy prawdziwej skromności i dziewictwa w duszy, tak była dla niego teraz zjawiskiem miłym, anielskiem po wyuzdanej Julji, jak woda kryniczna po palącym napoju!

Siła wspomnień, boleść za przeszłością, skryta miłość, co gdzieś żyła, przytulona w serca kątku, nie dozwoliły mu minąć jej obojętnie — zatrzymał się, stali oboje, milczeli.

— Pan nie jesteś chory? — spytała Anna pocichu.

— Chory? ja? nie! — odparł znów z gorzkim swym uśmiechem, pocierając czoło — alboż widzisz co na twarzy mojej?

— Zmizerniałeś pan, zbladłeś!

— Może być, jestem zmęczony — pozwolisz, bym cię kilka kroków przeprowadził po dawnej znajomości.

— I owszem, na mszę wcześniej jeszcze, przejdziemv się trochę.

— Chodźmy więc, — podając jej rękę, rzekł Ordyński nieco weselej — przypomnim sobie dawne nasze czasy dziecinne, kiedyśmy tak razem chodzili w Głuszy po ogrodzie.

— Nie, nie przypominajmy, — odpowiedziała Anna — Głusza i wszystko, cośmy tam przeżyli, nie powróci już nigdy! życie dziś tak ciężkie dla mnie, gdy błysnie przy niem ta przeszłość, czarniejszem jeszcze się wyda.

Podczaszyc westchnął.

— A! prawda, — rzekł — nie wróci się to, nie wróci! nie wstaną z grobu ani babka, ani matka, ani nasze lata młode!!

— Chciałeś pan życia, świata, spróbowałeś go, — odczuwała się Anna — a jednak wzdychasz, nie zapłaciło cię, widzę, za to, coś dla niego porzucił.

— Kto wie, — rzekł, opamiętywając się, podcza-

szyc — może to się tak każdej przeszłości żałuje, zobaczymy później.

— Jeżeli zobaczymy! — dodała smutno Anna.

— Cóż ty z sobą począć myślisz, Anusiu? — zapytał nagle podczaszyc.

— Nic nie myślę, nie wiem, co mi Bóg zgotuje.

— Naturalnie pójdiesz teraz zamąż? — uśmiechnął się, patrząc jej w oczy.

— Ja nie jestem tak łatwa w wyborze — odpowiedziała z trochę dumy Anusia — cenię swobodę, a serce... serce zewsząd objęła żałoba i wspomnienia dawne i przywiązanie dawniejsze.

Słów tych domówiła pocichu, Ordyński spojrział w jej oczy błyszczące i wyrazu pełne.

— Kobięce przywiązanie — rzekł — to pogoda jesienna.

— Jak jakiej kobiety, jak jakie przywiązanie! — urażona odezwała się Anna.

— O! każdej! o! wszystkiele! — zawołał podczaszyc.

Anna zatrzymała się oburzona i gniewna.

— Boś pan jeszcze nie znał żadnej, coby imienia kobiety wartą była! — odpowiedziała z uczuciem.

— Nie gniewaj się, Anusiu, znałem ich wiele i dobrze!

— Im więcej, tem gorzej!

Zamilkli na chwilę.

— Pozwólże mi pan spytać się także, — odezwała się Anna — co pan myślisz dalej?

— Ja! nic! nic a nic, — odparł podczaszyc, ruszając ramionami i spoglądając po fanfarońsku do góry — żyć, póki się żyć da, a potem w łeb sobie strzelić, gdy życie się znudzi!!

Dreszcz przejął biedną Annę.

— Mój Boże, — rzekła z oczyma załzawionemi — gdyby te słowa święta babka wasza usłyszała! ona, co w niepokoju o pana umarła, gdyby wiedzieć mogła, do czego dziś doszedł jej wychowaniec, ulubione jej dziecię! a! lepiej! lepiej! że tego nie dożyła!

Podczaszyc zdawał się mocno wzruszony.

— Czyż to się godzi spać tak nisko, — kończyła Anna — by z życia zrobić sobie igraszkę tylko... a Bóg? a przyszłość? a obowiązki?

Stare, oklepane powtarzasz mi rzeczy, kochana Anusiu, czy się tam w to Pan Bóg wdaje.

— A! żal mi pana! — zawołała, łamiąc ręce — spójrz pan, łzy mam w oczach. Nicze już nie potrafi, nawet siła pocziwych wspomnień, wyrwać z tego odrętwienia, z tej dziwnej rozpacz?

— Anno! — rzekł poważnie Ordyński — gdyby to było podobne, gdyby było za co ująć się w pustem sercu mojem, tybyś to może jedna potrafiła! Patrząc na ciebie, odżywa dla mnie wspomnienie młodości, które mnie rozczula i orzeźwia razem — ale nie wróci! — nie wrócić wygnanym do raj! Raz tylko w nim bywa człowiek!

To mówiąc, ścisnął ją za rękę i zniknął, może się chował ze łzami. Anna zasmucona i pocieszona razem weszła do kościoła, czując, że może przypadkowe spotkanie i tych słów kilka wywrą wpływ jaki na przyszłość — tonący brzytwy się chwyta.

Podczaszyc, rozstawszy się z nią, szybko odszedł ku domowi pogrążony w myślach, chmurny, z okiem zwilżonem łzami dawno niewidzianą: przebiegł wschody machinalnie i wpadłszy do swego pokoju, rzucił się na krzesło, nie zważając nawet, że w sypialni Julji hałas był ogromny, a niecierpliwa kobieta, krzycząc prawie, zwoływała dwór swój cały. Nareszcie sądząc, że podczaszyc umyślnie może udawał głuchego, Julja wbiegła osłonięta za ledwie, bosa, z rozpuszczonemi włosami, z twarzą zapaloną i oczyma gniewnemi.

— Co to jest? — zawołała — gdzieś ty był?

Podczaszyc, usłyszawszy piskliwy głos jej, dopiero przypomniał sobie niewolę swoją i z przestachem spójrział na nią.

— Czego chcesz? — spytał zimno.

— Gdzie ty byłeś?

— Na przechadzce.

— Widzieli cię żegnającego się z jakąś kobietą, z którą chodziłeś po ulicy.

— Bo istotnie z kobietą chodziłem.

— I śmiesz mi to mówić w oczy! to dawna jakaś kochanka! ale poczekaj, kiedy tak, ja ci potrafię odpłacić w dziesięcioro z moimi dawnymi przyjaciółmi!

— Ależ cóż ci to w głowie, Juljo! — oburzył się podczaszyc — wszakże nie zaprzeczam i nie zapieram się, żem spotkał się, żem rozmawiał z kobietą, to przecie nie zdrada żadna!

— O! o! ja was znam! — zawołała Julja, tupiąc nóżkami — wszyscyście wy łajdaki, ale ci przysięgam, że drugi raz wylecę sama na ulicę i takiego ci wstydu narobię, a tę gałganicę tak po pysku wytrzepię, że mi oboje popamiętacie.

Ordyński powstał nagle groźny, z brwią namarszczoną, drżący cały.

— Słuchajno, Juljo, — rzekł, zdobywając się na flegmę — jeśli mi się poważysz raz jeszcze coś podobnego powiedzieć i taką mi w domu robić burzę...

— No to co? — krzyknęła, przyskakując.

— Każę cię precz lokajom wypędzić! — rzekł Ordyński i usiadł.

— Mnie! ty mnie! lokajom wypędzić! cha! cha! A co to ty myślisz? że ja ci się dam wypędzić? Wielebyś wygrał na tem, a tobym ci życie zjadła! Nie, kochanku (poczekaj, odpokutujesz ty mi za tę obietnicę), mnie się nie wypędza! Chciałeś mnie, wzięłeś, nie myśle już dłużej z rąk do rąk przechodzić, dobrze mi tu i zostanę. Słyszysz, a jak cię zobaczę z tą kobietą czy z inną, jak mamę kocham, awanturę zrobię!

To mówiąc i widząc, że podczaszyc uparcie zasępiony milczy, Julja cała zasapana wyszła do swego pokoju, trzasnąwszy tak drzwiami, aż się cały dom za-trząsał.

Po tej scenie szkaradnej Ordyński jak przykuty w krześle pozostał, a w niedługiem dumaniu jego Bóg wie co przez skołataną przelatywało głowę.

Około drugiej godziny wszedł na palcach cavaliere

Fotofero z tą minką zgłupia franta, którą często dla podczaszyca przybierał. Wprzód on był u Julji i wiedział już o wszystkim, szedł teraz z gałązką oliwną, jako pośrednik do zgody.

— A! a! cóż ci takiego, kochany podczaszycu?

— Ha! co? mnie! kto? — budząc się, zawołał Ordyński — a! to ty? mnie? nic! tak to jestem, jak widzisz, szczęśliwy!

Cavaliere dziwnie się skrzywił.

— Wiem! wiem! maleńka kłótnia miłosna! burza, po której wam jaśniej zabłyśnie pojednania pogoda. Pan sobie pozwolił jakiejś rannej wycieczki, pani wyszpiegowała niewierność.

Podczaszyc ruszył ramionami.

Fotofero mówił długo, usiłując podczaszyca udobruchać i przywieść do zgody, na którą w drugim pokoju czekała piękna Julja, zakławszy się, że ją będzie na klęczkach przepraszał. Ale układy szły oporem; Ordyński ani myślał o przeprosinach i zgodzie. Zmęczony, zrozpaczony, począł wstręt uczuwać do niej... Duma pańska, którą poruszyły miotane grubjańsko obelgi, biła mu krwią do czoła.

Poznał wkrótce Fotofero, że lepiej zostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi, między drzwi palców nie kładąc, sprowadził rozmowę na inny przedmiot i z sobą razem powiódł podczaszyca do Cerullego.

Julja natychmiast kazała sobie zaprząć karete i drugą stronę ruszyła do księcia Nestora w odwiedzinę, wiedząc, że jej pewnie rad będzie dawny kochanek.

Wśród gry i zabawy Ordyński, jakby coś przeczuwał, ciągle był niespokojny, na myśl mu przychodziła Julja i jej pogróżki, gniew poczynał nim miotać; nareszcie, nie wytrzymawszy długo, wstawszy od stolika, wysliznął się niepostrzeżony i pojechał do domu.

Julji nie było.

— Dokąd pani pojechała? — zapytał.

— Tak pojechała.

— Ale dokąd?

— Nie wiemy! — odpowiedzieli słudzy.

A był tam między nimi jeden stary, co kawę gotował przedziwnie, i dlatego aż z Głuszy go sprowadzono, imieniem Maciej, nie mogący cierpieć kozła (tak nazywał Julję); ten, wzięwszy na fantazję i odwagę, rzekł głośno:

— Co to gadać: nie wiem! ot, kazała się wieść do księcia Nestora.

Ordyński zaciął zęby, siadł w fiakra i poleciał za wskazaniem. Miotał nim gniew najokropniejszy, tak że gdy przed pałacyk przybyli, nie doczekawszy się, by fiakr stanął, wyskoczył z niego i wpadł na wschody piorunem, a znając rozporządzenie mieszkania, wprost wleciał do gotowalnianego gabinetu księcia i przezeń do sypialni, nim go ludzie postrzegli i wstrzymać potrafili.

Księżę siedział w szlafroku bogatym oparty na kanapie, piękną Julję trzymał na kolanach, a twarze ich, przychylone ku sobie, uśmiechały się lubieżnie. Na widok Ordyńskiego Julja klasnęła tylko w ręce i poczęła się śmiać.

— A co? — zawołała — widzisz, jak ja długi płacę!

— Widzę — rzekł zimno podczaszyc, a postrzegłszy, że księżę Nestor trochę się zmieszał, dodał:

— Proszę, niech mi w. ks. mość wierzy, że za złe bynajmniej nie mam tego powrotu ku dawnym uczuciom jego jmp. Kozłowskiej. Pozwolisz mi tylko księżę prosić się.

— O co?

— Ażeby ta pani pozostała tu, gdzie jej zapewne milej będzie i lepiej, a nie wracała już do mnie. Odeślę tu natychmiast wszystko, co do niej należy.

Nim mu się zebrano odpowiedzieć, Ordyński skłonił się i wyszedł szybko, ale na wschodach dopędziła go Julja.

— Słuchajno! — krzyknęła — co ty sobie żartujesz? ja zaraz do ciebie jadę! to być nie może!

Podczaszyc ani się odezwał, biegł dalej, słysząc, że księżę Nestor dobrze drzwi od siebie rygluje.

Krzyczała i groziła piękna Julja, ale wyprzedzając

ją, Ordyński siadł do swej karety, którą była przyjechała, i popędził do domu, surowe tu wydawszy rozkazy, ażeby nie śmiano wpuszczać Julji. Pozamykawszy potem pokoje, klucze oddał Maciejowi, a sam, nie czekając przybycia jej, uciekł co najprędzej napowrót do Cerullego.

Cavaliere, który, tam siedząc w kątku, nie dopatrzył jakoś wyjazdu i powrót dopiero zobaczył, złapał go niespokojny, zaraz w progu poznał po twarzy, że coś ważnego stać się musiało.

— Coś ty zrobił? gdzie byłeś?

— U siebie!

— A Julja?

— Julja jeździła na podwieczorek do księcia Nestora, zastałem ją tam w czulej pozycji z dawnym wielbicielem i zostawiłem ich oboje razem. Nie chcę rozrywać tej pary gołąbków, oddałem mu ją bez pretensji.

Włoch mocno się zasepił.

— Głupstwoś pan zrobił! — rzekł.

— To być może, ale nie pierwsze! — odpowiedział podczaszyc.

— Ta kobieta w zemście niepohamowana.

— Więcej mi, jak teraz, nie dokuczyl! — zawołał Ordyński i zasiadł do gry.

Od niejakiego czasu gra dla niego była rozrywką, której się oddawał coraz namiętniej. Za stolikiem zapominał widać bólu serca, żalów za straconem życiem, wszystkiego, co mu dolegało. Gwałtowne wzruszenia przegranej i wygranej odejmowały mu uczucie teraźniejszości, pożerające go w chwilach spoczynku. I jak pijak nałogowy, co z każdym dniem powiększa ilość napoju i jego siłę, Ordyński coraz zasiadywał dłużej u zielonego stołu, nareszcie ledwie już od niego wstawał.

De Cerulli był już wierzycielem Ordyńskiego w znacznej bardzo sumie, pochodzącej z gry i często powtarzanych pożyczek, ale dotąd ze szczególną grzecznością akomodując się przyjacielowi, dla które-

go wielką okazywał estymę, nigdy nie był natrętnym, kredytował bez granic, dobywał worka na zawołanie.

Dnia tego podczaszyc siadł do gry z gorączką, którą go świeże nabawiły wypadki, oczy mu się iskrzyły, dygotały ręce, karty wylatywały z palców, złoto rozsypywał z sakiewki, tak że najobojętniejsze oko dostrzec mogło, jak był nieprzytomny.

W chwili, gdy do kart powtórnie zasiadał, cavaliere mrugnął na gospodarza i uprowadził go w kątał.

— Słuchajno, — rzekł — zdaje mi się, że pora przyszła dobić podczaszyca, żeby się darmo nie męczył.

De Cerulli uśmiechnął się obojętnie.

— Wiele ci winien?

— Mnie, około dziesięciu tysięcy.

— Na Głuszy, — szybko począł Fotofero — jak to wiem przez Lebedzińskiego, jest już długów starych i nowych przeszło trzydzieści, w mieście znajdzie się dziesięć, to uczyni, jeśli się nie mylę, około pięćdziesięciu.

Głusza warta z atynencjami znacznie więcej... on dziś gotów ci grać do koszuli, widzę to przez skórę. Puść się z nim tylko, podforsuj, podpal, a ręczę, że go zgrasz do nitki; zrobimy z nim potem, co zechcemy, a przydać się nam może.

— Ba! niewiele! — rzekł Cerulli.

— Mylisz się, — szybko dorzucił cavaliere — jest imię, jest jeszcze młodość, jest znajomość świata; nędką i nałogiem próżniactwa wodzić go będziemy na pasku i cudzemi rękami żar rozgrzebywać! Ale wprzód potrzeba, żeby grosza przy duszy nie miał! Wiem, że zechce sobie w początku w łeb wypalić, ale ja będę miał oko i nie dam mu dopuścić się ostateczności. To słaby dzieciuch!

— A zatem myślisz, że dziś pora? — spytał zadumany de Cerulli.

— Dziś lub nigdy; każ podać wina, sam podpal grę, sam ciągnij, ty to potrafisz lepiej. Patrz tylko, ca-

ły drży, byle sto dukatów przegrał, pójdzie dalej, jak po nitce.

To rzekłszy, Fotofero uskoczył w bok, zakaszał, poszedł do zwierciadła, zakręcił się na sali i kołując, zbliżył do krzesła podczaszyca, na którego poręczy poufale się oparł.

— Kochany panie, — szepnął cicho — dałbyś dziś grze pokój, jesteś cały sfermentowany! Karta ci nie pójdzie, na to potrzeba krwi zimnej.

Ordyński odwrócił się z przymuszonym uśmiechem.

— A cóż będę robił? — spytał — to mnie jedno durza, rozrywa, bawi!

— Przynajmniej graj ostrożnie!

Naprzeciw zjawił się de Cerulli z założonemi rękoma, patrząc na bank.

— A! a! coś mi się dziś chce samemu dla rozmaitości pociągnąć! za pozwoleniem, ja bankieruję!

Wziął talję z rąk swego pomocnika, stanął, zakasawszy rękawy, i w milczeniu poczęło się ciągnięcie. Podczaszyc odrazu postawił grubo, a pierwsze trzy jego stawki nielitościwe grabki do banku ściągnęły... Za czwartą podwoił stawkę i przegrał znowu.

— Ej, ostrożnie, podczaszycu, — szepnął Fotofero — bo przeczuwam, żeś się jeszcze zgrać gotów!

Na to nie było słowa odpowiedzi.

— Pożycz mi pieniędzy! — odezwał się po chwili.

— Ja grosza nie mam, — rzekł cavaliere — i nie dałbym, gdybym miał, ale ten łotr de Cerulli gotów ci kredytować, wiele zechcesz.

Podczaszyc przechylił się ku bankierowi.

— Możesz mi kredytować? — spytał.

— Wiele ci się podoba, — kłaniając się, odpowiedział bankier, z obu stron pochwycili kredkę.

Ordyński pięćset czerwonych złotych postawił na kartę.

W sali poczynano wielkie rozciągać się milczenie, gracze mniejsi zajęci znaczną stawką lub wstrzymywali drobne, lub całą na Ordyńskiego zwracali uwagę. Cerulli, jakby chciał umyślnie zniecierpliwic, cią-

gnął powoli, ale tak powoli, że zdawał się katować umyślnie, rozdrażniać do ostatka, przykrywał przegrywające, osłaniał naprzód wygrane, podwajał nadzieje i strachy. Na ten raz padło plije, podczaszyc się począł odrabiać i domazał do stawki.

— Zmiłuj się! zmiłuj! pomiarkuj, — szepnął cavaliere — pomiarkuj twój zapęd, zgrasz się! zgrasz!

Ale Ordyński ani słuchał już przestrogi! Szał gry, najstraszniejszy ze wszystkich szalów, jakiemu podobny tylko wyrabia owa gorączka złota kalifornijska, którą dopiero w naszym wieku przyszło poznać na wstyd ludzkości — szał najszałeńszy opętał go zupełnie. Podniecony do najwyższego stopnia, z gorejącemi policzki, z okiem prawie wyskakującym z głowy, z czołem potem oblanem, leżał na stole przechylony i dy-szał straszliwie.

Widok to był okropny spodłonego człowieka, pijanego namiętnością brudną, nieprzytomnego zupełnie, nie czującego nic, prócz gwałtownie do złota bijącego serca, którego ucho nie usłyszałoby może trąby archaniola... Takim był w tej chwili Ordyński.

Trzeba mu było choć raz dać wygrać — wygrał, zaśmiały się oczy i stawkę powiększył jeszcze. Drudzy gracze poczęli go naśladować i palić się, ale to była jedna i jedyna dana mu karta. Od pięciuset idąc stopniowo do tysiąca i dalej powiększając za każdym razem stawki, podczaszyc ani się obejrzał, jak przeszedł dziesięć tysięcy czerwonych złotych.

— Panie podczaszycu, — szepnął cavaliere — zlituj się, bastuj, zrujnujesz się.

— A co komu do tego! — odparł Ordyński głosem chrypiwym.

— Grasz pan dalej? — zapytał bankier.

— Gram, jeśli mam kredyt.

— Trzymasz pan dziesięć tysięcy dukatów?

— Na Boga! co robisz! — zakrzyczał jenerał — oszalałeś!

— Oszaleję dopiero, gdy przegram, — rzekł sucho podczaszyc — no, bankierze!

w uszach przytomnych, iż niektórym włosy powstały na głowie.

Wtem wybiła dwunasta; wyjął zegarek, spojrzął, pokiwał głową.

— Mój de Cerulli, — rzekł — ale ja czasu nie mam, śpiesz się, wyjeżdżam zaraz, jadę daleko, przed drogą interesa pokończyć potrzeba.

Wtem zahurkotało i zaspany rejent z papierami pod pachą, wyciągniony z łóżka tak szybko, że ledwie miał czas narzucić kontusz niezapięty pod szyją żółtą i pomarszczoną, stanął z pokornym ukłonem, oglądając się chytrze i niedowierzająco.

Podczaszyc zerwał się, pochwycił go za rękę i poprowadził do gabinetu.

— Mości rejencie, — rzekł — siadaj a pisz żywo.

— *Corrente calamo*, jw. panie... z tegom jest znany...

— Spiszesz pan akt sprzedaży dóbr Głuszy z przyległościami na rzecz szlachcica neapolitańskiego czy jakiego tam, nie wiem, jwp. de Cerulli. Odstępuję mu klucze Głusza, Ordy, Przemęty, w długu...

— Sytuowane? — spytał rejent, już poprawiając pióro i odkorkowując kałamarzyk.

— W województwie wołyńskiem, jmci pan de Cerulli bierze na siebie uspokojenie wierzcycieli...

Rejent się obejrzał.

— Ale — rzekł.

— Niema żadnego ale, pisz waćpan a żywo.

To powiedziawszy, podczaszyc ręce włożył w kieszenie westy i poświstując, znów począł chodzić po sali.

— Śpiesz, panie rejencie.

Tymczasem siwy i szczwany pan rejent temperował wciąż pióro, któremu coraz to więcej nosa ucinał, chcąc się, nim siądzie pisać, dowiedzieć od kogo, co to wszystko znaczy, czy niema przymusu, czy niepijany sprzedający, lub moralnie znękany czem do tej rezygnacji tak szalenie podyktowanej. Wstał potem, ciągle pod pozorem tego pióra, które na zapas zawsze w po-

dobnych okolicznościach miewał do zepsucia i zyskania czasu przeznaczone — chcąc się do kogo zbliżyć, a gdy się to nie udało, poszedł po wodę do atramentu, po tabakę nareszcie i wszędzie szepcząc a rozwiadując się, gdy w ostatku wyklarowała się rzecz, usiadł do aktu.

De Cerulli zbliżył się do podczaszyca.

— Kochany Ordyński, — rzekł poufale i słodziuchno — chybiasz mi tym pośpiechem.

— Kochany de Cerulli, mówię ci, że mi pilno.

— Ależ cóż nagli?

— Djabieś bo ciekawy, — odparł, ruszając ramionami, podczaszyc — daj mi pokój, ty tego nie zrozumiesz.

— A przecie... spróbujmy-no!

— Daj mi pokój, proszę, kończmy i bywaj zdrów; obejmuj dom, Julję, dobra, co chcesz i baw się, póki stanie ochoty.

— Pan jesteś w jakiejś rozpacz.

— Rozpacz? oszalałeś! Nigdy weselszy nie byłem, ale kończmy. — I znów zaświstał jakąś piosnkę.

Nie było sposobu, domyślano się, że coś ułożył desperackiego, jenerał z kilku innymi postanowili go nie odstępować, bo wszystkim samobójstwo zdawało się nieuchronne. Ordyński z pod oka spostrzegł narady i uśmiechnął się do siebie, wziął akt do czytania, podpisał, wezwał świadków i raptem jakby sobie coś przypomniał:

— Ale! panie rejencie, chcę mieć kopję aktu!

— Jutro?

— Gdzież znowu, dziś, natychmiast, nie odejdę, póki mi jej nie dasz! Pisz, a zlituj się żywo, bo pierwsza dochodzi.

Usłyszawszy to, wszyscy się stropili, nie pojmując, pocoby ten akt podczaszycowi był tak potrzebny, on tymczasem, korzystając z odwrócenia uwagi i szeptów, przechodząc się niby po sali, dopadł drzwi cichaczem i umknął im z przed nosa.

w uszach przytomnych, iż niektórym włosy powstały na głowie.

Wtem wybiła dwunasta; wyjął zegarek, spojrzął, pokiwał głową.

— Mój de Cerulli, — rzekł — ale ja czasu nie mam, śpiesz się, wyjeżdżam zaraz, jadę daleko, przed drogą interesa pokończyć potrzeba.

Wtem zahurkotało i zaspany rejent z papierami pod pachą, wyciągniony z łóżka tak szybko, że ledwie miał czas narzucić kontusz niezapięty pod szyją żółtą i pomarszczoną, stanął z pokornym ukłonem, oglądając się chytrze i niedowierzająco.

Podczaszyc zerwał się, pochwycił go za rękę i poprowadził do gabinetu.

— Mości rejencie, — rzekł — siadaj a pisz żywo.

— *Corrente calamo*, jw. panie... z tegom jest znany...

— Spiszesz pan akt sprzedaży dóbr Głuszy z przyległościami na rzecz szlachcica neapolitańskiego czy jakiego tam, nie wiem, jwp. de Cerulli. Odstępuję mu klucze Głusza, Ordy, Przemęty, w długu...

— Sytuowane? — spytał rejent, już poprawiając pióro i odkorkowując kałamarzyk.

— W województwie wołyńskiem, jmci pan de Cerulli bierze na siebie uspokojenie wierzcycieli...

Rejent się obejrzał.

— Ale — rzekł.

— Niema żadnego ale, pisz waćpan a żywo.

To powiedziawszy, podczaszyc ręce włożył w kieszenie westy i poświstując, znów począł chodzić po sali.

— Śpiesz, panie rejencie.

Tymczasem siwy i szczwany pan rejent temperował wciąż pióro, któremu coraz to więcej nosa ucinął, chcąc się, nim siądzie pisać, dowiedzieć od kogo, co to wszystko znaczy, czy niema przymusu, czy niepijany sprzedający, lub moralnie znękany czem do tej rezygnacji tak szalenie podyktowanej. Wstał potem, ciągle pod pozorem tego pióra, które na zapas zawsze w po-

dobnych okolicznościach miewał do zepsucia i zyskania czasu przeznaczone — chcąc się do kogo zbliżyć, a gdy się to nie udało, poszedł po wodę do atramentu, po tabakę nareszcie i wszędzie szepcząc a rozwiadując się, gdy w ostatku wyklarowała się rzecz, usiadł do aktu.

De Cerulli zbliżył się do podczaszycy.

— Kochany Ordyński, — rzekł poufale i słodziuchno — chybiasz mi tym pośpiechem.

— Kochany de Cerulli, mówię ci, że mi pilno.

— Ależ cóż nagli?

— Djabieś bo ciekawy, — odparł, ruszając ramionami, podczaszyc — daj mi pokój, ty tego nie zrozumiesz.

— A przecie... spróbujemy-no!

— Daj mi pokój, proszę, kończmy i bywaj zdrów; obejmuj dom, Julję, dobra, co chcesz i baw się, póki stanie ochoty.

— Pan jesteś w jakiejś rozpacz.

— Rozpacz? oszalałeś! Nigdy weselszy nie byłem, ale kończmy. — I znów zaświstał jakąś piosnkę.

Nie było sposobu, domyślano się, że coś ułożył desperackiego, jenerał z kilku innymi postanowili go nie odstępować, bo wszystkim samobójstwo zdawało się nieuchronne. Ordyński z pod oka spostrzegł narady i uśmiechnął się do siebie, wziął akt do czytania, podpisał, wezwał świadków i raptem jakby sobie coś przypomniał:

— Ale! panie rejencie, chcę mieć kopję aktu!

— Jutro?

— Gdzież znowu, dziś, natychmiast, nie odejdę, póki mi jej nie dasz! Pisz, a zlituj się żywo, bo pierwsza dochodzi.

Usłyszawszy to, wszyscy się stropili, nie pojmując, pocoby ten akt podczaszycowi był tak potrzebny, on tymczasem, korzystając z odwrócenia uwagi i szeptów, przechodząc się niby po sali, dopadł drzwi cichaczem i umknął im z przed nosa.

XV.

Była to chwila między dniem a nocą, gdy już wschód blademi brzaski powolnie rozjaśniać się zaczyna, a gwiazdy błyszczą na niebie i cisza snu ogarnia ziemię czarną. W mieście wiatr tylko przelatywał ulice, chłodnawy, orzeźwiający, dziwnemi głosy po zakrętach świszcząc i hucząc, samowładny pan, bo puste i jak wymarłe zdawało się miasto. Wahały się, skrzypiąc, na żelaznych zawiasach zagasłe latarnie, okna kamienic stały czarne, mury zdawały się piętrzyć olbrzymio, aż niebo zasłaniały; tylko na widnokręgu ku zachodowi księżyc w ostatniej zmianie, obcięty, nieforemny, skaleczony, pomarańczowej jakiejś barwy, zniżał się, rzucając mdłym światelkiem, które nie dawało cieniów. W powietrzu wisiały już rodzące się mgły, które słońce ku górze pociągnąć miało. Cichło chwilami, to znów postaniec jakiś na skrzydle wichru przesunął się szybko, zamiótł ulice, zadzwonił po dachach i chorągiewkach i poniósł się gdzieś daleko, nieścigniony.

W mieście, jak na wielkim cmentarzu, nic jeszcze nie rozbudzało się do życia, aż smutno było patrzeć na te czarne domów zastępy, z których żaden głos się nie dobywał. Podczaszyc przeleciał szybko kilka ulic, zwracając się umyślnie w różne strony dla obałamucenia goniących, których natręctwa się obawiał. Szedł bez kapelusza, bez płaszcza, ubrany lekko, a wybiegłszy na Krakowskie, wsunął się w ciemniejszą jeszcze, pustą Bednarską uliczkę, wiodącą wprost ku Wiśle.

Tu zadyszany zwolnił kroku, założył ręce na piersi, odetchnął, i zamyślony, powoli ku mostowi posuwać się począł.

Wzrok jego niekiedy bezwładnie upadał pod nogi, to znów ciekawie przebijał ciemności, jakby w nich widma jakiegoś szukał. Szedł tak czas jakiś, gdy pas jasny wskrósł przerzynający uliczkę światłem z małego padającym okienka, zatrzymał go jak mur nieprzebyty. Podczaszyc szedł z myślą odebrania sobie ży-

cia, a dziwnym fenomenem czepiał się teraz wszystkich jego zjawisk, silniej, niż kiedykolwiek. On, co nigdy na świat otaczający bacznego nie zwrócił oka, zajmował się wszystkim, czuł, że go wszystko obchodzić powinno. Śledził, jak ludzie żyć i wyżyć mogli, gdy on znękany i obojętny szedł dobrowolnie rzucić się w wodę i ginać, byleby dłużej ciężaru nad siłę nie dźwigać.

Ten jasny pas światła oczy jego zwrócił ku oknu i domostwu, z którego wychodził. Oświecone okienko było na dole, skazany na śmierć mimowolnie zbliżył się ku niemu z uśmiechem jakiegoś politowania.

— Co tam goreje? — mówił do siebie — czy blask od kołyski nowonarodzonego, co na świat oczy otwiera, czy świece katafalku? Pierwsza, czy ostatnia boleści godzina? Światło to pracy, czy rozpusty? O, czasu dosyć jest do dnia, niepilno mi, poczeka woda wiślana, zobaczymy!

I z założonemi rękoma, jak złodziej skradający się, zbliżył powoli do zakratowanego okienka. Było ono wysokie a dość wąskie, okrągło zasklepięne u góry, jak zwykle po starych domach, i nie zaparte okiennicą. Strzegła go tylko kratka gruba, żelazna, dziwacznie ozdobna zgięciami. Przez szyby świeże i powiększone ujrzał zdumiony podczaszyc znany pokoik Anusi. Serce wstrząsło mu się gwałtownie. Los, jakby naumyślnie, tą strugą światła przedzielił go od śmierci, wskazując na progu nowego życia wspomnienie pocziwszej młodości.

Przy piecu, u którego rozpalonych drzazg łuczywa grzało się kilka garnuszków, siedziała Anusia z ulubioną sobie kądziolką, której nigdy porzucić nie chciała, bo ją starościna pierwsza praść nauczyła, sama niekiedy po staroświecku kołowrotkiem się zabawiając.

Anna z towarzyszką swoją śpiewały cichym głosem godzinki.

Śpiew ten przez szyby przedzierał się zesłabły do uszu podczaszycy i poruszał go tak głęboko, tak silnie, jak nigdy żadna arja opery; przypominał mu dzieciń-

stwo jego, babkę, jej ranne modlitwy i Anusię, i Głuszę! Ale z zaschłej żrenicy jeszcze łza nie pociekła; tylko przykuty do ściany stał tak, milczał, patrzył, patrzył, aż mu się zdało, że się przeniósł w czasy młode, że klęczał u nóg staruszki, a ta go błogosławiła do ciężkiego życia.

— Szkoda — rzekł w duchu — twego błogosławieństwa na tak skalaną głowę jak moja!

Jam wszystko zmarnował, coście mi dali na drogę, wszystko, i błogosławieństwo twoje i cnoty w duszę wszczepione, co czasu nie miały wzrosnąć! Splugawili mnie ludzie dotknięciem, słowem, wejrzeniem, technieniem, kobiety uściskami, widok świata niewiarą... Nic nie żądam, nic nie mogę, chyba umrzeć — i umrzeć!

Anno! Anno — zawołał pocichu, odrywając się od okienka — ty nie wiesz i nigdy wiedzieć nie będziesz, jakem cię kochał...

Ale to była miłość, której się wstydziłem jak wszystkiego świętego, com wyniósł z młodości... żegnaj cię modlącą się, wzrokiem tylko... inaczej pożegnać nie mogę! bądź zdrowa, Anno! bądź zdrowa!

Gwałtem się oderwał od okna, które go ku sobie ciągnęło, a szybszym niż wprzód krokiem idąc, spuścił się ku Wiśle. Niżej już coraz zimniejsze wiało powietrze; roztoczyło się przed oczyma jego szerokie niebo, po którym różowe płynęły obłoki, i Wisła odbijająca w sobie barwy poranku, tocząca się jasno i spokojnie gdzieś ku morzom, jak człowiek ku wieczności. Most jak długi zdawał się pusty, gdzieś tylko w mroku skrzypiały koła jadących zdaleka wozów.

Ordyński spojrział długo na ten obraz i pośpieszył, ranek się zbliżał, a z nim ludzie, tłum, gwar, świadkowie — w ciszy i ciemności trzeba było odegrać ostatni akt dramatu. W początku myślał pójść brzegiem, ale obawiał się, by woda nie była za płytka, a on w niej nie był zmuszony brodzić, szukając głębiny. Że nikogo jeszcze nie widać było na moście, postanowił dojść do środka jego i stamtąd się dopiero rzucić. Pośpiesznie więc szedł na most i zbliżał się już do miejsca, które

sobie w myśli oznaczył, gdy nagle usłyszał za sobą dzwonek, ale tak blisko, że ledwie miał czasu ustąpić nieco, właśnie, gdy na poręczy sparty podnosił się, by skoczyć w wodę.

A razem głos dobrze mu znany zawołał:

— Człowiecze szalony! co robisz!

O. Spirydjon zakapturzony, w płaszczu, niosący na piersi ostatni pokarm konającemu, ukazał się niespodzianie oczom jego.

Zawstydzony Ordyński nie miał siły oczu podnieść, ale go poznał starzec.

Długo przyglądał mu się w milczeniu boleści, oburzenia i rozrzewnienia razem, aż nareszcie wybuchnął.

— Tak! tak! — zawołał — jakie życie, koniec taki! patrz, do czegoś doszedł, do najszkaradniejszej zguby. Sam siebie własnem sumieniem osądziłeś godnym śmierci, sam sobie chciałeś być katem! Ale Bóg ręką bezsilnego starca cię ratuje... czy nie widzisz w tem spotkaniu zrządzenia Opatrzności??

Ordyński, złamany uczuciami, których doznał, dotknięty widokiem kapłana, pierwszy raz od śmierci matki padł na kolana i lży strumieniem polały mu się z oczów.

— Będiesz żył, — rzekł starzec — ale nie dawnem swem życiem, co cię tu przywiodło, nowem, odrodzonym, lepszem — Bóg sam chce tego!

— Żyć, — zawołał Ordyński — o! nie mogę już, ojcie, nie powinienem; ciąży na moich piersiach błoto przeszłości, grzechy i spodlenie — nie mam już tchu na życie, nie czuję sił w sobie, pozwól mi umrzeć!

— Nie, — powtórzył kapłan, silnie ujmując go za rękę — pójdiesz ze mną do łóża konającego, przypatrzysz się śmierci w całej jej okropności, a stanąwszy u progu, powrócisz do nowego żywota.

To mówiąc, ojciec Spirydjon pociągnął go za sobą, w milczeniu przeszli na Pragę, a tu ponad Wisłą uliczką wąską udali się do małego dworku drwala — w okienku świeciło im się zdaleka.

Cicho było dokoła, cicho w wąskiej sionce, gdzie

księdza spotkał stary już, szpakowaty mężczyzna, klękając przed Zbawicielem, którego wnosił do domu.

— Mój ojcie, — rzekł, całując jego rękę — darujcie mi, żeś was z tak daleka i pod tę porę wezwał, ale to bieda mnie się uczepiła! Dni kilka temu włóczyło się tu jakieś biedaczysko, czy opętany, czy z zawróconą głową, nie wiem; jakoś mię litość nad nim wzięła, żeś mu dał przytulisko, a tu mu się jak na raz i na śmierć zebrało. Jeszczeby to nic, ale to jakiś nieszczęśliwy, co tak ciężko kona, a takie wygaduje rzeczy, że włosy na głowie powstają. Strach mnie wziął, żeby pod moim dachem bez Pana Boga nie skończył, a tu inny ksiądz, jak wy, rady mu nie da!

To mówiąc, drwał otworzył drzwi alkierzyka i z izdebki przedstawił się im widok straszliwy i przejmujący.

Na garści słomy w kącie, przy świetle kaganka dogorywającego na półce, leżał człowiek niestary, ale okropnie wyniszczony. Głowa jego była całkiem z włosów obnażona, twarz także z nich opadła, policzki miał strasznie wychudłe, usta sine i spienione, oczy obłąkane i dzikie. Podczaszyc poznał w nim szalonego męża pięknej Julji.

Na widok księdza porwał się ten kościotrup żółty, zdawał mozolnie zgromadzać myśli, wlepił w niego oczy szklane, usta otworzył bezzębne, piersi uderzył pięścią ściśnioną i poczęte przekleństwo skończyło na wargach.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł poważnie kapłan, przestępując próg izby.

Kozłowski popatrzał i nic nie odpowiedział.

— Ksiądz! ksiądz! — począł szeptać pocichu — to może pocziwy człowiek, zresztą wszyscy szelmy, a najgorsi panowie... ale ksiądz toby powinien być pocziwy?? he??

Podczaszyc na widok tego obłąkania, męczarni i przekleństwa na ustach konającego uczuł krew ścinającą się w żyłach, bo część ich spadała na niego, bo

i on należał do liczby ludzi, co temu nieszczęśliwemu skarb jego wydarli i zbezczescili.

O. Spirydjon popatrział, począł się nad nim modlić, nareszcie przeżegnał obłąkanego, a siłą krzyża tego jakby cudem uspokoił się nieszczęśliwy, głowę pochylił na piersi, oczy przymknął, zdawało mu się, że na chwilę usnął i przebudził zaraz oprzytomniony; oczy jego jaśniej teraz patrzyły, wzrok chodził rozważnie po przybłych, ukląkł, złożył ręce, począł płakać rzewnie i modlić się.

Łzy, jakby długo wstrzymywane, puściły się teraz z otwartych źrenic strumieniem wezbrany.

Podczaszyc, świadek tego cudu dokonanego modlitwą, uczuł świętość człowieka, co umiał go uprosić u Boga, i cofnął się z uszanowaniem, bo ujrzał oczyma swemi to, w co nie wierzył nigdy — dotknął się cudu, widocznie objawiła mu się siła Boża.

Kozłowski przestał być obłąkanym, był nieszczęśliwym tylko, który po długim śnie szaleństwa budzi się z całą pamięcią przeszłości.

Przyszedł do nóg kapłana, o spowiedź i przebaczenie grzechów go prosząc.

Ustapili więc wszyscy, a z nimi i przejęty podczaszyc, drzwi alkierza się przymknęły, a uratowany od śmierci zasiadł zaproszony przez drwala w ubogiej jego chacie. Uderzył go teraz i widok życia ubogich, bo on także na nowo miał rozpocząć żywot pracy i niedostatku, począł się rozglądać po czystej izdebce, w której znać było ład, spokój i jednostajny bieg godzin w pocie czoła zarobionym podsycanych chlebem. Proste ławy, stół sosnowy, obrazy Świętych po ścianach, kolebka dziecięca, łożo starej matki, warsztat tkacki, narzędzia drwala ustawione były z pewnem uczuciem porządku i wdzięku. A wśród nich tu i owdzie religijne wspomnienia, serdeczne pamiątki wpięły palme błogosławieństwa, wianuszek święcony i zwiedłą wiązaną ślubną. Na wydatnem miejscu wisiał krzyż czarny, na ścianach białą kredą wypisane niezgrabnie, świeciły się poważne daty urodzin i śmierci.

Osląblem, zemglonem okiem poglądał Ordyński na ściany izby, rozświecone migotliwem lampy światelkiem i tak dumając, spoczywał na ławie, póki ks. Spirydjon znów drzwi alkierza nie kazał otworzyć. Na dźwięk dzwonka, zwiastujący, że Chrystus jednemu z ludzi się udziela, pobiegli wszyscy pokłęknać w sieni, poszedł i Ordyński. Kozłowski klęczał na słomie, zupełnie uspokojony i przygotowany do podróży ze świata.

— Dziecię moje, — rzekł do niego, zbliżając się po zwykłej modlitwie, kapłan — rozgrzeszenie ci dałem, ale pamiętaj, że trzeba z serca głębi, szczerze i na zawsze wszystko i wszystkim przebaczyć, jak Chrystus tym, co go męczyli.

— I jej? — odezwał się pocichu Kozłowski.

— I jem! — dodał ksiądz — i wszystkim! Na Boga złóż karę... bo oto dziś właśnie, w chwili może, gdyś ty konający przebaczył, osądził go świat i poniżył, w proch i hańbę rzucając na wieki! Przebacz mu!

— Niech mu tak Bóg przebaczy, jak ja mu daruję, — rzekł słabo Kozłowski — tak! wszystko, nędzę, poniewierkę! nieszczęście moje! i spodlenie jej nawet! — To mówiąc, zapłakał.

Spełnił się obrzęd ostatni, tak uroczysty i przenikający, obrzęd pożegnania ze światem, wyboru w drogę wieczności. Kozłowski pochylił się znużony, zamknął oczy, przytulił się do ściany i zaraz usypiać począł.

— Wyjdźmy! — rzekł ks. Spirydjon.

Szarzeć już dobrze poczynąło, wschód coraz jaśniejsze oblewały blaski, mgła jeszcze kłębiła się nad rzeką, a poranek przenikającym wiał chłodem.

Podczaszyc z o. Spirydjonem wszedł do klasztoru, do tej samej celi, w której już przebył tyle dni zmęczenia, niecierpliwości, niepokoju. Właśnie w chwili, gdy się za nim zamykała furta, ujrzał w ulicy zdala stojącego cavaliere Fotofero, który niskim ukłonem szydersko go zegnał, od śmiechu za boki się trzymając. Mignął mu on tylko i znikł z oczów.

XVI.

Różne nazajutrz wieści chodziły o losie podczaszyca. Rozpowiadano z wybornemi dodatkami, jak na zabawie u de Cerullego przegrał po szalonym miljon, jak potem świstał, śpiewał, pił, wydarł się pilnującym przyjaciółom i zniknął. Domyślali się niektórzy, że w wodę gdzieś rzucić się musiał, drudzy utrzymywali, że się na Bielanach powiesił, inni, że, zaszedłszy na cmentarz Powązkowski, w łeb sobie strzelił. Chciwie oczekiwano wynalezienia nieboszczyka, gdyż nikt już o śmierci nie powątpiewał, sporem był tylko rodzaj, jaki obrał sobie.

De Cerulli, z mocy aktu urzędowego, zajął zaraz nazajutrz dom i ruchomości po podczaszycu i zdziwił się niepomału, gdy upartą Julję zastał śpiącą w salonie na kanapie; przebudzona, spytała go zaraz o podczaszyca.

Cerulli machnął ręką w milczeniu.

— A ty tu co robisz? — spytała.

— Ja zabieram moje... Ordyński mi wszystko przegrał.

— A! łotr! — krzyknęła Julja — patrzcie, zgubił mnie... znowu trzeba iść szukać innego! Ale cóż się z nim stało?

— Utopił się, powiesił, czy zastrzelił! — rzekł zimno Włoch.

— Gałgan! ale ty mnie teraz weźmiesz! musisz mnie wziąć, choć cierpieć cię nie mogę.

— Brac waćpanią, oho, nie myślę!

— Albo ja się pytać będę?

— Ze mną to nie z Ordyńskim, — zawołał Włoch, ruszając ramionami — dajmy sobie pokój, znamy się dosyć.

To mówiąc, poszedł do dalszych pokojów, nie zważając na rzucanie się gniewne kobiety, która mu pięść pokazywała.

Najwymowniejszą pogrzebową oracją Ordyńskiego były przekleństwa Julji, która, wyłajawszy jeszcze

Włocha, zabrała się z czem mogła i pojechała do ks. Nestora. Tu także drzwi zastała zamknięte i musiała szukać dachu, pod którymby za miły grosz spoczęła.

Ale wróćmy do podczaszyca, do którego wieczorem wszedł, wypocząć mu dawszy, z wesołem obliczem pocziwy kapucyn.

— Teraz, dziecię moje, — rzekł, zażywając tabaki — jesteśmy, dzięki Bogu, na dobrej drodze, naradźmyż się, co masz czynić, byś szacunek swój, świata, a co największa, łaskę Bożą odzyskał.

— Ty mi to poradź, ojcie — odpowiedział podczaszyca. — Smutnie doświadczyłem, że woli własnej nie umiem dać kierunku, przyznam się, że dziś nawet, choć się tu przywieść dałem jak posłuszne dziecię, nie mam odwagi spojrzeć na przyszłość — głowa mi się zawraca. Co począć mogę? skalany, wyśmiany, może okrzyczany tchórzem, bom śmierci nawet zajrzeć w oczy nie umiał... bez majątku i sam... i sierota!...

— Słuchaj, — rzekł kapłan powoli — wszystko to tak ci się dziś strasznie widzi, żeś miał majątek, imię, młodość, wziętość, szacunek, i — stracił. Ależ i inni zaczynają z niczego i dopracowują się pięknej przyszłości, dlaczegoż i ty nie miałbyś pójść śmiało zarabiać na nią w pocie czoła, obmyć się z brudów, krwią może i być twórcą własnego losu? Jesteś istotnie tak słabym, że cię nawet ubóstwo zastrasza?

— Ale, ojcie, ubóstwo to jeszcze coś, a ja nie mam nic! nic!

— Na początek coś ci znajdziemy, głowy o to nie łam.

— Więc pójdę... skryję się gdzieś daleko, na wsi, gdzie ludzkie nie znajdzie mnie oko i pracować będę na zagonie.

— Byłoby to bardzo dobrze, — odparł kapucyn — gdyby twoja praca na zagonie przydać się na co mogła; aleś ty nie dla niej, ona nie dla ciebie. Masz w żyłach krew rycerską, choć zgnuśniała, czemużbyś w takiej chwili, gdy ojczyzna o ratunek woła, nie po-

wyszedł do wojska? Zewsząd ciśnie się młodzież. Nie pomyślałeś o tem?

Podczaszyc mocno zawstydzony spuścił oczy.

— Łatwoby mi było — rzekł zcicha — otrzymać od króla regiment, a z czegoż go wysztyftować?

— Nie o regiment ani o rangę tu, braciszku, chodzi, — przerwał ksiądz — niech tam paniczek i fircyki stają na czele regimentów, to nie służba! Wejść waćpan jak żołnierz, szlachcic, wprost w szeregi, nie na żart, nie dla szlify, a popisz się, gdy do czego przyjdzie! ot czego chcę i co radzę!

Ogień, z jakim to wyrzekł staruszek, zagrzał przecie serce podczaszyca, który, ściskając dłoń jego, odezwał się:

— Uczynię tak — pojedę i będę służyć prostym żołnierzem, dopóki krwią nie obmyję brudów przeszłego życia.

— Może też Bóg — rzekł kapłan — tej ofiary krwi wymagać od ciebie nie będzie, choć! ty mnie nie pojmujesz!!... nie — ale krew ma tajemniczą siłę zmywania plam z duszy. Może Bóg przyjmie twą ofiarę, nie pociągając cię do niej, a tobie posłuży, o! posłuży hartowniejsze życie w obozie, pod namiotem, w niewygodach i pracy.

Jeszcze dni kilka — spoczywaj, myśl, żałuj, przygotuj się modlitwą do spowiedzi, a potem, kochanku, — weselej dokończył ksiądz — wyprawię cię z krzyżem świętym do generała Madalińskiego, mego starego przyjaciela! i hulaj dusza z szabelką, to dopiero zobaczysz życie!

Po chwili obojętniejszej rozmowy staruszek, rozpromieniony, że duszę jedną ze szpon czarta Bóg mu wyrwać tak cudownie dozwolił, wyszedł wezwany na miasto, i późno już mimo dworku Anny przechodząc, wstąpił do niej na minutkę.

Zastał biedną we łzach, bezprzytomną prawie, klęczącą na ziemi, ktoś bowiem ze znajomych wpadł do niej z wieścią dziwacznie przerobioną o grze nieszczę-

śliwej i śmierci podczaszyca, o znalezieniu jego ciała i t. p.

— Co to jest? co to jest? — spytał na progu kapucyn.

— Ojcze, ty przychodzisz do mnie z pociechą, ale jej dla mnie już niema! on zginął!

— Kto? co? kiedy?

— Michał się utopił!

— To fałsz! — zawołał stary — nieprawda!

— Nic nie wiesz chyba, ojcze! a ja ci powiedzieć nie mogę, przegrał ostatek! rozpacz go ogarnęła! a! czemuż nie przyszedł do mnie, byłabym mu choć na tę grę nieszczęsną wszystko do ostatniego oddała pierścionka! niechby żył, jabym miała — choć nadzieję!

— Miejże nadzieję, bo on żyje! — rzekł o. Spirydjon.

Anna zdumiona spojrzała na niego, nie dowierzając.

— To być nie może!

— Jakto! to już i mnie nie wierzysz? upamiętaj się! Michał Ordyński w klasztorze u nas od rana.

Porwała się Anna z ziemi i cała zdyszana, śmiejąc się, wołając Wąchorskiej, krzycząc prawie, podbiegła do staruszka.

— A jakże się to stało? mów, mój zbawco, niech wiem, niech słyszę!

Kapucyn opowiedział jej ranną swoją pielgrzymkę, spotkanie na moście i ocalenie podczaszyca. Chciwie słuchając opowiadania, chwytając każde jego słowo, Anna milczała i modliła się. Gdy powtórzył jej wreszcie, co mu podczaszyc, powracając, o swem u okna Anusi zatrzymaniu się opowiadał, cała wzruszona porwała się z ławy.

— A możeż to być! — zawołała — prawdaż to? on tu był pod oknem i zegnał mnie przed śmiercią! a serce moje ani zabiło, ani przeczuło, ani mi o nim powiedział!

Ksiądz mówił dalej, przytaczając treść ostatniej

z nim rozmowy, a Anna z wyrzutem prawie spojrzała na niego.

— Ojcie, — rzekła — oddam, co tylko mam, by mu powrócić choć część tego, co utracił, zostanę ubogą, jakem przywykła, wesoło pocznę pracować! On niech powraca z tego przekłętego miasta do Głuszy. Nie przywykł do niewygód, do ostrego życia! to niepodobna.

— Powoli, powoli, moje dziecko, — odpowiedział stary przyjaciel — źlebyś zrobiła, oddając mu teraz majątek, byłoby to narzędziem zguby, potrzeba, by przeszedł szkołę nieszczęścia, poświęceń i pracy.

— A jeśli zginie? — łamiąc ręce, krzyknęła Anna.

— Nie lękaj się, nie lękaj, dziecię moje; Bóg usłucha czystych modlitw twoich, on nie zginie, niech jedzie, służy, walczy, a gdy wart będzie szczęścia i spoczynku, naówczas znajdzie oboje...

XVII.

W kilka lat po opisanych wypadkach wstrząsł się kraj cały jakimś konwulsyjnym ruchem, zmieniła fizjognomja stolicy i przetworzyli ludzie... Po czteroletnim sejmie, po reformach jego, które radykalnie uleczyć miały a rozwinąć się nawet nie mogły, po założeniu kościoła Opatrzności z obrzędem, w którego obchodach brzmiało już z niebios jakieś złowrogie proctwo — ostatni wysiłek poruszył do dna wnętrześci całego kraju.

Warszawa przedstawiała straszliwy widok stolicy, oczekującej tylko niemal przewidzianego podboju i krwawej za krew zemsty. Wśród tłumów, walczących jeszcze, jeszcze powierzających się losom boju, stał król, który nic nie widział prócz upadku, i zdawał się go z zimną oczekiwać obojętnością. W ciągu tych lat kilku zestarzał się, pochylił prawie, a uśmiech już na ustach był niewidywanym gościem. Ze zwieszoną głową, jak ofiara, szedł obojętny, gdzie wiatry powia-

ły, pewien, że przeznaczeń, które jak Kassandra zawczasu wyśpiewał, nic przebłagać nie potrafi. Skarby sztuki, które zgromadził, świat, co jeszcze wdzięczył się do obłamanej jego korony, ludzie, co mu pochlebiali dla ostatniej garstki złota, nic go, nic rozmarzyć nie umiało. Poddawał się wszystkim zkolei, robił co tylko chciano, potakiwał każdemu — wszyscy i wszystko mu było równem.

W kilku dniach trwogi stracił resztkę sił, jakie z życia pozostały... teraz obawiał się już szelestu, drgnienia, dźwięku dzwonów, wystrzału, głośniejszej rozmowy, silniejszego uczucia, a żaden z tych, co się zwali poddanymi jego, mniej nadeń nie był panem siebie. Obumarły, dożywał resztek z obojętnością człowieka, który w nic prócz w fatalność nie wierzy.

Ryx, Bacciarelli, Byszewski, wszyscy dworacy i faworyci próżno szukali sposobów dźwignienia go z tego upadku; uśmiechał się, ruszając ramionami, ale na wszystko zimny był jak trup wyjęty z trumny.

Obok zamku, w którym dożywał Stanisław August, miasto wrzało jeszcze trwogą i nadzieją, a stolica, okolice jej i wewnątrz militarną miały postać.

Było to w październiku, w roku tym jesień słotna i chłodna gorzej dokuczała od zimy, bruki miejskie płókał deszcz drobny a gęsty, chmury szare powlekały niebo jednolitemi płachtami swemi bez barwy i zarysów, wiatr pociągał z zachodu i smutno było jakoś na świecie. W mieście pustka, rzadki fiaker stał na placu, lub przewlekał się noga za nogą, rzadszy powóz zatętniał żywiej po bruku, a przechodniów prawie nie widać było.

W mieszkaniu prezydenta Zakrzewskiego kilka osób zebrało się na wieczór, który dla wielu z nich miał być pożegnaniem na długo, choć nikt z nich jutra nie przeczuwał.

W pięknej salce, u komina, płonącego jasnym i ożywiającym ogniem, ścisnęła się tu garstka mężczyzn w fantazyjnych mundurach owej epoki, lub cywilnych strojach francuskich. Wśród nich niewielkiego

wzrostu, ale silnie zbudowany, oryginalnych rysów twarzy, nacechowanych wyrazem energii, w prostej szarej sukmance zielonemi oszytej sznurkami, stał wódz naczelny. Na pierwszy rzut oka niepozorny i niknący w tej kupce arystokratycznych postaci przy wpatrzeniu się pociągał ku sobie jakimś znamieniem ludzi do wyższych powołanych losów. W oczach niepokojnych i gorących, w ustach i na czole miał piętna władzy, sławy i nieszczęścia. Dnia tego chmura jakaś zwisała nad czołem jego, usta ścisnęły się mimowolnie, patrzył w posadzkę, zamyślał i usiłując być wesół, jeszcze wyraźniej okazywał się przejętym, niespokojnym. Zaledwie dwie czy trzy przytomne tu osoby wiedziały z nim razem, że się już generał Fersen potrafił przeprawić przez Wisłę, a Poniński go trafem, nieopatrznością czy wolą losu fatalną przepuścił. Nikt też prawie nie wiedział, że o świcie wódz naczelny postanowił opuścić stolicę i sam stanąć na czele szczupłej garstki, do której wątpiono, by się w porę potrafił przyłączyć Poniński.

Obok wodza stali pięknych i odznaczających się rysów twarzy marszałek Potocki, Mostowski, Kochanowski, podkanclerzy Kołłątaj, gospodarz domu, młody N... w wojskowym mundurze i przybyły od wojska z depeszą znany nam Ordyński, którego wszakże trudno dziś było poznać... Kilka lat pracy zmęźniło go, uszlachetniło i odmłodziło razem, zdawało się, że podrósł, spoteężniał i skąpany w znoju stał się nowym człowiekiem. Białą niegdyś i zmęczona twarz jego powlokła się barwą tak dobrze zdobiącą mężczyznę, którą nadają wiatr i słońce, oczy odzyskały ogień, usta rumianość, czoło wyraz spokoju i myśli. Wojskowy ubiór przystawał mu wybornie i niktby się dziś w nim nie domyślał hulaki, który niedawno tracił dnie i noce w bezmyślnem i osłabiającem próżnowaniu. Znać było, że w tej piersi, pokrytej mundurem, inaczej teraz, żywiej a spokojniej bić musiało serce, drugą odzyskawszy młodość.

Nie wesół ale nie znużony, miał wyraz dojrzałości,

męstwa i pomiarkowania, połączony z wrodzoną i niezatartą dobrocią, przebijającą się w uśmiechu i wejrzaniu. Z uszanowaniem stał, patrzył i słuchał, a z roz-targnionych rzutów oka na okna widać było, że serce jego uciekało gdzie indziej.

Pomimo pozornej wesołości, którą wzajemnie ducha sobie usiłowali dodać przytomni, nikt z nich w istocie wesół nie był, wszystkich uciskało jakieś niepojęte przeczucie, ta woń przyszłości, która ją zawsze poprzedza. Wódz mówił o rzeczach obojętnych, ale co chwila zaczepiał o sprawę publiczną, inni dodawali coś każdy do wieści ogólnych — przyniesione z ulicy wiadomości, domysły, przypuszczenia, nadzieje lub przestrochy. Nie brakło w powietrzu krążących skrzydlatych nowin, co często zgadują przyszłość tajemniczym i niepojętym sposobem. Jedni już sprzymierzonych widzieli pod Warszawą, drudzy ich wstrzymywali różnemi środkami, a oczy i nadzieje wszystkich zwracały się na siwą sukmankę, pod którą ostatnie biło serce.

Ordyński stał, słuchał i wzdychał niekiedy, na pytania tylko o wojsku mu zadawane odpowiadając krótkimi słowy. Na chwilę przed wieczrą ks. podkanclerzy zaszedł niby przypadkiem z wodzem naczelnym do drugiego pokoju i przez minut kilkanaście pozostał z nim na cichej rozmowie. Wyszli oba nieweseli, a tu i do stołu oznajmiono. Usiedli wszyscy do wieczery.

N... miał właśnie dnia tego na palcu etruryjski pierścień, wystawujący na pięknym agat-onyksie ranego żołnierza, spartego na puklerzu. Siedział on przy marszałku Potockim, który ten pierścień spostrzegłszy, prosił, żeby mu się dał przypatrzeć i niezmiernie chwalić go począł.

— Weź go, marszałku, — rzekł N..., z uśmiechem nieznacznym spoglądając na wodza i Zajączka — dla mnie dziś żołnierza złej to wróżby rzecz, nosić się jej boje...

— Ale, mój panie, — odpowiedział, opierając się

trochę, marszałek — chyba co wzamian ode mnie przyjmiesz, to dar zbyt kosztowny.

— Nic nie chcę, — rzekł brześcianin — tymczasem go zatrzymaj, panie marszałku, oddasz mi, jak się, da Bóg, zobaczym. Pierścień ten z rannym żołnierzem podawany z rąk do rąk zakończył niewesołą wieczrę, a choć wzmianka złowroga była całkiem przypadkową, kilka czoł pochmurniało, N.... westchnął.

Napróżno Zakrzewski prosił, zatrzymywał, usiłował gości swych rozchmurzyć, wódz naczelny, z nim Zajacek, Kołłataj, N... i wezwany Ordyński wyszli zaraz po wieczery. Ordyńskiego wieczorem przybyłego z depezbami, nie puszczając od siebie, bo się młodości jego obawiał i słów, któreby mu się wymknąć mogły, zabrał z sobą wódz do głównej kwatery, natówczas w Mokotowie będącej, powierzając mu rozpiśanie rozkazów i listów, które w nocy przygotować miano. Musiał więc, nie zajrzawszy nawet do dworku Anusi, spełniając rozkaz, iść z sercem bijącym za wodzem, a nazajutrz o świcie śpieszyć z nim razem na pole walki.

Noc upłynęła szybko; o piątej, nie tknąwszy łóżek, wszyscy już byli na koniach, wódz w siwej sukmanie na przodzie. Zajacek, który po nim obejmował dowództwo stolicy, w milczeniu posępnem odprowadził ich do mostu i okiem pożegnał uchodzących.

W ciemną noc jeszcze, nim zaświtał brzask dniowy, wśród słoty i wichru wyjącego, ruszyli wszyscy galopem po śliskiej i rozmokłej ziemi. Ordyński raz jeszcze okiem Warszawę pożegnał.

Cały dzień zszedł na szybkiej podróży bez chwili wypoczynku. Trudno tam było rozpoznać wodza w tym małym, prostą opończą okrytym jeźdźcu, który gnał zamyślony na mizernej chłopskiej szkapie, z oczyma utkwionemi gdzieś w niedojrzałą przyszłość. Co wioska potrzeba było odmieniać konie, bo żaden gwałtownej jeździe wystarczyć nie mógł, a że i siodeł i uzd brakło często, rzucano wór słomy na grzbiet szkapie, a sznurem pysk przeciągnąwszy — dalej!

a dalej! Dokoła, w pluchach jesieni, w szarej, smutnej osłonie chmur i deszczu, pustką przerażającą odkrywał się kraj, przez który już przeszła wszystko niszcząca wojna. Gdzie niegdzie z dworów szlacheckich stały tylko okopcone ściany i rumowiska nieforemne, indziej posadę wioski, rząd sterczących kominów i opalonych płotów oznaczał — pogorzelisko lub pustynia... Po drogach leżały zdechłe konie i bydło wpół przez zwierza pożarte, a gościńce kopytami stratowane, tam i owdzie rzucone potraskane lawety świeże przejście wojsk opowiadały.

Jak zbieg, przekradając się z garstką swoich towarzyszków, wódz nareszcie dobił się do nielicznego oczekującego nań wojska.

Przed nimi cicha Wisła ciche toczyła wody, na wzgórku odrapane domostwo, poniżej wioska i drzew trocha... miejsce to zwało się Maciejowice. Na widok wodza zbiegło się co żyło z naczelników oddziałów i otoczyło go radośnie. Ordyński, z smutnem jak wszyscy prawie przeczuciem, przybył na stanowisko ostatnie, ale tu widok wojska, weselsze twarze dowódców i młodzieży, niedokładne wieści, zmniejszające liczbę ludzi i armat generała Fersena, jemu jak innym wlały jakąś otuchę.

Maciejowicki dwór stary, murowany pałacyk na wzgórku nad rzeką stojący, nosił także na sobie ślady przechodów wojsk i wojny; zajęto go na główną kwaterę dla naczelnego wodza i sztabu, przy którym i nasz znajdował się Ordyński. Smutny był widok tej budowy, co spokojniejsze pamiętała czasy, sal, które nieraz brzmieć musiały weselem po gospodarskim znoju, izb dziś ogołoconych ze wszystkiego, pustych, z porozbijanemi oknami, z napół wyłamanymi drzwiami, potraskaną i popaloną podłogą, zimnych, wilgotnych, opuszczonych jak kaplica grobowa. W górnej części dworu, w jednym z pokojów wisały jeszcze na ścianach wysoko portrety Maciejowskich i Zamojskich, ale ani jeden z nich całym nie pozostał, kawałami powyszarpywano z nich płótno, powystrzeliwano oczy, poroz-

cinano piersi, a to pośmiertne męczeństwo znów oczy uderzało jak jakaś wróżba złowroga. Z okien tej sali właśnie widać było obóz Fersena szeroko rozciągnięty: ognie porożpalane pod bliskim lasem, namiot naczelnika, zielone wozy artylerji i tłum niepoliczony wojownika. Wiatr niekiedy przynosił stamtąd osłabły odgłos bijących na capstrzyk bębnow i hura! żołnierzy.

Na równinie pode dworem skupiła się w cichości garść ludu naczelnego wodza, złożona i ze starego wprawniejszego żołnierza, i z świeżej a nie znającej ognia milicji, której większa część w kosy tylko, toporki i ladajaką broń zaopatrzona była. Zdawało się, że na pierwszych najwięcej rachować było można, a drudzy ledwie lik stanowić mogli — ale któż kiedy przewidzi jutro i zgadnie człowieka?

Całą noc prawie, mało zażywszy spoczynku, wszyscy chodzili po wzgórzu, myśląc i rozprawiając o dniu jutrzejszym, który niechybną zapowiadał potyczkę. Jenerałowie Kniaziewicz, Sierakowski, Kamiński, brygadjer Kopeć, pułkownik Wojciechowski chmurnej twarzy i niewesołej mowy, nareszcie Ursyn dowodzący milicją brzeską, w kupki się zbiwszy, rozglądali pozycję, usiłując ciemność przeciąć okiem, a przyszłość myślą niespokojną odgadnąć. Rozmowa ich cicha nie przerywała milczenia, wśród którego dochodził szmer obozowy i rzenie koni z równiny; na niebie ołowianem uparcie nad tą garścią wojowników krążyło z uprzykrzonym krakaniem stado czarnych kruków. Tym duszom, pragnącym przepowiedni, zesłał Bóg zwiastunów śmierci, które odezwały się jak w starej pieśni słowiańskiej przedbojowym smutkiem.

Ordyński podniósł oczy i wskazał tę przelatującą chmurę brygadjerowi Kopciowi.

— Co to znaczy? — spytał, wzdychając.

— Zachciałeś waćpan — odparł Kopeć, ruszając ramionami, chociaż sam splunął nierad zjawisku — wrony na słotę kraczą; a jaki z waści tchórz!

To powiedziawszy, zatarł ręce i rozśmiał się, choć z przymusem.

Tchórzem jednak nie był Ordyński i nieraz już dał tego dowody w ciągu lat kilku, ale teraz doznawał tego przykrego uczucia odzierającego z nadziei, któremu człowiek całą siłą ducha oprzeć się nie umie, kiedy nań padnie z góry. Sen go nie brał, usiąść nie mógł, jakiś niepokój gnał go z miejsca na miejsce. Szczerściem zawołano do wodza i użyto go do ekspedycji pism, które znów wysyłano do Ponińskiego — przesiadzał więc noc nad papierem, nie myśląc w tem odrętwieniu moralnem, dla którego mechaniczne zajęcie jest dobrodziejstwem.

Dzień poczynało nareszcie po długiej nad miarę nocy, ruszyły się wojska w obozach, a od Fersena ozwały się o świcie bębny i muzyka, i kolumny wojsk jego wnet jak mrowie ruszać się poczęły, widocznie usiłując garść na wzgórzu oszańcowującą się otoczyć, rozciąć i zewsząd osaczyć. Ordyński na pierwszy odgłos trąbki odzyskał życie, zapal, nadzieję, pchnął papiery ze stołem i ochoczo rzucił się na konia, bo już stawano do boju. Przeznaczony on został wraz z kilku innymi do roznoszenia rozkazów, to jest, do jednej z najniebezpieczniejszych funkcyj, gdyż zwykle rozkazy idą w stronę zagrożoną i prowadzą przez grad kul, a niosący je, nie mogąc walczyć, na śmierć leci bezbronny.

Nim się wojsko po krótkim spoczynku miało czas w porządek zebrać szyki, już Fersen ruszył, usiłując je objąć, i wielkimi działami swemi zdala dokuczać mu począł. Kule jego co chwila rozbijały drzewa i gruchotały budowle upadające z trzaskiem, wyrzywały ziemię, waliły płoty, a jedna z nich o mało nie zabiła samego wodza, świsnąwszy o kilka kroków od niego i obrzuciwszy go wyoraną ziemią. Działa jego wojsk nielicznych, mniejszego kalibru, czekać musiały zbliżenia się oblegających, by się odstrzeliwać skutecznie; zawarczały nareszcie, gdy przyszli na cel, i poczęły utrudniać niemało pochód oddziału Fersena, który przez błota i trzęsawiska, zarzucając je faszynami, powoli ale uparcie drogę sobie torował. Ordyński,

w chwili, gdy się już bój rozpoczynał w pierwszych piechoty szeregach, wysłany do jazdy pułkownika Wojciechowskiego, stojącej jeszcze i nie użytej w rezerwie, potem do piechoty brzeskiej, wciąż w ogniu, sam już rozogniony, biegał wśród rozpoczętej walki, którą co chwila sama liczba rozstrzygnąć musiała niechybnie. Na samo pierwsze wejście potężny oddział Fersena tak dalece przewyższał garść ludu zebraną na wzgórkach u dworu i równinie pod lasem, że tylko rozpaczliwa odwaga wątpić mogła o wygranej.

We wszystkich zapadł był wielki, szedł on z piersi wodza, który nim umiał natchnąć bliższych i rozpromieniał się wkoło, ale słabł tam, gdzie wpływ jego nie dochodził. Walka rozpoczęta ze stron obu wzmogła się i stała zaciętym bojem, zamieszanie wkrótce ją zakończyć miało. Nie postrzeżono na nieszczęście i nie opatrzone się aż nierychło, że prawe skrzydło zostało odcięte i otoczone; gdy w tejże chwili posłany po jazdę do Wojciechowskiego Ordyński z rozkazem, by szła do ataku, zdumiony usłyszał od niego tę obojętną odpowiedź:

— Powiedz pan naczelnikowi, że ja mój pułk odprowadzam do Warszawy, winienem ludzi moich oddać w całości królowi, który mi ich powierzył, nogaby ich stąd nie uszła.

— Panie pułkowniku, — zawołał oburzony Ordyński — ale rozkaz wodza! rozkaz wodza jest wyraźny!

— Nie myślę darmo gubić ludzi, — rzekł Wojciechowski, ruszając ramionami — zresztą wiedz waćpan, że i ja także mam rozkazy.

To mówiąc, kazał zatrąbić na odwrót i natychmiast ku Warszawie cofać się począł śpiesznym marszem. Ordyński nie chciał w początku wierzyć oczom ani uszom swoim, nareszcie przez grad kul pośpieszył do wodza, który stał jak zdrętwiały, coraz smutniejsze wiadomości odbierając od Sierakowskiego i innych dowódców.

— Wodzu! — zawołał Ordyński — pułk ułanów króla cofa się do Warszawy... inni za nim uchodzą!

— Na Boga zbierajcie panowie kogo można! płazujcie tych tchórzów! — ogniście krzyknął wódz naczelny — ja sam lecę w ogień, za mną! za mną! tu potrzeba zginąć, ale się nie zesromocić!

Wtem nadbiegł brygadjer Kopec.

— Naczelniku! — rzekł — na miłość Boga uchodź, przegraliśmy na głowę, przegrali!

— Chyba ci się w głowie przewraca! Naprzód, — zawołał wódz — naprzód mości panowie i jeśliśmy przegrali — to tem bardziej naprzód! Gińmy za tych, co ginąć nie umieli!

To mówiąc, spał konia ostrogami i rzucił się zapamiętałe w najgorętszy bój na prawem skrzydle, a Kopec, Drzewiecki i Ordyński poszli za nim, zagrzani myślą pocziwej śmierci lub ocalenia wodza.

Michałowi zabiło serce, cała przeszłość mignęła się różnobarwnym przed oczyma obrazem, pożegnanie zdaleka posłał Annie... Ale już i myśleć nie mógł wśród huku, zamieszania i wrzawy, w której się znajdował, tnąc i siekąc na wszystkie strony; nagle uczuł ciepło rozchodzące się po piersi i rozlewające po niej, rozpiął mundur, włożył rękę i dobył ją zakrwawioną, a w tejże chwili prawie padł na ziemię wraz z koniem. Kula kozacka przeszła go z prawego boku.

Tak dla niego, z zamknięciem omglonych oczu, skończyła się maciejowicka potrzeba, a owe przepowiednie wieszczce pierścienia i kruków ziściły się wszystkie. Najdzielniejsi, jeśli nie śmierć, to rany ciężkie i długą znaleźli tu niewolę, a i krukom dość było pastwy.

Gdy oczy otworzył Ordyński, ujrzał się znowu w maciejowickim dworze, w sieni pustej, na garści słomy, a przy nim krzątało się kilku oficerów rosyjskich, pułkownik Tołstoj, Ursyn z ręką na temblaku, cały podarty i oszarpany, a krwią zeszlą okryty Drzewiecki.

— Co to jest? gdzie jesteśmy? gdzie wódz? — spytał, otwierając powieki.

— Żyje! ciężko ranny! w niewoli! — szepnął Ursyn.

— Cóż się stało ze mną? gdzie ja był?

— Leżałeś na placu ranny i bez pamięci, teraz nie pora ci to tłumaczyć, daj felczerowi opatrzyć ranę, boś dużo krwi stracił.

Opowiedzieli mu potem towarzysze, jak nieprzytomny i niemal już nieżywy leżał na pobojuwisku, gdy Drzewiecki z pułkownikiem Tołstoj szukając wódza wśród trupów, plac oglądając, i na niego trafili; a postrzegłszy, że żyje jeszcze, kazano go kozakom przenieść do dworu, gdzie powoli zmysły odzyskał. Rany Ordyńskiego były ciężkie, ale nie wystawiały go na niebezpieczeństwo; główną tą, którą otrzymał postrzałem w bok prawy, kula daleko może rozszarpała ciało, nie nadwierżając kości, po których się ośliznęła, stracił tylko krwi wiele. Cięty jeszcze czy uderzony w głowę, rozbitą miał na niej skórę i w upadku zgniecioną rękę, ale razem wzięte wszystkie te rany nie okazały się straszne.

Więźniowie wojenni dni kilka jeszcze zatrzymani zostali w Maciejowicach, skąd Ordyński, po opatrzeniu ran, wraz z innymi dostał pozwolenie zgłoszenia się do Warszawy i choć cudzą ręką napisał do ojca Spirydjona i do Anny, oznajmując im o losie swoim i żegnając ich, bo się spodziewał długich lat niewoli.

XVIII.

Minęło znowu lat kilka od opisanych wypadków. Było to pięknego poranku jesieni, na dziedziniec pustego dworu w Głuszy zajeżdżało kilka powozów upakowanych, z dalekiej widać przybywających podróżnych.

Jeśli sobie czytelnik przypomnieć zechce opis tego wspaniałego pałacu w pierwszych rozdziałach naszej powieści, a spodziewa go ujrzyć, jakim był naówczas, gdy króla jadącego do Kaniowa przyjmował, omyli

się bardzo. Nigdzie może czas nie niszczy tak szybko jak u nas — bo mu i klimat pomaga, i ludzie. Nie do poznania był pałac ów, arcydzieło smaku, dziś budowa napozór zestarzała, z tynków odarta, z mnóstwem powybijanych okien, z drzwiami połupanemi, posztukowanemi i na nieforemne zamkniętemi skoble i kłódki.

Bruki dziedzińca i alei zarastały trawą i chwastami, wśród których pasły się swobodnie stada cieląt, świń, indyków i koni w najlepszej zgodzie, ledwie kiedy niekiedy wierzgnięciem i krzykiem przerywanej. Piękne zagrody pogniłe były i połamane, kamienne posągi pogruchotane zzieleniały od mchów, które na nich porosły. Nawet stare ucierpiały drzewa, bo je wiatr i ludzie poobłamywali, a na lipach świeciły żółte rany, zadane przez chciwych łubu wieśniaków. Sterczały kaleki gałęzie nielitościwie poodtrącane siekierą. Owa austerja, w której wojewoda z podczaszyną oczekiwali na Poniatowskiego, była już pustką bez dachu, osmaloną i czarną, a w jednym jej tylko kątku Żyd pod słomianą mieścił się strzechą.

W oficynach pałacu pozajmowali sobie pokoje proszeni i nieproszeni goście, a dowodem ich osiedlenia były różne u drzwi, okien i ścian dodatki, poprzywieszane i poprzybijane dosyć malowniczo, ale bardzo nieporządnie. Żadna furtka i brama nie chodziła na zawiasach, a gdzie ich całkiem brakło, kawałek z płóta plecionki suwał się, jako tako zasłaniając nie pański ogród, ale czyjaś grzędę na nim zdobytą. Tak dziwnie teraz i smutno wyglądała piękna Głusza.

Ale też od wyjazdu podczaszyny, od śmierci tego ducha opiekuńczego, który tu ład i dostatek trzymał w drżących rękach i błogosławił domostwu nieustanną modlitwą, nie było już nikogo, coby pomyślał o jutrze, coby się potroszczył o zachowanie pracy ludzkiej i darów Bożych. Rabowali z kolei rządcy, dzierżawcy, plenipotenci, słudzy, co żyło, tak, że miejscami ze słupów parkanu cegły nabierano na piece do chał, a ogrodowem drzewem palono sobie najregularniej.

Władał tu Lebedziński na chwilę, po nim przyjechał był Cerulli do mniemanego swego dziedzictwa i przeszedł się po pustych salach, marząc o swoim państwie przyszłym, ale mu jego przeciwnik taki tumult i oblężenie wierzących, zastawników, woźnych i sąsiadów z pretensjami spędził, że w tydzień jak niepyśzny uciekać musiał, głowę straciwszy.

Byli później dzierżawcy, z których każdy wołał oficynę, ale pałac odzierał, bo tam nie liczone i nie spisane sprzęty, na łasce przybyszów zostające, brać się dawały bez oporu.

Brano więc, co było można, co kto chciał i zażądał, aż do lepszych szyb w oknach, które gontami pozalaływano. Odarto i blachę z dachów, przykrywając je słomą, i posadzki z sal, i zwierciadła ze ścian, pustkę powoli robiąc z wykwintnej siedziby pańskiej.

Po ostatniej bitwie maciejowskiej wzięty w niewolę Ordyński poszedł z innymi więźniami przez Wołyń, do głębi Rosji będąc przeznaczony, ale w Zaslawiu, staraniem mnogich krewnych i poręczycieli, uwolniony został, a następnie przez o. Spirydjona i Anusię dla wyleczenia się z ran wysłanym do wód zagranicznych. Już naówczas Głusza, choć o tem nie wiedział Ordyński, do Anny Sienińskiej należała. Lebedziński umarł był przed rokiem, Cerullego twarde okoliczności zmusiły wynieść się szybko z kraju; sprawę powierzono uczciwemu i zręcznemu prawnikowi, który od Włocha prawo do majątności nabył za bardzo niewielką opłatę.

Wielcy to lekarze ducha — praca, znój i nieszczęście — trudno dziś poznać było Michała, tak się na korzyść swoją odmienił.

W innem kole znalazłszy się, Ordyński i innym też stać się musiał. Uczuł, że stoi na drodze, której się nigdy wstydzić nie będzie, a wspomnienie jej poniesie razem z pamiątkami dzieciństwa do siwych włosów i grobu. Zahartował duszę i ciało, podniósł umysł obcowaniem z ludźmi, których każde słowo

łechnęło wyższem uczuciem i surowym na świat po-
glądem; pojął piękności ofiary, wielkość powołania
ludzkiego, a w sercu odezwała się żyłka rycerska,
którą tylko żywot pierwszy odrętwił na chwilę. Ży-
cie wojskowe poczęło dlań mieć urok, którego się
w niem nie spodziewał — ta wrzawa, ten niepokój, ta
niepewność jutra, boje, utarczki, długie pochody,
ranki obozowe, noce na straży uśmiechnęły się doń
wdziękiem, pełnym poezji i wzniosłości. Nigdy
w swem życiu pierwszym nie doznał uciech tak czy-
stych, a tak silnych, po którychby żadnego nie pozo-
stało mętu. Z myślą o Anusi, z nadzieją jutra, szedł
weselszy coraz, aż wreszcie pieśnią wojacką otwarły
mu się usta — czuł się spokojnym, oczyszczonym,
godniejszym jej i siebie. Czasem kilka słów od niej,
błogosławieństwo ks. Spirydjona, przysłana przez nich
jaka rzewna, a strzelista konfederacka modlitewka
rozgrzały go i sił nowych dodały.

Nieszczęściem przez tych lat kilka, choć go los ra-
zy kilka zbliżał do stolicy, choć raz mu nawet w niej
być dozwolił, nie mógł zobaczyć Anny, mijał jej okno
posłuszny, by rozkazu wodzów nie zdradzić. Teraz
dopiero, po tylu zmianach, po odrodzeniu do nowego
życia, powracał wreszcie, marząc, że mu już wolno
będzie spocząć i być szczęśliwym. Tysiące myśli
i nowych projektów snuły mu się po głowie, ale
o Głuszy dumać nawet nie śmiał. Chciał gdzieś, z po-
mocą krewnych, kupić maleńką wioseczkę w kątku,
w lasach, na ustroniu, by już na Wołyń nie wracać.
Z tem jechał do Warszawy z wód, a gdy ujrzał znów
siną Wisłę i wieże stolicy i zamczysko już puste, jak
gniazdo orle, z którego ostatni wróbel wyleciał, i gród,
co tyle pożarł jego życia, zamgliły mu się oczy,
westchnął, dotknięty swoim i innych nieszczęściem.
Konie, choć biegły żywo, zdawały się nielitościwie
wlec po wyciągającej się na przekorę drodze.

Spojrzawszy na most, przypomniał sobie ze łzami
uroczystą chwilę, gdy tu szukał śmierci po rozpuszcie
i rozpaczy — nareszcie trąbka rozległa się na Bednar-

skiej ulicy, a Anna, nie wiem jakim przeczuciem, wybiegła przed bramę.

Czuła, że on jedzie, choć poznać go nie śmiała; skoczył ku niej Ordyński i niemem uściśnieniem ręki powitał, bo przemówić nie mógł. Drżeli oboje, patrząc na siebie, szukając na swych twarzach śladów lat, co im zbiegły na ciężkiej próbie oczekiwania, tęsknoty i walki. Anna była zawsze tem pięknem dziewczęciem, które podczasyc w Głuszy pożegnał; ale na tej twarzy troska i niepokój wypiętnowały także swe przejście, i ona zmężniała niemi, dojrzała, oblekło się łzą wejrzenie, uśmiech był smutniejszy, chmurką nawisło czoło białe. Michał dojrzał, postarzał może, ale odświeżył się bojem, i twarz, krwią obmyta, znów się rumieńcem pokryła, tą jutrzeńką młodości.

Tak, ledwie śmiejąc przemówić do siebie, weszli razem do izdebki, w której przez lat tych kilka nic się nie odmieniło. Ławy, stoliki, obrazki, wszystko to było jak wczora. Dla nieżywych czas nie płynie.

Pani Wąchorska rozplýwała się we łzach, ujrawszy Ordyńskiego.

— A o. Spirydjon? — spytał Michał.

— Biedny staruszek postarzał bardzo, ale o kiju włóczy się jeszcze — odpowiedziała Anna. — W przeszłym roku, po ślizgocie idąc do chorego, nogę złamał, a że staremu i trochę niecierpliwemu do pracy trudno się było dobrze wyleczyć, jeszcze mu zostały ślady tego nieszczęśliwego przypadku.

Nazajutrz, cały wieczór spędziwszy z Anną, Ordyński poszedł na ranną mszę do kapucynów. Trafiał, że ją właśnie o. Spirydjon odprawiał: pokłakł i wysłuchał jej nabożnie, a wspomnienia, cisnące się tłumnie, nie jedną łzę wywołały. Przy błogosławieństwie ostatniem poznał go widać starzec, bo mu ręka zadrzęła i długo ją wyciągnioną nad głową wojaka zatrzymał.

Z zakrystji powiódł go z sobą do celi zakonnik, tak wesół i rad, że mu się od żartów usta nie zamykały.

Łzy ciągle miał na powiekach, a wesołość na wargach. Długo tam, długo trwała pierwsza rozmowa, w której całe swe dzieje zebrać musiał Ordyński, a gdy przyszło do maciejowickiej bitwy, szczegółów o niej nastarczyć mu nie mógł.

W kilka dni potem, po mszy św. w kościele Kapucynów, ten sam starzec błogosławił, wzruszony, Annie i Michałowi, a nauki, które był dla nich przygotował, łzy mu i uczucie dokończyć nie dały.

Po ślubie Anna oddała zdziwionemu Ordyńskiemu akt nabycia Głuszy i pożegnawszy staruszka, który nadrabiał fantazją i uśmiechając się, krzyżyki za nimi kreślił, wyjechali na Wołyń oboje.

Ze smutkiem jakimś ujrzeni przed sobą tę ruinę tyłu wspomnień pełną, i łzy znowu dobyły się, gdy ujrzeni straszliwe zmiany, jakie wprędce czas i ludzie dokonali. Oboje z Anną pocieszali się wśród tego zniszczenia, wskazując sobie miejsca, gdzie w dzieciństwie bawili się razem, ławkę, na której siadała z nimi starościna, drzewa, pod którymi były ich dzieciinne ogródki.

W tej bezpańskiej pustce ledwie się dowołano człowieka z kluczami, i weszli naprzód modlić się do pokojów starościny.

Te, nie wiem jakim trafem poszanowane, nie tknięte, pozostały prawie, jak były, gdy Anna z ojcem opuszczała Głuszę. Znaleźli jeszcze stare krzesło z poduszkami przy stole, okrytym pyłem, i kilka sprzętów staruszki. Na ścianie, z przestraczem prawie, ujrzał Michał wiszący obraz swego patrona, który tu Anna po nabyciu zaraz przesłała; ale przestrach ten powiększył się jeszcze, gdy, zbliżywszy się, ujrzał, że twarz szatana, co go tak przerażała, znikła... Lucyfer leżał z głową odwróconą i dwa tylko czarne rogi, sterczące na niej, z ciemnego tła wystawały. Na obrazie wszakże nie było śladu poprawy, zamalowania, restauracji; milcząc, przeszli i skierowali się ku pałacowi.

Na progu znów zatrzymali się oboje. — Śliczny ten

salon, gabinety, pokoje, poodzierane, poobijane, zaciekle, bez posadzek, nagie, wyglądały jak po wojnie, choć ich nieprzyjaciół nie dotknął. Tylko resztki bogów Olimpu i tancerek herkulańskich skakały jeszcze na ścianach, jedni bez nóg, bez głów drudzy... W pośrodku samym, na słomianych matach, suszył ktoś sobie owoce.

Ani śladu bogatych sprzętów, kosztowności i dzieł sztuki. W galerji wisiało krzywo kilka ram potłuczonych, a w muzeum stał pogięty szaflik blaszany, w bibliotece trochę okładek, półki niecałe i garściami pyłu znaleźli. Oranżerja zmieniła się w jakiś skład gratów zatęchły, tylko na końcu jej jakimś osobliwszym trafem ocalały resztki przyborów, które ustawił Labe Poinot na przyjęcie królewskie. Nikt ich stamtąd nie ruszył. Na ścianie nawet wisiał jeszcze jeden wyschły wieniec, żółty, zapyłony i szydersko zmały.

— Chodźmy stąd, kochana Anno! — rzekł Ordyński — co przeszło, nie powróci! my myślimy, byśmy sobie nowe i trwalsze zbudowali jutro, łązy nasze nie odżywią tego, co na wieki umarło!!

K O N I E C

x Edo
2

